

Biblioteka Pedagogiczna CEN w Białymstoku
nr inw.: KG - 96599



BC KSK / 96599

Od Karpat do Bałtyku

Od Karpat do Bałtyku

ZBIÓR

OPISÓW Z GEOGRAFII KRAJU RODZINNEGO

UŁOŻYŁ

B. DYBAKOWSKI

CZĘŚĆ I

OD BESKIDU DO MĄZOWSZA

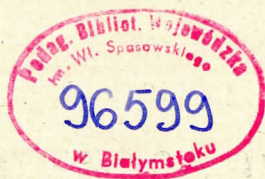
Ze 160 Rycinami



WARSZAWA

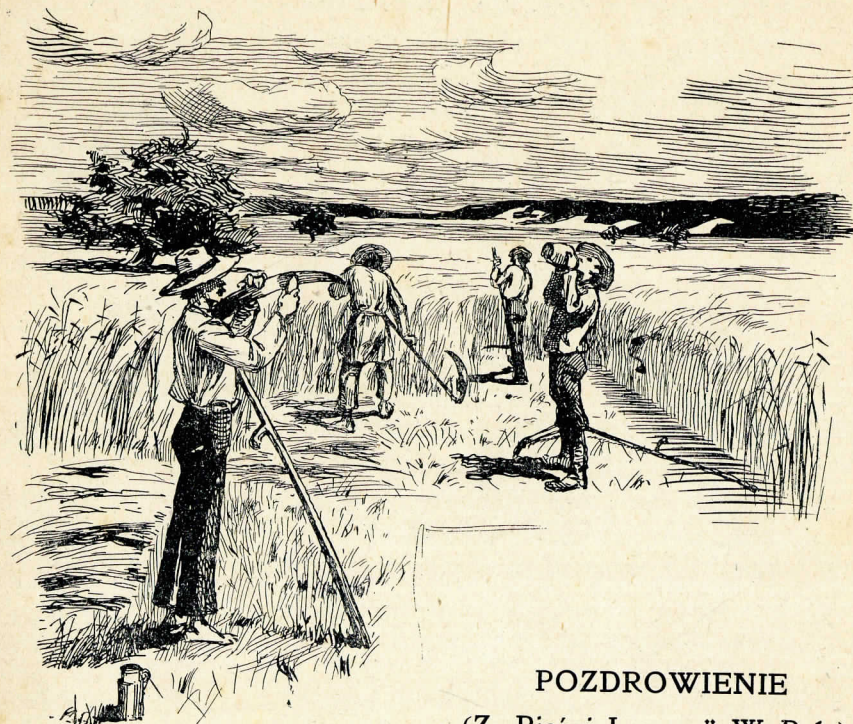
J. LISOWSKA, MARSZAŁKOWSKA 101

1910



914,38

ODBITO W TŁOCZNI L. BILIŃSKIEGO I W. MAŚLAN-
KIEWICZA W WARSZAWIE, NOWOGRODZKA № 17 *
KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE FOTOCHEMI-
GRAFICZNYM B. WIERZBICKIEGO I S-ki * SKŁADAŁ
W. ZAJĄCZKOWSKI * ODBIJAŁ NA MASZYNIE
===== FR. STRZESZEWSKI =====



POZDROWIENIE

(Z „Pieśni Janusza” W. Pola).

Śpiewak wita wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony,
Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze,
Pieśń i Pan Bóg z nim.
Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna, a surowa,
Jak nasz lud i czas.
A więc w imię pieśni waszej,
Dziejów waszych i krwi Laszej
Witam, witam was.

Byłem w Litwie i w Koronie
Byłem w tej i owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporóża
Całą Polskę znam.
Znam to całe szczere plemię,
Polskie morza, polską ziemię
I tę polską sól.
I o wszystkim marzę, roję,
I to wszystko niby moje,
Nibym polski król.

POGLĄD OGÓLNY NA ZIEMIE POLSKIE.

(Granice, budowa, wody, ludność).

Pomiędzy Karpatami a Bałtykiem, w samym środku Europy rozpościera się obszerna równina, zwana *niziną Polską*. Stanowi ona część wielkiej europejskiej niziny, ciągnącej się od zachodnich krańców naszej części świata, od stóp Pirenejów aż hen do gór Uralskich. Bezpośrednio na zachodzie łączy się nizina Polska z Niemiecką, na wschodzie przechodzi w wielki niż Wschodnio-europejski czyli Rosyjski.

Nizina Polska posiada zupełnie wyraźne granice tylko od południa (Karpaty, a w części Sudety) i północy (Bałtyk). Na wschodzie i zachodzie, gdzie łączą się z nią niziny sąsiednie, jest ona zupełnie otwarta. To też i granice rozpostarcia się państwa Polskiego rozmaite były w różnych czasach: to się rozszerzały, to kurczyły. Dochodziły one do Odry na zachodzie, a nawet ją przekraczały; sięgały Dźwiny i Dniepru na wschodzie, przerzucając się chwilowo na drugą ich stronę. Ale też i cofały się niejednokrotnie od tych rzek granicznych i ostatecznie nie mogły się przy nich utrzymać.

Ale i góry na południu, chociaż stanowiły jasną i wyraźną granicę, nie oddzielały jednak Polski chińskim murem od sąsiadów. Przerwy i przejścia w ich łańcuchu stanowiły drogi komunikacyjne, szlaki zarówno wymiany płodów i cywilizacji, jak najść wojennych, pożóg i mordów.

Obniżenie między Sudetami a Karpatami, zwane Bramą Morawską, przejścia w samym Karpatach (wyłom Popradu, przejście Dukielskie), wreszcie silne odchylenie na południe

wschodniej części łańcucha Karpackiego, otwierające szeroką drogę dla najeźdźców z południowego wschodu — wszystko to sprawiało, że i przy tej granicy wypadło toczyć krwawe walki z sąsiadami, że i ona ulegała wahaniom, chociaż nieznacznym: Bolesław Chrobry przesunął był granicę swego państwa poza Bramę Morawską, przyłączywszy do niego część Moraw i Słowacy z tamtej strony Bramy; doliną Dunajca i Popradu dostali się Polacy w głąb Karpat (do Tatr), a nawet i na drugą ich stronę. Ale też przez tę samą Bramę Morawską wdzierali się do nas niejednokrotnie Czesi, a później Niemcy; przez przejście Karpackie najeżdżali nas Węgrzy. Na ogół jednak Karpaty stanowiły trwałą i wyraźną granicę rozprzestrzeniania się Polski na południu.

Jeszcze wyraźniejszą stanowił Bałtyk na północy, niezmiernie zaś ważnem było posiadanie tego jedyne go morza, zupełnie dostępnego dla Polski, bo Czarne i dalej było od ziem rdzennie polskich i mniejsze posiadało znaczenie handlowo-komunikacyjne od Bałtyku. Ale Polacy nie bardzo starali się o trwałe usadowienie się na jego wybrzeżu. Oddzieleni od niego błotnistą krainą na Pojezierzu Bałtyckiem, zamieszkaną przez wojownicze a dzikie plemiona Pomorzan, Prusów i Litwinów, musieli dostęp do niego zdobywać z bronią w rękę. Przytem, będąc ludem nawskroś rolniczym, nie mieli zamiłowania do handlu i żeglugi, nie starali się więc nigdy o trwałe i silne zajęcie brzegów Bałtyku, mówiąc, iż prędzej łabędzia nauczy się orać, aniżeli Polaka pływać po morzu. To też pomimo zdobycia tej krainy, pomimo kilkakrotnych prób założenia floty polskiej, pomimo ożywionego spławu zboża do Gdańska, Polacy dali się uprzedzić i wyprzeć Niemcom, którzy ostatecznie zagarnęli dla siebie to wybrzeże tak, że właściwie Polska zamiast opierać się całą swą szerokością o Bałtyk, dotykała tego morza jedynie małą częścią.

Słowem, chwiejne były granice Polski, a jednak ten brak wyraźnych granic i łatwość komunikacji z ościennymi narodami miały też swoje dodatnie strony: dzięki takiemu przejściowemu położeniu Polska mogła się stać pośredniczką w stosunkach między obu krańcami Europy — zachodem i wschodem, a częściowo nawet między południem i północą.

Przez nizinę Polską z obu stron prowadził oddawna wiel-

ki trakt handlowy z niziny Rosyjskiej i od morza Czarnego ku Niemcom i Bałtykowi. Trakt ten biegł dwiema drogami: jedną południową wzdłuż przedgórzy Karpackich, drugą północną przez Wołyń i Lubelskie; obie te drogi prowadziły do Wisły i dalej Wisłą do Gdańska. Traktem tym napadały na Polskę hordy tatarskie, ale też tym samym traktem odbywała się wymiana płodów między morzem Czarnem i Wschodem a Bałtykiem i Zachodem.

Na nizinę Polską wkraczał też drugi trakt, biegnący w kierunku poprzecznym do tamtego, z południa na północ. Prowadził on z Rzymu przez obniżenie Kłodzkie w Sudetach albo przez Bramę Morawską również ku Wiśle i Bałtykowi. Tędy ciągnęły karawany już w wieku II po Chrystusie, dążąc po bursztyn, obficie znajdujący się na wybrzeżach Bałtyku. Droga ta prowadziła przez Kalisz i miasto to istniało już w owych odległych czasach.

Wskutek takiego położenia na wielkim szlaku, Polska wystawiona była na ciągłe napady sąsiadów i mieszkańcy jej musieli rozwinąć w sobie to męstwo i tę bitność, z której słynęli daleko i szeroko przez tyle wieków. Z drugiej zaś strony to samo położenie zrobiło z Polski pośredniczkę w stosunkach handlowych i cywilizacyjnych, pozwoliło jej urosnąć w bogactwa i znaczenie, stać się uczestniczką dobytów wiedzy i postępu innych narodów, dało jej możność wznieść się na ten poziom oświaty, dobrobytu, potęgi i znaczenia, na jakim znajdowała się w najświetniejszym okresie swego istnienia.

Pomimo braku wyraźnych granic na wschodzie i zachodzie, obszar ziem polskich stanowi dość jednolitą całość geograficzną i posiada w ogólnych zarysach jednostajny charakter z przejściami na krańcach do sąsiednich krain.

Na ogół jest to jedna wielka równina, pochylająca się z południa ku północy, od gór Karpackich ku Bałtykowi i urozmaicona w niektórych swoich częściach pasmami wzgórz; góry jednak właściwe znajdują się tylko na południowej granicy.

Według prof. Eugeniusza Romera średnie wzniesienie ziem polskich nad poziom morza wynosi nie o wiele co więcej nad 150 *) metrów. Udział gór to jest wzniesień po nad 750 me-

*) UWAGA: 1 stopa=0,30 metr.; łokieć=0,57 metr.; 1 wiorsta=1067 metr.; czyli 1 metr — w przybliżeniu $3\frac{1}{3}$ stopy albo $1\frac{3}{4}$ łokcia; 1 mila geogr. = prawie $7\frac{1}{2}$ kilometra (ściślej 7,420 km.).

trów stanowi zaledwie 1% (13200 kilometrów kwadratowych całego obszaru); wyżyn, to jest wzniesień po nad 200 do 750 metrów—około 19% powierzchni (190,000 kilometrów kwadrat.); resztę zaś czyli 80% całości (około 800,000 kilom. kwadr.) zajmują niziny, niedochodzące 200 metrów wzniesienia.

Na południu zamykają równinę *Sudety* na północny zachód od Bramy Morawskiej i *Karpaty* na wschód od niej. Jest to jedyna prawdziwie górska część ziem Polskich.

Na Północ od łańcuchów górskich ciągnie się *Kraina Przedgórz*, spuszczająca się od Sudetów ku dolinie Odry, od Karpat ku Wiśle i Sanowi na zachodzie, Dniestrowi i Prutowi na wschodzie.

Niziny wymienionych rzek oddzielają krainę Przedgórz od położonego z drugiej ich strony pasa *Wyżyn południowopolskich*, który rozpościera się od Odry na zachodzie aż hen do Dniepru i morza Czarnego na wschodzie. Zachodzi koniec tego pasa, przytykający do niziny nadodrzańskiej, nosi nazwę *wyżyny Śląskiej*, wschodni przechodzi w *stepy czarnomorskie*.

Przez pas ten toruje sobie drogę ku północy Wisła, dzieląca go wyłomem swoim na dwie części: *wyżynę Małopolską* na zachodzie i *Czarnomorską* na wschodzie. Czarnomorska składa się znowuż z kilku pomniejszych wyżyn: *Lubelskiej*, *Podolskiej*, *Wołyńskiej* i *Ukraińskiej*.

Wszystkie te wyżyny obniżają się ku północy, przechodząc w następny pas środkowych nizin, zwany *krainą Wielkich Dolin* albo *środkową Brózdą* niziny Polskiej. Kraina Wielkich Dolin ciągnie się również od Odry do Dniepru, a składa się z trzech większych dolin: dolnej Warty z Notecią czyli *Wielkopolski*; środkowej Wisły z Narwią i dolnym Bugiem czyli *Kujaw*, *Mazowsza* i *Podlasia* i wreszcie Prypeci czyli *Polesia*.

Dalej za krainą Wielkich Dolin, znajduje się pas *wyżyn północnopolskich*, zwany także *Pojezierzem Bałtyckiem* z powodu obfitości jezior. Zgodnie z ogólnym spadkiem całej równiny polskiej ku północy jest on znacznie niższy od pasa wyżyn południowopolskich. Tak samo jak i przez tamten przerzynają się przezeń rzeki, dążące ku Bałtykowi: Wisła i Niemen i wyłomami swymi dzielą go na kilka części: *Pojezierze Pomorskie* (na zachód od Wisły), *Pruskie* (na wschód), *Litewskie* (nad środkowym Niemnem) i *Żmudzkie* (na północ od dolnego Niemna).

Pojezierze Bałtyckie przeważnie nie dochodzi do samego morza, lecz oddzielone jest od niego pasem nadmorskich nizin, noszących ogólną nazwę *niziny Nadbałtyckiej*.

Cała zatem równina Polska przecięta jest jakby dwu wałami wyżyn (północno i południowopolskich), wyżyny te jednak nie stanowią czynnika dzielącego nizinne części i utrudniającego stosunki między niemi, a to dlatego, iż są pocięte przerzynającymi się przez nie rzekami. Wyłomy i doliny tych rzek wytworzyły szereg połączeń między nizinami, wiążąc je tem ściślej w jedną całość.

W *rzeki* ziemie polskie są obficie uposażone: dopływami swymi tworzą one gęstą sieć, która pokrywa całą powierzchnię naszej równiny. Co zaś ważniejsza, poszczególne rzeki, zbliżając się jednie do drugich czy to wprost same czy swymi dopływami, pozwalają na przekopanie w takich miejscach kanałów i wytworzenie nieprzerwanego szlaku wodnego. Szlak taki ułatwia ogromnie stosunki, a jeszcze bardziej ułatwiał je w dawnych czasach, kiedy z powodu nieistnienia kolei żelaznych, drogi wodne posiadały jeszcze ważniejsze znaczenie dla komunikacji.

Rzeki polskie płyną do dwu mórz: Bałtyku i Czarnego. Do pierwszego podążają: Odra, Wisła i Niemen; do drugiego: Dniestr, Boh i Dniepr. Ciekawą przytem i bardzo ważną jest okoliczność, że dział wodny między zlewiskami obu tych mórz jest nadzwyczaj niski, tak niski, jak nigdzie w Europie. Umożliwiło to łatwe połączenie kanałami dopływów Niemna i Wisły z Prypecią, głównym dopływem Dniepru na obszarze tej równiny.

Jan Długosz, historyk nasz z XV wieku, podając geograficzny opis Polski, wymienia siedem najważniejszych jej rzek: Wisłę, Odrę, Wartę (dopływ Odry), Dniestr, Bug (dopływ Wisły), Niemen i Dniepr. Wincenty Pol wymienia również siedem największych rzek, ale wybiera je nieco inaczej:

Oto w tej naszej krainie
Siedem największych rzek płynie:
Odra i Wisła jednaka
Służą obie dla Polaka;
A zaś Niemen, potem Dźwina
Służą obie dla Litwina;
Dniestr, Boh i Dniepr, wielkie rzeki,
Płyną Rusią w kraj daleki;

Wszystkie siedem wpadły w morze,
A ty po nich pływ, nieboże,
Litwinie, Rusinie, Polaku
W sukmanie, w żupanie, w kubraku.

Mianowicie zamiast Warty i Bugu znajdujemy u Pola Dźwinę i Boh, samodzielną rzekę wpadającą do morza Czarnego.

Rzeki, wymienione przez Długosza i Pola, należą istotnie do największych i najważniejszych. Nie wszystkie atoli mają jednakowe znaczenie, nie wszystkie nawet mogą być naprawdę zaliczone do rzek polskich. Dochodziły wprawdzie niegdyś granice państwa Polskiego do Dźwiny i Dniepru i po za nie, rzeki te jednak nie stykają się nawet właściwie z ziemiami czysto polskimi. Podobnież i Odra z wyjątkiem części górnego biegu nie jest dziś rzeką polską, lecz niemiecką; ale przynajmniej dawniej kraj nad jej brzegami był czysto polskim, tam się rozgrywały początki naszych dziejów, w jej dolinie odbywały się pierwsze nasze starcia z Niemcami. W każdym jednak razie dziś o tych trzech rzekach można mówić jedynie jako o kresowych, zamykających obszar najdalszego rozpostarcia się państwa polskiego.

Co do znaczenia swojego, trzy te rzeki kresowe posiadają nie jednakową wartość. *Dźwina*, jako najbardziej oddalona i płynąca przez obce ziemie, niema dla nas żadnego znaczenia. Na zmniejszenie znaczenia *Dniepru* wpływa obok jego oddalenia także i ta okoliczność, iż w dalszym swym biegu posiada on słynne progi („porohy”), uniemożliwiające dalszą żeglugę nie pozwalające dostać się tą rzeką do morza. Stokroć ważniejszy jest dla nas prawy dopływ jego, Prypeć, łączący się kanałami z Niemnem i Wisłą i w ten sposób tworzący wielki szlak wodny z Polski do Kijowa i doliny Dniepru. Zato *Odra* pomimo kresowego położenia jest rzeką nadzwyczaj ważną: przedewszystkiem prawymi dopływami, z których najważniejsze są Warta i Noteć, omywa ona ziemie czysto polskie, następnie zaś stanowi dobrą drogę wodną na zachód i do morza, mającą tem większe znaczenie, że jest połączona kanałami z Wisłą.

Z rzek położonych wewnątrz równiny polskiej, *Niemen* nie jest spławny w znacznej części swego biegu, płynie przytem głównie przez ziemie litewskie, „służy dla Litwina”, jak powia-

da poeta; rzeki zaś czarnomorskie, *Dniestr* i *Boh*, „płyną Rusią”, a do żeglugi nie są również przydatne; — wszystkie więc trzy schodzą na drugi plan pod względem znaczenia.

Główną i uajważniejszą rzeką polską jest *Wisła*: nie płynie ona wprawdzie samym środkiem tej równiny, położenie jej atoli można uważać za środkowe, do niej bowiem ze wszystkich stron jak do środka, zdąża mnóstwo dopływów, zasilających ją wodami z Karpat, wyżyny Małopolskiej i zachodnich kresów Czarnomorskiej, z okolic puszczy Białowieskiej i z działu wodnego od Prypeci, z pojezierza Pomorskiego, Pruskiego i Litewskiego. Ona jest prawdziwym łącznikiem i pośrednikiem między zachodnimi a wschodnimi kresami, zbliżając się kilkakrotnie do Odry, dopływami swymi zahaczając o dopływy Niemna i Dniepru. Słusznie więc jej należy się pierwsze miejsce wśród rzek naszych, słusznie przystoi miano ich matki i królowej.

W jeziora ziemie polskie również nie są ubogie. Posiadają one pokaźną ich liczbę przeszło 2000, z czego połowa (około 1000) przypada na dzisiejsze Królestwo Polskie czyli Kongresówkę. Jeziora te nie są rozrzucone po całym obszarze równiny polskiej jak rzeki, lecz ześrodkowane grupami w pewnych dzielnicach. Takich głównych dzielnic jeziornych znajdujemy na tym obszarze trzy, nie licząc jezior górskich (w Tatrach).

Przedewszystkiem obfituje w jeziora wyżyna Nadbałtycka, która też od nich otrzymała drugą swą nazwę Pojezierza: w samej tylko gubernii Suwalskiej znajdujemy około 500 jezior. Drugą krainę jeziorną, ale znacznie mniejszą mamy w okolicach Gopła na Kujawach, między Wisłą, Wartą i Notecią; trzecią wreszcie stanowi rozległa kotlina Prypeci czyli Polesie, pełne błot, bagien i jezior.

W pierwotnych dziejach wszystkich ludów jeziora odegrały rolę nie mniej ważną, a nieraz nawet ważniejszą, niż rzeki. Stanowiły one dogodny środek komunikacyjny w owych odległych czasach, zapewniały nadbrzeżnym mieszkańcom z jednej strony łatwe zdobycie żywności w postaci ryb i innych zwierząt wodnych, z drugiej zaś dogodną i bezpieczną kryjówkę przed nieprzyjaciółmi na wyspach i kępach. Nic więc dziwnego, że w okolicach jezior wcześniej skupiała się ludność, niż gdzieindziej, że nad jeziorami zawiązywały się początki przyszłych potężnych państw że między innemi i u nas taką rolę odegrało Gopło.

Na takiej równinie, otwartej z obu stron, jak Polska, *ludność* nie może być zupełnie jednolita: z różnych stron wkraczały na nią rozmaite ludy, w różnych czasach wciskali się na nią sąsiedzi, osiedlając się tu i owdzie, tworząc jakby mniejsze lub większe wyspy wśród skupień ludności pierwotnej.

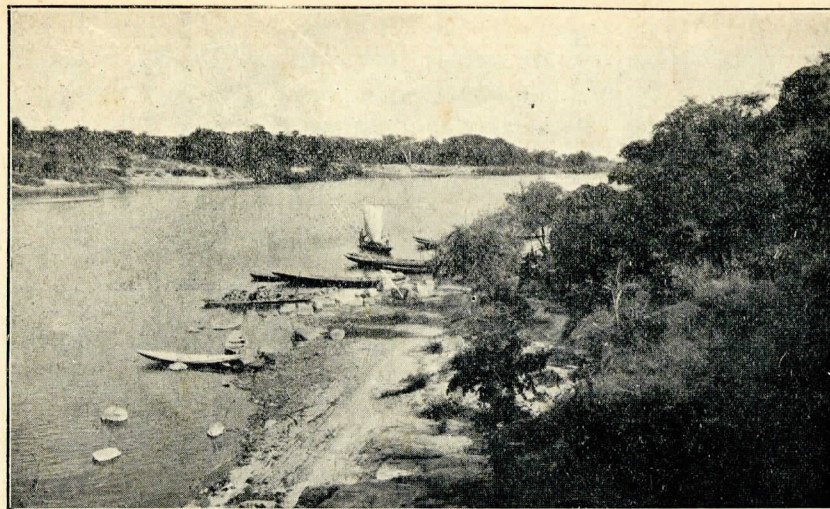
Pierwotnymi ludami, najdawniej osiadłymi tutaj byli: *Polacy* na zachodzie równiny, *Litwini* na północnym wschodzie, *Białorusini* i *Matorusini* na wschodzie i południowym wschodzie. Te narody stanowią rdzenną miejscową ludność różnych części niżu polskiego, one wytworzyły tu niegdyś odrębne państwa, które potem zlały się w jedną Rzeczpospolitą polską, Polacy bowiem stali najwyżej pod względem cywilizacyjnym i dla tego osiągnęli przewagę nad Litwinami i Rusinami.

I dziś też przeważają nad nimi liczebnie, stanowią bowiem przeszło połowę ogółu ludności całego tego obszaru. Zajmują zaś zachodnią jego część mniej więcej do Niemna i Bugu. Na wschód od tych rzek zamieszkują jedynie w mniejszości, drobnymi wyspami albo rozrzućeni na tle ogółu ludności litewskiej lub ruskiej. Ścisłej zresztą granicy przeprowadzić tu nie można, ponieważ w miejscu zetknięcia nastąpiło pomieszanie się ludności: w miejscowościach takich jedne wsie są polskie, inne tuż obok ruskie lub litewskie, tak że nie sposób określić dokładnie, jaka narodowość przeważa w takiej okolicy.

Na zachodzie między Polaków wcisnęli się *Niemcy*, tworząc wśród nich mniejsze lub większe wysepki, szczególnie liczne w Poznańskim i zachodnich częściach Królestwa. Zresztą kolonie niemieckie sięgają i dalej na wschód, znajdujemy je bowiem i na obszarze ziem ruskich pod Kijowem, a nawet i z tamtej strony Dniepru.

Wreszcie we wszystkich dzielnicach mieszkają *Żydzi*, przeważnie po miastach i miasteczkach.

Cały ten obszar między Karpatami a Bałtykiem, Dźwiną i Dnieprem a Odrą stanowił niegdyś jedno ogromne i potężne państwo polskie, sięgające „od morza do morza”. Przechodząc różne koleje, walcząc z rozmaitem szczęściem przez kilka wieków z sąsiadami, utraciło ono przed stu przeszło laty byt polityczny i zostało podzielone pomiędzy trzy sąsiednie państwa: Rosję, Niemcy i Austryę.



DO WISŁY

(Antoniego Czajkowskiego).

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
A nad nią ówdzie wioska się uśmiecha,
Chata się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słyszać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze,
Bo one młodość z Wisłą przeigrały
I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoło w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławiają w jej nurtach przewrócone głowy,

Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
 Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
 A nadwiślańska topola wspaniała
 Nad nurtem wielkie konary rozwiała:
 To nie Włoch *) smukły, co liść swój podkasa,
 Ale brat szlachcic do korda, do pasa,
 Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
 Macha rękami, z kiściastego wąsa
 I z swojej czapki powiewnej wytrząsa
 Garście zieleni na wiślane fale.
 Ty płyniesz, Wiśło! a jak kapłan stary
 Zamek Krakowski chrzci cię swym obrazem;
 Kapłan to siwy, ale młodej wiary:
 On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
 Świętym chryzmatem pamiątek namaści.
 Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona
 Płyniesz spokojna, płyniesz niespłoszona;
 I coraz szersza, coraz więcej pańska
 Śpieszysz do zawsze lennego ci Gdańska.
 A pod Krakowem, na długim galarze
 Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze:
 Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
 We środku budka, u rudla flis czuwa,
 Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
 On ją z fantazyą na bakier nasuwa,
 Zwija koszuli rękawy bufiaste
 I szarawary poprawia pasiaste;
 Ma kaftan długi z czerwonym podbiciem,
 A twarz z wąsikiem, rumieńcem i życiem.
 W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
 Na niej, jak w własnej chacie gospodarzy,
 I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
 Węgiel brzęczkowski albo laryszowski.
 Wiśło! ty niesiesz na swoim przestworze
 Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
 I cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
 Wapno i jaja, i świeże nabiały; —

*) Topola piramidalna albo włoska.

Niesiesz, gdy zechcesz, a gdy nie masz woli,
 Próżno berlinka żaglami swawoli,
 Lub galar wiosłem twoje fale liźnie.
 Ty nie chcesz! — muszą stanąć na mieliźnie;
 Ty zechcesz — płyną, a widnokrąg cały
 Zda się ucieka i chowa i znika,
 I tylko czasem plusną twoje wały,
 Płetwą szczupaka, wód tych rozbójnika,
 Lub wir je zmaci, a na dnie łożyska
 Igrają chmury i słońce rozbłyska.
 Ptaszki świegocą w nadbrzeżnej wiklinie,
 U góry bocian wyciągnięty płynie,
 A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
 A gdy cię, Wiśło, ścisną zimne lody,
 Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
 Na której słońce maluje swe lica,
 Aż lód przepali, wtedy z strasznym grzmotem
 Łamiesz kry, tworzysz rozłożyste fale,
 Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale
 I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem.
 A kiedy w górach potopnieją śniegi,
 Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
 Zalewasz pola i unosisz z sobą
 Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
 Powalasz domy i na twojej fali
 Nieraz niemowlę w kołysce się żali...
 A potem znowu wracasz w tve ukrycie
 I cicho płyniesz w odwiecznym korycie.
 W starem korycie, o rodzinna rzeko!
 Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
 Niech na twych błoniach tak pełnych tęsknoty
 Bóg litościwy da urodzaj złoty;
 Wtedy tve fale pokrają na pręgi,
 Niosące zboże, ładowne komiegi, *)
 A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
 Kupi ci suknię za gdańskie talary!

*) Komiegi—statki do spławu zboża.

O WIŚLE I JEJ DOPŁYWACH.

Wśród rzek naszych *Wisła* zajmuje pierwsze miejsce, bo jest największa i najważniejsza. Rozciągnięta od granicznych gór polskiej niziny do granicznego morza, źródła mająca w Karpatach, a ujście w nurtach Bałtyku, rozgałęzieniami swego dorzecza, obejmuje ona przeważną część obszaru ziem czysto polskich. Nad brzegami jej wznoszą się obie nasze stolice — Kraków i Warszawa, z nią związały się nasze dzieje, wspomnienia zarówno minionej sławy, jak klęsk i nieszczęść doznanych. Nic więc dziwnego, że żadna z naszych rzek nie jest tak droga sercu polskiemu jak ona, że żadna nie jest takim uosobieniem Polski.

Źródła Wisły leżą na Śląsku, w najbardziej zachodniej części Karpat, w tak zwanych górach Jabłonkowskich; ujście — w zatoce Gdańskiej, prawie na tym samym południku, co i źródła, w odległości od nich zaledwie 70 mil (około 500 kilometrów). Taka więc tylko byłaby długość Wisły, gdyby płynęła ona wprost ku północy. Zmienia jednak dwukrotnie kierunek, spotykając po drodze dwa pasy wyżyn, i wskutek tego bieg jej przybiera kształt litery S, a długość jest dwa razy większa i wynosi przeszło 1000 kilometrów czyli 140 mil.

W biegu swym przepływa ona wszystkie trzy zabory, przy czem na przestrzeni przeszło 175 kilometrów od wsi Morgi do Zawichosta stanowi granicę między Galicyą a Królestwem. Po za tem na samą Galicyę przypada przeszło 200 kilometrów górnego biegu Wisły, na Królestwo do 400 czyli cały prawie środkowy, na Prusy przeszło 200 to jest koniec środkowego i cały dolny. Do Wisły wlewa się przeszło 120 dopływów, a dorzeczem swoim, wynoszącym koło 3600 mil kwadratowych, oplata ona prawie całe Królestwo, dobrą połowę Galicyi oraz część dzielnic nad Bałtykiem.

Wyptywa Wisła z góry Baraniej, w Karpatach Zachodnich, jako dwa górskie strumienie, zwane *Czarną* i *Białą Wisetką*. Z połączenia się ich powstaje nieduża rzeczka o wartkim biegu

i górskim charakterze, dążąca początkowo na północ. Spotyka ona wkrótce na swej drodze wyżynę południowo polską i powstrzymana przez nią w biegu, skręca na wschód. Omywając południowe stoki wyżyny, płynie wzdłuż jej krawędzi dalej w tym kierunku, aż do ujścia Sanu. Tam zasiliwszy się i wzmocniwszy wodami tego dopływu, skręca znów, ale tym razem lewo i toruje sobie drogę przez wyżynę wprost na północ. Tu przy ujściu Sanu i tym zakręcie kończy się *górnny bieg* Wisły; tu także opuszcza ona Galicyę i wkracza w całości do Królestwa.

Od chwili wypłynięcia ze Śląska na całej tej przestrzeni do ujścia Sanu Wisła ma po lewej stronie wyniosłą krawędź wyżyny Małopolskiej, po prawej nizinę Krakowsko-Sandomierską, oddzielającą przedgórze Karpackie od wyżyny południowopolskiej. To też lewy jej brzeg jest prawie wszędzie wysoki i malowniczy, szczególnie piękny pod Krakowem. Prawy natomiast — niski i równy, porośły przeważnie lasami sosnowymi, w niektórych miejscach nagi, piaszczysty lub bagnisty.

Wisła płynie tu już wolniej, niż powyżej Krakowa, dość jednak szybko, a zato powiększa się coraz bardziej, staje się szersza i obfitsza w wodę, dzięki licznym dopływom górskim, zasilającym ją sownicami. To też gdy powyżej jest ona dostępna jedynie dla galarów, od Krakowa zaczynają chodzić po niej mniejsze statki, a od Sandomierza i większe.

Najważniejsze są prawe dopływy Wisły, płynące wszystkie z gór Karpackich. Największym z nich jest *San* a najobfitszym w wodę *Dunajec*. Rzeki te zaopatrują Wisłę suto w wodę, ale że jako górskie mają wysokie spadki i wartki bieg, wzbierają więc gwałtownie na wiosnę w czasie tania śniegów i w lecie, podczas ulewnych deszczów w górach; wlewają wówczas taką ilość wody do Wisły, że nie może ona pomieścić się w jej łóżysku, występuje z brzegów i rozlewa się szeroko, wywołując mniej lub więcej straszną powódź.

O ilości wód, wlewanych do Wisły w czasie powodzi przez rzeki górskie daje najlepsze pojęcie następujące wyliczenie: podczas największej powodzi dolną Wisłą przelewają się masy wody, wynoszące około 10,000 metrów sześciennych na sekundę. Otóż dwa tylko górskie dopływy — *Dunajec* i *San* mogą dostar-

czyć Wisłę przeszło trzy czwarte tej ilości wody, Dunajec bowiem w czasie powodzi wlewa do niej na sekundę do 4000 metrów sześciennych, San zaś 3700. Zatem już tylko te dwa dopływy mogą wywołać niezgorszą powódź: a przecież oprócz nich jest wiele innych mniejszych, których połączone działanie może okazać się równie straszne i zgubne w skutkach. To też nic dziwnego, że zbyt obfite śniegi w górach, jak również ulewne deszcze odbijają się później wylewami na nizinach.

Oprócz wody, rzeki karpackie niosą obficie piasek, a w części i muł, powstały z rozkruszenia skał w górach. Przynoszą też Wisłę mnóstwo piasku, wpływając tem nieraz na tworzenie się mielizn.

Lewe dopływy Wisły w tej części jej biegu spływają wszystkie z wyżyny Małopolskiej, mają więc również charakter górski i bystry bieg. Są jednak znacznie mniejsze od karpackich i dlatego nie mogą wywierać takiego wpływu na stan wody w Wisłę. Największym z nich jest *Nida*, najbardziej malowniczym — *Prądnik*, płynący przez przepiękną dolinę Ojcowską.

Wkroczywszy do Królestwa pod Zawichostem, Wisła należy do niego całym prawie swym *środkowym biegiem*, bo chociaż koniec jego, przypadający u ujścia Brdy i wyłomu przez Pojezierze, leży już w zaborze pruskim, nie o wiele jednak poniżej Torunia i niedaleko od granicy

Wisła w tej części swego biegu ma najpierw kierunek północny, przerzyna się wyłomem między wyżyną Małopolską a Lubelską i spływa w krainę Wielkich Dolin aż ku południowej krawędzi Pojezierza. Zetknawszy się z nią, skręca podobnie jak przy zetknięciu z wyżyną południowo-polską, ale w kierunku wręcz przeciwnym, nie na wschód, lecz na zachód. Dzieje się to pod wpływem wlewającego się tu do niej pod Modlinem od wschodu najpotężniejszego i największego z dopływów, dwuramienną rzeką, powstałą z połączenia *Narwi* i *Bugu*. Zasilona ich wodami, Wisła skręca na zachód, a potem na północny zachód i płynie w tym kierunku aż do wyłomu przez Pojezierze gdzie zmienia go najpierw na północnowschodni, a później na czysto północny.

W początku biegu środkowego Wisła ma oba brzegi wysokie, przebiega się tam bowiem przez wyżynę, ale krawędź jej

nie wszędzie przytyka do rzeki, miejscami oddzielają ją od niej mniejszej lub większej szerokości pasy nizinne i w takich miejscach górują nad sobą kolejno to prawy brzeg, to lewy. Takie wyniosłe brzegi, wznoszące się stromą ścianą tuż prawie nad poziomem wody, są niezmiernie malownicze, zwłaszcza gdy przerzynają je wąwozy rzeczek, spływających z wyżyny ku Wisłę. W takie malownicze widoki obfituje szczególnie brzeg prawy, krawędź wyżyny Lubelskiej, a do najsłynniejszych z piękności należą okolice Kazimierza.

Ten wyłom Wisły kończy się pod Puławami. Stąd, a jeszcze wyraźniej od ujścia Wieprza, Wisła wkracza w krainę Wielkich Dolin, płynie wolniej, rozlewa się szerzej, a brzegi ma przeważnie niskie, złożone z piasku i gliny. Znosi też je nieraz i zamula, albo też rozrywa i rozdziela na części, tworząc sobie nowe łożyska, zwane *łachami*; okrążają one oderwane części ładu, noszące nazwę *kęp* lub *ostrowów*. Takie kępy i ostrowy znajdujemy już i w południowych częściach środkowego biegu Wisły w miejscach posiadających niskie brzegi, najobficiej jednak występują one na obszarze Wielkich Dolin między Modlinem a Toruniem. Na przestrzeni tej Wisła ma prawy brzeg wysoki, płynie tu bowiem wzdłuż południowej krawędzi Pojezierza, lewy zaś niski i ten właśnie ulega zalewom i rozmywaniu.

Liczne kępy i ostrowy w tej części Wisły ułatwiają przeprawę przez nią, jak na przykład pod Płockiem, gdzie przy budowie mostu skorzystano z takiej wyspy.

Szeroko i majestatycznie wygląda Wisła w Krainie Wielkich Dolin. Nie jest to już ów wartki i hałaśliwy potok górski, jaki widzimy na Śląsku, ani wesoła, młoda rzeka, srebrną wstęgą omywająca stopy Wawelu i Bielan pod Krakowem, lecz okazała i poważna władczyni tych licznych wód, zbiegających się tu zewsząd do niej, gdy ona sama płynie środkiem, cicha i spokojna na pozór, ale pełna grozy, siły i majestatu.

Szerokość Wisły pod Krakowem wynosi zaledwie około 80 metrów, pod Warszawą zaś dochodzi prawie 450 metrów, a bieg jej tam jest około trzech razy wolniejszy. Ale zato głębsza i obfitsza w wodę, nadaje się ona znacznie lepiej do żeglugi: pod Krakowem chodzą po niej jedynie małe statki, od Sandomierza na całym środkowym brzegu kursują większe parowce, zbierając i wioząc ludzi i płody z najbliższych okolic Wisły



i z jej dopływów, jak również z kolei żelaznych i traktów, schodzących ku niej pod Zawichostem, Kazimierzem, Dęblinem, Warszawą i w innych miejscach.

Ściąga Wisła ku sobie te płody ze znacznego obszaru Polski i wiezie je w kierunku z południa na północ, stanowiąc bardzo ważną arterję komunikacyjną, tem ważniejszą, że jest tańszą od innych — dróg żelaznych i konnych.

Ale będąc ważnym łącznikiem między południowemi a północnemi częściami Polski, Wisła stanowi zarazem przeszkodę i tamę dla ruchu ze wschodu na zachód i odwrotnie; wszelkie bowiem drogi, prowadzące w tym kierunku, dochodzą do niej i muszą ją przecinać. Wywołało to potrzebę urządzenia przepraw czasowych lub stałych. Dawniej zadowalano się brodami lub przewożeniem się przez rzekę. Z czasem powstały na Wiśle mosty trwałe lub rozbierane na zimę.

Nie posiada ich ona zresztą dużo na przestrzeni swego biegu przez Królestwo. Gdy pod Krakowem jest ich trzy, obecnie zaś zaczęto budować i czwarty, to na linii granicznej do Zawichosta niema ani jednego i przeprawa z Galicyi do Królestwa może się odbywać jedynie na łodziach; w obrębie zaś samego Królestwa, gdzie Wisła właśnie przecina wszystkie drogi, idące ze wschodu na zachód, znajduje się ich zaledwie sześć, z tego trzy pod Warszawą, jeden (kolejowy) pod Dęblinem i po jednym tak zwanym łyżwowym, rozbieranym na zimę — pod Płockiem i Włocławkiem. I tu więc przeprawa przez Wisłę musi się odbywać przeważnie łodziami lub promem.

Przyczyna tej małej ilości mostów leży między innemi w tem, iż będąc przeszkodą dla ruchu handlowego w kierunku z zachodu na wschód, Wisła stanowi zarazem zaporę dla wojsk, poruszających się w tymże kierunku, brak więc mostów ułatwia powstrzymywanie pochodu wojsk nieprzyjacielskich. Szczególnie liczne i zacięte bitwy o obronę lub zdobycie przepraw przez Wisłę toczono w czasie wojen napoleońskich oraz walki w r. 1831.

Obronne znaczenie linii Wisły skłoniło rząd rosyjski do założenia silnych twierdz nad jej brzegami: w Modlinie przy ujściu Bugu i Narwi oraz w Dęblinie przy ujściu Wieprza.

Nie jest więc zbyt skuta mostami królowa rzek naszych, a że spadek ma tu wszędzie nieznaczny, płynie więc przez równiny Mazowska powoli i leniwie, chłonąc w siebie z prawej i le-

wej strony liczne dopływy, również powolne i spokojne, jak ona. Z wyjątkiem niewielu rzeczek, spływających z wyżyny Małopolskiej, ogół dopływów tej części Wisły należy do rzek równinnych i nie ma rwącego biegu.

Z lewych dopływów największym i najważniejszym jest *Pilica*, która ma wprawdzie źródło aż na zachodnim krańcu wyżyny Małopolskiej, ale znaczną częścią biegu należy już do nizin i ma też taki sam spokojny charakter, jak ogół dopływów Wisły w Królestwie, wypływających częstokroć już nie z wzgórz, lecz z błot i bagnisk.

Wśród tych przeważnie niepozornych, leniwych i spokojnych dopływów równinnych znajduje się jednak taka wielka i okazała rzeka, jak dwuramienna *Narew z Bugiem*, największy z dopływów Wisły, znoszący jej wody z dwu oddalonych dzielnic ziem polskich — z puszczy Białowieskiej, gdzie znajdują się źródła Narwi, i z wyżyny Podolskiej, gdzie bierze początek Bug.

Zasila też ona obficie Wisłę wodą, a oprócz tego podnosi ogromnie jej znaczenie tem, że rozgałęzieniami swych dopływów zbliża ją do Niemna, z którym Narew połączona jest kanałem Augustowskim, oraz do Prypeci, do której prowadzi kanał Dniepro-woski czyli Muchawiecki.

Dopełnienie tych dwu kanałów z drugiej strony Wisły na zachodzie stanowi kanał Bydgoski, leżący już w państwie Niemieckiem, a łączący lewy jej dopływ Brdę z Notecią, prawym dopływem Warty.

Dzięki tym rozgałęzieniom i kanałom Wisła wchodzi w skład wielkiego traktu wodnego z zachodu na wschód i zyskuje ogromnie na znaczeniu, służy bowiem jednocześnie do komunikacji w dwu przecinających się kierunkach, a dwuramienna Narew z Bugiem stanowi najważniejszy jej dopływ pod każdym względem.

Tu przy ujściu Bugu—Narwi, w miejscowości, gdzie schodzą się i inne najważniejsze dopływy środkowego biegu Wisły, powstała, rozwinęła i wzniosła się do stanowiska stolicy kraju — Warszawa, która właśnie temu położeniu w krzyżownicy najważniejszych dróg zawdzięcza swój rozwój i znaczenie.

Od ujścia Brdy zaczyna się *dolny bieg* Wisły, gdzie jest ona największa i najokazalsza. Zasilają ją tutaj z obu stron liczne dopływy z Pojezierza Bałtyckiego. Wszystkie one są dość

krótkie, nie mają bowiem dalekiej drogi od źródeł do Wisły, ale że wszystkie prawie wypływają z tak obfitych tu jezior, posiadają więc zawsze bogaty zapas wody i dzięki temu podtrzymują stale wysoki jej poziom w Wiśle.

Nie obniża się on tutaj nigdy tak jak w biegu środkowym i nie tworzą się tu mielizny, utrudniające ogromnie letnią żeglugę w Królestwie. Tutaj dopiero naprawdę jest Wisła spławna bez zastrzeżeń, bo tu kres żegludze może położyć dopiero mróz, gdy powyżej trzeba ją przerywać nie tylko w zimie, ale nieraz i w lecie w czasie większych posuch. W dolną część Wisły mogą wchodzić nawet okręty morskie.

Tutaj także Wisła rozlewa się najokazalej, dochodząc miejscami 1500 metrów szerokości. Ale mimo tak znaczną szerokość tu najwięcej przerzucono przez nią mostów: na długości prawie dwa razy mniejszej, niż jej bieg w Królestwie, jest ich tu około 10, gdy tam znajduje się ich zaledwie 6 i z tego 3 w jednym miejscu pod Warszawą. Ale też kraj tu stoi wyżej pod względem oświaty i ruchu handlowego, więcej tu miast, kolei żelaznych i innych dróg, więc i stałych przepraw przez Wisłę urządzono więcej.

Większe mosty, czy to kolejowe, czy też dla ruchu pieszego i konnego, znajdują się tu pod Toruniem *), Grudziądzem, Gniewem, Tczewem, Fordonem,—ten ostatni najdłuższy, bo ma 1325 metrów, czyli przeszło kilometr i ćwierć.

Z dopływów tej części Wisły, oprócz wspomnanej już *Brdy*, zasługuje jeszcze na uwagę *Ossa*, w której według podania Bolesław Chrobry miał wbijać słupy żelazne na znak, iż tak daleko sięgało jego państwo.

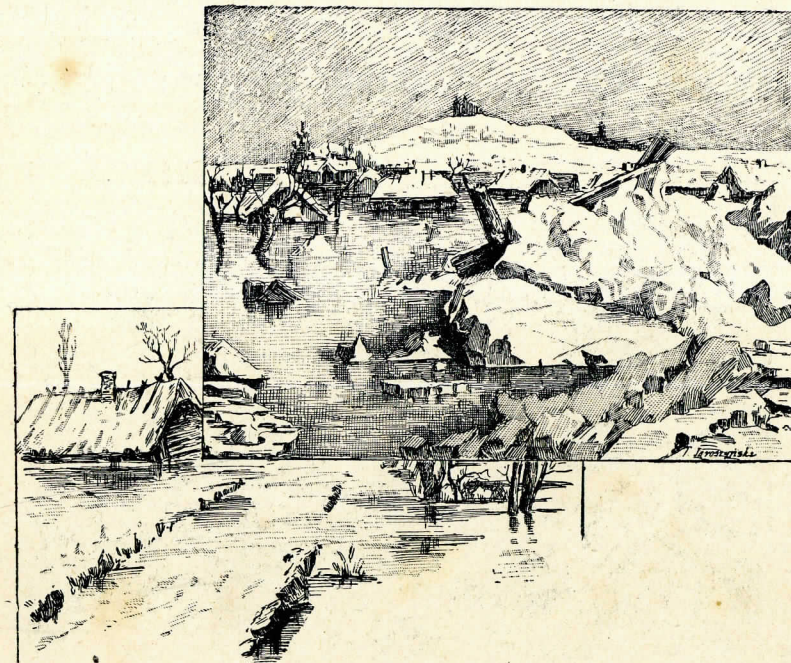
Przy końcu biegu, o 8 mil od *ujścia*, pod miastem Gniewem, Wisła dzieli się na dwie odnogi: prawą, zwaną *Nogatem*, i lewą, czyli *Starą Wisłą* albo *Leniwką*. Obie one tworzą dalej mnóstwo rozgałęzień i wpadają do morza licznymi ujściami: Nogat do zatoki Świeżej pod miastem Elblągiem, Leniwka do Gdańskiej pod Gdańskiem. Pomiędzy licznymi ramionami Wisły leży nizina, ale nadzwyczaj żyzna kraina, zwana *Żuławami*:

*) Toruń należy jeszcze właściwie do środkowego biegu Wisły, znajduje się już jednak poza obrębem Królestwa.

powstała ona z mułu, naniesionego przez Wisłę, i temu właśnie mułowi zawdzięcza urodzajność.

Ogromny obszar Polski składał się na wytworzenie Żuław: skąd bowiem nie pochodzą cząstki tego żyznego namułu? Pokruszone odłamki skał, drobny piasek, roztarty muł gliniasty—składają Wisłę w dani wraz z wodą wartkie potoki z gór i wyżyn, spokojne i leniwe rzeczki z błot i bagien, obfite w wodę dopływy jeziorne, a ona wszystkie te dary porywa i niesie dalej ku Bałtykowi: w jego toń wlewa wodę, a namuł zostawia u ujścia. Składała go tam przez wieki i wieki, aż wreszcie utworzyła i dalej tworzy Żuławy.

Nie obdarza ona jednak namulem wyłącznie tylko swego ujścia: zostawia go po drodze i w innych miejscach, gdzie brzegi są niższe i gdzie może je zalać wodami swymi w czasie powodzi. W środkowym i dolnym biegu Wisły znajdujemy w wielu miejscach żyzne *powiśla*, które urodzajność zawdzięczają właśnie namułowi, osadzającemu się w czasie wylewów.



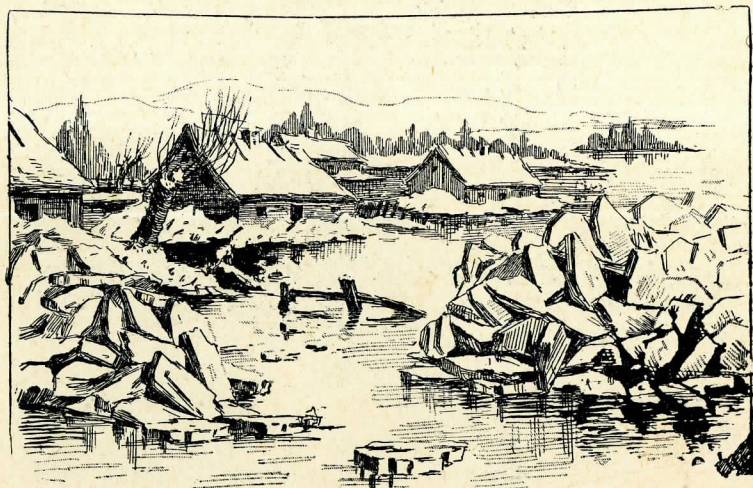
Z wylewu Wisły w lutym 1892 r.

Tylko że ten sposób używania wybrzeży nie bywa zbyt dogodny ani zbyt bezpieczny dla ich mieszkańców. Rozszalały żywioł pokrywa sobą wówczas znaczny obszar, porywa i unosi wszystko, co tylko napotka: siano w stogach, sterty zboża, stopy drzewa, domy całe lub częściami, bydło a nawet ludzi. Zasiwy lub zboża na pniu, zalane wodą i zamulone, giną w takim razie doszczętnie.

Nic też dziwnego, że ludzie starają się zabezpieczyć od wylewów, ująć w karby niebezpieczną rzekę, budują wzdłuż jej brzegów tamy i wały, okuwają więzami tę królową wód naszych. Ale kapryśna władczyni nie zawsze znosi cierpliwie okowy i więzy: zasiliwszy się obficie wodą, zrywa je, przelewa brzegi, szerząc śmierć i zniszczenie, aby po ustąpieniu zostawić nową warstwę żyznego namułu.

Wylewy Wisły zdarzają się na wiosnę wskutek tajania śniegów i puszczania lodów oraz w lecie wskutek ulewnych deszczów w górach. Sprawcami letnich powodzi są zawsze dopływy górskie—Karpackie. Zdarzają się też one głównie w górnych częściach Wisły, dochodzą jednak nieraz do Warszawy.

Wiosenne powódzie w czasie puszczania lodów wywołane są przeważnie tworzeniem się *zatorów*. Zdarza się nieraz, że lo-



Zator pod wsią Krzcinem w Sandomierskiem.

dy w górnych częściach Wisły, jako położonych bardziej na południe, puszczą już, gdy w dolnych północnych częściach, okowy lodowe trzymają się jeszcze w całej mocy. Wówczas kra, niesiona przez rzekę z górnych części, zatrzymuje się przy tym lodzie, gromadzi się tam i piętrzy, tworząc zator, który hamuje bieg rzeki, nie pozwala płynąć całej masie wody naprzód, lecz zmusza ją do wystąpienia z brzegów i rozlania się po okolicy. Ile to wsi bywa zalanych wskutek takich zatorów, ile domów zniszczonych, ilu ludzi zrujnowanych w ciągu kilku godzin, a ilu śmierć znajduje w nurtach rozszalałej rzeki!

Groźna i niszczycielska bywa matka wód naszych w czasie powodzi. Nie możemy jednak mieć o to do niej żalu: zregulujmy ją, wzmocnijmy lepiej jej brzegi, a przestanie wylewać i szerzyć zniszczenie, zostanie wówczas tylko dobroczynną Wisłą, która licznymi rozgałęzieniami swego potężnego dorzecza obejmuje i wiąże odległe dzielnice nasze, która jak prawdziwa matka ogarnia ramionami tak znaczną część obszaru ziem polskich.

Płynie w niej, miesza się i łączy woda z różnych dzielnic, to też drogą jest ona zarówno wszystkim Polakom, bo każdy prawie może odszukać w niej część swojej ziemi i swoich wód.

Natchniona poetka (Marya Konopnicka) słyszy w jej szumie głosy z różnych stron kraju, widzi, jak cała Polska ku niej spływa i dąży, w niej i przez nią łączy się w jedną całość:

„W szumach jej słychać odwieczne rozhowory starego Beskidu — i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody. Szerokie spiżowe dźwięki Zygmunтового koronnego dzwonu i szept harfiany czarnońskiej lipy, odmawiającej psalterz wieków i pokoleń. Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych losów; do niej San śpieszy z pod Czerwiennych grodów; z nią łączą się i jednoczą święte wody Bugu nierozzerwalną i wieczystą nicią. Za nią idą gonne sosny naszych borów i królewskie dęby; idą złote pszenice i siwe lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyście dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrem przesłem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy, bieży pod Toruń, którego poczerniałe wieże pełne są jeszcze widzenia wieczności; uderza srebrną tarczą

o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego
uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw, roz-
twiera oboje ramion i zanim rzuci się w odmęt, potężnym, sze-
rokim od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje tę ziemię,
na której nam wyznaczyła wielką, historyczną drogę“, (Polska,
Obrazy i Opisy).

DOPŁYWY WISŁY

(Deotymy).

Nazajutrz w świtu różowej godzinie
Wisła w srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.

Wielki szum powstał w górach i w dolinie:
Dążą lennicze bogi i boginie.

Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik, w swej białej czamarze,
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik, jak rzeźki krakowiaczek, hasa.

Młodziuchna *Nida*, podobna kwiciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Biegną *Dunajce*, dwaj bracia — górale,
Z okiem myśliwskim i zwinnością gończą;
Jeden z nich w *Białe* okręca się fale,
Drugi się *Czarną* owinał opończą...

Za niemi lekko idzie modrooka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca, *Wisłoka*.

A teraz, patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgocze lasy i przebija skały;
Po jego falach echa Karpat idą.

Tanew ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszczy szumnych jak wyrocznia huczy.

Dalej w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraków swoich jezior wonna,
W wieżach z kamieni, żali się *Kamienna*,
Zda się, że słyszysz królownę zakłątą.
Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka, ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca płąsa stopami bystremi;
Za nią — poważna szafirowolica,
Idzie, jak cicha kapłanka, *Pilica*

A teraz, z drogi! Oto z wielkim szumem
Nadchodzi *Narew*, cała upowita
W płaszcz tkany złotem, ciemnoszmaragdowy;
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
Jakiż to kmiołek goni dumną księżnę?
A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec
Bug kłosośny! Codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi:
Wiecznie na wodach wyprowia okrężne!

Tam *Bzura* dźwiga szaty obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy
Perłami spięte i z pereł koronę.
Tam wre i szumi wartkołotna *Drwęca*,
Która w winnice i róże i kłosa
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.

Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
Ossa pod słońcem zapala błyskliwe
Fale podobne do białych płomieni.
Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną *Moltawę*
I radującą się wiecznie *Radunię*,

Co, jak odzwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.

I one dzisiaj tu idą i niosą
Klucze, błyszczącą wysadzaną rosą.
Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze
I jeszcze inne, lecz któż je wyliczy?
Księgę by spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

O przyrodzie ziem polskich.

KLIMAT.

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie.
Może nie wiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

Temi słowy wychwala Kłonowicz żywność i urodzajność
ziem polskich, a i Wincenty Pol w „Pieśni o Ziemi naszej“ po-
wiada, że

Od gór tych aż do morza
Legła ziemia sławna w zboża.

Istotnie, urodzajność Polski i jej zboże, zwłaszcza psze-
nica, cieszyły się szeroką sławą: spławiano je Wisłą do Gdań-
ska a stamtąd dalej w świat. Nie wszystkie naturalnie dzielnice
były pod tym względem równie pomyślnie uposażone od natu-
ry, wogóle jednak Polska należała do urodzajniejszych w zboża
krajów Europy i przez długi czas nosiła nawet nazwę jej śpichrza.

Żyzność i urodzajność ziemi zależy zawsze od dwu przy-
czyn: klimatu i gleby.



Pod względem *klimatu* ziemie polskie zajmują stanowisko
przejściowe między zachodem a wschodem Europy. To też i kli-
mat jest na ogół umiarkowany, ma również przejściowy chara-
kter od wilgotnego zachodu do suchego wschodu.

Niema tu dokuczliwych upałów w lecie, ani okropnych
mrozów lub przeraźliwych zamieci w zimie; nie padają tu strasz-
ne ulewne deszcze, ani długotrwałe posuchy nie niszczą roślin-
ności, a choć nieraz zdarzają się lata nazbyt wilgotne lub na-
zbyt suche, są to jednak przeważnie wyjątki, nie zmieniające
ogólnego charakteru klimatu, umiarkowanie wilgotnego.

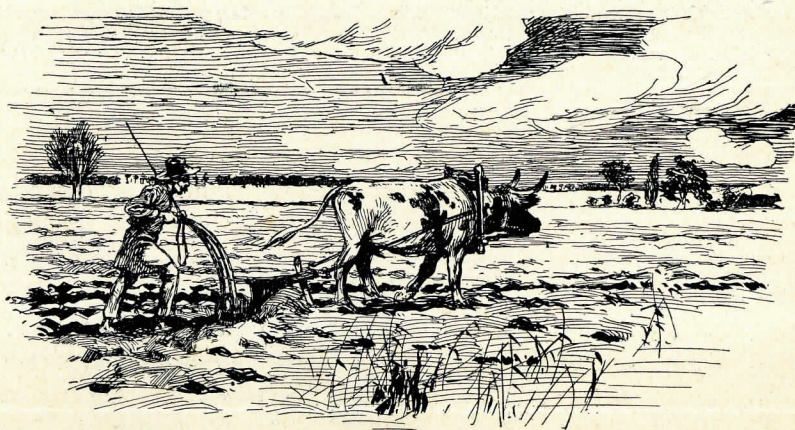
Wilgotność ta maleje w miarę posuwania się od zachodu na
wschód, tak że ostatecznie na południowym wschodzie klimat
przechodzi w suchy stepowy, a odpowiednio do tego zmienia
się i charakter całego kraju.

Tak np. nad Wisłą dni dżdżystych i śnieżnych bywa rocz-
nie średnio przeszło 150, a ilość opadłej wody przewyższa 600

milimetrów *), nad Dnieprem zaś bywa ich niecałe 100, a opad roczny sięga zaledwie 500 milimetrów.

W związku z większą wilgotnością klimatu, na zachodnich kresach mamy łagodniejsze zimy i mniej upalne lata, niż na wschodnich: gdy na zachodzie bywa w ciągu roku 120 dni mroźnych, to jest takich, kiedy termometr pokazuje poniżej zera, na wschodzie ilość ich dochodzi 150; ale zato gdy w lecie dni ciepłych (powyżej 10° ciepła) koło Warszawy bywa 150; na Ukrainie mamy ich przeszło 200.

Swoją drogą różnice te nie są bardzo znaczne, tak iż można mówić o pewnej jednostajności klimatu, umiarkowanie wilgotnego i umiarkowanie ciepłego: na całym obszarze ziem polskich w lecie termometr trzyma się zwykle koło 20 stopni Celsyusza, wyjątkowo przekraczając 30°; w zimie również wyjątkowo tylko opada poniżej 30° mrozu.



G L E B A.

Glebą albo *gruntem* nazywamy zwierzchnią warstwę ziemi, w której rośliny puszczają korzenie i z której czerpią soki. Od

*) Liczba ta oznacza wysokość, do jakiej wzniosłaby się w danej okolicy woda z całorocznych deszczów i śniegów, gdyby nie odpłynęła, [nie wyparowała ani nie wsiąkła w ziemię.

rodzaju gleby i jej własności zależy lepsze lub gorsze udawanie się roślin. Na dobrej, żyznej glebie rośliny rozrastają się bujnie i wydają obfite plony, na jałowej rosną nędznie i marnie, przytem mogą tam się utrzymać jedynie gatunki niewybredne. Chcąc zapewnić sobie możliwie dobre plony, człowiek uprawia glebę i użyźnia ją, starając się podnieść jej zalety wszelkimi możliwymi sposobami. Im gleba jest lepsza, tem obficiej rodzi sama, tem mniej wymaga użyźniania i pracy. Ale z drugiej strony nawet z bardzo jałowych gruntów można mieć niezgorsze zbiory, jeżeli się je umiejętnie użyźnia i uprawia.

Gleba bywa rozmaita: czarnoziemna, glinkowata, margłowata, gliniasta, piaszczysta i t. p.

Wśród gleb żyznych na pierwszym miejscu postawić należy *czarnoziemną*, zawierającą bardzo dużo czarnej próchnicy, to jest zbutwiałych cząstek roślinnych. Jest to ziemia ciężka do uprawy, ale nadzwyczaj urodzajna. Udają się na niej doskonale pszenica i buraki, najwybredniejsze rośliny uprawne strefy umiarkowanej.

Nie o wiele ustępują czarnoziemnym w żyzności *gleby marglowate* to jest gliniasto wapieniste z domieszką próchnicy oraz *lössowe* czyli *popielatki*, złożone z cząstek nadzwyczaj drobno sproszkowanych. Oba te rodzaje gruntów należą również do ziem pszennych, różnią się jednak między sobą niektórymi własnościami i wymagają odmiennej uprawy: gleby marglowate są ciemne, w posuchę zsuchają się jak kamień, a po deszczach dają gęste błoto i z tego powodu są bardzo ciężkie do uprawy; grunta lössowe, jako złożone z bardzo miążkich cząstek, odznaczają się wielką sypkością i nadają się dzięki temu doskonale do lekkiej, płytkiej uprawy.

Gliniaste grunta zbliżone są charakterem do marglowatych i są również ciężkie do uprawy, mniej jednak żyzne; ale jeśli zawierają w dostatecznej ilości domieszkę piasku, to rodzą bardzo dobrze.

Najgorsze i najbardziej jałowe są *grunta piaszczyste*, lekkie wprawdzie do uprawy, ale wydające bardzo liche plony, ponieważ zawierają nadzwyczaj mało części pożywnych. Wymagają też starannego użyźniania i udawać się na nich mogą jedynie mniej wybredne zboża. Odpowiedniejsze są one pod las,

zwłaszcza sosnowy, sosna bowiem daje sobie doskonale radę na piaskach.

Również jałowe są *grunta kamieniste* i *bagniste*. Pierwsze najpospolitsze są w górach, drugie znajdują się przeważnie na nizinach. Na kamienistych rolnik musi bardzo ciężko się napracować nad oczyszczaniem gleby z kamieni, które każda orka wydobywa z ziemi na nowo. Z bagnistych nie można mieć żadnej korzyści, o ile się ich nie osuszy przez przekopanie rowów i kanałów, inaczej bowiem z powodu zbytnej wilgoci wszystko na nich wymaka i gnije. Ale w razie osuszenia mogą one stać się nawet bardzo żyzną glebą.

Ziemie polskie posiadają grunta rozmaite w różnych okolicach: na ogół można powiedzieć, iż są one średniej dobroci, to jest żytne, żyto bowiem nie jest tak wybredne, jak pszenica i udaje się nawet na glebach mniej żyznych. Są jednak u nas całe okolice, posiadające wyborową ziemię pszenną, jak z drugiej strony są i zupełnie jałowe.

Czarnoziemną glebę posiada przede wszystkim znaczna część płyty Czarnomorskiej, mianowicie poczynając od południowoschodnich krańców wyżyny Lubelskiej (koło Buga), przez Wołyń, Podole i Ukrainę ciągnie się olbrzymi pas czarnoziem, przechodzący dalej na drugą stronę Dniepru. Są to najżyźniejsze ziemie na całym obszarze dawnej Polski.

W innych dzielnicach Polski czarnoziem znajduje się tylko dorywczo w niektórych miejscowościach.

Grunta marglowate najobficiej występują w zachodniej części wyżyny południowej, tej właśnie, która nie posiada czarnoziem. Nie tworzą tu one zresztą takiego jednolitego pasa jak czarnoziem w części wschodniej. Znajdują się mianowicie w wielu miejscowościach wyżyny Lubelskiej, jako tak zwane *borowiny*, nie o wiele co mniej żyzne od czarnoziem; oraz w wielu częściach Małopolskiej (koło Proszowic, Miechowa, Pińczowa, Stopnicy itd.), gdzie noszą nazwę *rędzin*. Rędziny małopolskie przewyższają żyznością borowiny lubelskie, najurodzajniejsze zaś są w Proszowskiem.

Obok rędzin i borowin na tych częściach wyżyny południowopolskiej znajdujemy i również żyzne *grunta lössowe*,

z których zwłaszcza słynie Sandomierskie, ojczyzna głośniejszy pszenicy sandomierki.

W ten sposób pasmo wyżyn południowopolskich posiada najurodzajniejsze rodzaje gleb: czarnoziem, borowinę, rędzinę i löss. Są tam wprawdzie i okolice *piaszczyste*, jak opoczyńskie albo olkuskie, zwane z tego powodu aż polską Saharą; ogół jednak tego pasma należy do najżyźniejszych ziem w Polsce.

Kraina Wielkich Dolin i Pojezierze pokryte są rozmaitymi odmianami *glin* i *piasków*. Grunta tu są rozmaitej dobroci, ale pierwszorzędne czarnoziemne spotyka się tylko wyjątkowo w niektórych miejscowościach: na Kujawach, między Nerem a Bzurą, koło Maryampola (w stronie Niemna), tu i owdzie na Powiślu. Pomimo jednak braku czarnoziem i tutaj znajdują się bardzo dobre grunta gliniaste w wielu okolicach Mazowsza; urodzajnością odznacza się również ziemia Żmudzka. Ale obok dobrych gleb ciągną się tam większe lub mniejsze obszary piaszczyste, jak słynne piaski mazowieckie lub litewskie, porośnięte sosnowymi borami. Tam już rolnik musi zadowolić się żytem, bo pszenica na takich glebach rodzi bardzo źle.

Obok piasków posiadamy i drugi rodzaj nędznych gruntów, mianowicie *bagniste*. Właściwe są one przede wszystkim nizinom, znajdują się też obficie w północnych częściach ziem polskich, niż w południowych. Na południu mamy taki zabagniony kąt między Wisłą a Sanem, następnie w górnej części Dniestru, wreszcie tu i owdzie miejscami na wyżynie Małopolskiej. Znacznie jednak obficie zalegają błota krainę Wielkich Dolin i Pojezierze: ogromnie podmokłe są okolice Warty i Noteci w Wielkopolsce oraz Gopła, koło którego znajdowało się niegdyś wielkie błoto, zwane Bachorzą; dalej okolice Wierpra, wiele miejscowości na Pojezierzu i wreszcie słynne Polesie, klasyczna kraina błot i bagien, gdzie ponad ogólną ich masą sterczą jedynie tu i owdzie, niby wysepki, wynioślejsze i suchsze miejsca, pokryte piaskiem lub gliną, a przeważnie nieurodzajne.

Ale na błotach i bagnach znać wpływ człowieka, dawniej bowiem było ich znacznie więcej: osuszono już w części dawne Bachorze, błota nad Notecią zamienione już są w żyzne łąki

i pastwiska, a nawet i Polesie, dzięki przekopanym w ostatnich czasach kanałom zaczyna powoli tracić swój dawny bagnisty charakter.

ROŚLINNOŚĆ.

Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkimi arcydarem — chlebą.

Jak fale kołysane od morza do morza
Łany złotej pszenicy — i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy — i zielone błonie,
Po którym dzwonią trzody i hasają konie;

Roje, ciągnące słodkie soki dzięcieliny —
Otóż święta puścizna, skarb naszej dziedziny.
Polsko! pierwiastki pól twych jak Abła niewinne,
A więc wam błogosławie, pola me rodzinne!

Temi słowy głosi chwałę ziemi naszej poeta Jaśkowski w prześlicznym wierszu, zatytułowanym „Błogosławieństwo pól”. Wspomina on w nim o łanach złotej pszenicy, o ciemnych lasach i o zielonych błoniach. Istotnie, lasy, pola i łąki to charakterystyczne cechy polskiego krajobrazu, jeżeli do nich dodamy jeszcze szemrzącą rzeczkę.

Ziemie polskie leżą w strefie lasów mieszanych, pośrodku między strefą północną z wyłącznie iglastymi lasami o ponurym jednostajnym charakterze, a tak zwaną strefą nadśrodkomorską o drzewach liściastych wiecznie zielonych.

Nie mają też one smutnego charakteru północnych krain, ale też nie są wiecznie zielone i roześmiane, jak południowe, nie mają ich urodzajności ani ich pólów.

Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winogron dojrzewa.

Niebo nieraz na całe tygodnie zaciąga się powłoką szarych chmur, drzewa na pół roku pozbywają się liści, a cała przyroda

zamiera na zimę. A jednak, gdy na wiosnę obudzi się z uspiania, gdy drzewa okryje świeżą zielenią liści, a łąki przyozdobi tysiącem kwiatów, gdy w lecie zacznie ugiąć się pod ciężarem dojrzewających plonów, gdy w jesieni ustroi się w pstrą szatę więdnących liści i zarumieni tysiącami barwami owoców,—nie powstydzi się polska przyroda przed południową, choć nie jest tak bogata i urozmaicona.

Lasy, pola i łąki spotykamy na całym obszarze Polski, ale nie wszędzie są one jednakowe. W północnych częściach przeważają bory sosnowe, szczególnie charakterystyczne dla Litwy i Mazowsza; w południowych spotykamy wesołe i urozmaicone lasy liściaste, złożone z najrozmaitszych gatunków drzew; w górach strzelają w niebo wierzchołkami świerki i jodły. Jedynie na południowo-wschodnim krańcu, na Ukrainie, ciągną się bezleśne równiny o charakterze niegdyś stepowym, dziś przedstawiające jakby jeden łan pszenicy. Łanami pszennymi faluje również Krakowskie, wyżyna Lubelska i Małopolska, a także bezleśne Kujawy; żytem kłania się Litwa i większa część obszaru Mazowsza; owsem i jęczmieniem witają przechodnia jałowe zagony góralskie. Śliwkowymi sadami niebieszcza się nadwiślańskie zbocza wyżyny Lubelskiej; miłą zielenią nęcą oko łąki nad Wieprzem lub Notecią. Wszędzie niby to samo, a jednak odmiennie, i nie wiadomo, gdzie piękniej i milej.

Niegdyś cały ten obszar był bardziej jednostajny: porastał go polu olbrzymi las, a cały kraj, z wyjątkiem stepowej Ukrainy, był jedną wielką *puszczą*. Nieliczni mieszkańcy jego trudnili się łowiectwem i bartnictwem, żyli wyłącznie z lasu: las im dawał schronienie, las ich karmił i odziewał.

Ale powoli zaczęli go oni wycinać i karczować, a wykarczowany grunt uprawiać i zasiewać, obracać na rolę. Z każdym wiekiem przybywało ludzi, potrzeba było więcej chleba; zwiększyła się też ilość pól, a zmniejszyła ilość lasów, dawne puszcze malały coraz bardziej, aż wreszcie w wielu miejscach znikły bez śladu.

Dziś zaledwie tu i owdzie istnieją jeszcze ich resztki, z których największą jest głośna puszcza Białowieska u źródeł Narwi. Na ogół zaś obszar lasów zajmuje obecnie zaledwie piątą część powierzchni Królestwa, a czwartą Galicyi, gdy na rolę orną tu i tam przypada mniej więcej połowa. Drzew i zie-

loności leśnej zaczyna już brakować w wielu miejscowościach i ludzie muszą teraz myśleć nie o wyrąbywaniu i trzebieniu lasów, jak dawniej, lecz o ich ochronie, podtrzymaniu, oraz o nowem zalesianiu przetrzebionych już kawałków.



Dąb.

Przyjrzyjmyż się drzewom, składającym nasze *lasy*. Na pierwszym miejscu wśród nich postawić należy okazały *dąb*, o którym powiada poeta (Syrokomla):

Tam nad gęstymi krzewy rozciągał konary
Dąb przedwieczny, jak gdyby patryarcha stary,
Co, błogosławiąc dziatwie w ich życia jutrzence,
Nad młodem głowami rozpościera ręce.

Piękne to i wspaniałe drzewo, dochodzące poważnych rozmiarów, a mogące żyć po kilkaset lat i dłużej. Nadzwyczaj

pięknie wygląda las dębowy czyli dąbrowa, ale częściej jeszcze dąb rośnie w pomieszanu z innymi drzewami liściastymi, znajduje się zaś prawie wszędzie na całym obszarze Polski, jednakże tylko na gruntach żyzniejszych.



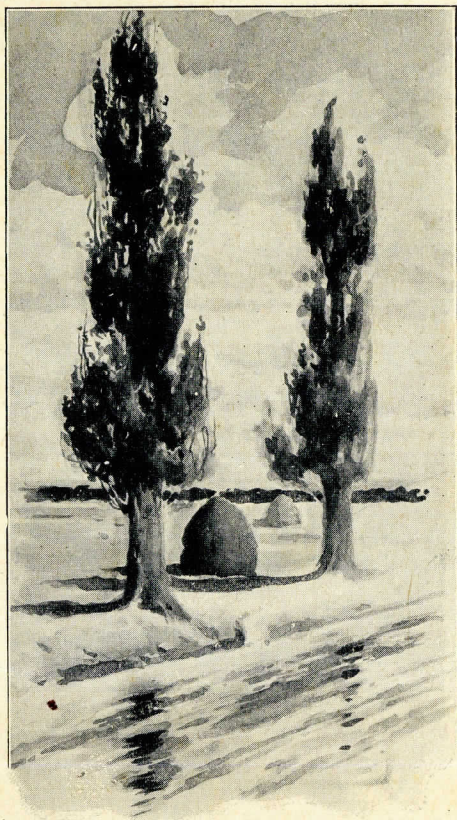
Lipa.

Równie pospolita jest *lipa* miodonośna i równie długowieczna. O starych lipach krąży mnóstwo podań, że wspomniemy tu tylko lipę czarnolaską „na głos Jana (Kochanowskiego) czułą” albo dubiecką z rodzinnego miejsca Ignacego Krasickiego; nosiła ona nazwę Ksieni, a została prześlicznie opisana przez Wincentego Pola:

Na dziedzińcu zamkowym stara lipa stała,
Co od kilku już wieków tu orędownała.

I lipa tworzy nieraz całe lasy lipowe, które zobaczyć jeszcze można zwłaszcza w Lubelskiem i nad Niemnem.

Piękny *buk* jest już wybredniejszy od niej zarówno pod względem klimatu, jak i gleby; znajduje się u nas przeważnie na zachodzie, w nizinach niema go wcale poza obrębem Królestwa, ale zato nie straszą go chłodne i dżdżyste lata górskie, to też wraz z jodłą i świerkiem obrasta boki Karpat i Tatr.



Topole.

Podobnież nie wszędzie rosną *klony* i *jawory*, *wiązy*, *grab*, *jesiony* i *topole*, czy to rozłożyste *nadwiślańskie*, czy *osiki* o drżących listkach, czy wysmukłe *piramidalne*, zwane także *włoskami*. Topole nadwiślańskie i osiki są naszymi drzewami

z dziada pradziada, ale piramidalne wprowadzono do nas załedwie przed dwustu laty do wysadzania dróg, a jakże się stały one swojskie, jakieśmy się zżyli z widokiem gościńca, wysadzonego długim sznurem takich topoli!

Marya Konopnicka, stęskniwszy się do kraju rodzinnego na obczyźnie i chcąc go ujrzeć, przynajmniej na obrazie, prosi:

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną;
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach siwe leży płótno.
I w takież skiby głębokie puść rolę
I daj po brózdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole
I mgłę rzuc srebrną na łąki, na trawę...

Olcha — amatorka wilgoci rośnie u nas wszędzie, ale wyłącznie na gruntach niskich i podmokłych, tak że słusznie mówi o niej poeta:

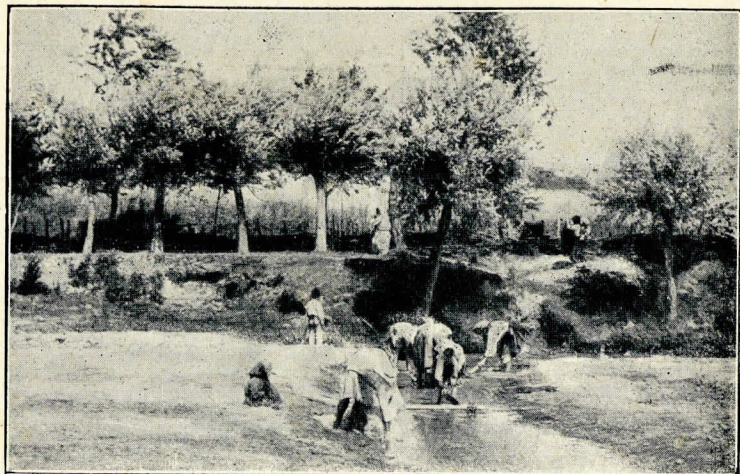
Tam olchy błotne
Rosną wilgotne.

Sama jej obecność wskazuje, iż zbliżamy się do wody lub bagna, a tak zwane olszynki i olszniaki, lasy i zarośla olszowe rosną zawsze nad brzegami wód. Dla nas olcha posiada historyczne znaczenie, w olszynie bowiem grochowskiej rozegrała się w r. 1831 główna część słynnej bitwy pod Grochowem i olszynkę tę opiewali obcy nawet poeci (Niemiec — Juliusz Mozen):

Wiadoma światu ta sławna olszyna,
Gdzie nieprzyjaciół twardym murem stał.

Podobnież w wilgotnych miejscach rosną *wierzby*, które zresztą trudno nazywać drzewami leśnymi, pospolitsze są bowiem nad wodami, wzdłuż dróg i rowów, niż w lasach. Poczciwe to i niewybredne drzewo rośnie dobrze na najmniejszych gruntach, przyjmuje się z lada gałązki, puszcza pędy nieraz nawet wtedy, gdy się je wplecie do płotu, a nieocenione jest do

wzmacniania brzegów, nasypów, wydmy, które wiąże korzeniami i w ten sposób zabezpiecza od zawalenia się lub podmycia.



Wierzby nad potokiem.

Również niewybredna i pocziwa jest prześliczna *brzoza* o białej korze i delikatnych zwisłych gałązkach, tak pięknie opisana przez poetę:

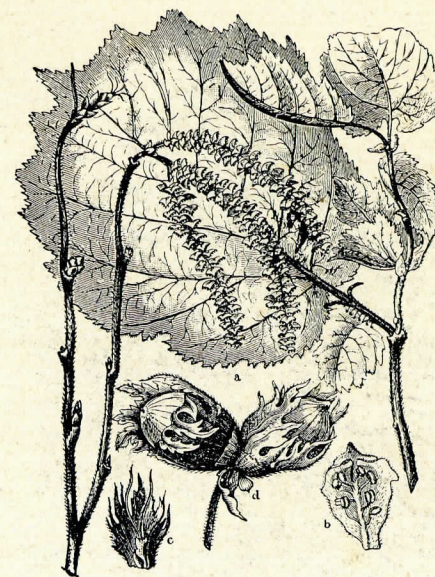
Czyż nie piękniejsza nasza pocziwa brzezina
Która, jako wieśniaczka, kiedy płacze syna
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach, do ziemi strumienie warkoczy?

Rośnie ona na najmniejszych piaszczystych gruntach, tworząc na nich prześliczne, słoneczne gaje brzozowe.

Obok drzew w lasach naszych znajduje się mnóstwo krzewów: *jarzębina*, *czerecha*, *leszczyna*, *tarnina*, *głóg*, *kalina*, cała ta dziatwa leśna, o której wspomina Mickiewicz w opisie lasu litewskiego, a której nie brak w żadnym lesie polskim:

Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna jak menada z zielonemi berły,

Ubranemi jak w grona w orzechowe perły;
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.



Leszczyna.

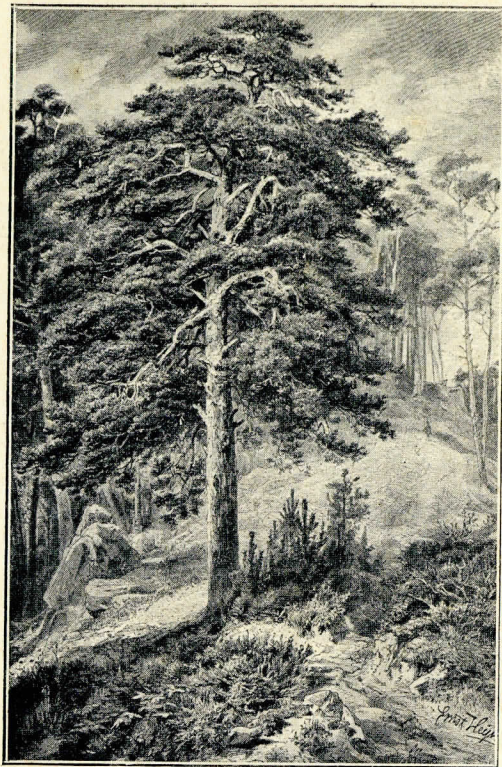
Z drzew iglastych na pierwszym miejscu wymienić należy *sosnę*, bo chociaż nie najokazalsza z nich, jest ona jednak u nas najpospolitsza. Równie niewybredna, jak brzoza, sosna zarasta ogromne obszary piaszczyste, tworząc wielkie bory mazowieckie i litewskie, te bory tak ukochane przez mieszkańców, że przekładają je oni nad inne żyzniejsze części kraju:

Mają zboże Kujawy,
Mają łąki na paszę;
Ale gdzie im bór ćmawy,
Takie lasy, jak nasze?

(Lenartowicz).

Ładniejsze i okazalsze od sosny, jako drzewa, są *świerki* i *jodły*, ale, będąc bardziej wymagające co do warunków klima-

tu i gleby, nie są one tak pospolite, jak ta „uboga mieszkanka boru“. Świerk nie jest wprawdzie zbyt wybredny co do gleby, zawsze jednak więcej, niż sosna, po za tem zaś potrzebuje znacznie więcej wilgoci, to też nie może się utrzymać na szcze-



Sosna.

rych piaskach, jodła natomiast jest bardzo wybredna i rośnie jedynie na dobrych gliniastych gruntach.

Bory świerkowe znajdują się u nas w różnych dzielnicach, między innymi na Litwie; jodłowe wyłącznie w południowych, głównie zaś w miejscowościach wynioślejszych i w górach. I jedne i drugie z powodu większej obfitości gałęzi na obu tych drzewach są ciemne i ponure, wręcz przeciwnie, niż jasne, sło-

neczne bory sosnowe; wskutek braku światła nie mają zupełnie podszycia z drobnych krzewów i ziół leśnych.

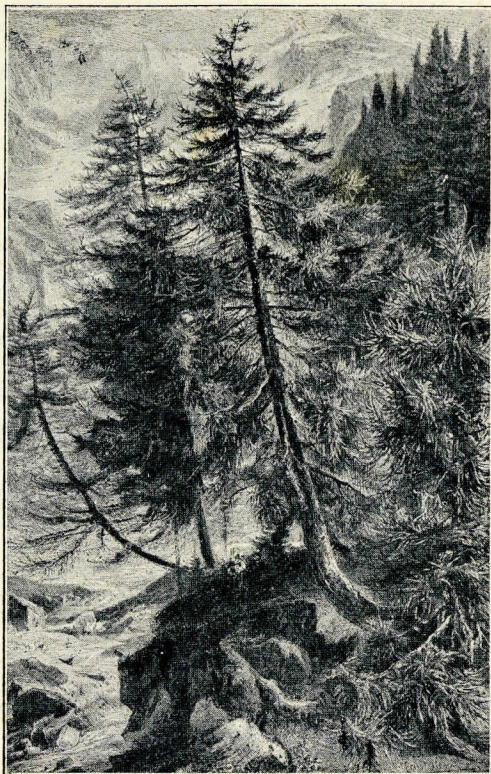
W dawnych czasach mieliśmy jeszcze lasy modrzewiowe i cisowe; oba te drzewa dostarczały nadzwyczaj cennego mate-



Świerk.

ryału do budowli i na różne wyroby; rąbano też je nadzwyczaj nieopatrnie i wyniszczono tak, że dziś *cisów* niema u nas prawie nigdzie, a *modrzewie* należą do drzew bardzo rzadkich, spotykanych zaledwie tu i owdzie, częściej przytem w ogrodach, niż w lasach. Niewielkie laski modrzewiowe znajdują się zaledwie gdzie niegdzie w górach, tak np. góra Chelmowa pod Świętym Krzyżem porośła jest całą modrzewiami.

W lasach naszych panuje wielka rozmaitość drzew, a choć są one obecnie ogromnie przetrzebione, jednak i teraz jeszcze mamy z nich liczne użytki, nie mówiąc już o korzyściach, jakie przynoszą nam, wpływając dodatnio na klimat i zdrowotność mieszkańców, łagodząc upały w lecie, a zbytnie mrozy



Modrzew.

w zimie, zatrzymując wilgoć, regulując poziom wody w rzekach, że już nie wspominamy o uroku, jakiego dodają krajobrazom.

Dołem w lasach naszych rosną *poziomki*, *borówki*, *maliny* i inne jagody oraz moc przeróżnych *grzybów*, dostarczających smacznego a taniego pożywienia. Nie wszystkie części kraju wydają je równie obficie, ale wszędzie można się spotkać z niemi.

Od lasów do *sadów* przejście niedalekie. Na ziemiach naszych rosną wszystkie drzewa owocowe północnej części pasa umiarkowanego: *jabłonie*, *grusze*, *śliwy*, *czereśnie* i *wiśnie*; wszystkie one, z wyjątkiem wiśni, znajdują się i w lasach w stanie dzikim, ale rodzą tam owoce brzydkie, drobne i niezbyt smaczne. Zato jakże pięknie rumienia się w jesieni w sadach jabłka i gruszki, jak niebieszcą śliwki, jak owoce te okrywają suto drzewa, aż gałęzie gną się pod ich ciężarem.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

(Lenartowicz).

Szkoda tylko, że sadownictwo nie jest u nas w tak kwitającym stanie, jak mogłoby i powinno by się znajdować, szkoda, że zaledwie niektóre okolice kraju, jak słynne ze śliwek nadwiślańskie zbocza wyżyny Lubelskiej, wydają owoce w większej obfitości.

Zato *поля* falują wszędzie łanami zbożowymi.

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni.
Polny mak się płoni, jużci go wstyd ima,
Że błyszczący purpurą, lecz zapachu nie ma,
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milszą jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

(Z. Wasilewski).

Polacy mają i mieli zawsze zamiłowanie do rolnictwa. Oddają mu się też z przyjemnością na całym obszarze, wszędzie zboża są głównym przedmiotem uprawy, a chleb „arcydaem nieba“, jak go nazwał poeta.

Wśród zbóż pierwsze miejsce należy się *pszenicy*, najcenniejszemu i najprzedniejszemu z nich, ale też i najbardziej wybrednemu: udaje się ona dobrze jedynie na najlepszych glebach: czarnoziemie, rędzinie, borowinie, popielatce i lepszych glinach. To też pod względem znaczenia musi ustąpić miejsca *żytu*, które w całej pełni zasługuje na miano prawdziwie polskiego chle-

ba, rodzi bowiem doskonale na całym obszarze Polski, a karm swem ziarnem zarówno bogaczów, jak i ubogich, mieszkańców miast, jak i wieśniaków. Dawniej zwłaszcza jeszcze powszechniej karmiono się żytem, całą bowiem prawie pszenicę wywożono do obcych krajów, i za nią właśnie Polska zyskała miano śpichrza Europy, dzięki jej zasłynęła, jako ziemia chlebna.



Z innych roślin zbożowych i nie zbożowych uprawia się u nas na polach: *jęczmień, owies, proso, grykę, ziemniaki, len, konopie, groch, buraki, chmiel*, a po *ogrodach warzywnych* sadi się *kapustę, marchew, pietruszkę, szpinak, selery, pomidory, ogórki* i inne warzywa; w południowych częściach udają się nawet rośliny z krajów cieplejszych: *kukurydza, winorośl, tytoń, kawony* czyli *arbuzy i melony*.

Słowem, pola nasze i ogrody warzywne wydają również obfite i urozmaicone płody, jak i lasy, a jak uroczo wyglądają, czy to na wiosnę, kiedy zaledwie zaczynają się okrywać pierwszą zielonością, czy w lecie, kiedy zbliża się chwila żniw i zbierania plonów.

„Moja mateniko, moja rodzona,
A jak tam jest w tym polu?”
„W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w świat kąkołu...”

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa,
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chleba...

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną.

A jęczmień to ci taki wąsaty,
A gryka taka miodna,
A lny jak niebo... a grochy w strąkach,
Że ich nie przejrzyś do dna“.

(M. Konopnicka).

Z W I E R Z Ę T A.

Leśne bogactwa nieoszacowane
Hojnym Polakom od Boga są dane,
A kto je sobie chce dobrze uważać
Może ich zażywać.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,
Po drzewie ptactwo igra sobie wartkie,
Do barci niosą pracowite roje
Zdobycze swoje.

(S. Klonowicz).

Za dawnych czasów, gdy Polska cała pokryta była nieprzebytymi lasami, mieliśmy niezliczoną moc rozmaitego zwierza, zarówno drobnych gatunków, jak i olbrzymich: turów, żubrów, niedźwiedzi. W puszczach tych, jak powiada Mickiewicz,

...mają swoje dwory:
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcza imperatory.
Okolo nich na drzewach gnieździ się ryś bystry



I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy“.

Kwitło też naówczas łowiectwo, stanowiące na całym obszarze ulubioną rozrywkę Polaków, którzy, jako naród rycerski, znajdowali wielką przyjemność w uganianiu się za zwierzem, w staczaniu walk z groźnymi olbrzymami lasów. Zarazem zaś dostarczało ono obficie mięsa i skór, zaopatrywało spiżarnie i gospodarstwa domowe naszych przodków.

Z przetrzebieniem lasów zmniejszyła się też i ilość zwierząt leśnych; znikły przede wszystkim gatunki większe, potrzebujące większych obszarów oraz kryjówek w głębokim gąszczu leśnym. Niektórych nie ma już dziś ani śladu, inne utrzymały się jeszcze, ale bardzo nielicznie i jedynie dzięki temu, iż prawo wzięło je pod opiekę i zakazało zupełnie albo przynajmniej ograniczyło prawo polowań.

Nie ma już dziś wcale dawnych *turów*, ogromnych dzikich

wołów, które niegdyś stanowiły ulubiony przedmiot łowów królewskich. Pokrewne im *żubry* przechowują się w szczupłej ilości jedynie w puszczy Białowieskiej, pod surową ochroną prawa. *Niedźwiedzie* zobaczyć można tylko w Karpatach oraz tu i ówdzie w lasach litewskich; toż samo dotyczy *rysiów* i *żbików*; *wilki* zdarzają się częściej, ale tylko w okolicach obfitują-



Rodzina jeleni.

cych w większe lasy. Nie ma już wcale *soboli*, dostarczających tak cennych futer. Znikły *bobry*, zwierzęta słynne z budowania tam na rzekach i wznoszenia sztucznych mieszkań w wodzie, a cenione nadzwyczaj dla kosztownego futra; niegdyś pospolite one były nad jeziorami i rzekami całej Polski, dziś utrzymały się jedynie w niektórych zakątkach Polesia, wszędzie indziej zaś pozostało po nich jedynie wspomnienie w nazwach rzek i miejscowości: Biebrza, Bóbrki, Bobrowniki i t. p. Znikły też pra-

wie zupełnie olbrzymie *łośie* o rozległych, łopatowatych rogach, również ulubiony przedmiot łowów; dziś znajdują się one wyłącznie w niektórych błotnistych lasach litewskich. A i *jelenie*, chociaż pospolitsze od nich, zobaczyć dziś można także tylko w niektórych większych lasach.

Z *ssaków leśnych* pozostały dziś u nas przeważnie tylko mniejsze gatunki: *sarny*, *dziki*, *lisy*, *kuny*, *tchórze*, *borsuki*, *wydry* (ale te niezbyt już licznie), *wiewiórki*, *koszatki*, *myszy*, *nie-*



Świstak.

toperze, *krety*, *jeże*,—takie bowiem łatwiej zdołają dać sobie radę i utrzymać się nawet i w dzisiejszych małych lasach. Nie mogą one stanowić przedmiotu okazałych łowów, są jednak i wśród nich gatunki, na które myśliwy poluje chętnie; są inne (krety, jeże, nietoperze), których nie należy zabijać, bronią bowiem lasu przed szkodnikami; są i inne (wiewiórki), które wprawdzie zrzadzają szkody w lasach, ale ożywiają je tak mile, że żal ich tępić, o ile nie rozmnożyły się gdzie nadmiernie. Są wreszcie i takie (myszy), które szkodliwością do tego stopnia dały się we znaki ludziom, że nie darują im nigdy i nigdzie.

Myszy zresztą nie przebywają wyłącznie w lasach, znajdują się one również na polach, a także w najbliższym sąsiedztwie ludzi, po wsiach i miastach, wszędzie zaś są jednakowo

szkodliwe; w lesie jeszcze szkodliwość ich najmniej rzuca się w oczy.

Mamy zresztą i *ssaki polne*, jak *zajęce*, które las odwiedzają jedynie dorywczo, na polach zaś pospolite są na całym obszarze ziem naszych. Mamy nawet i gatunki czysto *stepowe*, jak *susły* i *chomiki*, unikające miejscowości zadrzewionych. Właściwe są one przedewszystkiem Ukrainie; w zachodnich dzielnicach zda-



Jastrząb.

rzają się rzadziej, mniej licznie i przeważnie w okolicach ubogich w lasy albo zupełnie bezleśnych.

Na południowej granicy w Tatrach zamieszkują *ssaki górskie*: zgrabna i zwinna *kozica* oraz krępy i niezgrabny *świstak*, który jednak mimo to bardzo zręcznie daje sobie radę przy wspinaniu się na skały. I na tych zwierzętach znać nieopatrzone polowanie i lekkomyślne tępienie: są one obecnie nadzwyczaj rzadkie, a byłyby już zupełnie wyginęły, gdyby przed laty czterdziestu nie zabroniono ich zabijać pod grozą surowej odpowiedzialności.

Po lasach, polach i na brzegach wód gnieździ się rozmaite

ptactwo. Większe gatunki drapieżne—*orły* rzadkie są wprawdzie dzisiaj bardzo, jak również i *sokoły*, używane dawniej tak chętnie do łowów; ale za to mniejsze: *jastrzębie*, *kanie*, *myszołowy*, *pustułki*, różne *sowy* i inne — pospolite są wszędzie. Jedne z nich przynoszą nam pożytek (sowy, pustułki, myszołowy), bo zjadają szkodliwe gryzonie; inne (jastrzębie, krogulce) są szkodliwe,



Żórawie.

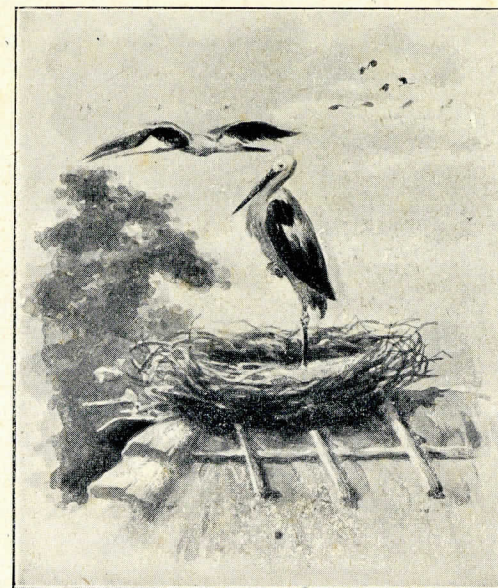
bo karmią się drobiem oraz pożytecznymi drobnymi ptaszkami. Zależnie od przynoszonej przez nie szkody lub pożytku, ludzie ochraniają je, albo też tępią.

Są też i ptaki czysto myśliwskie, stanowiące przedmiot polowań dla smacznego mięsa: *głuszce*, *cietrzewie*, *przepiórki*, *kuropatwy* i te liczne rzesze ptactwa wodnego i błotnego—*kaczek*, *gęsi*, *słomek*, *kurek wodnych*, *łysek* i t. d., w które tak obfitują nasze błota, stawy i jeziora.

Tam wodne ptactwo ma swoje noclegi,
Przy rogozinie okrywa więc brzegi,
A przy sitowiu i przy gęstej trzinie
Ni się przemienie.

(S. Klonowicz)

Gdy mowa o ptakach wodnych i błotnych, nie można pominąć milczeniem *czapli*, której ładnych piór używano dawniej



Bociany.

powszechnie na kitki do czapek oraz pocziwego *boćka*, naszego odwiecznego zwiastuna wiosny, gnieźdzącego się na strzechach, a tak zawsze mile witanego, tego boćka, co to

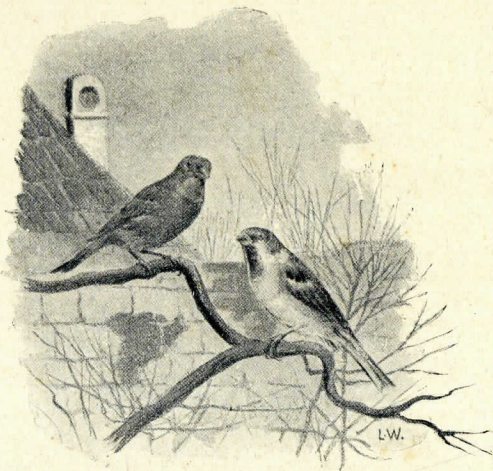
pora się nad strzechą z klekotem,
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia
I sioło okrąża stróżliwym swym lotem.

(W. Pol).

Zarzucają mu wprawdzie w ostatnich czasach, że jest szkodnikiem, że niszczy dużo zwierzyny i ptactwa błotnego, ma on

jednak i swoje zasługi, zjada bowiem w polach myszy i owady szkodliwe, a zresztą przez swe zaufanie, przez tylowiekowe osiedlanie się na naszych dachach, zżył się z nami i my z nim, stał się niejako naszym domownikiem, na którego trudnoby było wydać wyrok zagłady, nawet gdyby był rzeczywiście szkodliwy.

Mamy również *ptaki stepowe*, jak *żórawie* lub *dropie*; te drugie zresztą nawiedzają głównie miejscowości odsłonięte i równe, najczęściej też zdarzają się na Ukrainie.



Wróble.

Gaje nasze, lasy, pola, ogrody ożywiają miłym śpiewem i wesołym fruwaniem liczne rzesze drobnych ptaszków (*słowików*, *pokrzewek*, *drozdów*, *rudzików*, *szczygłów*, *sikor*, *skowronków*, *wróbli* i tylu innych), przeważnie skromnie upierzonych, szarawych lub brunatnych. Nie dorównywiają one świetnością barw gatunkom południowym, ale zato jak mile śpiewają lub świergocą. A co szkodliwych owadów wyjadają!

Obok głosów ptasich w górze, można u nas wszędzie usłyszeć i koncerty w dole, dochodzące z głębi wody: to błotne chórzystki *żaby* urządzają wieczorne popisy. Nie można nazwać tego melodyjnym śpiewem, jednakże chóralne głosy żab, rozlegające się w cichy i ciepły wieczór letni, mają jakiś dziwny urok w sobie, coś tak pociągającego, że ludzie, którzy się do

nich przyzwyczaili, tęsknią później, gdy los zapędzi ich w kraię pozbawioną żab. Mickiewicz dał wyraz w „Panu Tadeuszu” zachwytowi swemu nad „grą” tych płazów. Opisał on tam ślicznie taki koncert żabi i zakończył go uwagą o piękności:

Owych chórów, co brzmiały, jak arfy eolskie:
Żadne żaby nie grają tak pięknie, jak polskie.



Słowik.

Po za tem zresztą trzeba przyznać, że są to stworzenia nie nazbyt ładne, chociaż pożyteczne tępieniem owadów. Niektórzy ciągną z nich jeszcze taką korzyść, że je jadają, u nas jednak potrawa taka nie znajduje uznania, bo też co prawda mamy dość smaczniejszych stworzeń w wodzie.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody
Rodzą jeziora, stawy, rzeki, brody

Powiada Klonowicz. A że wód posiadamy wszędzie dość, nie braknie więc i różnych gatunków *ryb*, a także *raków*, i nie mamy potrzeby zazdrościć pod tym względem innym narodom, osiedlonym nad morzem i karmiącym się morskimi rybami.

Gdy ma płocicę, kleńca, szczukę ¹⁾, lina,
Karp, okuń, karaś, kleszcz mu nie nowina,
Nie dba o dorsze, sztokfisz, baleny ²⁾
Flondry, mureny ³⁾.

Posiadamy zresztą i nieco ryb morskich: *jesiotry*, *łososie*
i *minogi* wchodzi z morza w nasze rzeki, aby tam złożyć ikrę.



Żaba lądowa (na lewo u góry), żaba wodna (na lewo u dołu i na prawo u góry), ropucha (pośrodku na lądzie), kumka (po środku w wodzie).

W zimnych górskich potokach Karpat, a także w ojcowskiej dolinie (w Prądniku) żyje krewniak łososa, mniejszy odeń *pstrąg*, nadzwyczaj ceniony i poszukiwany przez smakoszy.

Szkoda tylko, że pod względem ryb kraj nasz podupadł w porównaniu z tem, co było dawniej. Z powodu łupieskiego i nieopatrznego rybołówstwa, zmniejszyła się u nas ogromnie

¹⁾ Szczupak. ²⁾ Wieloryb. ³⁾ Flondry, mureny — gatunki ryb morskich.

ich ilość, i gałąź ta bogactwa krajowego nie daje takich zysków, jakie by mogła przynosić. Wód mamy jednak dość i przy pracy i dobrych chęciach zaradzić temu nie byłoby trudno.

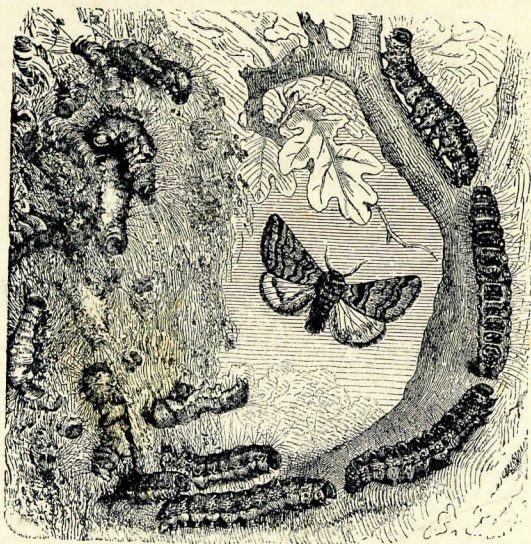
Żeby już skończyć z większymi stworzeniami, wspomnimy jeszcze o *gadach*. Ziemie nasze nie obfitują w nie na szczęście:



Motyle.

oprócz *żółwia*, kilku gatunków *jaszczurek* i *węży* nie mamy ich więcej, no i nie potrzebujemy żałować braku pięknych, ale jadowitych węży krain gorących. Z naszych niebezpieczna jest jedna tylko *żmija*, inne zaś gatunki oraz jaszczurki należą do zwierząt pożytecznych. Pomijamy tu inne drobne zwierzęta, wspominając jedynie o *owadach*. I pod tym względem nie możemy się równać bogactwem i okazałością ze strefą gorącą, ma-

my ich jednak dość, a są wśród nich i gatunki ładne, jak różne barwne *motyle*, tak pięknie zdobiące nasze łąki. Są też i nadzwyczaj szkodliwe (gąsienice różnych *motyli*, *chrabąszcze*, *mole*, *wołki*, *śloniki*, *korniki* i inne), są wreszcie i pożyteczne, czy to tem, że tępią tamte szkodliwe (*szczypawki*, *grzebacze*, *gąsieniczniki*), czy, że dostarczają nam różnych produktów, jak *pszczoly*.



Gąsienice ćmy, zwanej przędką towarzyszką (bardzo szkodliwe).

Dawniej pszczoły mieszkaly dziko w lasach, a ludzie zdobywali miód, podbierając ich barcie, zakładane w drzewach; dziś stały się one stworzeniami domowymi i mieszkają wyłącznie w ulach pod bezpośrednią opieką człowieka.

Przodkowie nasi ciągnęli jeszcze korzyść z jednego owadu, zwanego *czerwcem*, a należącego do działu pluskwiaków. Owad ten dostarczał pięknej farby karminowej, używanej nie tylko w kraju, ale i wywożonej zagranicę i bardzo poszukiwanej, dopóki nie weszła w użycie amerykańska koszenilla. Czerwiec żyje między innymi na korzeniach i łodygach krzewu, zwanego również czerwcem, a że znajduje się tam latem, mawiano więc

o nim: w czerwcu (miesiącu) czerwiec (owad) siedzi na czerwcu (roślinie). Dziś hodowla czerwca upadła u nas zupełnie.

Wprowadzono zato *jedwabnika*, nie daje się on jednak u nas hodować wszędzie i jedwabnictwo rozwinięte jest bardzo słabo.



Pszczoły na wierzbie kwitnącej.

Owady, hodowane przez ludzi, należą już właściwie do *zwierząt domowych*, a i tych posiadamy sporo, przyczem naturalnie nie owadom należy się wśród nich pierwsze miejsce.

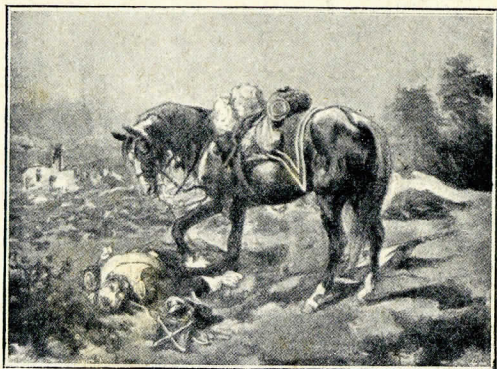
Tu zwierza dosyć, tu bydło rogate,
Tu woły tuczne i owce kosmate,
Pasą się w łąkach jałowice tłuste,
I kozy puste.

Stąd ma gospodarz i sprzęż do pług,
Stąd ma odzież pan i dobry sługa,

Stąd mięso świeże, nabiału dostatek,
W mieszek ostatek.

(S. Klonowicz).

Opuścił tylko poeta w tym spisie *konia*, który tak ważną rolę odgrywał w życiu naszych przodków, iż uważany był za najcenniejsze ze zwierząt domowych. Wierny towarzysz na wojnie i łowach, wytrwały pomocnik w pracy, był on tak ceniony, iż powiadano o nim „dobry koń—szczęścia połowa“. Z zamiło-



Koń żołnierski.

waniem też oddawali się Polacy hodowli tych szlachetnych zwierząt, posiadaliśmy nawet własną rasę koni bojowych. I dziś również hoduje się u nas konie wszędzie, tylko przeważnie nie jako wierzchowce, lecz jako zwierzęta robocze i pociągowe. Szczególnie rozwinięta jest hodowla koni na bujnych łąkach nad Wieprzem w okolicy Łęczny oraz na Ukrainie.

Z koniem godnie może współzawodniczyć pod względem użytku *bydło domowe*, przewyższa go ono nawet wszechstronnością dostarczanych korzyści. Ziemia nasza obfituje w łąki oraz pastwiska i z tego powodu nadają się wybornie do hodowli bydła rogatego; posiadamy też różne jego rasy, a wśród nich nawet niektóre nasze własne, jak bydło polskie *nizinne*, *karpaczkę* oraz *świętokrzyską*; zasługuje też na uwagę wielkorogie bydło *stepowe* z Ukrainy.

Powszechna też jest hodowla *owiec*, zwłaszcza w górach i na gorszych pastwiskach, niewybredna bowiem owca zadowala się taką paszą, która nie byłaby dostateczna dla koni lub bydła. To też w wielu okolicach mieszkańcy trzymają wielkie stada tych zwierząt. Wszędzie prawie hodują też *kozy*, ale w małej liczbie, bo chociaż jeszcze mniej wybredne od owiec, nie przynoszą one jednak takich korzyści. Zato wszędzie i wszyscy hodują *świnie*, jako stworzenia nadzwyczaj zyskowne, a bardzo łatwe do hodowli.

Oprócz tego w każdym, chociażby najmniejszym gospodarstwie, muszą być jeszcze przynajmniej *kury*, jeśli już nie *kaczki* i *gęsi*.

W domu obfitość sadowi się wszędzie
Kurów po grzędzie.

Do bardziej wyszukanych ptaków domowych, trzymanych jedynie w większych gospodarstwach, należą: *indyki* i *perliczki*. *Gołębie* hoduje się u nas częściej dla przyjemności, niż dla użytku, podobnież jak i *króliki* z czworonogów.

Chcąc już skończyć ze zwierzętami domowymi, musimy wspomnieć jeszcze wiernego przyjaciela i stróża dobytku — *psa* oraz przebiegłego a pieszczotliwego *kota*, który żył się wprawdzie z człowiekiem i mieszka przy nim stale, nie daje się jednak zaprządz do żadnej pracy, zachowując samodzielność i chodząc „własnymi drogami“.

Lista naszych zwierząt domowych jest znacznie mniejsza, niż dzikich, ale górują one nad niemi opieką człowieka: dzikie—człowiek tępi czy bezpośrednio na polowaniach, czy w ten sposób, że odbiera im kryjówki oraz żerowiska, niszcząc lasy i zasiewając nieużytki; domowe natomiast otacza pieczą, dbając, aby im się dobrze działo, aby mnożyły się one jak najliczniej. Dawniej, gdy człowiek żył głównie z łowiectwa i z tego, co mu dostarczała sama przyroda, dzikie zwierzęta odgrywały pierwszorzędną rolę w życiu ludzi; dziś zeszyły one na drugi plan, a dobrobyt i zamożność rolników zależą ściśle od liczby i jakości ich zwierząt domowych.

BOGACTWA MINERALNE.

Ziemie nasze nie mają złota, ani drogich kamieni.

Bóg choć dojmie, błogosławi
I dał szczodłą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic prawi:
„Dał mu chleba i stal twardą,
„Złota, srebra jedno w miarę“!

(W. Pol).

Złota nie posiadamy wcale, a i dawniej było go, istotnie bardzo „w miarę“: miano je niegdyś wydobywać w Tatrach i Karpatach, ale w bardzo dawnych czasach tak, iż o tem dochowały się jedynie podania oraz wzmianki kronikarskie. *Srebra* znajdowało się nieco więcej, słynęły zwłaszcza z niego kopalnie Olkuskie, ale i one nie posiadały zbyt obfiteści tego metalu. Dziś zaś na całym obszarze ziem polskich nie wydobywa się nigdzie ani srebra ani złota.

Kamieni drogich również nie mamy i nie mieliśmy nigdy, chyba, że zaliczymy do nich *bursztyn*, obficie znajdujący się na wybrzeżach Bałtyku.

Ale zato posiadamy stokroć cenniejszy, choć nie mający takiej wysokiej wartości metal—*żelazo*, cenniejszy, bo użyteczniejszy, niezbędny do potrzeb codziennego życia: z niego mamy „stal twardą“, z niego tysiączne przedmioty, bez których w żaden sposób nie moglibyśmy się obejść.

Żelazo w stanie czystym czyli samorodne spotyka się bardzo rzadko, zazwyczaj znajduje się ono w postaci kamienistych lub ziemistych rud, z których dopiero trzeba je wytopić.

Rudy żelazne ciągną się u nas dwu pasami: jeden na wyżynie Śląskiej od Bolesławia do Wielunia, drugi niedaleko od niego na Małopolskiej z obu stron gór Świętokrzyskich. Wszędzie tam znajdują się kopalnie, a obok nich piece do wytapiania żelaza i huty, w których wyrabia się z niego różne przedmioty.

Mamy też trochę żelaza wzdłuż północnych Karpat oraz na Wołyniu, ale w ilości stosunkowo tak nieznacznej, iż tam nie mógł się rozwinąć przemysł żelazny.

Z innych metali dostarczają okolice Olkusza *ołowiu* oraz

cynku, a Kielc—*miedzi*, w każdym jednak razie metali tych posiadamy znacznie mniej, niż żelaza.

Zato mamy znaczne pokłady bardzo ważnego minerału — *węgla kamiennego*, a znajduje się on w tej samej stronie, co i żelazo, na wyżynie Śląskiej. Zapoznano się z nim i wydobywać go zaczęto bardzo późno, zaledwie w końcu XVIII wieku, ale też od tego czasu wpłynął on ogromnie na rozwój przemysłu całej tej okolicy, która dziś jest najbardziej fabryczną na całym obszarze ziem Polskich.

Oprócz węgla kamiennego posiadamy w różnych miejscach (w Wielkopolsce, w Dobrzyniu nad Wisłą, w Galicyi) *węgiel brunatny*, mniej zbity i wskutek tego gorszy jako materiał opałowy. W bardzo wielu okolicach, zwłaszcza bagnistych, znajduje się *torf*, jeszcze mniej zbity i posiadający jeszcze mniejszą wartość opałową, używają go tam jednak chętnie zamiast coraz droższego drzewa.

Mamy atoli nie tylko minerały opałowe, ale i dostarczające światła, mianowicie wzdłuż północnych stoków Karpat ciągną się olbrzymie pokłady *nafty*, jedne z najbogatszych na kuli ziemskiej. Z używaniem nafty do oświetlenia zapoznano się bardzo niedawno, bo niespełna 60 lat temu i wtedy też dopiero zaczęto wiercić studnie naftowe i wydobywać ten cenny produkt. Ale też od tego czasu przemysł rozwinął się ogromnie, przewiercono wzdłuż Karpat tysiące studzien i Galicya zajmuje dziś trzecie miejsce (po Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i Kaukazie) pod względem ilości dostarczanej nafty.

Wzdłuż tych samych północnych stoków Karpat rozpościerają się pokłady nie mniej cennego minerału *sol*i. Wydobywa się ją stamtąd oddawna z kopalni (Wieliczka, Bochnia, Kałusz) jako tak zwaną sól kamienną, oraz z licznych źródeł słonych czyli solanek, które oprócz tego mają zastosowania lecznicze.

Pokłady soli znajdują się także przy końcu środkowego brzegu Wisły, w okolicach Ciechocinka i Włocławka.

To są ważniejsze i mniej pospolite bogactwa mineralne Polski, ale poza niemi mamy mnóstwo kamieni i ziem, powszednich i zwykłych tem nie mniej jednak ważnych i użytecznych.

W bardzo wielu okolicach znajdują się *wapienie*, dostarczające materiału do budowli, na szosy, bruk i do wypalania wapna. Niektóre miejscowości posiadają szacowniejsze

odmiany wapieni, jak *marmur* (w Chęcinach koło Kielc i Dęb-
nikach pod Krakowem) lub *kredę* (koło miasta Chełmu na wy-
żynie Lubelskiej).

W okolicach rzeki Nidy znajdują się pokłady *gipsu*, mine-
rału, zbliżonego składem do wapienia, a używanego na posągi,
biusty, sztukaterie, opatrunki chirurgiczne oraz do użyźniania
gruntów. Pokładom gipsu towarzyszy zwykle *siarka*; znajduje
się też ona tam również we wsi Czarkowych koło Wislicy.

Piaskowiec jest jeszcze pospolitszy od wapienia i znajduje
się podobnie w wielu okolicach. Na budowę nadaje się lepiej
od niego, używa się go potem na bruki, nagrobki, kamienie
młyńskie i t. p.

Na bruki i szosy używa się także tak zwanych *kamieni
polnych* czyli *głazów narzutowych*. Składają się one z *granitu*,
znajdują się zaś rozrzucone po polach, na znacznym obszarze
od północnych części kraju na południe do linii, przeprowado-
nej przez Kraków, Przemyśl i Lwów. Głazy te pochodzą aż
z gór Skandynawskich, skąd zostały przyniesione na nizinę Pol-
ską przez olbrzymi lodowiec, który w bardzo odległej epoce
okrywał nieprzerwaną skorupę całą nizinę Europy środkowej,
sięgając do Karpat. Unosił on na swoim grzbiecie odłamki gór
Skandynawskich i Finlandzkich, odłamki te po jego stajaniu
i zniknięciu pozostały na ziemi, jako głazy narzutowe.

Pospolite wszędzie gliny i piaski nie są również bezuży-
teczne: *gliny* używa się na wyroby garncarskie oraz na cegły;
piasek wraz z wapnem wchodzi w skład zapraw mularskich
i cementów, poza tem wyrabia się z niego szkło.

Słowem, choć nie posiadamy wyszukanych i rzadkich mi-
nerałów, mamy jednak kilka nadzwyczaj ważnych i niezbędnych
do życia, jak również nie możemy uskarżać się na brak po-
wszednich kamieni, piasków i glin, które choć niepozorne i bez
wartości na pierwszy rzut oka, odgrywają jednak ważną rolę za-
równo w naturze, jak i w życiu ludzi.

Przyroda nasza nie jest uboga. Nie ma ona wprawdzie
okazałej i wspaniałej flory i fauny, krajów gorących, nie ma
bogactw mineralnych właściwych krajom górskim, nie jest atoli
macochą dla ludzi, choć nie daje im nic bez pracy, jak nie-

które kraje strefy gorącej. Jeśli jednak zakrzętnąć się dobrze,
jeśli pracować szczerze, a wytrwale, nie poskąpi ona swych da-
rów, obdarzy nawet nimi tak szczodrze, że wystarczy nie tylko
dla nas, ale i innym jeszcze będziemy mogli ich udzielić.

A piękna jest przytem i malownicza, piękna tą surową kra-
są, tą zmianą pór roku, tem wciąż nowem budzeniem się
do życia po śnie zimowym. Zresztą gdyby nawet była brzydka
i jałowa, gdyby nędznie odpłacała nam za trudy i pracę, gdyby
zmuszała do nieustannej walki, a żyć kazała twardo i głodno,
nie przestalibyśmy jej kochać, bośmy jej dzieci, bo ona jest na-
sza, a więc już przez to droga i jedyna, piękna i ukochana.

Wszak i dla nas natura nie była macochą;
A jeśli w obcej ziemi piękna okolica
Czaruje wdziękiem oczy i umysł zachwyca,
Jeśli skał lodowatych nęci obraz dziki,
Jeśli bory posępne, wesołe gaiki,
Jeśli mają zaletę zdroje przezroczyście:
Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste.

(Fr. Wężyk).

I.

KARPATY.

POGLĄD OGÓLNY NA KARPATY POLSKIE I ICH PODZIAŁ.

Od południa ziemie polskie opierają się o potężne pasmo Karpat. Góry Karpackie ciągną się łukowato na przestrzeni przeszło 1200 kilometrów czyli około 150 mil, poczynając od Preszburga nad Dunajem na zachodzie, do Orsowy nad tymże Dunajem na wschodzie. Na zachodzie stykają się one z Alpami, od których oddziela je tylko Dunaj, na wschodnim końcu dotykają w taki sam sposób gór Bałkańskich.

Łuk Karpat obejmuje sobą nizinę Węgierską, do Węgier też należą wewnętrzne stoki tych gór. W skład ziem polskich wchodzi jedynie zewnętrzne stoki łańcucha i przytem zaledwie na połowie jego długości: od Odry i Bramy Morawskiej na zachodzie do przełęczy Przysłopieckiej i gór Siedmiogrodzkich, stanowiących południowo-wschodni koniec Karpat. Ta część polska łuku Karpackiego ma 600 kilometrów czyli 80 mil długości.

Z północnych stoków Karpat spływają na ziemie polskie rzeki, dążące w części do Bałtyku, w części zaś do morza Czarnego.

Do Bałtyku płyną: Olsza, dopływ Odry, a także Wisła i jej prawe dopływy: Raba, Dunajec z Popradem, San i inne;

do Czarnego morza Dniestr ze swymi dopływami oraz Prut. Rzeki południowych stoków należą do zlewiska morza Czarnego, spływają one wszystkie na nizinę Węgierską, wlewają się zaś wprost do Dunaju, albo też do jego dopływu — Cissy.

Karpaty polskie można podzielić na trzy części: 1) *Beskid Zachodni*, od bramy Morawskiej i Odry do wyłomu Popradu, który utorował tu sobie drogę ze środka gór na podgóorską krainę, położoną u ich północnych stoków; 2) *Beskid Niski*, sięgający od Popradu w kierunku południowowschodnim do wideł Sanu i 3) *Beskid Wysoki* od Sanu aż do końca Karpat polskich, to jest do Przełęczy Przysłopieckiej i źródeł Czeremoszu, będącego dopływem Prutu.

1. BESKID ZACHODNI.

RZUT OKA OGÓLNY.

Beskid Zachodni stanowi niezbyt wyniosłe pasmo górskie, ciągnące się z zachodu na wschód i porzniete na stokach poprzecznymi dolinami rzek, spływających na północ i na południe. Masy górskie, które odgraniczają jedną dolinę od drugiej, tworzą jakby ogromne szkarpy, podpierające główne pasmo.

Z zachodniej części tego Beskidu, zwanej górami *Jabłonkowskimi*, spływa na północ *Olsza*, główna rzeka ziemi Cieszyńskiej, podążająca do Odry; a nieco dalej na wschód z tychże gór bierze początek *Wisła*, macierz rzek polskich, płynąca z prastarego Śląska pod Kraków i Warszawę, a stamtąd do Gdańska i siniego Bałtyku. Jeszcze dalej na wschód od źródeł Wisły, wypływają w części z Beskidu, a w części z położonych za nim Tatr, różne prawe dopływy tej naszej głównej rzeki. Do ważniejszych należą: *Sola*, *Skawa*, *Raba* i *Dunajec* z *Popradem*.

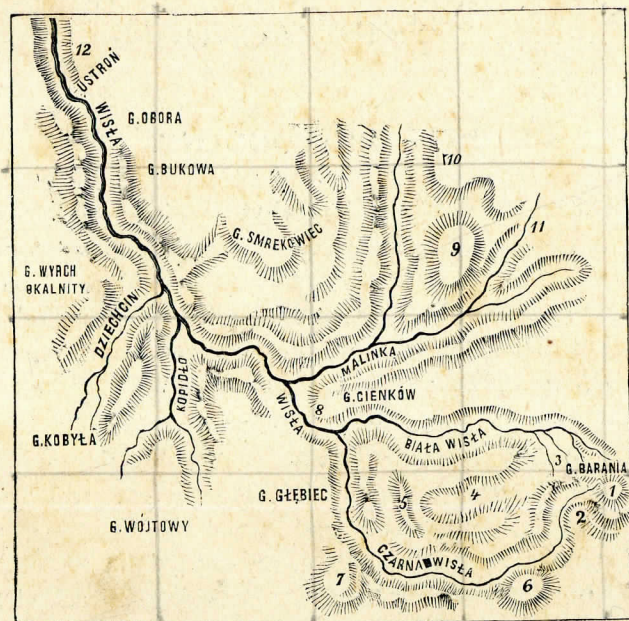
Doliny rzek Beskidu Zachodniego odznaczają się przeważnie malowniczością: nie widać wprawdzie nad nimi wyniosłych,

skalnych szczytów, ale zato otaczające je góry, porosłe mniej lub więcej gęsto lasem, tworzą nadzwyczaj wesoły i ożywiony krajobraz.

ŹRÓDŁA WISŁY.

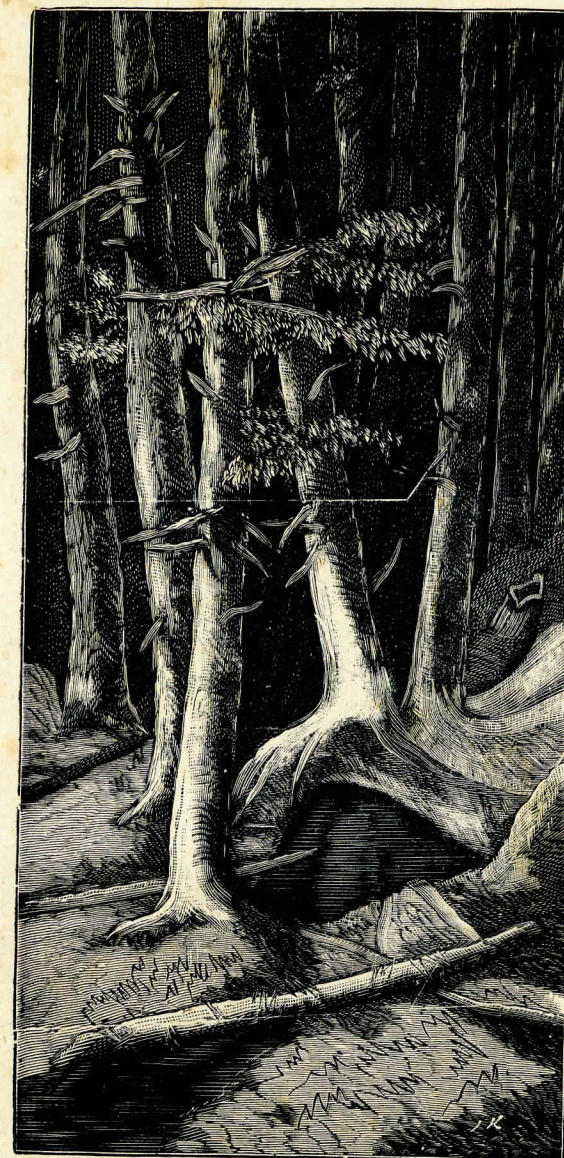
Źródła Wisły, znajdują się na górze Baraniej, mającej przeszło 1400 metrów wzniesienia nad poziom morza. Ze stoków tej góry, porosłej gęsto lasem, spływają liczne strumyki, zbierające się w dwa większe strumienie: *Czarną Wiselkę* z południowej strony i *Białą* z północnej.

Czarna Wiselka wypływa na wysokości przeszło 1000 metrów z mętnych brunatnawych płytkich jeziorek, zwanych „wy-



- 1) Góra Barania wys. 1415 m. 2) Wykopy 1080 m. 3) Pod Skalą.
- 4) Przysłupie 1005 m. 5) Czarny 943 m. 6) Karolówka 915 m. 7) Belskidek 750 m. 8) Dolina Wisły 495 m. 9) Czantorya 940 m. 10) Malinów 1077 m. 11) Malinowska skała 1132 m. 12) Ustroń, wieś na wysokości 765. m. nad powierzchnią morza.

kapami“. Jeziorek takich jest tam znaczna ilość, a leżą one jedno nad drugimi. Z każdego sączy się przez czarną próchnicę mały strumyczek; strumyczki te zlewają się ze sobą w co-



Źródło Czarnej Wiselki.

raz szerszy strumień tak, że o kilometr zaledwie od źródła Czarna Wisielka jest już tak szeroka, że jej przeskoczyć nie można, ale wody ma zawsze mętne.

Biała Wisielka tryska odrazu, jako źródło czyste i wartkie, ze skalistego stoku, przybiera inne równie wartkie strumyki i, tworząc mnóstwo wodospadów na skalnych progach, dąży z szumem i hałasem na północ, a później na zachód. Szum jej jest tak donośny, że nie sposób rozmawiać nad jej brzegiem i chwilami trzeba aż uszy zatykać.

Niżej w dolinie łączą się oba strumienie w jedną wspólną Wisielkę. Ale na znacznej jeszcze przestrzeni można w niej odróżnić przezroczyste wody Białej Wisielki z prawej strony łozyska i żółtawomętne Czarnej z lewej. Nie odrazu chcą się ze sobą mieszać obie złane siostrzyce. Łączą się jednak coraz bardziej, mieszają się i stają się jednolitym i jednobarwnym potokiem, który rozbija się i huczy po głazach kamiennych, tworząc wodospady, nieraz na kilkanaście metrów wysokie. Stopniowo wydostaje się on na równiejszą przestrzeń i zaczyna zwalniać bieg.

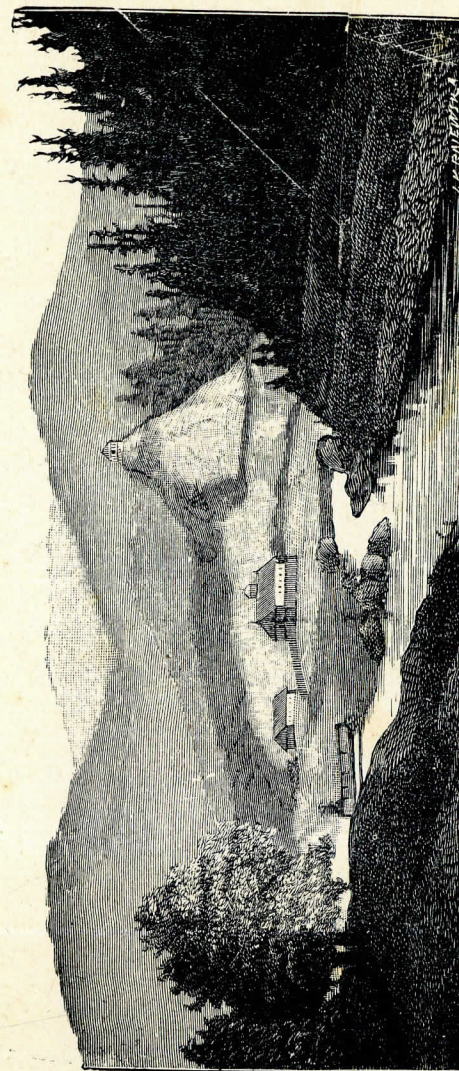
Wisielka przepływa przez górską wieś Wisłę, tworzy poza nią jeden z piękniejszych wodospadów i dąży do wsi Ustronie, gdzie zmienia nazwę: szerszej i okazalszej nie śmia już ludzie nazywać zdrobniale, lecz chrzczą ją odtąd poważnie Wisłą.

Skromna to jednak bardzo ta Wisła, ale za to wartka, hałaśliwa i szumiąca. Niema w niej jeszcze tej powagi, majestatu i spokoju, z jakim płynie hen! dalej pod Warszawą, a chociażby i pod Krakowem; niema tej pełni wód i tej rozlewności, jaką posiada nad Bałtykiem.

I płynie inaczej i huczy donośniej, i kraj inny wokoło i ludzie na pozór odmienni... Ale polska mowa rozbrzmiewa nad nią i tu i tam, choć w odmiennej gwarze, polskie serca biją na jej brzegach zarówno w piersiach Ślązaków, jak i nadbałtyckich Kaszubów.

Hej! co to myśli ciśnie się do głowy, gdy się tak stanie u „wykapu“ Czarnej Wisielki lub u źródła swawolnie skaczącej Białki i zaduma się nad zmianami, jakim ulegają te dwa małe strumyki, zanim staną się poważną królewską rzeką i wleją swe łączone wody w nurty Bałtyku. Co uczuć się budzi, gdy się

pomyśli o całej krainie, objętej siecią wód tej naszej macierzy, o jej losach przeszłych, teraźniejszych, przyszłych, o jej doli i niedoli.



Połączenie się Czarnej z Białą Wisielką.

Marzył tu i dumał u źródeł Wisły niejeden, a Wincenty Pol pozostawił nam następujący wiersz, jako ślad takich dumań nad Wisielką młodą:

Gdym u kolebki tego dziecka marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył,
I rzekł mi góral: „W naszej tutaj stronie
Zwą ją „Wisetką“ bo wesoła, młoda,
I jest „Wisetką“ nim minie Ustronie;
Tak ją nazwano tu w górach i rano,
A co tam dalej jej na wiano dano,
To pono lepiej Wy, panoczku, wiecie,
Co tam szeroko chodziecie po świecie“.

BABIA GÓRA.

Pod Krakowem, między chmury,
Widać czuby Babiej góry;
Wyprawiły ją Karpaty
Prosić gości do swej chaty.

A ta chata aż do nieba...
Trzy dni do niej piąć się trzeba,
Chyba, że cię niedźwiedź bury
Weźmie grzecznie na pazury.

(M. Konopnicka).

Po za Karpatami Jabłonkowskimi rozciąga się najpotężniejsze i najwynioślejsze pasmo Beskidu Zachodniego, zwane grzbietem Babiogórskim od nazwy najwyższego swego szczytu, Babiej Góry.

Szczyt ten sięga przeszło 1700 metrów i dla tego widoczny

jest już od Krakowa, góruje zaś nad całym grzbietem o jakie 400 metrów.

Z powodu tak znacznego wzniesienia, na Babiej Górze widzimy bardzo wyraźnie wszystkie pasy roślinności górskiej: najniżej (do 700 metrów) stoki jej pokryte są polami uprawnymi, można tam bowiem jeszcze prowadzić gospodarstwo rolne; wyżej (do 1350 metrów) ciągnie się pas lasów, ale uprawa roli jest tam już niemożliwa z powodu zbytnej surowości klimatu; jeszcze wyżej warunki są za ostre nawet dla drzew i ponad lasem sterczy sam szczyt łysy, porośły jedynie roślinnością zielną oraz kępami jałowca i kosówki.

W krainę turni, nagich skalnych szczytów i wiecznych śniegów Babia Góra nie wkracza: za niską jest na to; nieraz jednak w początku lata widać na niej śnieg, pozostały z zimy, a i pierwsze śniegi jesienne trzymają się na niej dłużej, niż na innych okolicznych górach.

Choć za niska dla wiecznych śniegów, Babia Góra sięga jednak swym szczytem w krainę chmur i czubek jej zazwyczaj okryty jest niemi, jakby czepkiem. Pozbywa się ona ich jedynie w bardzo jasną pogodę.

Z wyglądu Babiej Góry górale beskidowi wróżą o zmianach powietrza: „Babia Góra w czepku, będzie słońce“; przepowiadają zaś pogodę, gdy czubek jej oczyści się z chmur.

Śliczna jest wycieczka na Babią, ze szczytu jej bowiem roztacza się nadzwyczaj rozległy widok. A że najpiękniej wygląda on o wschodzie słońca, trzeba więc podnocować pod szczytem albo w szałasach na samej górze i wyruszyć tak w drogę, żeby się znaleźć na wierzchołku w chwili, gdy słońce zacznie wzbijać się do góry.

Jeżeli się trafi na jasny i pogodny ranek, to ma się przepyszny widok: w miarę wznoszenia się słońca, wyłania się z mroków krajobraz, tak piękny i urozmaicony, że niewiadomo, w którą patrzeć stronę.

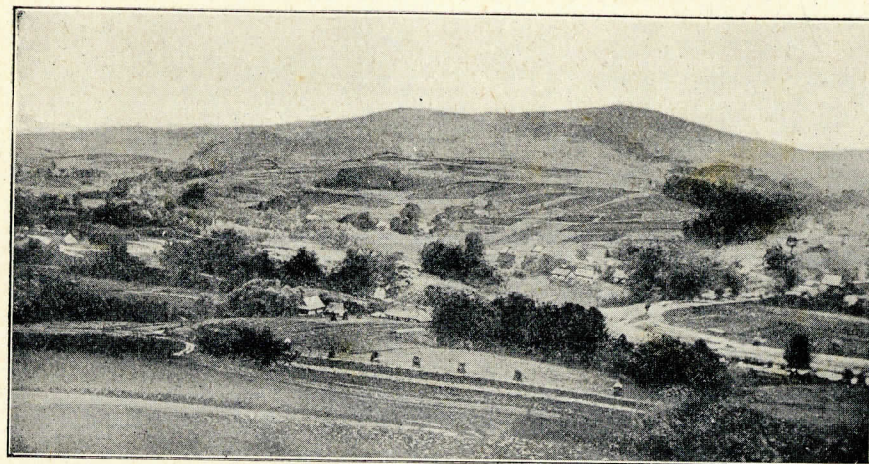
Na północ wzrok zabiega, zda się, bezkresnie i przed oczami naszymi roztacza się szeroko otwarta kraina, widzimy całe Pogórze karpackie aż po dolinę Wisły, po Kraków i hen! jeszcze dalej; gdy czas jest bardzo pogodny, w oddali majaczące nawet Częstochowa.

Na prawo i na lewo, na wschód i na zachód patrzymy z góry tu na pasmo Niedźwiedzia, tam na łańcuchy zachodniego krańca Beskidu, na szeregi niższych, wesołych, zielonych grzbietów i wirchów, jakby dziatwy Babiej Góry, tulącej się pod jej opiekuńczymi skrzydłami.

Na południe znów świat inny. U stóp naszych, jakby przepaść: tu dolina Orawska, tam Podhale, a za niem wyniosłe, nagie i groźne Tatry patrzą z góry na Babią, zasłaniając sobą widok na tamtą stronę, na nizinę Węgierską.

Najwyższa i najwynioślejsza w tej części Beskidu, maleje i pokornieje Babia wobec majestatycznych Tatr. Ale któreż z naszych gór ośmieliłyby się równać z niemi, z temi górami, o których Pol śpiewał:

Odwiecznych Tatrów strażnice śniegowie!
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe;
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i żrenica wiecznie tutaj gością.
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością;
Bo nie wziąć myślą, co oko zakreśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśli,
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecieć,
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...



Widok z góry Biernatki na Rabkę.

PASMO NIEDŹWIEDZIA I GORCÓW.

Na wschód od Babiej Góry Beskid zaczyna się obniżać. Najbliżej sąsiadujące z nią rozłożyste pasmo Niedźwiedzia i Gorców w najwyższych swych szczytach nie przekracza 1300 metrów, a więc nie wychodzi po za pas lasów, wirchami swymi zaledwie sięga tej linii, do której wznosi się sam grzbiet pasma Babiej Góry.

Ale chociaż położona w pasie lasów, ta część Beskidu posiada ich, niestety, bardzo mało, a to dla tego, iż zostały one potężnie przetrzebione i powycinane, i wirchy te pokryte są dziś przeważnie pastwiskami.

Szeroka masa Gorców i Niedźwiedzia pokryta jest licznymi potokami, z których największym i najokazalszym jest *Raba*. Mnóstwo tu malowniczych widoków, wesołych i ożywionych dolin z porozrzucanymi w nich wsiami góralskimi, powietrze zdrowe i ożywcze, ale gleba przeważnie licha i rolnictwo na niskim stopniu.

Ze względu na malownicze położenie i zdrowy klimat powstało tu mnóstwo letnisk, do których co rok zjeżdżają się mieszkańcy miast nie tylko z Galicyi, ale z Królestwa i innych

dzielnic Polski. Szczególnie słyną letniska posiadające lecznicze źródła mineralne, jak np. *Rabka*, głośna ze swych solanek, jedno z najważniejszych zdrojowisk galicyjskich dla dzieci.

W tejże części Beskidu, w malowniczej górskiej wsi, zwanej *Porębą Wielką*, znajduje się kolonia wakacyjna, w której co rok kilkudziesięciu uczniów z gimnazyów i szkół realnych krakowskich znajduje wypoczynek i poprawę zdrowia w ożywczem i balsamicznem powietrzu górskim.

Ładnych wycieczek nie brak i w pasmie Gorców. Z głównych ich szczytów: *Turbacza*, *Turbaczyka*, *Obidowca*, *Obidowej*, *Lubonia*, *Biernatki* i innych niema wprawdzie tak rozległych widoków, jak z Babiej Góry, bo wzniesienie tu znacznie mniejsze, ma jednak oko spocząć na czem mile: kręte doliny Raby i jej dopływów z wijącymi się w nich potokami otaczają nas ze wszech stron, poprzegradzane niskimi górami; na zachodzie wznosi się potężna, samotna piramida Babiej Góry ze szczytem w czepcu z chmur, a na południu rysują się na widnokręgu iglice Tatr, połyskujące w słońcu śniegami, tych Tatr, na których widok goręcej bije serce każdego Polaka, ku którym rwie się każdy...

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma,
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona, jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

(A. Asnyk).

T U R B A C Z.

(Z powieści Wł. Orkana „W Roztokach“).

Hej!... Turbaczu, Turbaczu,
Cóżes tak osowiał?
Hej, czy cię mgła obsiadła,
Czy cię wiater owiał?

Naprzeciw Tatr, między doliną Nowotarską a węzowatą kotliną Raby, wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Od romantycznych Pienin odciął je wartki Kamienicki potok, a od Spiskiej krainy odgraniczył je falami bystry Dunajec.

Samotnie stoją nad wzgórzami. A wyżej jeszcze nosi głowę ociec ich rodu, zasępiony Turbacz. Niewiadomo, kto go chrzcił i skąd mu to miano. Może stąd, że turbanem mgły przed deszczem owija łysą głowę, albo raczej, że widywano go zawsze w turbacyi wiecznej. Podle się z nim losy zaobeszły, dając mu zwykłą dumę wierzchów i nadszczytów, a nie dając ich wielkości nadchmurnej. Otoczyły go jeszcze tłumem bliźniąt, wśród których maleje do znaku i zdaje się być zwykłą górą. A przecież coś mu się śni, że przed potopem inaczej było — coś mu się śni...

Stary Turbacz mści się za małość swoją na wirbach Tatr, zasłaniając im czołem widoki na wawelskie grodzisko. Zazdrośnem uchem łowi grające dźwięki Zygmunta i zasępia się w przeszłości dalekiej. Coś mu się śni, że drzewiej dzwony inaczej grały — coś mu się śni...

Ho! drzewiej! drzewiej!... Nasłuchiwał się Turbacz trąb wojennych — jeszcze mu do dziś dnia powietrzem grają, kiedy ociec wiatru, wiatr halny, przyjdzie w odwiedziny. On je pamięta dobrze. Było to wtedy, kiedy stary Turbacz synom sprawiał wesele: kiedy Turbaczyk pojął Kopę, a Obidowiec zapatrzył się nań i sięgnął po Obidowę. Wiatr muzykę sprowadził, niedźwiedzie tańczyły — a po groniach paliły się ogniste wici... Byli tu goście, jakich już potem nie widywano — olbrzymy o płonących głowach — straszyciele...

Drzewiej Gorce daleko czerniały lasem i długo grube drzewa nie widziały siekier. Gazdowały tu kolejno niedźwiedzie

i wilki i chowały się stada nieprzeliczone sarn. Pierwsza osada ludzka w tej okolicy od późniejszego właściciela jej, a pana czorsztyńskiego, Lubomierzem nazwana, mieści się w roztoce tego samego imienia od strony kamienickiej. Jest to zapewne rumuńska osada z czasu najazdu tatarskiego. Różni się też wielce od późniejszych obyczajem i gwarą, a zwłaszcza tem, że nie widać w niej szczątków słowiańskiego ustroju rodowego, jakie się w sąsiednich roztokach do dziś dnia zachowały.

Każdy większy potok zowie się w gwarze miejscowej roztoką. I dolina, którą ten potok przez wieki wyżłobił, również roztoką się nazywa.

Wszystkie spadają na północ od Turbacza; z początku strome i wąskie, rozszerzają się i zniżają ku dolinie Baby. Stamtąd też szła ludność falą występującego przez wieki morza i zwolna zalewała roztoki ku górze. Po drodze nachodziła już wykarczowane lasy, polany i osiedla, zamieszkane przez dawniejszych przybyszów. Ci byli to po największej części uciekinierzy z dolin, słudzy różnych bogów, którym za ciasno było żyć w zaludnionym świecie, banici, którzy od ludzkich praw uchylili się pod łaskawsze prawa natury — słowem, dziwna mieszanina ludzi z różnych krańców świata, przechodząca z czasem przez wspólną pracę we wspólne podobieństwo. Różnice ich rodów były jednak za silne, by się do znaku stopiły w podobieństwie. Pozostał odrębny typ każdego i przetrwał napływ nizinnej fali, zachowując właściwe cechy swego charakteru.

W jednolitej i szarej masie ludu, wypełniającej po brzegi strome roztoki, odcinają się wyraźnie dawne rody: Porębskich, Michalczewskich, Niedźwiedzkich, Sołtysów, Cichańskich, Gniewskich, Smreczyńskich, Rakoczych. Jest to, można rzec, arystokracja wsi, panowie-chłopi, ufní w potęgę swoich familii, nadający kolejno ton całemu plemieniu. Mimo, że z czasem przydomki różnorodne zastąpiły im właściwe nazwiska rodowe, a grunta ich dzisiejsze nie różnią się od innych wielkością, ni wydajnością ziemi — czują oni wszyscy, że pradziadowie ich znojem zdobyli tę ziemię, że oni wykarczowali stuletnie smreki i jedle, wyrabali polany, i butnie noszą głowy.

Kiedy ongi roztoki przydzielono do państwa czorsztyńskiego, pradziadowie ich długo opierali się tej niewoli. Z czasów tych pamiętają w gadkach o licznych ptakach wolnych — druży-

nach zbójeckich. Te same rody później oparły się sprzedaży gorzeckich lasów.

Niedawny czas, kiedy padały z jękiem odwieczne smreki i jedle — miód sączył się po kłodach — niedźwiedzie lizały... Niedawny czas! Uboczą grały echa potraconych głosów... A dziś?

Znój pracy ludzkiej przepełnił kotliny i spływa roztokami w świat i mąci wodę...

(Władysław Orkan, poeta i powieściopisarz, rodem z tej części Beskidu, opisuje tu rodzinne swe strony i ich obecny wygląd w porównaniu do dawnych czasów, kiedy na odsłoniętych dziś stokach szumiały gęste lasy, a w gąszczu ich gazdowały niedźwiedzie, ludzie zaś zaczynali się tu dopiero osiedlać).

GÓRY NAD DUNAJCEM I POPRADEM.

Jeśliś kochał, walczył, wierzył,
Poznał prawdę — stwierdził w czynach,
Przebrnął morze — świat przemierzył,
Poznaj jeszcze łódź w Pieninach.

(W. Pol).

Dalej na wschód od Niedźwiedzia, góry Beskidu obniżają się jeszcze bardziej: najwyższe ich szczyty sięgają tam zaledwie 1100 metrów nad poziom morza. Ale zato przez te ich części przebijają się dwie najokazalsze po Wiśle rzeki Beskidu Zachodniego: Dunajec i Poprad; tu znajdują się doliny tych rzek, należące do najpiękniejszych w Karpatach.

Obie one biorą początek nie z samego Beskidu, lecz z Tatr, położonych na południe za nim; żeby więc dostać się na nizinę Polską, musiały utorować sobie drogę, przerznąć się przez wał Beskidu. Wyłomy ich przez te góry tworzą dwie prześliczne, malownicze doliny.

Szczególnie piękne są Pieniny, skaliste góry, przez które przebiega się *Dunajec*. Nie są one zbyt wysokie, bo wznoszą się tylko o 1000 metrów nad poziomem morza, a 550 nad wodami Dunajca. Ale wyglądają nadzwyczaj malowniczo na tle rzeki,

wijącej się u ich stóp na przestrzeni 10 kilometrów wązowym biegiem w licznych zakrętach.

Po za Pieninami Dunajec przebija się dalej przez grzbiet Niedźwiedzia, a potem, złączywszy się z Popradem, płynie z nim razem szeroką i rozległą kotliną Sandecką i dalej ku Wiśle, w którą ostatecznie wlewa swe wody.

Dunajec wypływa z północnych stoków Tatr, ale źródła Popradu znajdują się na południowej ich stronie, *Poprad* więc zbliża się możliwie ku nizinie Węgierskiej, i dla tego dolina jego stanowi najdogodniejszą drogę na Węgry.

Korzystając z tej naturalnej drogi, przeprowadzono przez wyłom Popradu kolej, która biegnie od Sącza na południe malowniczą doliną tej rzeki, to prawym, to lewym jej brzegiem, zależnie od tego, gdzie łatwiej było ją zbudować. Przechodzi ona na drugą stronę Beskidu i tam spuszcza się ku nizinie Cisy, korzystając również z dolin rzecznych.

Dolina Popradu nie dorównywa pięknnością Pieninom, jest jednak również bardzo malownicza.

W dolinach obu tych rzek znajduje się mnóstwo źródeł mineralnych, z których słyną szczególnie: *Szczawnica* u wylotu Dunajca z Pienin, *Żegiestów* w dolinie Popradu, *Krynica* i inne mniej głośnie.

Ludność jest tu częściowo polska, częściowo zaś ruska. Z tamtej strony Beskidu mieszkają Słowacy, ale obok nich jest tam sporo Polaków, bo przeszło sto tysięcy, zwłaszcza na tak zwanym Spiżu, w węgierskiej części doliny Popradu.

nych Niemcy. Pochodzenie nazwy również nie jest zupełnie jasne: jedni wywodzą ją od niemieckiego wyrazu „Schorstein“ (komin), inni od polskiej nazwy „Czortowy tyn“ (Dyabli gród).

Od XIII w. wzmianki o Czorsztyńnię stają się pewniejsze i częstsze: tu w r. 1241 schronił się wraz z rodziną Bolesław Wstydlivy, uciekając przed nawałą tatarską; tu zatrzymywał się Kazimierz Wielki, jadąc w r. 1335 i powtórnie w r. 1339 na zjazd do Wyszehradu; tędy zjeżdżał w r. 1370 Ludwik węgierski do Polski, a później Jadwiga, którą w Czorsztyńnię właśnie powitali uroczyscie panowie polscy; tu często bywał Władysław Jagiełło; stąd Warneńczyk jechał na Węgry dla objęcia tronu; tu przebywał czas jakiś słynny Zawisza Czarny, a ileż razy zamek ów stawał się siedliskiem band rozbójniczych, którym go trzeba było odbierać!...

I później Czorsztyń różne przechodził koleje: niszczyły go wojska rosyjskie w wieku XVIII, chronili się w nim konfederaci barscy, a wskutek tych wszystkich przejść zamek chylił się coraz bardziej ku upadkowi, aż wreszcie w r. 1790 burza z piorunami zniszczyła go ostatecznie i odtąd nie podźwignął się już z ruiny.

Mnóstwo myśli i wspomnień ciśnie się do głowy, gdy spoglądamy na jego zwaliska. Michał Bałucki ubrał w formę wierszowaną myśli, które mu nasunęła noc, spędzona na górze pod zamkiem Czorsztyńskim.

A gdy sen mi ociężał powieki,
Żłudne z starych kamieni obrazy,
Przeniosły mnie całkiem w dawne wieki:
Spienionego Dunajca szum dziki
Sen przemienił w tatarskich hord krzyki.
Na niebie czarnem jak całuny
Znaki najazdu — czerwone łuny,
A lasy jak kadzielnice pogrzebu
Ślą dymy czarnemu niebu.
Nad zamkiem chmury — Dunajec wzdęty,
Na skały rzuca mętne fale,
I szklane piersi rozbija na skale,
I wstecz zemdlony upada w odmęt.
Tak o Czorsztyński zamek stary

Tłuką się napróżno Tatary.
Nagle na murach kagańce zgasty —
Czy strach przeszedł po kościach staroście?
Brzęknął łańcuch przy zwodzonym moście.
„To wycieczka nocna!” — hordy wrzały
Przebudzone — wśród wawozu wrzawa,
Świst, szczęk, jęki, krzyki dzikiej hordy
Splątały się w straszliwe akordy,
A z pod kopyt wznosi się kurzawa —
Aż z pogmatwanej owej zawieruchy
Wstał tryumfalny śpiew i okolicą,
Twardy, poważny, jak rycerskie duchy
Szedł śpiew: „Boga rodzico!”
Znów inna scena: zamkowe komnaty
Pełne światła, panów polskich mnogo,
Wśród jasnych ognia od Węgier drogą
Jadwiga, w białe ubrana szaty,
W złotej kolebce — przy niej rycerze
W stalowe ubrani pancerze.
Górale patrzą z lasów ciemnicy
Na świetny pochód królowej — dziewicy,
A lasy lasom podają z Czorsztyna:
„Elijen Lengel! — vivat regina!”
Wszystko to przeszło; — jeden piorun z góry
Roztrzaskał zamkowe mury,
Pod zamkiem chłopska siadła chałupa,
Okna puste jak w czasie u trupa,
I komnaty wspaniałe w ruinie,
Na murach zielsko jak broda u dziada,
I lud z trwogą o zamku ci gada,
I żegna się w wieczornej godzinie,
Gdy na Anioł Pański dzwon wybija
Ave Maryja.

Niedzicki zamek młodszy jest od Czorsztyńskiego, zbudowano go bowiem dopiero w wieku XIV. Należał on przez jakiś czas do Polski. Jako warownia był również widownią niejednej walki i niejednokrotnie wydzielali go sobie przeciwnicy. W XVI wieku przeszedł do rąk węgierskiej rodziny Paloczejów,

w której posiadaniu pozostawał do r. 1869. Obecnie należy do Salomonów, a właściciel zamieszkuje go jeszcze i teraz.

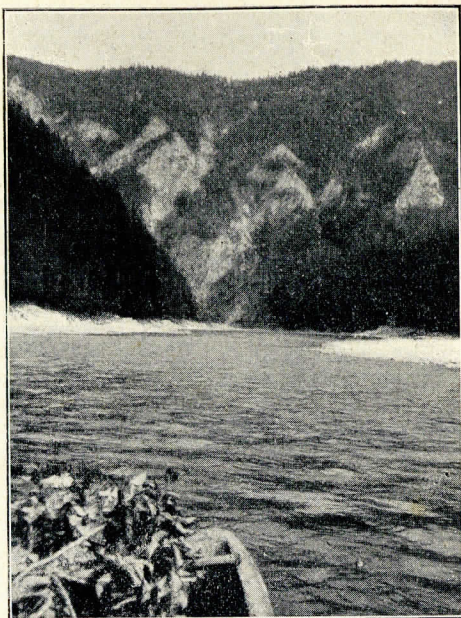
Tysiące wspomnień nasuwają te dwa zamki. Ale zajrzeć do nich warto nie dla samej tylko przeszłości, ale i dla widoku, który się z nich roztacza, zwłaszcza z Czorsztyna.

Wincenty Pol tak opisuje ten widok w swoich „Obrazach z życia i natury“:

„Wielka scena natury ma, podobnie jak teatr, swój parter, swoją galerię i łożę swoje. Dla Tatrów i Nowotarskiej doliny jest prawdziwą łożą widok z Czorsztyńskiego zamku.

W pobliżu uderzają skaliste podnóże zamku i zabrzeża malownicze Dunajca. Ku zachodowi rozciąga się jak szmaragd zielona dolina Nowotarska, osnuta srebrną, szumiącą wstęgą Dunajca. Górską strzeżogą zadętą, stoją Tatry na połęć i widać całe ich pasmo wyraźnie od Djablego Koszaru na Spiżu, aż do Osobity na Orawie, a naprzeciw Czorsztyna, tuż nad Dunajcem, wznosi się po stronie węgierskiej starożytny zamek na Niedzicy.

Komu pragniemy Tatry pokazać z łoży i w pełnej okazałości ich otoczenia, z całym tym arsenalem piękności natury, tego wypada postawić na zwaliskach Czorsztyna, a stąd ujrzy i wsi gęsto nasiadłe, rozsiane po całej Nowotarskiej dolinie, i kościoły, i zamki, i dwory stare; tego doleci tu i szum Dunajca, grającego na wirach, prądach i progach, i zajmie go mgła, i gra obłoków snujących się nad Tatrami lub u podnóży Tatrów, co wszystko razem wprawia umysł w jakieś przedziwne zadumanie“.



Pieniny. Skały nad Dunajcem.
(Z fot. W. Lebedzińskiego).

DUNAJCEM PRZEZ PIENINY.

W Czorsztynie można sięść od razu na łódki albo też przejechać jeszcze końmi ten kawałek drogi, który się ciągnie węgierskim brzegiem Dunajca do Czerwonego Klasztoru i stamtąd dopiero rozpocząć podróż wodą. Tam mieszkańcy polskiej wsi, Sromowiec, położonej naprzeciwko Czerwonego Klasztoru, zajmują się wynajmowaniem niewielkich łodzi, które dla większego bezpieczeństwa łączą po dwie lub trzy razem. Puściwszy się w tych łodziach na wartkie i rwące wody Dunajca, odbędziemy jedną z najpiękniejszych wycieczek, o jakich można marzyć.

Walery Eljasz tak opisuje jazdę Dunajcem przez Pieniny:

„Gdy czołna już dobrze powiązane, usadawiamy się w nich, jak komu najlepiej, układamy ze sobą zabrane torby lub okrywki i odbijamy od brzegu, z którego w lewo widzimy Tatry,

w prawo przepaścistą ścianę Trzech Koron*). Woda nas unosi, i za chwilę nie widzimy już Czerwonego Klasztoru. Szybkim pędem okrążamy Klasztorną Górę i dostajemy się na ciche i gładkie zwierciadło wody, w której się przeglądają okoliczne skały. Kształty turni przypominają dolinę Kościeliską. Wnet porywa nasze czołna prąd i niesie prosto na sterczące z wody głazy; przewoźnicy odbijają je drążkami i kierują nas na właściwe miejsce. Woda szumi, bałwani się, roztrąca o brzegi czołen i często oblewa siedzące w nich osoby. Przypominają się nam wiersze nieśmiertelnego Pola:

Gdy cię schwycą modre tonie
I na przepaść łódka zbieży,
Silniej drgnie ci serce w łonie,
Mocniej dusza twa uwierzy;
W skarby ziemi, w skarby nieba,
W siebie, w Boga i człowieka.

Patrzmy w lewo, a tu nad głową piętrzy się nam skała, jedna coraz wyżej nad drugą; spojrzmy w prawo, uroczy gaj wabi nas do siebie, a przed nami Dunajec umyka gdzieś poza sterczącą na zakręcie skałę. Za sobą mamy już świat zaparty, turnie z obydwu stron schodzą się tak, jakby między nimi nie było nawet przesmyka dla potoku. Tu znów się wznosi naprost ściana, zewsząd przypierają doń skały, trudzimy się myślą, jakim tam sposobem dalej przejedziemy, gdy nagle porywa nas z szumem woda i niesie na skałę. Za chwilę, gdyby różczką czarodziejską widzimy się uniesionymi w nową jakąś, równie cudowną dolinę z innymi turniami, z innymi gajami, i tak dalej, dalej płyniemy w ciągłym zachwycie, nie wiedząc, co więcej podziwiać, czy malowniczość skał i wieszających się po nich drzew i krzewów, czy przeźrocze toni wód, czy połysk szumiących fal... pragnęłoby się w tem upojeniu wytrwać jak najdłużej.

Południowy brzeg Dunajca należy do Węgier, północny do Polski, dlatego przewoźnicy, nawołując się przy kierowaniu ło-

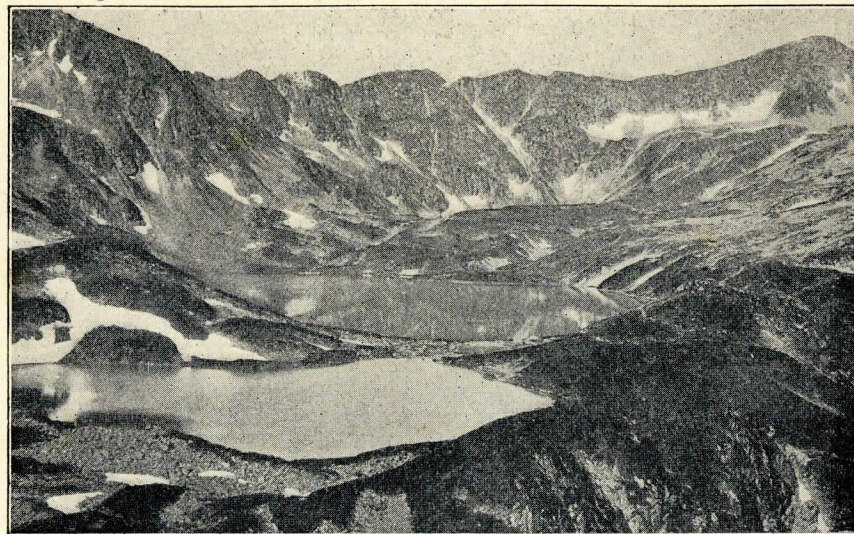
*) Góra w Pieninach naprzeciwko Czerwonego Klasztoru.

dziami, wykrzykują: „na polską“ lub „na węgierską“ stronę. W trzeciej części jednak długości Pienin, począwszy od potoku Leśnickiego ku Szczawnicy, obydwie brzozy należą już do Polski, gdyż granica węgierska przechodzi od rzeki na grzbiecie gór, widocznych ze Szczawnicy na południe.

W dolinie, z której uchodzi potok Pieński, mieści się przy skale resztki zamku Św. Kingi, jakby gniazdo orle. Podanie mówi, iż zameczek ten zbudowali anieli dla świętej królowej, by się miała gdzie ukryć przed Tatarami z siostrą Jolantą i Konstancją, wdową po Danielu, księciu Halickim, z 70 zakonnikami sądeckimi oraz licznym zastępem duchowieństwa i szlachty. Mgły ich tu otoczyły w czasie napadu Tatarskiego, tak, że najeźdźcy nikogo nie znaleźli.

Prawym brzegiem Dunajca poprowadzono wielkim nakładem drogę dla pieszych i jezdnych wierzchem konno ze Szczawnicy do Czerwonego Klasztoru. Zaczął ją budować Józef Szalay, dziedzic Szczawnicy, który zdrojowisko to sławne darował Akademii Umiejętności w Krakowie. Akademia dokończyła rozpoczęte dzieło przez wspaniałego donatora. Dla gości, bawiących w Szczawnicy, była to najpyszniejsza, o jakiej tylko zamarzyć można, przechadzka, lecz niestety, dwie powodzie w ciągu jednego lata (r. 1893), wynikłe z nadzwyczajnych opadów deszczowych, zniszczyły tę uroczą drożynę, a przywrócenie do pierwszego stanu natrafiło na przeszkody nie tylko materialnej, ale i politycznej natury. Drożyna szła po węgierskiej stronie.

Tymczasem wypływamy z owego uroczego wąwozu, ukazuje się nam wioska, Niżnia Szczawnica, nad ujściem strumyka Ruskiej Wody. Opuszczamy czółna, a wsiadamy na stojące tu zwykle dorożki szczawnickie, by się dostać do zakładu, spory kawałek drogi oddalonego od Pienin“.



Polskie Stawy.

POGLĄD OGÓLNY NA TATRY.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Po nad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica...

Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.

A powyżej, wyżej jeszcze
 Pływa sobie orle wieszczce.
 Gdy wyleci i zawisnie
 Na błękie bez obłoku
 I dokoła okiem błysnie,
 Widne stamtąd jego oku
 Okolicznych wieżyc dachy,
 Polskie puszcze i ziemice,
 Krakowskiego zamku gmachy
 I węgierskich gór winnice.

(W. Pol).

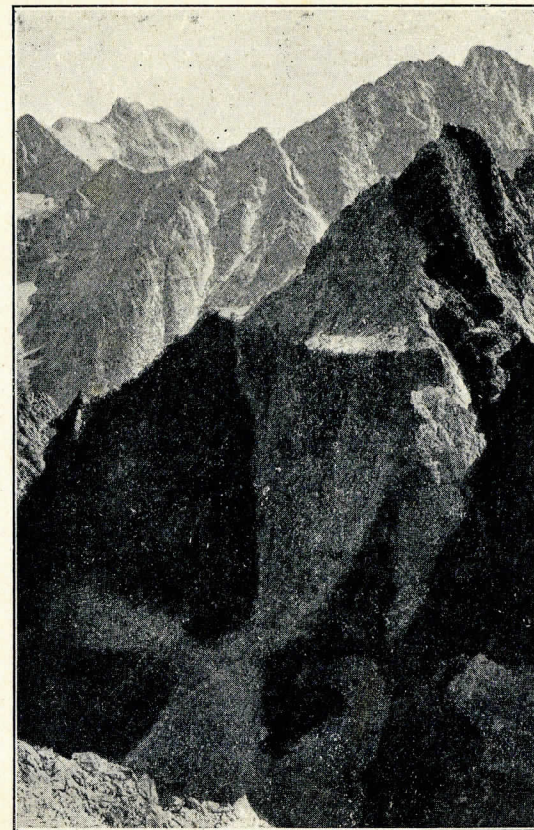
Po za pasmem Beskidu Zachodniego na południu ciągnie się cały szereg łańcuchów górskich, wchodzących w skład tej części Karpat. Dla nas ważny jest z nich tylko jeden, mianowicie *Tatry*, część ich bowiem należy do ziem Polskich. Jedyne to miejsce, gdzie granica nasza przekroczyła grzbiet Beskidu i przeszła na drugą jego stronę, wszędzie indziej zresztą grzbiet ten jest naturalną i historyczną granicą Polski i Węgier.

Tatry stanowią nie długie, ale wysokie pasmo, ciągnące się równolegle do Beskidu Zachodniego, z zachodu na wschód. Długość ich wynosi zaledwie 8 mil, ale zato wysokością przewyższają one wszystkie inne części Karpat, średnia bowiem wysokość ich grzbietu wynosi 2000 metrów, miejscami zaś wznoszą się one znacznie więcej i tylko gdzieś niedługo opadają w przełęczach do 1600 metrów. Najwyższe szczyty (Gańlach, Łomnica) przekraczają 2600 metrów.

Pasma Tatr objęte jest ze wszystkich stron zakłętymi kotlinami *dolin* czterech rzek, biorących początek w tych górach. Dwie z tych rzek — *Dunajec* i *Poprad* płyną na wschód, zlewając się dalej ze sobą i dążąc razem ku Wiśle, dwie drugie — *Wag* i *Orawa* — na zachód, łącząc się później również ze sobą i wlewając się do Dunaju. W ten sposób Tatry leżą jakby w widłach, utworzonych przez te cztery doliny: Dunajca czyli *Nowotarską* albo *Podhala*; Popradu czyli *Spiską*; Wagu — *Liptowską* i Orawy — *Orawską*. Nowotarska dolina oddziela Tatry od Beskidu Zachodniego, trzy inne od niższych południowych łańcuchów karpacczych.

Po nad temi dolinami, których wysokość wynosi od 600

do 1000 metrów, wznosi się potężne pasmo Tatr, strzelające ku niebu nagimi, śpiczastymi turniami. Górują one nad okolicą na 1500, a nawet i na 2000 metrów. Ten łańcuch usiany zębami turniami, i te zapadnięcia, oddzielające go od okolicz-



Widok z Rysów na Gańlach i Ganek.

nych gór, można porównać z jakąś niedostępną skalistą warownią, otoczoną dookoła głęboką fosą, w której poosiedlali się ludzie, niby drobne mrówki, nie mające odwagi wtargnąć na stałe w tę dziedzinę olbrzymów górskich.

Tatry nie dorównywały wprawdzie Alpom, należą już jed-

nak do gór wysokich. Na stokach ich można doskonale obserwować wszystkie pasy roślinności górskiej.

Najniżej leży *kraina pól uprawnych*, obejmująca Podhale i jedynie jakby same stopy Tatr, najwyżej do wysokości 1000 metrów tak daleko, jak daleko dają się uprawiać najwytrwalsze i najmniej wybredne ze zbóż — owies i jęczmień.

Nędzna tam zresztą jest gleba, gęsto usiana kamieniami, twarde warunki uprawy i bardzo liche urodzaje, zbiór bowiem zwykle nie przewyższa dwu ziarn z jednego posianego, jak to mówią górale: „tylko brat brata rodzi”. Jałowość swej ziemi określają oni dowcipnie.



Grupa Górali z Zakopanego.
(Z fot. W. Lebedzińskiego).

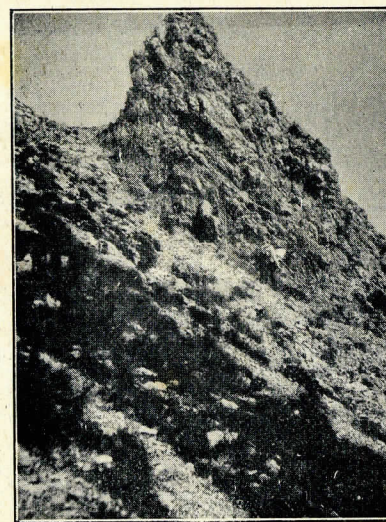
Biedna to biedna—ta nasza kraina,
Gdzie się chleb kończy, a woda zaczyna.

Wody tam istotnie nie braknie, mnóstwo bowiem wartkich potoków podąża z szumem i hałasem z gór w doliny. Są one bardzo ubogie w wodę w zwykłych warunkach, ale bardzo w nią bogate w czasie roztopów wiosennych lub zlew letnich. Ile to wówczas plonów ludzkich zabierze taka woda z pól; ile domów uniesie na swych falach, ilu ludzi pograży w nędzy!

Podhalanin kocha jednakże gorąco tę swoją nieurodzajną ziemię, chociaż, jak powiada Witkiewicz, żyje na niej przeważ-

nie powietrzem, głodem i wodą. Opuszcza ją nie rad i jedynie pod naciskiem konieczności, dla zarobku, ale wówczas tęskni za nią wszędzie i ciągle. Uprawia zaś ją ze strasznym zapałem i z tak wielkim nakładem pracy, że tylko jego wysiłkom należy wogóle zawdzięczać, iż tak stosunkowo wysoko sięga tu pas roli uprawionej.

Powyżej 1000 metrów uprawa zbóż nie udaje się już wcale z powodu niedostatecznej ilości ciepła i zbyt krótkiego lata.



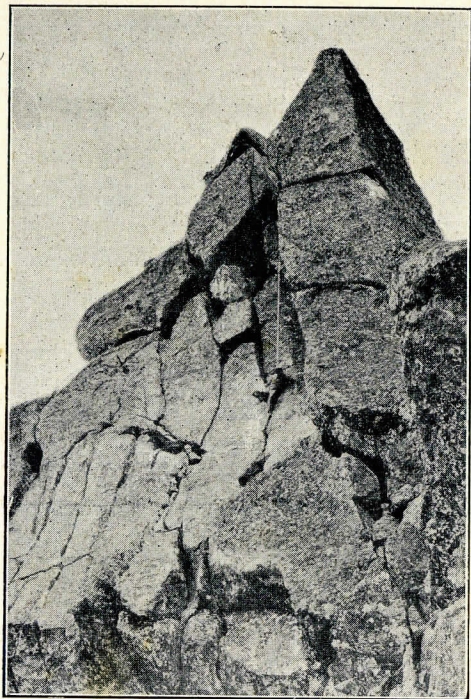
Sarnia Skała.
(Z fot. W. Lebedzińskiego).

Rosną tam jednak dobrze drzewa, zwłaszcza iglaste, pokrywając zwartym lasem boki Tatr, jak powiada Pol, „biodra Tatrów las osłania”. Ta kraina leśna nosi nazwę *regli* i ciągnie się do 1500 m. wysokości. W reglach do dziś dnia przechowały się niektóre zwierzęta drapieżne, jak niedźwiedź lub ryś, wytępione już dawno na nizinach.

Powyżej warunki życia stają się jeszcze cięższe, za ciężkie już dla drzew. Mogą się tam utrzymać jedynie rośliny niskie i drobne: karłowata sosna czyli kosówka, karłowata wierzba, jałowiec i inne krzaki, nadewszystko zaś trawy i zioła porastają

wysoko położone odsłonięte obszary, zwane *halami*. Rośliny zielne udają się tam znakomicie dzięki wilgotności hal; w lecie też wyglądają one, jak najpiękniejsze łąki, jak prześliczny zielony kobierzec, przetkany najróżnobarwniejszymi kwiatami.

Hale przedstawiają doskonałe pastwiska i dla tego co rok ściągają na nie góralscy pasterze czyli juhasi z ogromnymi sta-



Schodzenie z Mnicha przy pomocy liny.

dami bydła oraz owiec i spędzają tam całe lato pod wodzą bacy, to jest starego, doświadczonego pasterza.

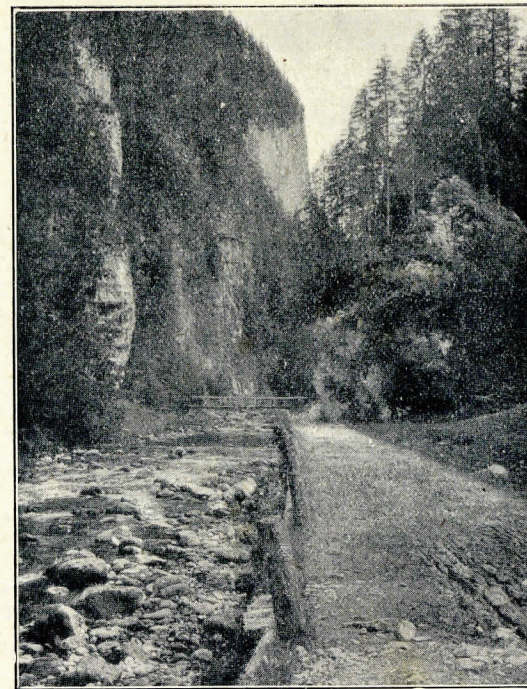
Powyżej hal ustaje prawie zupełnie życie i wznosi się ponura i martwa, ale wspaniała *kraina turni*, świat nagich górskich szczytów, strzelających dumnie wierzchołkami ku niebu.

W dali!.. jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki jak sny młodości—mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz—halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

(Franciszek Nowicki).

W krainie turni można tu i owdzie napotkać płyty śniegu,



Brama Kraszewskiego w dolinie Kościeliskiej.
(Z fot. W. Lebedzińskiego).

nie tającego nawet latem. Niema tam jednak stałych lodowców, jak w Alpach, a to dlatego, że najwyższe szczyty są zbyt strome, aby śnieg mógł się na nich utrzymać, pozostaje więc on tylko w niektórych zakłębieniach.

Ta surowa i zimna kraina nie jest jednak zupełnie pozbawiona życia. Tu właśnie znajduje się ojczyzna i miejsce pobytu górskich zwierząt: *kozicy* i *świstaka*. Spuszczają się one stąd

od czasu do czasu na hale, ale później umykają z powrotem pod turnie przed człowiekiem. Ludzie nadmiernymi polowaniami tak wytępilli te zwierzęta, że utrzymują się one jedynie dzięki opiece prawnej i zakazowi polowań.

Na turniach tatrzańskich zjawiają się nieraz, zwłaszcza w lecie, ludzie, którzy urządzają wycieczki umyślne w celu poznania wspaniałej górskiej przyrody. A jest co zwiedzać i oglądać w Tatrach! We wschodniej, wyższej ich części wznoszą się najwyższe i najniebezpieczniejsze szczyty: 45 turni przekracza tam 2400 metrów, a wśród nich 7—trzy szczyty *Garłucha*, *Łomnica*, *Lodowy*, *Durny* i *Kopa Lodowa*—mają po przeszło 2600 metrów. Zachodnie Tatry nie posiadają tak wysokich szczytów, najwyższy z nich—*Bystra* ma nie więcej nad 2250 metrów. Ale zato znajdują się tam nadzwyczaj urocze i malownicze doliny, w których szczególną piękną odznaczają się *Kościeliska* i *Chocholowska*.

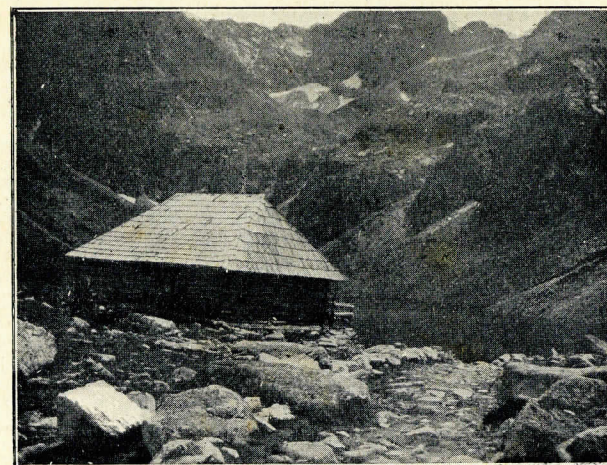
W krainie hal u stóp turni znajduje się mnóstwo (przeszło 120) mniejszych i większych *jezior*, zwanych przez górali stawami. Mają one czystą, jak kryształ wodę, mieniącą się przy odpowiednim oświetleniu różnymi barwami, zwłaszcza szmaragdem i szafirem. Cudownie też wyglądają na tle otaczających ponurych i groźnych turni, które się odbijają w czystym ich zwierciadle. Jeziora te występują przeważnie po kilka razem, ale leżą zwykle nie obok siebie, lecz piętrami jedno nad drugim. Tak nad słynnym *Morskim Okiem* położony jest *Czarny Staw*, nad innym *Czarnym Stawem* (pod Kościelcem) *Zmarzły Staw*; w dolinie *Pięciu stawów* piętrzy się ich kilka, jeden nad drugim.

Gdzie ty znajdziesz, w której stronie
Takie góry, takie tonie?
Takie wody pod górami,
Takie niebo nad wodami?

Miejsce, z którego odbywają się wycieczki w Tatry, do którego zjeżdżają się ludzie z całej Polski, pragnący poznać te nasze piękne góry—jest *Zakopane*, duża wieś podhalska, leżąca u samych stóp Tatr, u podnóża *Giewontu*. Uzdrowiający klimat Zakopanego stał się powodem, że obok turystów zjeżdżają

tutaj i chorzy. Powstało też tu w ostatnich latach sanatorium, zbudowane na słonecznych, południowych stokach góry *Gubałówki*, osłaniającej Zakopane od północy.

Bogactw mineralnych Tatry nie posiadają prawie wcale. To też jedynym źródłem utrzymania mieszkańców Podhala było do niedawna rolnictwo i pasterstwo oraz chodzenie „w równie” (niziny) za zarobkiem, gdy nędzne plony rolne zawiodły, jak to się bardzo często zdarzało. Lata głodowe należały, dawniej



Czarny Staw Gąsienicowy.
(Z fot. W. Lebedzińskiego).

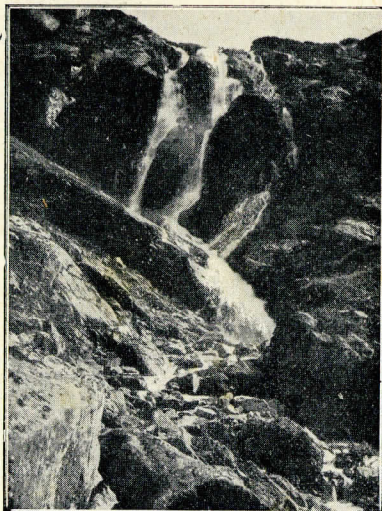
zwłaszcza, do bardzo pospolitych zjawisk na Podhalu, a wędrowka w niziny po zarobek—koniecznym środkiem ratunkowym.

Dawniej kwitło w Tatrach myśliwstwo, i górale należeli do nadzwyczaj zapalonych i wytrawnych myśliwych. Polowanie tu nie było bynajmniej zabawą: uganianie się za kozicami po trudno dostępnych turniach, stawanie oko w oko do walki z niedźwiedziem—wszystko to narażało nieraz na utratę życia, i góral myśliwiec musiał być nadzwyczaj silny, zręczny, przytomny i odważny, jeśli chciał wyjść cało ze wszystkich niebezpieczeństw.

Jeszcze i dziś są tutaj namiętni myśliwi, ale mogą oni po-

lować jedynie ukradkiem, polowanie bowiem w Tatrach jest obecnie ograniczone wielu zakazami.

Przed laty, jeszcze do połowy zeszłego wieku rozwinięte było w Tatrach zbójnictwo tak samo, jak i w wielu innych górach,

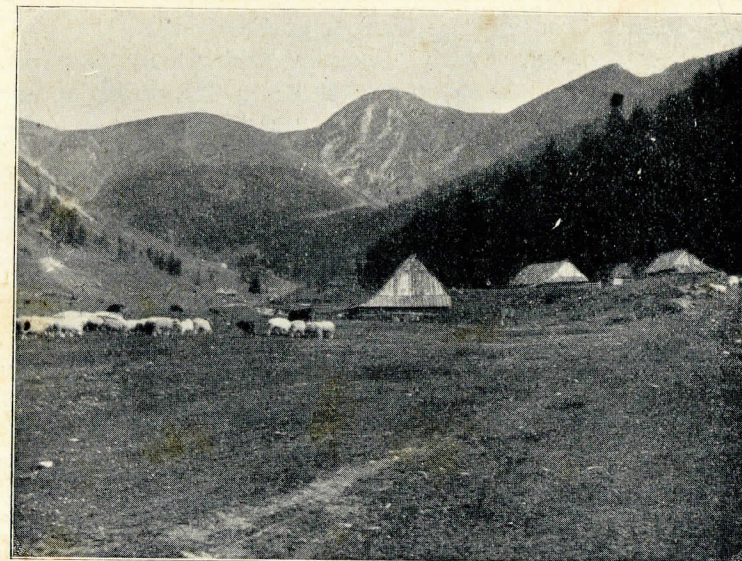


Siklawa wielka w Tatrach.
(Z fot. W. Lebedzińskiego).

gdzie ubóstwo kraju nie zabezpiecza ludności od głodu, a niedostępność kryjówek ułatwia schronienie się przed pościgiem.

Najgłośniejszym zbójnikiem był Janosik, który żył na początku XVIII wieku; ostatnim Mateja, zmarły zaledwie przed kilku laty, choć czynnym przestał być znacznie dawniej.

Dziś zbójnictwo należy do niepowrotnej przeszłości, a o zbójnikach słyszeć można jedynie w pieśniach i podaniach.



(Z fotograf W. Lebedzińskiego).

NA HALACH

(Ze Stan. Witkiewicza „Na Przełęczy”).

Wnętrze Tatr jest puste i bezludne. Tylko przez dwa lub trzy miesiące w roku pasą się tam stada, owiec, baranów i wołów, strzeżonych przez pasterzy, którzy koczują w halach.

Zamknięci za skalnymi progami, przez większą część lata ukryci w chmurach, prani deszczem, śniegiem, zasypywani gradem, ogłuszani piorunami, zupełnie na woli surowej natury, ledwo osłonięni dziurawym dachem i ścianami, przeświecającymi na przestrzał, żyją oni życiem twardym i dzikim, pasterskim życiem koczowniczych plemion.

Wszystko to jest tak różne od tego, do czego my, ludzie z dolin, przywykliśmy, iż trudno się oprzeć uwadze, że się patrzy na jakąś resztkę zanikłego świata, jakiś szczątkowy objaw archaicznych, niegdyś powszechnych stosunków i warunków bytu.

Kiedy już doliny zielenią się trawami i zbożami, przegina śniegi w górach, i zima wygląda tylko z ciemnych kominów i żlebów, wybierają się pasterze z „dziedzin“, ze wsi, na hale

Niebo wiosenne rozpina się ponad światem, ciepły wiatr przeciąga z za wirchów; brzegi potoków świecą się stokrótkami, dzwonekami, złocą się jaskrem i gwiazdami podbiału; potoki poździerały i uniosły, zawałające ich dna, bryły lodowe; budzą się też owczarze ze snu i odrętwienia zimowego. Jałówki i owce beczą i pozierają ku halom, a niestrzeżone uciekają z szopy w wirchy, między turnie, na zielone upłazki, na których wysypują się trawy i kwiaty.

W dniu umówionym, wszyscy gazdowie spędzają swoje owce na jedno miejsce, liczą je z bacą i zdają mu na jego odpowiedzialność.

Baca kropi owce święconą wodą, robi krzyż ciupagą *) na drodze i cały kierdel **) z bekiem i brzękiem dzwoneków, z naszczekiwaniami psów wędruje kamienistymi drogami, przez lasy ciemne, przez wirchy i jary, brnąc przez potoki, coraz wyżej, do szałasów na halach.

Białe, zbite stado, pstrzy się gdzieniegdzie plamami czarnych baranów; jeżą się rogi pokręcone, kiwają się garbate nosy, otoczone ogromnymi kudłami na skroniach, na podbródku i na łbie. Oczy świecą się zielono wśród mroku leśnego, pod oczyma czarne lub rudawe obwódki. Przednie nogi pokryte gładką, krótką sierścią; na zadnich kręcona i gęsta wełna sięga do samego kopyta. Tryki mniejsze od owiec, niosą na zgrabnych, garbatych łbach wielkie, wywinięte na boki, żłobikowane rogi.

Idą krowy łaciaste, jęcząc ogromnymi miedzianymi dzwonami, wiszącymi u podbródka; konie niosą na grzbiecie, przycepięte do terlic, rozmaite statki, graty i kotły mleczarskie.

Stary baca, sam z twarzą owczą, z długimi kręconymi włosami, idzie spięty pasem szerokim jak gorset, świecącym nabitymi guzikami i wielkimi mosiężnymi klamrami; przy nim bieży pies biały, kudłaty. Juhasi w czarnych, moczonych w tłuszczu koszulach, w kapeluszach, lśniących jak cerata od tłuszczu i brudu, w starych, zrudziałych od słoty i dymu ognisk cuhach ***) i portkach wytartych, z ogromnymi pasiatami torbami

*) Góralska laska z siekierką. **) Kierdel—stado. ***) Cuha—sukmana góralska.

wełnianemi, których długie na łokieć frendzle dyndają się im u kolan. Juhasi w pomarańczowych chustkach, w czerwonych płachtach, lub serdakach *) obcisłych na piersi, w granatowych spódnicach; nogi ich obwinięte białą szmatą do pół goleni i obwiązane czarną krajką, przytrzymującą kierpce **).

Cała ta pstra czereda, obwiana parami oddechów stada, drze się w jędrnym i czystym powietrzu, oblana słońcem, wesółą i budząca swymi śpiewami, piskiem piszczałek, dudnieniem kobzy echa, drzemiące w wąwozach i wnętrzach gór.

Można sobie wyobrazić, jak tym ludziom, którzy całą ziemię przesiedzieli beczynnie w brudnych, cuchnących izbach, których twarze zbladły i zzieleniały od lichego życia i braku powietrza,—można sobie wyobrazić, jak im pachnie powiew hal, jak im się śmieje to słońce, błyszczące w rosie na trawach, jak im gra wieczna muzyka wód żywych i czystych.

Nakoniec, przebrnąwszy moc potoków, przeszedłszy tyle gór, wydostali się ponad lasy i oto wchodzą na halę.

Szałas, zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z oddartym dachem. Czarne, zakopcone wnętrza, zasypywane śniegiem, zieje wilgocią i stęchlizną; przeszłoroczny popiół i węgle z watry, z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie, kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź, pasąc się na szałasisku, zazierał swoim czarnym ślepkiem przez szpary; jacy tu źli ludzie albo też samo „złe“ siedywało w tej pustce! To też baca, wchodząc do pustego szałas, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“!

Wogóle, całe to pasterstwo otoczone jest mnóstwem zwyczajów, noszących charakter tajemniczego obrządku.

Kiedy już zagnali owce do strągi, zagrody, baca bierze żarzące węgle, sypie na nie święcone ziele i żywicę, odkrywa głowę, żegna się i milcząc okadza strągę trzy razy, od zachodu na wschód, następnie wysypuje węgle przed strągą i z juhasami na klęczkach odmawia modlitwy. Przy dojeniu owiec, przy przecedzaniu mleka, przy robieniu sera odbywają się różne praktyki i nabożeństwa.

*) Serdak — krótki góralski kożuszek bez rękawów. **) Kierpce — obuwie góralskie.

Wreszcie dach naprawiony, w dołku przy drzwiach watra chwieje się czerwonym płomykiem, dym napelnia czarne poddasze, po kątach stoją statki, na ścianach wiszą płachty, szmaty, torby i cuhy: całe to ubogie gospodarstwo, dające się zwinąć w pół godziny i przenieść na grzbiecie jednego konia i kilku ludzi,—rozkłada się na paromiesięczne koczowisko.

We trzy dni po przyjeździe stad na hale zjawiają się gazdowie *), właściciele owiec i idą z juhasami na cały dzień na pastwiska dla przekonania się, jaka jest pasza i jaki udój, nazywa się to — przejść do miru. Kiedy owce przypędzą do dojenia, każdy gazda, wydoiwszy swoje do gielety, bierze dwa jednakiej miary patyki i na nich nacina znaki, jak wysoko sięgało mleko w gielecie. Jeden patyk zabiera z sobą, drugi zostawia u bacy. Na jesieni, gdy owce wrócą do dziedziny, patyk ten służy do porachunku z bacą. Ile tygodni owce były w halach, tyle razy napelniają gielekę wodą, na wysokość miary, oznaczonej na patyku, — wodę tę ważą: ile w niej funtów, tyle funtów sera ma baca oddać właścicielowi owiec. Sposób kontrolowania, jakkolwiek pierwotny—jest jednak dosyć skomplikowany.

Baca jest panem z ojcowską władzą na szalasie; jest on tak, jak i juhasi, płatny serkami, przyczem gazda dostaje mniej więcej jedną trzecią, a pasterze dwie pozostałe części letniego zysku.

KOZICE

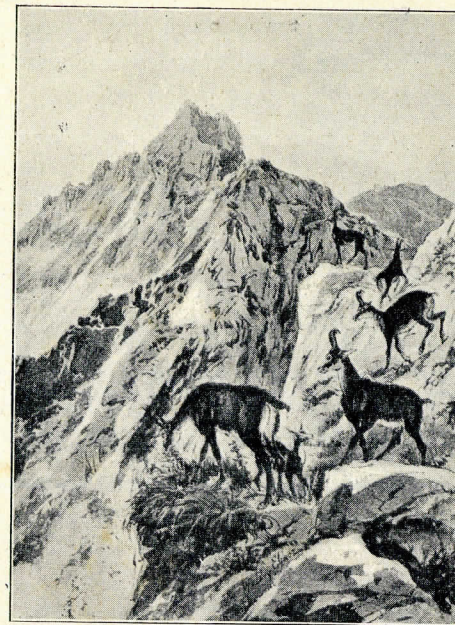
(M. Nowickiego).

Jak większa część innych przeżuwaczy, tak i kozice żyją gromadkami czyli, jak mówią górale, kierdelami, które rozrzucone po pustych turniach t. j. szczytach, niemniej je zdobią, jak różnobarwne kwiaty. Liczba kozic w kierdelu zmienia się, gdyż jedne przyłączają się do niego, inne się odłączają; niekiedy składa się on nawet z trzydziestu kozic. Kozice, tworzące kierdel, żyją z sobą w zgodzie i chyba czasem, walczą ze sobą—dla rozrywki. Składa się taka gromada zwyczajnie z matek, kozłat i capów, które tylko do czterech lat trzymają się matek.

*) Gazda—gospodarz.

Starsze capy, które często lat trzydzieści żyją i wtedy siwieją, tylko na wiosnę chodzą w towarzystwie kóz i młodych; przez lato żyją zwykle osobno już to samopas, już też po kilka razem.

Kierdel ma się zawsze na ostrożności, a dla tem pewniejszego bezpieczeństwa jedna z jego grona kozica stoi na straży. Zagrożony pierzcha. W miejscach przestronniejszych i wygod-



Kozice.

niejszych uciekają zwykle wszystkie razem, matki z kozłętami naprzód, capy za nimi; na miejscach wązkich sadzi jedna kozica za drugą, najczęściej gęsiego i tym samym szlakiem. Opowiadają strzelcy, że gdy przodująca w ucieczce skryje się poza górę, następna wietrzy jej trop, aby wiedziała, którędy za nią ma iść. Ubiegłszy spory kawał drogi, przewodniczka czasem stanie i gwizdnie; za nią stają inne i wszystkie oglądają się ku miejscu, skąd uciekły. Na odgłos strzału rozpierzcha się kierdel w różne strony, toż po uderzeniu piorunu, ale tylko z wio-

sny, bo do jesieni przywykają kozice do jego huków podczas burz.

Latem szukają kozice północnych, lub zachodnich zboczy gór, w innych porach roku przenoszą cieplejszą stronę południową lub wschodnią. Upały letniego unikają, trzymając się miejsc cienistych i chłodnych; w cieniu też zwykle na spoczynek legają. Szczególnie lubią bliskość śniegu i całymi godzinami po nim chodzą, choćby nań słońce świeciło. W nocy zostają tam, gdzie się pasły za dnia. Ich zwykła postawa okazuje nieustanną gotowość do natychmiastowej ucieczki. Gdy się układają na spoczynek lub nocleg, obierają do tego zawsze miejsce bezpieczne, z widokiem przed siebie i na boki; takie miejsce zowią Górale Tatrzańscy przeźrocznem. Iżby się kryły przed nawalnym deszczem i gradem, tego nie zauważono; gdzie je burza zaskoczy, tam zostają. Leżąc, trzymają głowę do góry, a spozierają ostrożnie ku szczytom i dolinom, wyteżają pilnie wzrok ku tej stronie, skąd posłyszają jakikolwiek głos, czy to odzywanie się ptaka halnego, czy łoskot spadającego kamienia. Takto, nawet spoczywając, mają się kozice zawsze na osrożności, a zarazem i na pogotowiu do ucieczki, zwłaszcza gdy przebywają w okolicach, gdzie są płoszone, albo takie, na których zgubę człowiek już się zasadzał.

Skoro tylko ku zimie śnieg w turniach zacznie padać (kurzyć) i całkiem je okryje, zasypując coraz niżej pasniste hale z kosodrzewiną, kozice nie mogą dłużej tam bawić, schodzą coraz niżej, wreszcie szukają sobie schronienia, gdzieby zostać mogły na zimowisko. Najchętniej układają się pod rozłożystymi świerkami, których konary, sięgając prawie aż do ziemi, ochraniają suchy porost trawny od przypróśzenia go śniegiem. Atoli jak na zimno i mróz wytrzymałe są kozice, tak i na post długi dziwnie są wytrzymałe.

Ale zato, kiedy ciepło wiosenne stopi nieco całun śniegowy, pokrywający góry, a szczyty już tu i owdzie staną się przystępnymi, znowu kozice w całej pełni używać zaczynają powabów swego życia. Przebiedowawszy zimę, opuszczają co rychlej swe zimowiska i wracają pełne otuchy do swych rodzinnych wysokości, racząc się trawką, świeżo odrastającą.

SABAŁA I NIEDŹWIEDZIE

(Ze Stanisława Witkiewicza „Na Przełęczy“).

Takie było dawniej życie w Tatrach!

Dziś to się skończyło, może na zawsze; niema ani takich ludzi, ani tyle niedźwiedzi. Tylko z opowieści Sabały dolatuje „hruby bek“ ranionego niedźwiedzia, echa strzałów i przekleństw, które niegdyś wstrząsały ciszą skalnych pustaci; obrazy tych walk śmiertelnych ludzi z ludźmi i ze zwierzętami.

„Kany myśmy się zwidzieli, to abo ja twój, abo ty mój“!

Takie polowanie to nie jest sport, nie jest tylko zamięłowanie do strzału—jest to często walka o byt, między dwiema różnymi istotami, które siebie traktują na równi.

W walce tej idzie o skórę, o wątrobę drgającą, wyprętą nożem z pod żeber, o mózg z czaszki, rozłupanej łapą, uzbrojoną pazurami.

On, to znaczy Niedźwiedź. Ten mieszkanić hal dzikich, ciemnych lasów i głębokich kolib^{*)}), gazdujący w obszarach górskich po swojemu.

„To ma swoje dogadania i swój sposób, jako i ludzie“. Nie sieje, nie orze, nie kosi, nie juhasi, a ma wszystko.

Na wiosnę, latem chodzi „w cuze potarganej jak dziad“, biedy jednak nie cierpi.

Jak mu potrzeba, bije owce po halach, zje jałowkę „na lotku“, zje borówki, rozmaite korzonki, ścina tłustą trawę na szałasiskach; jak mu się chce, idzie na owies do dziedziny. Z ostatniej nędzy, przed zimą, je „glony po źródłiskach, albo sywarek ka najdzie“.



*) Koliba—szałas pasterski, schronisko, kryjówka.

Na wiosnę pasie się po koplach, na słonku młodą trawką. Ma on swoje upodobania i obyczaje, których się stale trzyma. Na dwa tygodnie przed Godami idzie do dziury, — w pogodę nie rad to czyni—na zimowe leże. Obiera sobie kolibę gdzieś w niedostępnych skałach i gąszczu.

Nałamie smreczyny *), układzie ją pięknie drobnymi gałązkami do środka, zaś potem naściele szywaru, mchu miękkiego, i leży; żeby miał łapę ssać—to plotka.

Zresztą jest „greczny“, bo jest tchórz i „zdrowego nie masz co się bać, cheba, jak się postrzeli a obali, to potem skoczyć obces do ciebie“.

W tem właśnie nieszczęście, że nikt w Tatrach jego zdrowia nie szanuje.

Ledwie niedźwiedź odrośnie od ziemi, już nań czyhają wszyscy, ile ich jest w górach, tacy co umieją flintę **) podnieść do zębów, tak z naszej, jak i z Liptowskiej strony, tak z Orawy, jako i ze Spiża. I jeszcze potem wymyślają, że jest „plugac“, „nieobitelny dzwierz“, że nie gnieździ się i nie siedzi na miejscu, że się „z nim trudno zwidzieć“!

Sam Sabała w walkach, staczanych głowa na głowę, zabił trzynaście! A ileż z potarganemi kudłami, z laskami w ciele, albo kulką, która trafiła za nisko, nie „na kumotę ku sercu, ino na bandzioch popod tę przegrodę, co jest przegroda w każdym zwierzęciu“—ile takich poszło „z bekiem“, konało w długich męczarniach głodu i bólu, i zginęło bez wieści!

I tylko o jednym niedźwiedziu Sabała mówi: Trzysta dyabłów zjadłeś, toś ty mędrzy, „jako ja, kiejs ty potrafił wystrzelić, to ty potrafiś i nabić“!

Temu jednemu udało się wyprowadzić w pole przebiegłego nieprzyjaciela, zjeść przynętę, obstawioną pięciu nabitemi i połączonemi drutem strzelbami i pójść zdrowo na borówki.

Inne ginęły niechybnie od kuli, od lotek, albo złapane „do oklepca“, z którego mogły się wydostać, chyba urwawszy część łapy, uwiecznionej w żelazo.

I nie ma on tej nawet pociechy, żeby mógł słuchać opowiadań Sabały o sobie, tych wspaniałych epopei, w których jest

*) Smreczyna, smrek—świerk. **) Flinta—strzelba.

jedną z najgłówniejszych osób, które jego nieszczęścia opromieniają sławą i nadzwyczajnym urokiem poezji.

(Sabała był to zmarły przed kilkunastu laty góral z Zakopanego, który w nadzwyczaj pięknej i oryginalnej formie opowiadał gwarą góralską opowieści z życia górali za jego młodych lat).

MORSKIE OKO

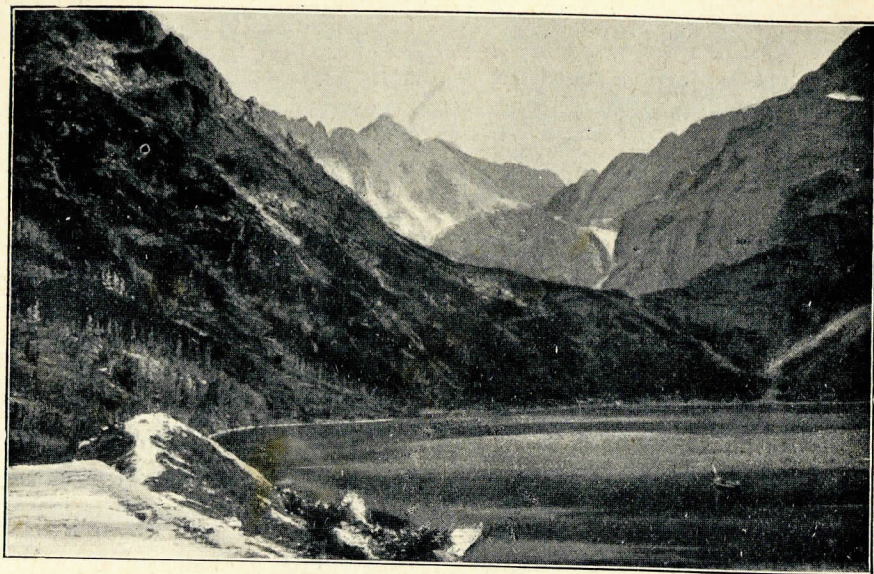
(Kazimierza Tetmajera).

Pogodne, ciche, jak duch, co tonąc w marzeniu
Leci w sfery spokojne, burzliwe ominie
Lśni jezioro zamknięte w granitów kotlinie,
Jak błyszczący dyament w stalowym pierścieniu.

Słońce nad obłokami po nieba sklepieniu,
Jak orzeł nad żorawi lotnem stadem płynie;
Granity się malują w przejrzystej głębinie,
Niby obraz przeszłości odbity w wspomnieniu.

Widziałem to jezioro, gdy po nieba sklepie
Wicher gnał czarne chmury, wyjąc w skalnej głuszy
Podobny lwu, co ściga bawoły po stepie:

Skrami z pod kopyt błyski z chmur wylatywały,
Grzmot zdał się rykiem. Woda bijąca o skały,
Była, jak duch, co więzy targa, a nie kruszy.



RANEK NAD MORSKIEM OKIEM

(Ze Stanisława Witkiewicza „Na Przełęcz”).

Ranek. Jasne, nikłe, prawie bezbarwne niebo, rozpina się nad szczytami. Wszystko jest blade,—w rozproszonym świetle poranka znikły wszystkie cienie. Szarawomleczne turnie wznoszą się dokoła gładkiego jeziora, — tak gładkiego, że odbicie w wodzie nie różni się niczem od rzeczywistych barw i kształtów,—nie wiadomo, czy świat piętrzy się w górę, czy zapada w bezdnie. Woda nie ma żadnej swojej barwy,—niknie — jest tylko najczystszym zwierciadłem bez skazy, w którym się przeglądadają szczyty, które w swojej jasności, wyraźności każdego żlebu, turniczki, rysu, brzeżka zdają się zbliżać, skupiać się ze-wsząd ku wodzie. Na kamieniach, na deskach dachu i promu, na liściach traw, wrzosów, paproci, na kępach mchów bieli się szron gęsty; lekki opar przesłania ciemne krzaki kosówek, pnie limb *) i smreków. Wszystko zdaje się dążyć do unicestwienia się, do roztopienia się w bladym niebie,—świat wyglą-

*) Limba—gatunek sosny, rosnącej w Tatrach.

da, jak gdyby bladł, mdlał, konał, jakby jeszcze coś niecoś widział oczyma, które przesłania mgła śmierci.

Nagle, na szczycie najwyższym zapala się krwawy ogień, jeden, drugi—dziesiąty, pożar rośnie, ogarnia wirch cały, który przez chwilę zdaje się żarzyć jak piramida tlejących węgli.

Łuna rozlewa się coraz szerzej i stopniowo traci odbłask czerwony—staje się pomarańczową, żółknie—bieleje. Jednocześnie dno doliny ciemnieje, — lasy nabierają barwy granatowej, cienie żlebów, strome ściany turni i szkarp skalnych błękitnieją; po jasnej, zwierciadlanej powierzchni jeziora przebiega jakieś drżenie i cień zielonawy przesłania jego wody. W miarę jak wstające szybko słońce coraz jaśniejszem, czystym białym światłem oblewa górne kończyńy ścian skalnych, Morskie Oko coraz ciemnieje, granatowieje, a po brzegach świeci się smugą jaskrawego seledynu.

Słońce z za wschodniej krawędzi Żabiego wirchu pędzi szybko do góry. Zasłona cieniów opada coraz niżej z Mięgu-szowskich turni. To, co w pomroce wieczornej zdawało się równą ścianą, teraz oświetlone skośnymi promieniami słońca, wygląda jak bok gotyckiego kościoła, najeżony szkarapami, gzęmsami, wieżyczkami. Cień osuwa się jeszcze niżej, już światło sięga wielkich usypisk gruzów granitowych, które od brzegu jeziora wznoszą się do ścian turni wielkimi piramidami, bielejącymi się u góry wieczystym śniegiem, o który właśnie drasnęły ostre promienie słońca. W tejże chwili olbrzymi snop światła wytrysnął zza ciemnych skał i upadł na brzeg jeziora w stronie Rysów. Wszystko dokoła ściemniało,—woda jeziora zamroczyła się, jak gdyby w niej zatopiła się noc bezksiężycowa; lasy zczerniały i tylko tam, u przeciwnego brzegu, wysunięty skrawek ziemi błyszczał, na tle ciemnego aksamitu, jak srebro, mienił się tęczowymi blaskami, jak brylant, świecił, jak elektryczne ognisko. To słońce stopiło kryształ szronu i drgało w ciężkiej rosie, zalewającej mchy, trawy i kiście borówek i korony limb, które jak białe płomienie zapalały się, gdy ich dotknęła pożoga słonecznych blasków.

Jeżeli kiedy Morskie Oko naprawdę jest podobne do oka, to w tej chwili. Otoczone jasnymi gruzami granitów, niby białkiem, ze źrenicą czarną w środku, rozchodzącą się do brzegów

przezroczytymi tonami seledynu, z tym połyskiem słonecznym zdaje się patrzeć w niebo z pod szarej skał powieki.

Poprzez smugi świetlne, drżące w lekkim oparze, wznoszą się wysoko równe ściany Rysów — mgliste, powietrzne; słońce wpada w kotlinę Czarnego stawu i świeci się tam, jak gdyby poza skalnym ciemnym progiem żarzyła się lampa elektryczna, promieniująca gwałtownie na skały, których każdy załom i występ rysuje się ostro i wyraźnie.

Jezioro leży ciche, gładkie, chłonąc wszelkie blaski. cienie i barwy ciemnych skał granitowych, srebrzystych śniegów, szarych usypisk piargów *) i czarno-zielonych kosodrzewin. U brzegu, z pod seledynowego przeźroczka, przezierają jasne kamienie; na głębi, od czasu do czasu, pluskają pstrągi, rozcinając srebrnymi kółkami granatowy atlas wody.

Z WYCIECZKI NA ŚPICZASTY.

(Tadeusza Radlińskiego).

Ostro i rzeżko idziemy w zimnem powietrzu, na trawie wszędzie szron biały — górski termometr (13-go lipca!). Gdzieś niedaleko słychać przenikliwy gwizd świstaków, które uciekają w zabawnych człapiących podskokach. Widzimy parę kozic pyrgających popod Kosówkę; zwierzęta te mają wielką sympatię u górali: nie zdarzyło mi się widzieć, żeby góral, wypatrzywszy kozicę, nie stanął aby jej się przyjrzeć, zaopiniować, w którą dąży ona stronę lub zaśpiewać o „kozickach“ (o ile to śpiewem nazwać można).

Szybko unosząc się w górę, mijamy linię lasów iglastych i kosówek, pozostawiamy z lewej strony dolinę Suchą, idącą wprost po pod Lodowy, którego szczyt rzuca olbrzymi cień na całą dolinę, „wywijamy“ na lewo po coraz spadzijszych „upłazkach“, pozostawiając po prawej ręce Jaworowe turnie i skręcamy w lewo, to jest na wschód, w ostatnią kondygnację doliny

*) Piargi — żwir i drobne ostre kamyki, pokrywające stoki gór i osuwające się na dół za łada potrąceniem.

Jaworowej — t. zw. Zadnią dolinę, której dno, Żabim Jaworowym Stawkiem (jeziorkiem) ozdobione, wznosi się na 1900 metrów nad powierzchnię morza, czyli, stojąc na dnie doliny, jesteśmy mniej więcej na wysokości szczytu pocziwego Giewontu. Dolina zamknięta jest ze wszystkich stron przez niedostępne szczyty, tworzące jakby czworobok murów fortecznych, potężnymi basztami wzniesionych. Jedną z potężniejszych baszt tego zamczyska — to Mały Lodowy (2466 m.), wznoszący się w południowo-wschodnim narożniku — na północ od niego poszczerbiona grań obniża się w Przełęcz Lopową (2380 m.), za nią Kopa Lodowa (2611 m.), skąd granią zębatą wciąż w górę dosięga Lodowego szczytu (2630 m.).

Od Małego Lodowego na zachód grań obniża się znacznie, tworząc nadzwyczaj spadziwą przełęcz Białą Ławkę — za nią pionowa wieżyca — to nasz Śpiczasty (czyli Ostry szczyt, 2356 m.) — dalej grań ostra i zębata do Jaworowego szczytu i Jaworowych turni, które z tyłu za nami pozostały.

Żadna jednak topografia nie da pojęcia o rzeczywistym wyglądzie doliny, która przez swą niesłychaną dzikość i śmiertelną pustkę czyni wprost przygnębiające wrażenie. Jeśli kto pragnie namacalnie wyobrazić sobie całkowitą śmierć przyrody, absolutny brak życia i straszną lodem przejmującą nicość, niech postara się znaleźć o wschodzie słońca w tej obumarłej dolinie. Jakaś straszliwa pustka, jakiś brak nadziei i smutek bezbrzeżny wieje od tych szarych rumowisk, gdzie każdy złom granitu do innych jest podobny, gdzie żadna skała się nie wznosi ponad usypisko, jakby bojąc się swą indywidualnością naruszyć tę okropną, martwą jednostajność! Ostre kontury potrzaskanych granitów nacierają się gdzieś w tej olbrzymiej przestrzeni; ani jednej roślinki nigdzie, ani płatka śniegu; wszędzie też same potrzaskane szare granity, zmęczone oko nie ma gdzie spocząć, i wzrok cofa się z przestrachu w głąb wylekłej duszy: niegościnna, szara martwota — zimna i bezlitośna śmierć! Wrażenie potęguje się jeszcze przez cień ponury (gdyż grań Lodowego od wschodu słońce nam zasłania) i przejmujący do szpiku kości chłód — jest 7° C. niżej zera, pomimo że dziś 13-go lipca.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu tak strasznie zmarzł, jak w tej dolinie śmierci. Stojąc, a właściwie drepając w miejscu w celu rozgrzania się, spożywamy naprędce zimne

śniadanie, zostawiamy wszystko, co nas obciążać może, pod kołębą *) i, biorąc ze sobą jedynie zwój liny i ciupagę, puszczaemy się w górę.

Zostawiając po lewej stronie gruzami zasłane wyniosłości Małego Lodowego, a szczyt Śpiczasty na prawo, chcemy przejść przez przełęcz Białą ławkę na południowy jej stok, na t. zw. Strzeleckie pola i dokładnie obejrzeć Śpiczasty od strony południowej. Wspinamy się tedy w górę po prawie prostopadłej ścianie tak, że idący z tyłu dotyka literalnie nosem do pięt poprzedzającego. Robi to wrażenie pięcia się na jakiś olbrzymi mur, którego granitowe cegły wielkości wzrostu ludzkiego luźno ze sobą spojęne, tworzą zlekka tylko od pionu odchylającą się ścianę. Szybko, zwinnie, żwawo zdobywamy piędź za piędzią, cegłę za cegłą tego muru tytanów, nieprzeparta jakaś siła pcha nas naprzód i unosi w górę — tam wyżej i wyżej — dalej od tej doliny śmierci, tam w górę, gdzie bliżej do złotego słońca i nieba błękitnego!

Dalej naprzód! Patrzcie, jak cudnie złoci się ów olbrzymi koń **) granitowy nad nami w promieniach wschodzącego słońca, a myśmy tu w chłodnym cieniu pogrążeni, zmarzli i drżący! Naprzód! prędzej skapać się w jego życiodajnych promieniach i blaskiem się jego napoić! Oto ostatni skok przez ziejącą chłodem rozpadlinę między dwiema ścianami z granitu, i jesteśmy na „ławce“. Żadne pióro opisać nie zdoła wrażenia; jest ono wprost olbrzymie. Pod nami prostopadle prawie opada ściana czarnych, wilgotnych granitów — i wprost wierzyć się nie chce, żeśmy przecież przed chwilą zrobili tę niepodobną zda się do przebycia drogę, i oto teraz stoimy na fantastycznie poszarpanym grzebieniu grani, kąpiąc się z rozkoszą w gorących promieniach wszechpotężnego słońca. O jakże silnie odczuwa się potęgę jego! Jak cudownie podnosi ono kontrasty białego światła i czarnej otchłani! Jak olśniewający jest blask jego w tem

*) Schronisko; tu kryjówka pod głazem.

**) Koń — olbrzymi kamień lub skała na grani, przeważnie ostrym kantem w górę stercząca, tak, że idąc granią, często trzeba się po niej okrakiem posuwać (kto nie zaryzykuje, oczywiście, przejść równymi nogami po wązkim kancie). Znany powszechnie jest olbrzymi „koń“ przy wejściu na Lodowy od Pięciu stawów.

rzadkiem górskim powietrzu — jak gorące promienie! O sole mio, wybiega z piersi pełen namiętności i uwielbienia frazes popularnej piosenki neapolitańskiej! Dzięki nadzwyczaj silnym kontrastom świetlnym zdaje się, żeśmy raptem zostali przeniesieni na księżyc; tu olśniewająco białe, drgające życiem potoki światła — tam czarna, przeraźliwa pustka i chłód — przejmująca cisza i potęga śmierci. Wrażenie nigdy dotąd nie odczuwane, olbrzymie — wstrząsające!

WIATR HALNY.

(Stanisława Witkiewicza).

Aż jednego dnia, z za zrębu Tatr, zaczynają ukazywać się kłębki białych obłoczków, lecących szybko i roztopiających się w słońcu. Nagle, od regli przeciąga gorące, duszne tchnienie, jedno — drugie, — znowu cisza, — znowu gwałtowniejszy gorący oddech, las pochylił się, jak łan zboża, jękły ściany i dachy chałup, żalosne wycie zaskomliło u węgła, ponury, potężny szum, jak szum fali morza, zerwał się z targniętych gwałtownie koron jesionów — to Wiatr halny, wróg zimy i zwiastun wiosny.

Ponad Giewontem kłębi się potężny wał chmur, sypiąc się z rozpaczliwym musiem w mroczną głąb dolin; księżyc, poza lecącymi mgłami błyska, ginie, mającżeje światłem i mrokiem; w rozdartych kłębowiskach chmur, na czarnym błękitie nieba drgają przerażone gwiazdy. Ruchomy mrok kotłuje się w reglach i z cieniem chmur przelatuje po śniegu, leżącym ocieźale w świetle przymglonem półcieniami fioletowej gazy. Gdzieś skrzy się potok blaskami księżycy i para smreków, targana burzą, gnie się, szarpie się, słania się do ziemi, targa się i szamoce w rozpaczliwej niemocy. Ze śniegu, topniejącego pod dusznym, gorącym tchem wiatru, nie zrywa się żaden pył zadymki, tylko z drgającej pozłotą fali potoku, wylatują, jak płomienie, strzępy porwanej przez wiatr wody, rozpylonej w mrokach przelatujących cieni. Chwilami, z tego nawału burzy, wydiera się jak zgrzyt namiętnej złości, jakiś osobny, wściekły, kręty, wirowaty podmuch, ciska się w las i z nieprzytomną pa-

szą łamie smreki, walące się tysiącami, z traskiem karabinowego ognia.

Wół chmur, bez przerwy, wali się łbem na dół przez Tatry, nad nim szarpia się i ulatują gwałtownie w górę jego strzępy, pokrywając promienie księżyca. Przelatujące chmury odsłaniają świat, srebrzący się w śnieżnej bieli, porozrywanej żałobnymi plamami czarnych, odartych z okiści lasów. Poświsty, wycia, szum smreków, ryk jesionów, huk zasp, spadających z dachów, wszystko zlewa się w olbrzymi ryk oceanu, szturmującego skaliste twierdze łądów.

A kiedy wstające słońce wyjrzy gdzieś z za Spiskiej turni, w jego blaskach widać ogromne płaty rudej ziemi, widać odkryte stoki południowe i podarte płachty zimy w dolinach i poza północnymi zboczami widać las zgruchotany, zawalający drogi, zasypany gałęziami i cetyną, która pachnie jak wianki żałobne pogrzebów.

Wściekle zęby wichru potargały zimę na strzępy, ale tylko w dolinie, bo na Tatrach jeszcze leży pokrowiec śniegowy, gdzieś tylko rozpruty przez ostry zrąb grani i iglice wirchów.

(Wiatr halny jest to ciepły, a nadzwyczaj silny wiatr, wiejący od gór na Podhale. W zimie sprowadza on odwilż i topi ogromnie prędko śniegi; w lecie przynosi ze sobą deszcz. Jest tak potężny, że wyrывa z korzeniami drzewa, znosi dachy z szałasów, przewraca ludzi, których zaskoczy na otwartej przestrzeni, i wogóle zrządza znaczne spustoszenia).

POZDROWIENIE.

(Kaz. Tetmajera).

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! nad wzgórze, pola nieś
Me pozdrowienia stąd,
Rodziną moją pozdrów wieś
I Dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat;
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiącach
Mój cały górski kraj.

3. BESKID NIZKI.

RZUT OKA OGÓLNY.

Beskidzie graniczny! Beskidzie zielony!
Od Boga pomiędzy narody rzucony!
Coś źródła podzielił na morza, na dwoje,
O powiedz mi, powiedz! czy jeszcze twoje źródło
Tak żywo jak dawniej i grają i pienia?
Czy łąki się twoje jak dawniej zielenia?
Czy szumią twe lasy jak dawniej wesoło?
Czy trzmielą tak smukło te świerki wokoło?
Czy sklepią się jeszcze twe buki jak wprzód?
A jawor — czy chyli się jeszcze do wody? —

(W. Pol).

Poczynając od Babiej Góry, Karpaty stają się coraz niższe, w miarę posuwania się ku wschodowi. Największego obniżenia dosięgają one poza wylotem Popradu i przełęczą Tylicką, w środkowej części swojej, zwanej *Beskidem Nizkim*. Obniżenie staje się tutaj tak znaczne, że ta część Beskidu zasługuje raczej na nazwę wzgórze, niż gór. Najwyższe wzniesienia przewyższają nie o wiele co 800 metrów, przełęcz zaś głównego grzbietu mają zaledwie po 500 metrów.

Z powodu mniejszego wzniesienia kształty gór są tu ła-

godniejsze, szersze i mniej urozmaicone, niż w Beskidzie Zachodnim, nie dorównywały mu też malowniczością. Odpowiednio do tego i doliny mają łagodniejsze spadki, są szersze i rozleglejsze, mniej ładne od tamtych, ale zato żyzniejsze i odpowiedniejsze na mieszkanie dla ludzi. To też kraj tu jest lepiej zagospodarowany i bogatszy.

I tu znajdują się również solankowe źródła lecznicze w *Iwoniczu* i *Rymanowie*; wypływają one podobnie, jak i te, któreśmy widzieli na zachodzie, z pokładów soli, ciągnących się wzdłuż całych północnych stoków Karpat.

Przez tę część Beskidu prowadzą najdogodniejsze, bo najniższe przejścia na Węgry: *Dukielskie* i *Łupkowskie*. Oddawna też odbywa się tędy ożywiony ruch z jednej strony Beskidu na drugą. W ostatnich czasach przez przełęcz Łupkowską przeprowadzono kolej żelazną z tunelem, skracającym i ułatwiającym jeszcze bardziej komunikację.

NA ODPUST ZA BESKIDEM.

(Z Wincentego Pola „Obrazów z życia i natury“).

„Do Monasteru! do Monasteru! za Beskid! za Beskid!“ Tak mówiono sobie już od dwóch tygodni: z każdej wsi, zwłaszcza bliżej Beskidu leżącej, zmawiały się wielkie gromady do Monasteru na odpust.

Było to święto Matki Boskiej Jagodnej. Prześliczna sprzyjała pogoda, i w wilię święta Matki Bożej wyruszyliśmy gromadnie od dworu ku Beskidowi, gdy pierwsze promienie słońca zaledwo szczyty najwyższych oświeciły gór... Co było koni we dworze, wszystkie poszły pod siodło; sołtys jechał przodem i prowadził na ścieżki i działę. Wielkie gromady świątecznie strojnego ludu ciągnęły wszystkimi ścieżkami i dolinami na Beskid!... Gdyśmy się na działę wybili, leżały pod nami głęboko w dolinach po jednej i po drugiej stronie wsie i dwory — i całe góry roiły się żywą rzeszą — wszędy wesołe ruchy i głosy, swobodne twarze i uśmiech na twarzy. Wszystko płynęło ku Beskidowi w górę potokami i żłobami, następnie na krótsze ścieżki i działę

ły — ale coraz wolniej, bo coraz naglej podnosił się Beskid. Czem bliżej Beskidu, tem częstsze przestanki, tem głośniejsze hukania, grania na ligawkach i fujarkach, tem łączniejsze chóry:

Beskidzie zielony
W trzy rzędy sadzony...

Otóż to poezja życia! — pomyślałem sobie, gdyśmy w końcu na grzbiecie Beskidu stanęli, i oddychałem całą piersią tem życiem wielkiej rzeszy ciągnącej za Beskid! — Sołtys kazał wyciąć smukłego świerka i kazał go nieść smukłemu parobkowi, jak chorągiew przed sobą...

Grzbietem zielonego Beskidu doszliśmy po niejakej chwili do bitego gościńca, który tu brał przewał ku Węgrom. U stóp naszych leżała słoneczna kraina na południowej zbocz, i cały widok zmieniał się tu odrazu, nasze czarne świerkowe lasy przechodziły w cieniste buczyny i grabowe gaje, wiatr ciepły pociągał od Dunaju — a łany zbóż w oddaleniu były już płowe, kiedy u nas stały jeszcze jak ruta zielone. Spadek gór ku Węgrom był bardzo nagły, ale sztuczny gościniec był bardzo łagodnym spadkiem prowadzony. Kilkaset sążni za Beskidem stała wielka węgierska gospoda obmurowana z całem obejściem i zamknięta, jak kasztel.

— Inszy kraj, inszy obyczaj — mówił do mnie sołtys, pokazując na gospodę. Tu, panie, trzeba nam zebrać ludzi naszych do gromady.

I kazał w znacznem oddaleniu na czystej polanie naprzeciw gospody zabić świerk. Wszyscy, co nas było jezdnych, zebrałiśmy się w kilkanaście koni około tego świerka, sołtys wypalił na wiatr ze strzelby — za jego przykładem wystrzelaliśmy ładunki ze wszystkich strzelb i pistoletów, poczem się ludzie nasi poczęli ściągać i obsiadać całą polanę dokoła świerka... W przeciągu godziny może dochodziły coraz nowe gromady i jak daleko okiem zasięgnąć było można, po las, dokoła gospody i wzdłuż drogi obsiedli ludzie cały Beskid zielony.

Cóż to za widok — tej rzeszy jednego rodu, jednego stroju, ubranej świątecznie, poruszającej się wielkimi falami na takim tle natury!

Konie nasze były już wychłódły — i po godzinie, gdy ludzie

z naszych wsi już wyszli byli na Beskid i ściągnęli się do gromady pod świerkiem, można już było ruszyć dalej, ale sołtys mówił mi, że tutaj przebędziem obiad i południe i że do Monasteru pociągniemy dopiero na nieszpór.

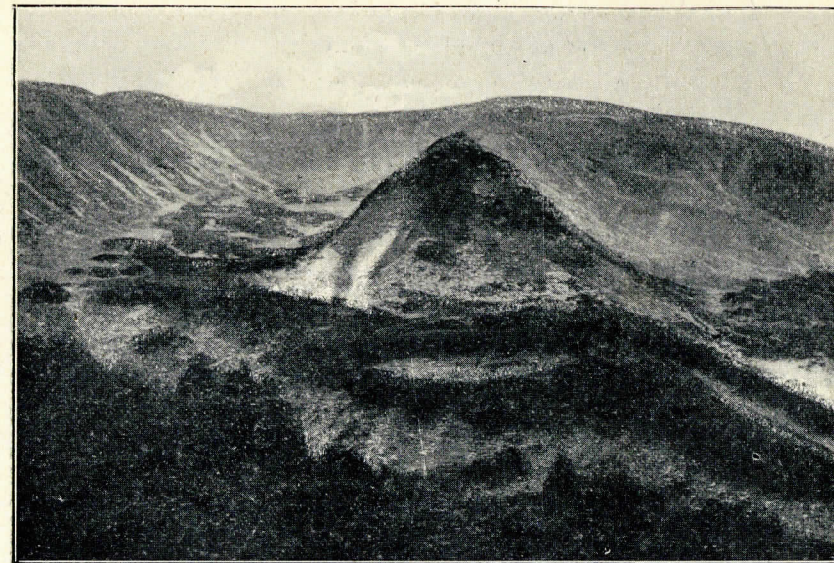
Przed wielką gospodą stały zastawione stoły z jadłem i napojem, były także kramy z odpustowymi towarami, a wszystko to było już zupełnie inne jak u nas: i towary, i ludzie, i rodzaj targu.

Poczęli się ludzie przysuwać do stołu, kupując chleb, bułki, pijąc śliwovicę i wino, a zającując węgierską wędlinę ze studzionymi nogami. Co było owoców, wszystkie rozkupiono w parę godzin, z południa były stoły próżne i kramy rozebrane. Joszka *) chwalił sobie targ i gościnę, kilkunastu domowników wystarczało zaledwo na usłużenie tak wielkiej liczbie ludzi; każdy też płacił, biorąc na stronę jadło lub napoje, a naczynia i szkło odbierali domownicy dopiero na końcu od każdej gromady.

Okolo czwartej godziny z południa ruszyliśmy z Beskidu. Gdy już niedaleko Monasteru było, dobyły bractwa chorągwie z pokrowców — czekało też i kilku księży już tutaj na ludzi. Myśmy zsiadli z koni i w okazałej procesji z rozwiniętymi chorągwami, śpiewając pieśni do Matki Bożej, ściągnęliśmy do Monasteru na nieszpór. Przeszło 30.000 ludzi było tu zgromadzonych, a prócz dzieci przystępywali wszyscy nazajutrz do Sakramentów. Wszystko nocowało pod gołym niebem, albo w poblizszych wsiach, u starych znajomych. Dnia trzeciego, po mszy wyruszyliśmy z powrotem.

(Jest to wyjątek z opisu podróży W. Pola po Beskidzie Nizkim, odbytej koło połowy zeszłego wieku).

*) Właściciel gospody.



Kotły pod Kozłami.

4. BESKID WYSOKI.

POGLĄD OGÓLNY.

Na południu w jasne chmury
Wystrzeliły sine góry!
Za górami, za lasami
Poszedł Beskid granicami!
Wziął się, kędy Wisły źródła,
A zaginął w „Czarnym Lesie“,
Kędy zwiń się w gawrach kudła,
A ku równiom Świca *) rwie się.

Tam to szumią górskie wody,
Wierzchem ćmią się jaworzyny,

*) Świca — dopływ Dniestru, wypływający z Beskidu.

I woń ronią połoniny,
I jelenie wieją chłody!
A Beskidem płyną chmury
W czarne lasy, sine góry...

(W. Pol).

Od przełęczy Łupkowskiej wysokość gór zaczyna się znów powiększać, i z Beskidu Nizkiego przechodzimy w Beskid Wyso-



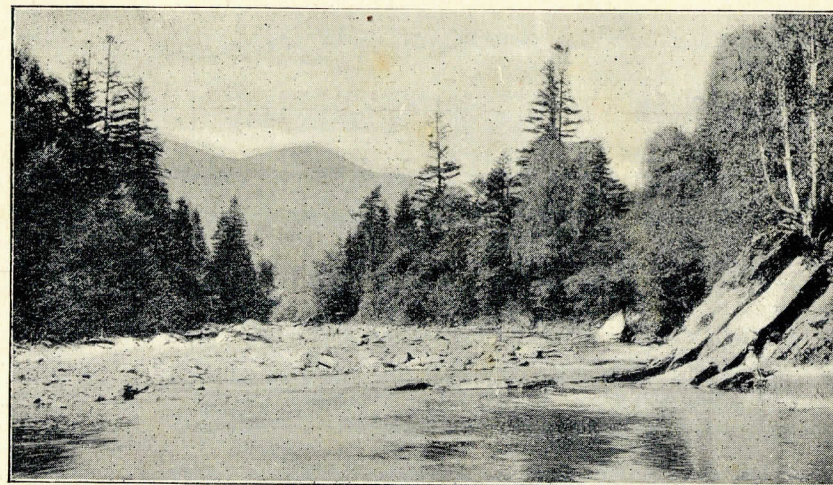
Widoki Czarnohory. — Małe Kozły.

ki, który wzniesieniem swem przewyższa Beskid Zachodni, nie dorównywając jednakże Tatom.

Wysokość gór rośnie tu tem bardziej, im bardziej posuwamy się na wschód. We wschodniej części Beskidu Wysokiego i szczyty i przełęcze są znacznie wynioślejsze, niż w zachodniej. *Przełęcz Łupkowska* ma 600 metrów wzniesienia, a szczyty okoliczne 1000; graniczna zaś na wschodzie *Przełęcz Przysłopiecka* 1400 metrów, a szczyty wschodnie (*Howerla*, *Pop Iwan*)

wznoszą się przeszło na 2000 metrów, przewyższają więc znacznie Babią Górę. Ta najwyższa wschodnia część nosi nazwę *Czarnohory*.

Drugą właściwość Beskidu Wysokiego stanowi jego budowa z szeregu równoległych pasm górskich, ciągnących się z północnego zachodu na południowy wschód. Wskutek tego w Beskidzie Wysokim przeważają doliny podłużne, wręcz przeciwnie, niż w Zachodnim.



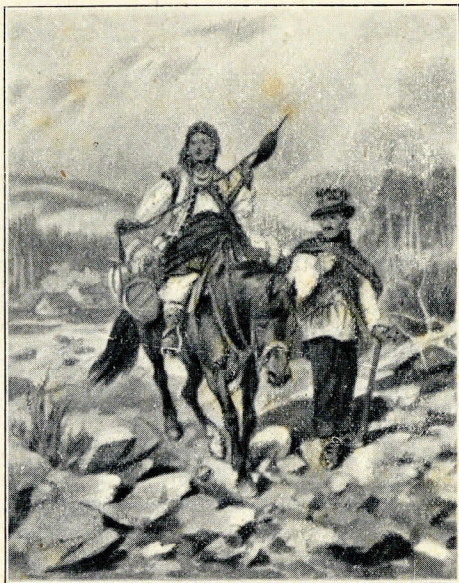
Widok z nad Prutu.

Pasma jego odznaczają się nadzwyczaj prawidłową budową: mają one kształt wałów z płaskimi grzbietami, na których w równych prawie odstępach sterczą łagodnie pozaokrągłane szczyty. Wysokość grzbietów i szczytów wzrasta od północy ku południowi tak, że najwyższe znajdują się od strony węgierskiej. Z tamtej też strony Beskid spada bardzo stromo i jest mniej dostępny, niż od strony polskiej.

Pod względem malowniczości Beskid Wysoki przewyższa Beskid Zachodni. Z powodu wysokich spadków i przebijania się przez szeregi równoległych grzbietów, rzeki jego położyły sobie wąskie i dzikie a piękne doliny, pełne wodospadów i najbardziej

malowniczych zakątków. Szczególnie piękne są doliny Stryja i Prutu, gdzie się też znajduje dużo letnisk, ale i inne dopływy Dniestru przedstawiają nie mniej ciekawe widoki, tylko że są mniej dostępne i z tego powodu mniej zwiedzane przez turystów.

Tu i owdzie wznoszą się nagie skały piaskowcowe, powstałe wskutek wypłókania przez wodę pokrywających je warstw ziemi rodzajnej. Odznaczają się one dziwaczными, a nieraz bardzo malowniczymi kształtami; w niektórych miejscowościach są



Huculi.

tak liczne, że tworzą, jakby skalne miasta, np. koło Bolechowa. Niektóre wysokie szczyty składają się również z piaskowca.

Na ogół jednak Beskid Wysoki nie wkracza w krainę turni, nie dorównywa bowiem wysokością Tatrom. Ale poza tem mamy na nim wszystkie te same pasy roślinności, co w Tatrach. Pas uprawny sięga tu nieco wyżej, bo zwyż 1000 metrów, ale uprawa roli jest dość zaniedbana, mieszkańcy bowiem tych gór, Huculi, zajmują się więcej pasterstwem i ciągnięciem dochodów z lasu, niż rolnictwem.

Wpływa na to sama przyroda. Beskid Wysoki posiada olbrzymie lasy bukowe i świerkowe, tak wspaniałe, jak nigdzie w Karpatach. Zajmują one ogromne obszary, a pokrywają jego stoki w niektórych miejscach do wysokości 1700 metrów. Dla tej obfitości lasów Beskid ten zowią także Lesistym.

Ponad lasem sterczą płaskie garby grzbietów, porośnięte trawą i przedstawiające doskonale pastwiska. Noszą one tu nazwę nie hal, lecz *polonin*, a są miejscem pobytu ogromnych stad, stanowiących główne bogactwo Huculów. Pasterstwo też jest głównym ich zajęciem.

Co rok, na wiosnę podobnie, jak w Tatrach na halę, wyruszają na poloniny na całe lato ogromne stada owiec, liczące nieraz po kilka tysięcy sztuk. Pilnują ich juhasi pod wodzą najstarszego pasterza, bacy czyli watażki.

Dawniej tak samo, jak i w Tatrach, kwitło tu zbójnictwo, a opowiadania o czynach opryszków krążą i dziś między ludem. Do najsłynniejszych wśród nich należał głośny Dobosz, którego imię nosi nie jedna miejscowość w Czarnej Horze i o którym mnóstwo pieśni śpiewają Huculi.

PIEŚŃ GÓRALSKA Z NAD CZEREMOSZU.

(Józefa Korzeniowskiego).

Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

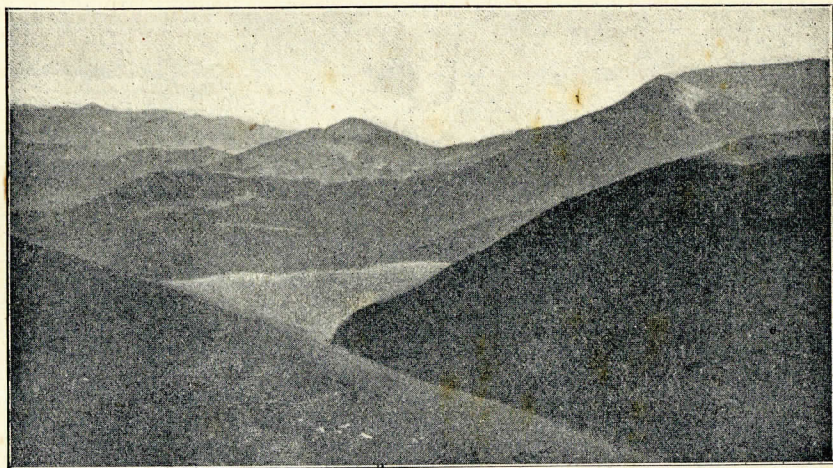
Gdy świeży liść okryje buk
I Czarna góra szernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,
Ożyły nasze nadzieje.

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz *) szumi po skale;

*) Czeremosz — dopływ Prutu, wypływający z Czarnej Hory.

Nuż w dobry czas kędziory trzód
Weseli kapcie, górale!

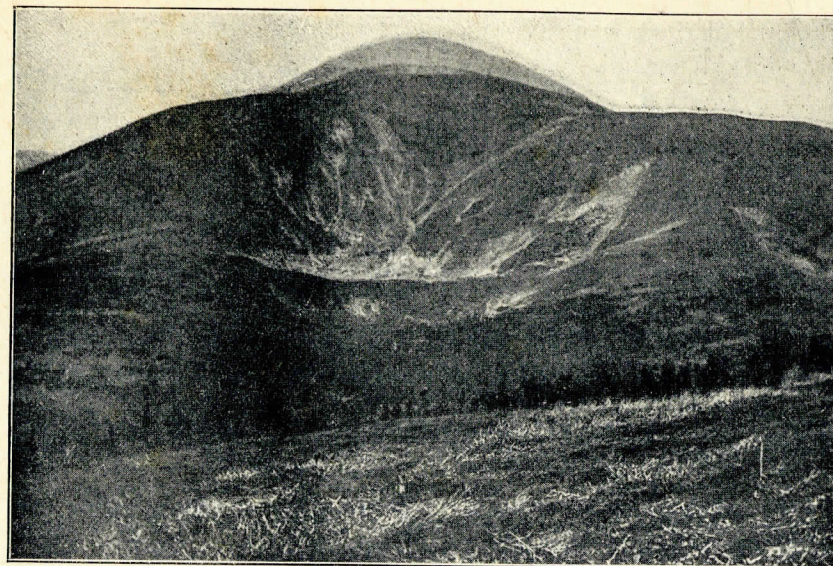
Połonin step na szczytach gór,
Tam trawa w pas się podnosi;
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.



Widoki Czarnohory. — Widok z Howerli w stronę Maryszewskiej.

Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato;
Tam rzeszom ich pozwólcie rość,
Tam idźcie na całe lato!

A kiedy mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożnie konie;
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.



Widoki Czarnohory. — Howerla z kotłem Koźmieskim.

Z WYCIECZKI NA CZARNOHORĘ.

(Konrada Chmielewskiego).

Przed paru laty, w towarzystwie kilku przyjaciół przyrodników, wybrałem się na parodniową wycieczkę na Czarnohorę w Beskidzie Wysokim. Skłaniała nas do tego nie tylko chęć użycia „swobody gór“, ale i pragnienie odwiedzenia kolegi Janowskiego, samotnego wygnańca w imię nauki na Czarnohorze. Janowski od wczesnej wiosny do końca lata mieszka ponoć sam jeden gdzieś tam het wysoko, blisko Dancerza i Howerli, pełniąc sumiennie obowiązki kierownika stacji doświadczalnej botanicznej.

Projekt naszej podróży powstał nagle, wykonaliśmy go jeszcze szybciej (działo się w Galicyi), tak, że na trzeci dzień siedzieliśmy już w wagonie, który nas ze Lwowa zabrał w drogę do Stanisławowa. Droga ta nic osobliwszego nie przedstawia: jechaliśmy równym, gładkim krajem, między złotymi już łąkami

żyta i pszenicy,—gdzieniegdzie wcinają się w nie ubogie chłopskie poletka, szare chaty wieśniacze i drogi, wysadzone dosyć skrzętnie drzewami.

Dopiero po przejechaniu Dniestru zaczyna być widoczna gdzieś daleko na widnokręgu sinawa, poszarpana wstążka gór, powietrze zaczyna być czystsze i surowsze, i na stacyach spotyka się lud wiejski odmiennie ubrany—w swobodny i malowniczy strój góralski. Zbliżamy się powoli do gór; pociąg poczyna coraz wyraźniej pięć się po spadku na wyżynę, okolica staje się coraz bardziej falistą i zalesioną i wreszcie niedaleko Delatyna wjeżdżamy w dolinę Prutu. To już góry.

Mijamy z kolei ładne karpackie miejscowości, obecnie na letnisko lwowskiej inteligencji zamienione:—Dorę, Jaremcze ze wspinałym wiaduktem nad Prutem, Mikuliczyn, Tartarów, i wreszcie—okrążywszy stromą i wysoką kopę „Rebrowacz“, po drugim niemniej efektownym wiadukcie zawijamy do kresu naszej podróży koleją żelazną... do Worochty.

Noc już jest ciemna, mgły zewsząd obwisły, nie możemy się więc rozejrzeć w miejscowości i ruszamy wprost do „Dworku Czarnohorskiego“ na nocleg. Jest to schronisko Tow. Tatrzańskiego, gdzie za skromną opłatą dostaje się bardzo przyzwoity nocleg i wcale dobre jadlo. Przed udaniem się na spoczynek wyszukaliśmy jeszcze przewodnika—starego Hrycia, który cieszy się specjalnymi względami wszystkich lwowskich „naturalistów“—i zamówiliśmy sobie jego usługi wraz z czterema końmi na dzień następny.

Wyjeżdżamy z Worochty wczesnym rankiem konno, na nędznie z pozoru wyglądających huculskich konikach. Wysokie kabłąkowate siodła przypominają kształtem swoim dawną polską terlicę. Są to poprostu dwie miękkie klepki drewniane, wygięte odpowiednio do budowy krzyża końskiego i wzdłuż niego po obu stronach leżące, do których z przodu przymocowany jest wysoki łęk, a z tyłu także tylko oparcie. Pod siodłem podsłana jest jedna gruba derka, na siodle między łękiem i oparciem druga, w kilkoro złożona i poprzeciem przymocowana. Siodło takie jest dosyć wygodne i, gdyby nie olbrzymie strzemiona, które się ciągle opuszczają, to jedno, to drugie, dzięki temu, że są oba przywiązane do końców jednego i tego samego sznura, przerzuconego przez siodło, nic by mu zarzucić nie można.

Konie biegną początkowo truchta i klusa, co daje możność naszemu gronu wykazania uzdolnienia w hippice, jednym łacińskiego, drugim sarmackiego. Powoli jednak wjeżdżamy na kamienistą, nieprzyjemną ścieżkę w lesie, która zmusza nasze pegazy do zwolnienia biegu i opuszczenia głów do samej ziemi.

— „Ses, sywku — wiśta!“ — wesoło pokrzykuje na konia Hryć. Przejeżdżamy mimo wielkich tartaków i kolejki podjazdowej, która jakoby z głębi lasów dowozi budulec. Przejeżdżamy jej nasyp kilka razy i wreszcie w pięknie brzmiącej Ardzełuży rozstajemy się z galicyjskim przemysłem i jego szlakiem kulturalnym, aby odtąd jechać stromym brzegiem Prutu, który huczy i szumi coraz głośniej. Wjeżdżamy w gęsty las świerkowy, w którym raz wraz napotykamy powalone wielkie sztuki starodrzewiu, gnijące w rozkisłych bajorach i mokradłach, których tu w lesie, mimo znacznego spadku — pełno. Muszą być torfowiska. Prut płynie szerokim, kamiennem łózyskiem, tocząc wielkie kamienie i z hukiem przewalając się przez „porohy“; pełno w nim także zwalonych kłód drzewnych i gałęzi, tak, że w niektórych miejscach po utworzonych z nich mostkach naturalnych przejść można rzekę suchą nogą. W lesie—paproci, mchów zatrząsienie, widłaków całe festony, wszędzie pleśniaki, porosty—wszystko to razem nadaje tej leśnej głuszy jakąś dziwnie senną i smutną fizyonomię.

Kolega botanik złazi z konia (botanicznie!—na prawą stronę), szpera po ziemi i z bojowym okrzykiem—podobno Aszantów—coś namiętnie pakuje do puszki. Znalazł podbiał alpejski (Homogyne alpina). Gór nie widać—las i las.

Powoli oddalamy się znowu od Prutu w głębi lasu i wjeżdżamy na mokradła.

Ten las rzeczywiście końca nie ma, a w dodatku Hryć nas pociesza, że do samej Czarnohory będziemy nim jechali. Nic dziwnego, przecież to Karpaty lesiste, a zresztą samo nazwisko Czarnohory nie od czego innego, tylko od ciemni lasów dziewiczych pochodzi. Ta dziewiczość wyraża się przedewszystkiem w bajecznych wprost wykrotach, w niezliczonych mokradłach i trzęsawiskach wśród ciemnego gąszczu lasu ukrytych, o których słusznie sądzić można, „że tam dyabły siedzą“. Dodajcie do tego moc wężowisk i groble naturalne ze zwalonego przez wichry starodrzewia, a będziecie mieli obraz mało co mniej dzi-

ki od Pana Tadeuszowego, jak mówi botanik, który tylko co zleciał z konia na płask.

Na popas w południe zatrzymujemy się na Zawojeli, jest to mała łączka z kilku opuszczonemi „bacówkami“. Konie nasze rozsiadane puszcza samopas, a my zabieramy się do posiłku.

Uprzejmy Hryć, wywdzięczając się za poczęstunek, ofiarowuje nam swój placek z mąki kukurydzianej. Słodkomdły smak tego zakalcowatego ciasta nie wzrusza jednak nas zbyt. Za to Hryć do naszej wódki poczuł odrazu sympatyę i nie uważał za stosowne wcale się z tem ukrywać. Pocziwy Hryć był pierwszym Hucułem, z którym zawarłem bliższą znajomość, później nie opuszczaliśmy żadnej sposobności napatrzania się i pogadania z tymi kresowcami, o ile nam na to słabe posiadanie—naturalnie—języka rusińskiego pozwalało.

Jest to lud ubogi i cichy, którego łupi i obdziera, kto tylko może. Są i między nimi bogacze, posiadający po kilkaset owiec i całe obszary połonin do wypasu, ale tych jest mało, i kasty odrębnej wśród swoich zupełnie nie tworzą. Typ Hucuła—rzecz prosta—jest inny niż górala tatrzańskiego. Suche, kościste, ogolone twarze, orle nosy i krucze najczęściej włosy, obficie sadłem wysmarowane, przy drobniejszej—niż u tamtych budowie ciała, więcej ich zbliżają do Węgrów i Rumunów. Rysy są delikatniejsze, jeszcze bardziej wyraziste, stąd też i daleko większa ilość przystojnych, a nawet wprost pięknych osobników. Huculi są znacznie słabsi i nędzniejsi cielesnie od swoich sąsiadów z Tatr.

Przemysł drzewny kwitnie, podobnie jak i w Zakopanem, po wsiach i miasteczkach, mianowicie: ciesiołka, wyrób gontów, stolarstwo. Sprzęty domowe w chacie góralskiej pokryte są rzeźbą swojską, w której jakiejś łączności z stylem zakopiańskim trudno się dopatrzeć.

Strój Huculów także bardzo się różni od podhalańskiego, chociaż jest tu i serdak, okrągły, czarny kapelusz i kierzki skórzane. Spodnie u mężczyzn białe, płóciennie, szerokie, krojem węgierskim czikosów, a nie obcisłe sukienne; „drukowania“ t. j. naszywek kolorowych na nich niema; onucz czerwone lub białe wyżej kostek; serdak suciej i barwniej wyszywany. Tylko męzkatki obwiązują głowy kraśnemi chustkami. Wogóle w ubraniu, szczególnie u kobiet przeważają kolory czerwony, żółty i zie-

lony. A strój tych ostatnich jest wysoce oryginalny. Przede wszystkim spódnic właściwych nie noszą a zamiast nich dwa szerokie fartuchy, najczęściej czerwonego koloru w poprzeczne żółte paski, jeden z przodu, drugi z tyłu, które, nawzajem za siebie zachodząc, tworzą coś w rodzaju spódnicy. Przyczyna noszenia takiego dolnego stroju przez Hucułki odrazu tłumaczy się sama temu, kto widział raz Hucułkę na koniu, Jeżdżą one dzielnie i zawsze na siodłach męskich, i wtedy przekęcane na bok fartuchy służą do przykrycia, jeden lewej nogi, drugi prawej. Hucuł i hucułka zrosli się ze swoimi konikami, kobieta często wyręcza męża w odwożeniu bryndzy i żentycy, konno odbywa z nim wycieczki do miasta po sprawunki, do sąsiadów z wizytą, nic też dziwnego, że w weselu huculskim konna jazda uważa się jako zasadnicza część obrządku, i orszaku ślubnego nikt tam na furkach nie zobaczy.

Spotkaliśmy po drodze tęgą i okazałą gaździnę, która z fajką w zębach dosiadała krępego gniadosza;—witając się uprzejmie z nami, wyjęła z ust fajkę, splunęła przed siebie tak zamasyście, że i nasz dryndziarz by się nie powstydział. Ileż te niewiasty, szczególnie bogatsze, noszą na sobie haftów, paciorków, wstążek, świecidełek,—a wszystko to razem z bufiastemi rękawami koszuli, kolorową torbą i haftowanym serdakiem dopełnia całości tego malowniczego stroju. Szczególniej pięknie bywają wyszywane sakiewki do pieniędzy i kapciuchy do tytoniu, wogóle motywów zdobniczych, roślinnych tu dużo. Widziałem haft różanecznika, którego w Tatrach niema.

Droga nasza znów skręca z lasu na stromy i przepaścisty brzeg Prutu, którego koryto zwęża się znacznie. Na jednym zakręcie, przy okrążaniu wielkiego samotnego głazu, ujrzeliśmy nagle, jakby nad naszymi głowami, Howerlę—najwyższy szczyt Czarnohory, i konie nasze zaraz potem zaczęły się piąć pod górę po stromej pochyłości. Droga staje się coraz bardziej kamienistą, stromą, i tak krętą, że Prut mamy to z lewej, to z prawej strony, musimy ciągle okrążyć wielkie kamienie, przesadzać liczne strumyki i pilnować się ślizkich spadków. Niektóre miejsca są tak zawrotne, że człowiek kuli się na siodle, i dech mu zamiera, tembardziej, że konie raz wraz wstępują na ruchome piargi kamieni, na których się giboczą, wyszukując silniejszego oparcia dla nóg.

Po upływie jakiejś godziny las poczyną rzednąć, Howerla coraz bardziej poczyną tłoczyć olbrzymią swoją masą — i Hryć oświadcza, że już blizki kres naszej drogi. Zaczynamy hukać i wołać, aby dać znać o sobie Janowskiemu i wyjeżdżamy powoli z regli; jeszcze jeden nagły zakręt i widzimy przed sobą na czubie góry o paręset kroków niewielki domek i opłotki, kręci się tam kilku ludzi wymachujących czapkami i pies ujada gwałtownie. Podjeżdżamy wreszcie, z radością wita nas pustelnik. Nie bogato tu u niego, — parę stołów i stołków sosnowych, trochę naczyń niezbędnych, ale za to zielników, puszek, instrumentów różnych moc okrutna; na ścianie meteorologia, broń i pęki ziół powiązanych. Przy domku duży plac ogrodzony z poletkami doświadczalnymi; część połoniny, do stacyi należąca, pozostawiona jako łąka i upstrzona rogalami do suszenia mokrego siana.

Śliczny widok roztacza się przed nami z niewielkiej werandy stacyi. Z jednej strony szczyty Howerli, Dancerza i Porzyżewskiej, poowijane w fantastyczne muśliny i wstęgi chmur i obłoków, z drugiej — pod naszymi nogami ciemniejąca dolina, w której gdzieś głęboko Prut szumi, burzy się i huczy. Na zachodzie z lewej strony wycinają się ostro na tle nieba poszczerbione szczyty t. z. szpicy, od których biegną faliste przełęcze ku Turkułowi, Homułowi i t. d. Dopatrujemy — gdzież jest Czeremosz, dopływ Prutu i druga rzeka Czarnohory. Nie widać go stąd; płynie gdzieś za Homułem z drugiej strony pasma gór.

II.

Śląsk i Kraina Podkarpacka.

I. Ś L Ą S K.

POGLĄD OGÓLNY.

Góry Jabłonkowskie stanowią najdalej wysunięty na zachód kraniec Karpat polskich. W miejscu tem łańcuch karpaccki wykręca ku południowi, ciągnie się jeszcze dość daleko w kierunku południowozachodnim do Dunaju pod Preszburgiem, ale tą częścią swoją nie należy już do Polski.

Ziemie polskie nie kończą się jednak u tego zakrętu Karpat. Rozpościerają się one jeszcze dalej na zachód doliną Odry wzdłuż Sudetów.

Góry Sudeckie oddzielone są od Karpat obniżeniem dość równem i niezbyt szerokiem (zaledwie na kilkanaście kilometrów), zwanem *Bramą Morawską*. Stanowi ono bardzo ważną drogę, łączącą kraje, położone na północ od Sudetów i Karpat, z krajami, leżącymi na południu.

Z południowowschodniego krańca Sudetów wypływa *Odra*. Dąży ona najpierw na wschód ku Bramie Morawskiej, gdzie się zasila wodami, spływającymi z zachodnich stoków Karpat. Następnie okrąża łukiem wschodni koniec Sudetów, wykręca na północny zachód i, płynąc w tym kierunku wzdłuż Sudetów, oddala się coraz bardziej od Karpat i dąży ku Bałtykowi, biegiem mniej więcej równoległym do Wisły.

Kraina nizinna wzdłuż obu brzegów górnej Odry wraz z wyżyną Śląską z prawej strony, północnymi stokami Sude-

tów z lewej, a w części i z zachodnimi Karpat nosi nazwę *Śląska*. Stara to, odwieczna dzielnica Polski, zamieszkała niegdyś wyłącznie przez Polaków. Odłączyła się jednak bardzo dawno, wkrótce po śmierci Bolesława Krzywoustego, wskutek niezgód i wojen domowych między jego następcami. Dostawszy się pod wpływ i panowanie niemieckie, zniemczała zupełnie z biegiem czasu w zachodniej swojej części, zachowała jednak polski charakter we wschodniej.

Dziś Śląsk należy do dwu państw: Austrii i Prus. *Śląsk austriacki* składa się w zachodniej swojej części z *dzielnicy Opawskiej* na stokach Sudetów, we wschodniej z niewielkiego *księstwa Cieszyńskiego*. Polskiem jest tylko księstwo Cieszyńskie. *Śląsk Pruski* obejmuje *dolinę Odry* w dół od ujścia jej dopływu Olszy wraz z otaczającymi ją: *górką krainą Sudetów* z lewej strony i *wyżyną Śląską* z prawej.



Cieszyn.

1. KSIĘSTWO CIESZYŃSKIE.

Księstwo Cieszyńskie stanowi nieduży, górzysty i bardzo malowniczy kraik, położony między Morawami, Śląskiem Pruskim i Galicyą. Obejmuje ono sobą i zachodnie stoki Karpat

wraz z źródłami Wisły, która też jest główną jego rzeką obok Olszy, prawego dopływu Odry.

Jest to kraina przejściowa na trasie przez Bramę Morawską, łączącą Polskę, a częściowo i Niemcy z Czechami i Wiedniem. Oprócz tego, przez przełęcz okalających ją gór Jabłonkowskich prowadzi jeszcze jedna droga — na Węgry. Leży więc zarazem księstwo Cieszyńskie i na trasie najkrótszym między



Typy Śląskie.

Niemcami a Węgrami. Wskutek takiego położenia, posiadało i posiada bardzo ważne znaczenie zarówno handlowe jak i strategiczne.

Od wieków prowadził tędy trakt handlowy, którym przewożono towary z Czech, Węgier, Polski i Niemiec. I od wieków przeciągały tędy wojska z jednego państwa do drugiego, czy to za borbę, czy śpieszące na obronę.

Krajem tym władał już Bolesław Chrobry, a oceniając słusznie znaczenie dróg, prowadzących przezeń, przesunął granicę państwa swego poza Bramę Morawską, żeby lepiej pano-

wać nad całym przejściem i mieć je zupełnie w swej władzy. Tędy po wiekach przeciągał Sobieski, śpiesząc na odsiecz Wiednia; tędy kroczyły zwycięskie hufce Napoleona.

A dziś przebiegają Bramę Morawską i Śląsk Cieszyński tysiące pociągów, z hukiem i gwizdaniem rozwoząc towary, zabierając jedne, na ich miejscu pozostawiając inne, ożywiając i bogacąc całą krainę. W przyszłości ma tu być przekopana cała sieć kanałów, które połączą ze sobą polską Wisłę, Odrę „graniczną“, czeską Morawę i modry Dunaj, stwarzając nową wodną drogę dla ludzi i towarów i jeszcze bardziej powiększając ruch i rozwój tej części Śląska.



Ślązaczka.

Zrozumiałą jest rzeczą, że taka przejściowa kraina posiadać też musi ludność mieszaną. Przeważają tu wprawdzie Polacy, stanowiący przeszło dwie trzecie ludności, ale obok nich znajduje się tutaj bardzo dużo Niemców. Jako bardziej oświeceni, osiągnęli oni przewagę nad miejscową ludnością polską tem łatwiej, że szlachta śląska już przed wiekami uległa zupełnemu niemczeniu i pomogła dalej w niemczeniu innych warstw. Czysto polską pozostała jedynie ludność wiejska, ale i na niej znać dużo wpływu niemieckiego. Miasta zaś przeważnie mają charakter zupełnie niemiecki. Oprócz

tego w zachodnich częściach księstwa mieszkają w znacznej liczbie Czesi, którzy, górując również oświatą nad Polakami, nadają takim miejscowościom charakter czeski.

Ma więc ludność polska do walczenia z dwu przeciwnikami, z których każdy stara się ją wynarodowić i przerobić na swoją modłę. Nie uległa jednak w tej walce, choć przybrała dużo naleciałości obcych. W ostatnich zaś czasach ruch polski na Śląsku ożywił się ogromnie, mowa polska i poczucie narodowe zaczynają coraz bardziej odzyskiwać dawne prawa,

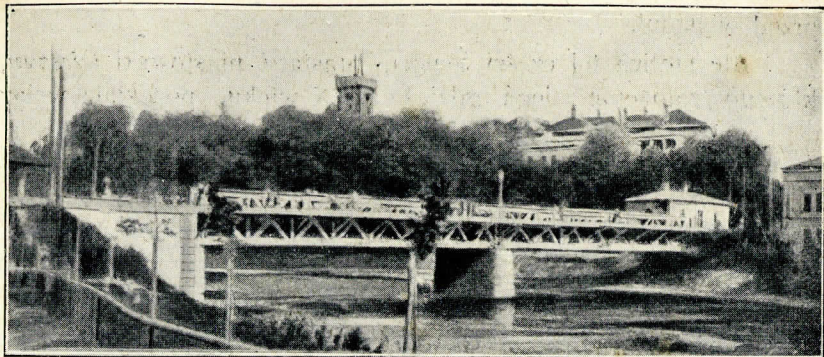
a cała kraina dąży do przybrania charakteru polskiego, jaki miała przed wiekami.

Ale stolica tej części Śląska, prastary piastowski *Cieszyn*, którego założenie sięga gdzieś aż IX wieku, pozostaje wciąż



Rynek główny z ratuszem.

jeszcze pod władzą Niemców. Pomimo sporej ilości mieszkających tam Polaków, pomimo założenia w nim przed kilkunastu laty (1895) gimnazjum polskiego, zarząd tego miasta, jak wogóle i całego kraju, jest wciąż jeszcze niemiecki i bardzo wrogo usposobiony dla narodowości polskiej.



WIEŻA PIASTÓW W CIESZYNIE.

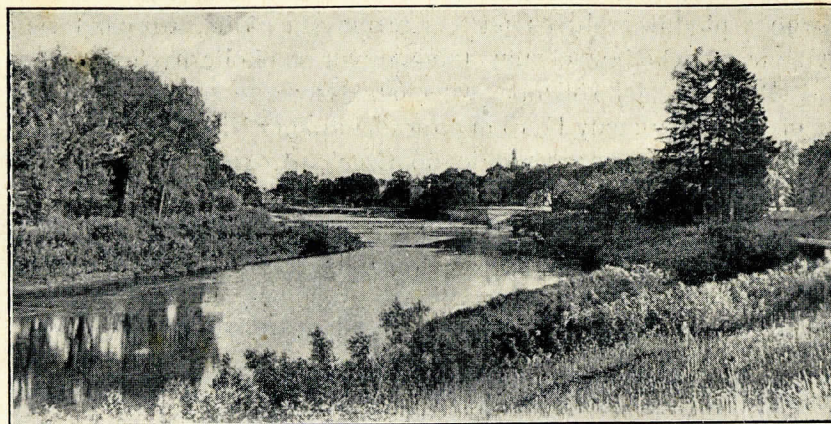
(Grimma).

Nad brzegiem Olszy
W cudnej dolinie,
Gdzie woda cicho
I wolno płynie,
Wiekową pleśnią
Zdała przyświeca
Przystań polskości,
Piastów wieżycza...

Ślązak w niej widzi
wspomnień świętości...
Dla cudzoziemca
smutek tam gości,
Bo nagą ścianą
świeci mu nędza,
Bo trwogą przeszłość
z bram go wypędza...

O — dla Ślązaka
te nagie ściany
Stanowią szczątek
pamięci znany...
Z nich on wyczyta
przeszłości dzieje,
Z nich go duch Piastów
męstwem owieje...

One go nicią
z przeszłością łączą
I w lepszą przyszłość
popchną dłoń rączą...
Jak długo świecić
będą te ściany,
Tak długo polskim
nasz Śląsk kochany!...



2. NIZINA ODRY.

Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie:
Gdzie marny kruszec w obcych rękach płynie,
Gdzie ludek w sercu swój klejnot ukrywa,
By poń nie sięgła żadna ręka chciwa;
Tam, gdzie w tej ziemi skarb jest nieprzebrany,
Tam ma Ojczyzna, tam mój Śląsk kochany!

Gdzie bystra Odra toczy swoje wody,
Gdzie schludne domki, wesołe zagrody,
Wśród ciemnych lasów i łąnów złocistych,
W dolinach i też po górach skalistych;
Tam, gdzie w tej ziemi skarb jest nieprzebrany,
Tam ma Ojczyzna, tam mój Śląsk kochany!

(ks. Przyńczyński).

Śląsk pruski przewyższa znacznie obszarem księstwo Cieszyńskie. Obejmuje on żyzną nizinę Odry, ujętą z jednej strony w górski wał Sudetów, z drugiej w obfitującą w bogactwa mineralne wyżynę Śląską. Dalej w dół z biegiem Odry kraj obniża się coraz bardziej, łącząc się bezpośrednio z niżem niemieckim i polskim.

Urodzajna to i bogata kraina ta niziną Odry, słynna zarówno z płodów rolnych jak i z przemysłu, który rozwinął się świetnie, dzięki bogactwom mineralnym w okolicznych górach.

Położenie jej zbliżone jest charakterem do położenia Śląska austriackiego: tędy bowiem prowadzi droga z Niemiec do Bramy Morawskiej oraz bezpośrednio do Czech przez przełęcze w Sudetach. Była też ta kraina od najdawniejszych czasów widownią z jednej strony ożywionego ruchu handlowego, z drugiej — ciężkich i wyniszczających wojen. I dziś, obok płynącej śródkiem Odry, obok gęstej sieci kolei żelaznych, biegnących zarówno śródkiem wzdłuż Śląska, jak i w poprzek do przełęczy górskich i środowisk kopalnianych, — wznoszą się liczne fortece, którymi Niemcy bronią traktów przez tę przejściową krainę.

Niegdyś przed wiekami była to ziemia czysto polska, ale zaludniona słabo i jedynie w nizinie samej Odry. Pierwsze fale osadników niemieckich, po odłączeniu się Śląska od Polski (w XII wieku) zajęły przedewszystkiem puste jeszcze i prawie zupełnie niezamieszkane stoki Sudetów. Utrwalając się w nich coraz bardziej, oskrzydłili oni niejako Polaków, siedzących w nadrzecznej nizinie, a następnie zaczęli zagarniać i samą nizinę.

Zniemczenie kraju, odłączonego od ojczyzny, nie było rzeczą trudną: część ludności wyparto, część przerobiono na Niemców, i dziś Polacy utrzymali się jedynie we wschodniej części w tak zwanym Śląsku górnym, głównie po prawej stronie Odry, na wyżynie Śląskiej i sąsiadujących z nią częściach niziny. Po lewej Polacy osiedleni są jedynie wązkim pasem od miasta Brzegu do Ostrawy Morawskiej. Reszta zaś kraju jest już zupełnie niemiecka. Ale nawet i w polskiej części, podobnie jak w księstwie Cieszyńskim, szlachta zniemczała już oddawna, do Niemców należą wszystkie większe dobra, polską pozostała tylko ludność wiejska, a częściowo i niektórych miast we wschodniej części kraju.

Ale i tutaj duch polski ożywia się z dniem każdym: wzmacnia się piśmiennictwo, budzi się i rozszerza coraz bardziej poczucie narodowe. Śląsk zachodni i dolny można uważać za stracony dla polskości, ale górny wzmacnia i ujawnia swą polskość coraz wyraźniej, pomimo wszelkich prześladowań i starań rządu pruskiego i hakatystów niemieckich.

Wspomnień polskich pełno tu nawet i w zniemczonych czę-

ści Śląska: stolica kraju, *Wrocław*, ogromne, okazałe, bogate i handlowe miasto o charakterze czystoniemieckim, zawiera jednak sporo pamiątek polskich, zwłaszcza w dawnych kościołach pochodzących jeszcze z czasów piastowskich. Tu tablica wmurowana w ścianę, z nazwiskami polskich fundatorów; tam kaplice pod wezwaniem słowiańskich świętych np. św. Czesława



Wrocław — Ratusz.

w kościele Dominikanów; owdzie staropolskie rękopisy w bibliotekach klasztornych — wszystko to dowodzi niezbicie, że było to niegdyś miasto polskie, wszystko to przypomina, że stąd przed wiekami piastowscy książęta polskim rządzili ludem, że naokoło wszędzie polska rozbrzmiewała mowa.

Jeszcze dalej na zachód leży krwawa *Lignica*, pod którą ścierały się niegdyś (w r. 1240) z nawałą tatarską mężnie, chociaż bez skutku, dzielne hufce Henryka Pobożnego, Księcia Śląskiego. A tam znów *Głogów*, wślawiony obroną mieszkańców, którzy woleli poświęcić życie własnych dzieci, oddanych jako zakładnicy Niemcom, niż poddać miasto ich Cesarzowi.

Tam zaś „psie pole“, na którym Bolesław Krzywousty zadał straszną klęskę cesarzowi niemieckiemu Henrykowi.

Blisko Wrocławia bój się krwawy wszczyna,
Brzmia w powietrzu trąb odgłosy,
Uderza książę, w pień Niemców wycina,
Poległy trupów ich stosy.
Tłum psów żarłocznych pokrwawione szczątki,
Okropnie wyjąc, rozrywa;
A lud to miejsce, dla wiecznej pamiętki,
Psiem polem dotąd nazywa.

(Niemcewicz).

Zniemczyli Niemcy część Śląska, póki kraj ten był mniej zaludniony i mniejsze było w nim poczucie narodowe, ale nie mogą zatrzeć w nim tych starych polskich wspomnień tak samo, jak nie potrafią już wynarodowić drugiej części Śląska, która ostała się dotychczas i ostoja się zwycięsko nadal przed ich nawałą.

NA PIASTOWYM ŚLĄSKU

(Maryi Konopnickiej).

Już nadszedł czas! Już stał się cud!
Już godzin słyszę bicia...
Letargu snem schwycony lud,
Przebudził się do życia!

Już nadszedł dzień, już błysnął dziw,
Zdawna przepowiadany,
Z letargu lud się przecknął żyw,
I wstrząsnął grobu ściany!

A duch przejasny woła nań,
Wieczysty duch narodu:
— „Łazarzu wstań! Łazarzu wstań!
Już idą brzaski wschodu!

Przespaleś wiele, wiele dni,
W śmiertelne zgła spowity,
Dwugłowy orzeł krakał ci,
Że zgasły Boże świty...

A oto jutrznie wschodu hań!
Pod niebo hejnał leci...
Łazarzu, ludu śląski, wstań!
Ty kmieciu, z Bożych kmieci“!

I poczuł Ślązak w żyłach krew,
I poczuł nowe siły,
I zmartwychwstania wznosząc śpiew,
Podźwignął się z mogiły.

Śmiertelny znój to! krwawy trud!
Wysiłek niesłychany!
Po wiekach całych śląski lud
Niemieckie rwie kajdany!

W ojczyzny imię bierze, chrzest,
Potężny chrzest dziejowy,
I wie, że Polska—matką jest,
A on — że ród Piastowy.

I dźwiga się z zbyt długich snów
Po ciężkiej, dusznej męce,
Do matki—Polski oto znów
Wyciąga obie ręce.

I wie, i czuje, że w nim krew
Gdzie brzask od Wisły świeci...

I wie, i czuje, że w nim krew
I kość gniazdowa lasza...
I brzmi mu, jak najśłodszy śpiew,
Ojczysta mowa nasza.

A ojciec tuli syna w łzach,
I żegna krzyża znakiem:
— „O Synu — woła — w ciężkich dniach
Pamiętaj, żeś Polakiem!

Jak wyspa my, jak drobny ląd,
Na Niemców oceanie...
Gniew morza huczy stąd i stąd,
Lecz ducha nie dostanie!

I podniósł w niebo bladą twarz,
Gdzie troska brózdę orze...
I szeptał z cicha: „Ojcie nasz!..“
I szeptał: Święty Boże!”

II. KRAINA PODKARPACKA.

POGLĄD OGÓLNY.

U stóp Karpat, na północ ku Wiśle i Dniestrowi, rozpościera się pagórkowata *kraina Podkarpacka*, wzniesiona średnio od 300 do 500 metrów nad poziom morza. Ciągnie się ona równoległym łukiem do łańcucha Karpat z zachodu na wschód, zniżając się stopniowo coraz bardziej w miarę oddalania się od gór.

Trudno jest przeprowadzić ścisłą granicę między tą krainą, a właściwymi Karpatami, przechodzą one bowiem w nią przeważnie nieznacznie. Za pewien jednak rodzaj granicy można uważać linię kolei transversalnej czyli podkarpackiej, biegnącej wzdłuż Karpat od Żywca przez Suchą, Rabkę, Nowy Sącz, Krośno, Sanok i dalej w kierunku południowowschodnim; na wschodzie zresztą kraina Podkarpacka odcina się jeszcze mniej wyraźnie od Karpat i ma wogóle więcej górski charakter.

Wzdłuż północnej krawędzi tej podgórskiej krainy prowadzi linia kolei żelaznej, poczynając od Krakowa przez Tarnów, Rzeszów, Jarosław, Przemyśl. Tutaj kraina Podkarpacka skręca dość ostro na południe, tak że dalej granicę jej stanowi, już nie przedłużenie tej kolei od Przemyśla ku Lwowu, lecz inna linia, biegnąca w kierunku południowowschodnim przez Sambor, Drohobycz, Stryj, Stanisławów do Kołomyi na Pokuciu.

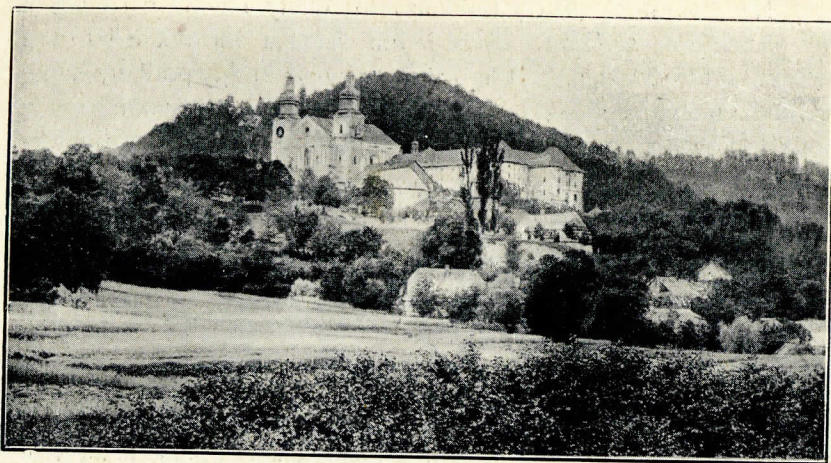
Na zewnątrz od tej linii aż do Wisły i Dniestru ciągnie się pas *nizin podkarpackich*: jedna szersza ku Wiśle i druga węższa naddniestrzańska. Pagórkowata część krainy podkarpackiej dochodzi bezpośrednio do Wisły tylko w zachodnim swoim krańcu pod Krakowem, gdzie styka się z południową krawędzią wyżyny Małopolskiej.

Kraina Podkarpacka bogatsza jest znacznie w skarby mineralne, niż same Karpaty, obfituje ona mianowicie w *sól i naftę*. Pokłady soli znajdujemy w całej jej rozciągłości, naftę przeważnie we wschodniej części, na zachodnim krańcu (na zachód od Limanowej) niema jej nawet wcale.

Pagórkowata ta kraina przerznięta jest poprzecznymi dolinami rzek, spływających ku Wiśle i Dniestrowi, podobnie jak i północne stoki samych Karpat. Można też ją podzielić na dwie części, odpowiednio do dorzeczy tych dwu rzek: *zachodnia część*, należąca do *dorzecza Wisły*, ciągnie się z zachodu na wschód do Sanu; *wschodnia* rozpościera się od Sanu w kierunku południowowschodnim *między Karpatami a Dniestrem*. Płaski i niski dział wodny między Sanem a Dniestrem oddziela też nizinę nadwiślańską od naddniestrzańską.

San stanowi także mniej więcej granicę między ludnością obu części krainy Podkarpackiej: na zachód ludność jest czysto polska, Rusini mieszkają tu jedynie wązkim klinem bliżej gór, zachodząc zresztą dość daleko, bo aż po Szczawnicę; na wschód przeważa ludność ruska, polacy stanowią tam głównie domieszkę, w niektórych okolicach dość jednak znaczną, przeważnie zaś mieszkają po miastach, które naogół są prawie zupełnie polskie.

Pod względem politycznym cała kraina Podkarpacka, wraz z okalającymi ją od północy nizinami, wchodzi w skład *Galicyi* i należy do *państwa Austriackiego*.



Góra Kalwaryja.

1. ZACHODNIA CZĘŚĆ PODKARPACIA.

Część krainy Podkarpackiej, należąca do dorzecza Wisły, sięga od Śląska aż po San. Ładny to i wesoły pagórkowaty kraj, przeważnie rolniczy, chociaż glebę nie wszędzie posiada równie dobrą. Kryje on jednak zato cenne bogactwa w swem łonie: sól, a we wschodniej części jeszcze i naftę.

Tu właśnie leżą słynne na cały świat *żupy solne Bochni i Wieliczki*, od wieków zaopatrujące Polskę w ten tak niezbędny do codziennego życia minerał. Pokłady *nafty* zaczynają się już w okolicy Limanowej i Nowego Sącza; obficie jednak nafta występuje dopiero we wschodniej części tej krainy, około *Gorlic i Krosna*. Tam też znajdują się jej kopalnie w *Wietrznie, Bóbrce* i kilku innych miejscowościach. Trzecie bogactwo mineralne tej części Podkarpacia stanowi *siarka*, której pokłady znajdują się zresztą jedynie w *Swoszowicach*, niedaleko Krakowa.

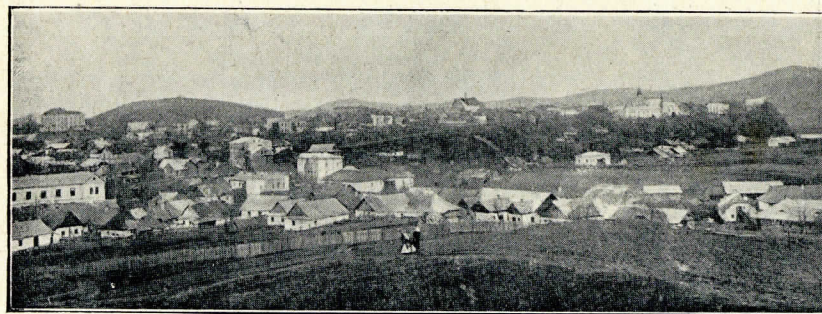
Stara to dzielnica Polski—ta część Podkarpacia. Zachodnia jej krawędź, sąsiadująca ze Śląskiem i dotykająca Wisły pod Krakowem uczestniczyła już w samym zaraniu naszych dziejów, hen! gdzieś w czasach Kraka i Wandy.

Później po utworzeniu się państwa Polskiego i podziale na województwa, ta część zachodnia należała do *Województwa*

Krakowskiego, środkowa do *Sandomierskiego*, wschodnia zaś do *Ruskiego*, a mianowicie jako dwie wchodzące w jego skład ziemie: *Sanocka* i *Przemyska*. Dwie pierwsze są czysto polskimi dzielnicami, trzecia (wschodnia) ma już ludność mieszaną polsko-ruską, z przewagą atoli polskiej.

Dużo tu wspomnień historycznych w tych ziemiach, dużo godnych widzenia i pamiątkowych miejscowości.

W zachodniej części oprócz wspomnianych już starych żup w Wieliczce i Bochni zasługuje na uwagę słynna *Kalwaryja*



Sanok.

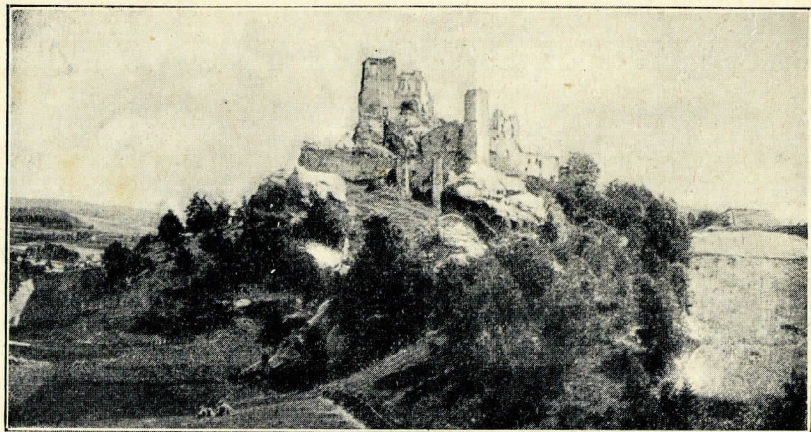
Zebrzydowska głośna z odpustów, ściągających rocznie po 200 i więcej tysięcy pątników nie tylko z bliższych i dalszych okolic Polski, ale także ze Śląska, Węgier i Moraw.

Na wyniosłym wzgórzu (przeszło 400 metrów wysokim) w nadzwyczaj malowniczym położeniu, wznosi się okazały klasztor Ojców Bernardynów z 7 kościołami oraz kilkudziesięciu mniejszymi i większymi kapliczkami: są one rozrzucone na ogromnej przestrzeni i stanowią tak zwaną „drogę kalwaryjską“, którą obchodzą uroczystą procesją pątnicy w czasie odpustów. Gmachy te wznosił w początku wieku XVII wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski, przyczem niektóre z kaplic zostały zbudowane na wzór Jerozolimskich.

W południowowschodnim końcu znajduje się dawna *ziemia Sanocka*, pagórkowata rolnicza dzielnica, obejmująca nie tylko tę część Podkarpacia, ale i Beskid Nizki. Będąc poło-

zoną nawprost *przełęczą Dukielskiej* i w najbliższym jej sąsiedztwie, ziemia Sanocka wystawiona była na nieustanne napady węgrod, którzy wdzielali się tu niejednokrotnie, pragnąc przyłączyć ją do swego państwa. To też *Sanok*, główne miasto tej ziemi, już za Kazimierza Wielkiego posiadało obronny zamek.

Ziemia Sanocka była kolebką wielu naszych wielkich mężów: ze stolicy jej był rodem głośny uczony Grzegorz z Sanoka, profesor Akademii Krakowskiej; z Dubiecka pochodził Ignacy



Malownicze ruiny zamku w Odrzykoniu (w ziemi Sanockiej).

Krasicki; w tych też stronach znajduje się rodzinne miejsce Stanisława Konarskiego, głośnego reformatora oświaty polskiej w wieku XVIII; tu mieli posiadłości Kmitowie, Ossolińcy; tu żył i działał słynny Stadnicki, zwany „djabłem“ dla gwałtownego usposobienia i awantur jakie wyprawiał.

Wincenty Pol w następującym wierszu opisał wspomnienia, jakie wzbudził w nim pobyt nad Sanem w starożytnym zamku liskim.

Po trudach i mozołach i pielgrzymkach wielu,
Owom osiadł u Ciebie, zacny przyjacielu!
W zamku, — który przed wieki Piotr Kmita fundował,
Gdzie się ów sławny dyabeł Stadnicki wychował,

Gdzie Szwed roznosił pożar i wojenne wrzaski,
Gdzie żyli Ossolińscy, a umarł Pułaski!..

Stary mur, stary żołnierz, powieść przeszłych czasów
Wiernie stroją się z sobą wśród wieku zapasów.
Lecz aby pieśni takiej uczuć tajne stroje,
Potrzeba pieśń pokochać, czcić dzieje, czuć boje;
Naówczas wszystko, wszystko dokoła nas żyje:
Ludzie, których od wieku mogiła już kryje,
Ich sprawy i uczucia, boleści, nadzieje,

I wszystko, co się działo — niby dziś się dzieje...
A gdy wszystko pamięcią jak potokiem płynie,
I kłoda popieleje w tym wielkim kominie,
Snują mi się postacie przeszłości po ścianie
I pomarłych Polaków mijają się cienie.

Jakiś mąż już sędziwy z młodzieńcem się zjawia,
To Kmita Janickiego do Rzymu wyprawia,
Kędy się pieśni jego w dzieje Rzymu wprędy,
I gdzie go po Tybullu czekał laur niezwiędły.

Kłoda błysła płomieniem i znikło widzenie,
I znów zgasa... i nowe miotają się cienie.

Kilku mężów za stołem szerokim się zjawia,
Na nim księgi i pisma... jeden z nich rozprawia,
Złote są usta jego... rozum jego syty,
Mówi z duszą, bo w sprawie Rzeczypospolitej,
Któżby ciebie nie poznał tutaj, Orzechowski?!

Znowu błysło w kominie i błysło powtórę,
Płomień rwie się do góry! Ha to zamek gore!
Szwed! Szwed! więc na gwałt biją z murów, biją w dzwony
Szwed dobył nocą zamku... pierzcha lud strwożony.
A niby krwawych godów pochodnie grobowe
Gorą na okolicę te wieże zamkowe.

Zgorzały... i znów cicho, po ogniu, po wojnie,
Cicho i ciemno wkoło i niby spokojnie.

A San szumi jak dawniej, trawnik zielenieje
I lipa starożytna woń dokoła sieje.

Na północnej krawędzi Podkarpacia, przy zetknięciu z nizinami, rozsiadły się największe miasta tej dzielnicy, rozwój swój i znaczenie zawdzięczające właśnie takiemu położeniu na przejściu: *Tarnów*, gniazdo rodzinne głośnego w naszych dziejach hetmana Tarnowskiego; *Rzeszów*, założony jeszcze za Kazimierza Wielkiego; *Jarosław* i *Przemysł*.



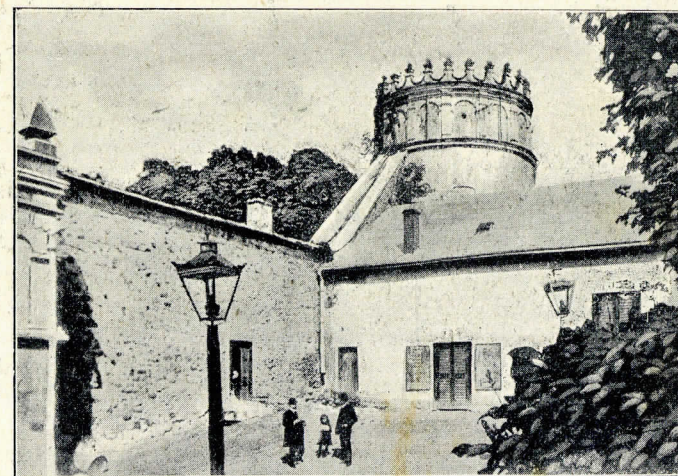
Ratusz w Tarnowie.

Jarosław leży nad Sanem, w miejscu, dokąd mogą dochodzić galary z Wisły: oddawna też służył jako punkt wyjścia dla spławu towarów, zwłaszcza zboża z Rusi Czerwonej (dzisiejszej Galicyi Wschodniej) do Gdańska, a cała ludność okoliczna nad Sanem poniżej Jarosławia trudniła się niegdyś flisactwem. I dziś wysyła się stąd zboże do Gdańska; oprócz tego zaś Jarosław połączony jest koleją z Krakowem i Lwowem i dzięki temu należy do bardziej handlowych miast Galicyi.

Przemysł leży również nad Sanem, ale wyżej i dalej na wschód w tym właśnie miejscu, gdzie krawędź krainy Podkarpackiej skręca ostro ku południowi, stawiając niejako naturalną zapórę dla wszelkich najeźdźców ze wschodu. Stąd poszło ważne obronne znaczenie Przemyśla i już w wieku X, wedle świadectwa kijowskiego dziejopisu Nestora, był to warowny gród La-

chów, niejednokrotnie potem przechodzący z rąk polskich do ruskich i odwrotnie. Widywał Przemysł zresztą najeźdźców i z dalszych stron: ile to razy opierały się o niego zagony tatarskie! I dziś rząd Austriacki, oceniając znaczenie Przemyśla w razie wojny z Rosyą, obwarował go silnie i uczynił z niego pierwszorzędną twierdzę.

W pobliżu Przemyśla znajduje się *Medyka*, dokąd lubił



Wieża starego zamku w Przemyślu.

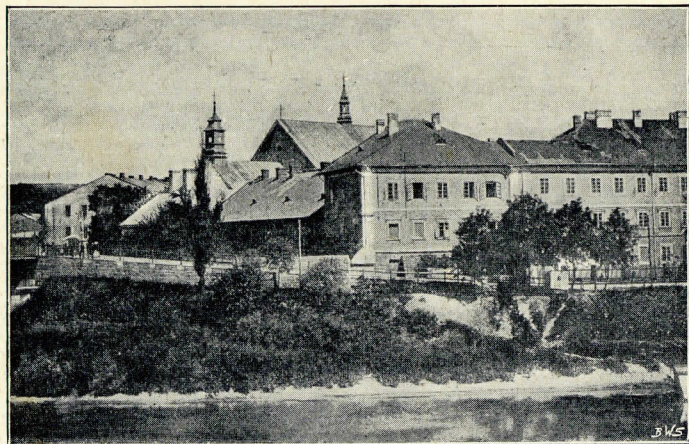
zjeżdżać Władysław Jagiełło dla słuchania tutejszych słowików, które słynęły ze szczególnie ładnego śpiewu. Tu też zaziębł się w r. 1434, słuchając ich za długo w nocy a, zaziębiwszy się, umarł wkrótce w Gródku pod Lwowem.

Na północ od pagórkowatej krainy Podkarpackiej rozciąga się wspomniana już wyżej *nizina nadwiślańska*, w kształcie szerokiego trójkąta między północną krawędzią przedgórzy a widłami Wisły i Sanu.

Nizina ta, wzniesiona na 100 do 300 metrów, pokryta jest grubymi pokładami piasków i glin; miejscami leżą na tych pokładach warstwy żwirów oraz namulów rzecznych. Ziemia stanowi tu przeważnie glebę orną, na ogół jednak nie nazbyt urodzajną, z wyjątkiem żyznych namulów rzecznych. Miejscami

znajdują się zupełnie jałowe piaszczyste wydmy. Jeszcze obficie występują one z prawej strony Sanu na dziale wodnym między tą rzeką a Dniestrem.

W średnich wiekach nizinę tę, dziś prawie zupełnie pozbawioną drzew, porastał olbrzymi las, który tworzył dwie *puszcze*: *Sandomierską* w kącie między Wisłą a Sanem i *Niepołom-*



Klasztor w Przemyślu pp. Benedyktynek i Seminarium Żeńskie.

ską pod Krakowem. Po Sandomierskiej nie zostało obecnie żadnych prawie śladów, po Niepołomskiej dochował się las, będący własnością rządu.

PUSZCZA NIEPOŁOMSKA.

Las rządowy, noszący tę nazwę, jest dość rozległy, ma bowiem do 20 kilometrów długości i 2 do 10 szerokości; obszaru zaś zajmuje około 20000 morgów. Niema już jednak wcale charakteru puszczy: podzielony jest na 10 leśnictw i wszędzie posiada prawidłową gospodarkę leśną.

Puszcza Niepołomska składa się przeważnie z sosen i świerków, są tu jednak i drzewa liściaste, głównie dęby i buki. W gąszczu jej znajduje się jeszcze dość zwierzyny, ale prze-

ważnie mniejszej, mianowicie: saren, lisów, dzików. Większe zwierzęta wyginęły już dawno, ostatniego łosia widziano koło roku 1870.

Ale przed wiekami roiło się tutaj od grubego zwierza: jelenie, łosie, wilki, niedźwiedzie królowały w niedostępnych mactecznikach puszczy, a przeprawa przez splątany gąszcz drzew i krzaków nie była bynajmniej łatwa. Dla zapalonych myśliwych dawnych czasów było to wymarzone miejsce: zjeżdżali też tu często na łowy nasi królowie, a Kazimierz Wielki, namiętnie lubiący polowanie, wybudował tu zameczek, aby mógł wygodniej i dłużej przebywać w puszczy. Od Kazimierza też dopiero zaczęło się silniejsze wdzieranie ludzi w jej głąb i osadnictwo w niej na większą skalę, jak powiada Wincenty Pol:

Bo to dopiero od króla Kaźmierza,
Przybyło ludzi, a ubyło zwierza...

Dawniej zaś:

Tu w naszej puszczy nie znalazł po zrębach
Jeszcze maliny człowiek w one czasy,
Bo były dawne nieprzeżyte lasy,
A ludzie z wieka mieszkali po dębach...
Żyli zwierzyną i jajmi ptasiemi;
Kazik dopiero z lasa wyprowadził,
I postanowił na roli i ziemi
I pod dachami przy chlebie osadził...

Nawet gdy mury Król dźwignął i domy,
Stały przy zamku dęby Niepołomy,
A kiedy miejsce poszło na świątnice,
To też nazwano go „Niepołomice“.
Toporem drzewu człek tam nie poradził,
Chyba że ogień pod niego podsadził;
A kiedy wiosną zakrzętał się z dziatwą,
Tyle jaj ptasich zebrał i tak łatwo,
Że przez rok cały mógł się przechodować,
Jeśli je dobrze umiał w dziuplach chować.
Puszcza szumiała od ptactwa i zwierza
I z Bogiem jeszcze nie było przymierza;

Nie było także puszczą żadnej drogi,
Gdy się polaną pomknęły jelenie
To jak las niosły się za nimi rogi,
I przy ognisku brało człeka drzenie,
Bo było gęsto wilków i niedźwiedzi,
A często także ryś na czatach siedzi.

Były jeziora i turze ostępy,
I po jeziorach pływające kępy,
Gdzie nigdy ludzka nie stąpiła noga.
To też na dęby wiodła puszcza droga;
A gdzie niezręczny konar lub dąb rzadki,
Tam sztukowały już przeprawę kładki,
Spodem ni drogi, ni wrębu, ni zrębu,
Lecz ścieżka tylko szła z dęba do dębu,
I górą lasiem zwiedzali się ludzie,
Kiedy się przyszło cieszyć w jednej budzie.

Ale i po Kazimierzu Wielkim puszcza Niepołomska była długie lata widownią łowów monarszych: tu polowali niejednokrotnie Władysław Jagiełło, Zygmunt August, Batory, Wazowie, zwłaszcza zapalony myśliwy Władysław IV. Ostatnie większe łowy odbyły się za Augusta Sasa II.

I dziś jest jeszcze zwierzyna w puszczy, ale kwitnie w niej dziś głównie gospodarstwo leśne, a wywozi się z niej przedewszystkiem nie pomordowaną zwierzynę, lecz zrąbane drzewa, idące przeważnie na potrzeby sąsiednich żup solnych w Wieliczce i Bochni.

Na wiosnę urządzają na nią najścia, ale już nie łowieckie orszaki, jak ongi, lecz pokojowe, choć hałaśliwe gromadki młodzieży szkolnej z Krakowa, szukającej tu wytchnienia po pracy i odświeżenia po dusznem, miejskiem powietrzu. A i dorośli mieszkańcy grodu Podwawelskiego urządzają tu również gromadne majówki, dążąc do puszczy Wisłą na galarach lub ładem koleją.

Inne czasy, inni ludzie i inne rozrywki, ale puszcza zawsze równie pociągająca i oświeżająca, choć mniej dzika, choć poddana już zupełnie woli człowieka.

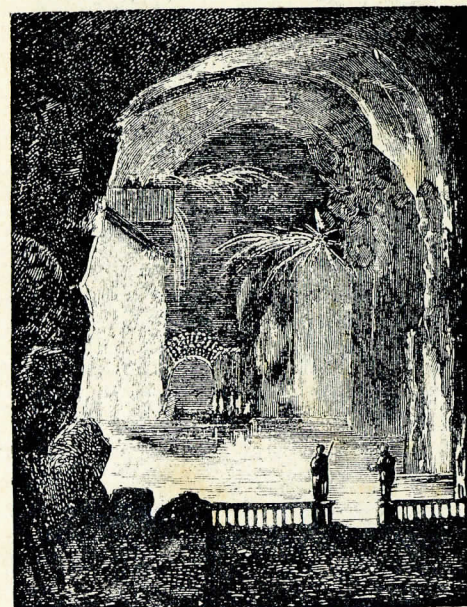
KOPALNIE SOLI W WIELICZCE.

Kopalnie Wielickie rozciągają się pod miastem Wieliczką z zachodu na wschód przeszło na pół mili (3800 metrów) wzdłuż i niecały kilometr (950 metrów) wszcz, włąb zaś więcej, niż na 400 metrów.

Pokłady soli są tu przykryte z wierzchu niezbyt grubą warstwą ziemi rodzajnej i grubszą, miejscami przeszło 30-metrową żółtej gliny oraz różnych iłów. Pod niemi dopiero, na głębokości prawie 40 metrów, zaczynają się solonośne ily oraz pokłady mniej lub więcej czystej soli, nie jednolitą masą zresztą, ale poprzegradzane warstwami gliny.

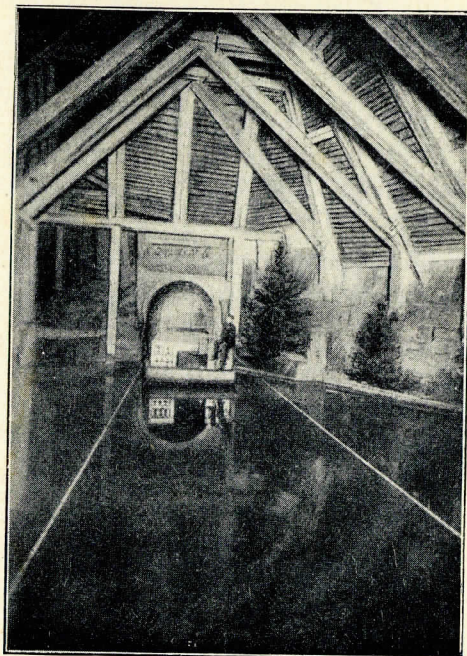
Cała ta olbrzymia masa soli pocięta jest mnóstwem pionowych i poziomych korytarzy. Pionowe czyli szyby, w liczbie ośmiu, służą do spuszczenia się w głąb kopalni oraz do przewiewu powietrza; poziome rozchodzą się po całej kopalni w najrozmaitszych kierunkach i w rozmaitej głębokości. Powstały one w części wskutek wydobywania w tych miejscach soli, w części zaś zostały wykute dla lepszego utrzymywania komunikacji podziemnej.

Korytarze te są dość obszerne, mają mniej więcej po 2 metry wszcz i na wysokość, ciągną się zaś na kilometrowych przestrzeniach, czy to w skale solnej, czy też w pokładach glin i iłów. Ogólna ich długość wynosi około 110 kilometrów.



Jezioro w kopalniach w Wieliczce.

Cała kopalnia zajmuje 7 piątr głównych czyli poziomów, połączonych ze sobą w części pionowymi szybami, w części zaś pochyłymi korytarzami, noszącymi nazwę pochylni. Dla publiczności, chcącej zwiedzać kopalnię, dostępne są jedynie 3 górne piętra. Do głębszych mają prawo wstępu tylko górnicy, zajęci wydobywaniem czyli, jak się tu mówi, odbudową soli.



Grota Arcyks. Stefanii.

Dużo lat się złożyło i dużo pracy ludzkiej poszło na wykucie tylu chodników i korytarzy, nie mało soli wydobyto już stamtąd i wyprawiono w świat, a jednakże i dziś jeszcze kopalnia wielicka zawiera nieprzebrane skarby i czynną będzie jeszcze całe szeregi lat.

Początek żup wielickich zarówno jak i bocheńskich gubi się w pomroce dziejowej. Znane są one niewątpliwie od kilkuset lat i początek ich sięga prawdopodobnie czasów pogańskich, chociaż podanie ludowe odnosi ich od-

krycie do czasów Św. Kingi, żony Bolesława Wstydliwego.

Podanie to głosi, że święta Kinga nie chciała brać od swego ojca, króla węgierskiego, żadnego posagu w złocie i srebrze, lecz prosiła go, aby jej darował coś takiego, co by mogło służyć zarówno bogaczom, jak i ubogim. Gdy ojciec się zgodził, Kunegunda pojechała do żup węgierskich i wrzuciła w jeden z ich szybów ślubną obrączkę. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się wieść po jakimś czasie do Wieliczki. A gdy za jej roz-

kazem ziemię tam kopać poczęto, znaleziono sól i w pierwszej jej sztuce królewską obrączkę.

To znalezienie się obrączki w Wieliczce podanie tłumaczy w ten sposób, że za przyczynieniem się świętobliwej królowej żupa solna węgierska, którą jej ojciec podarował i do której wrzuciła pierścień, przeniosła się cudownym sposobem pod Kraków. Opowiadają przytem, że święta Kinga zjadła w Bochni śniadanie, a w Wieliczce obiad i dla tego w Bochni jest mniej soli.

Podanie to o wędrówce soli z Węgier do Polski, Adam Garczyński ubrał w formę wierszowaną:

Węgierski król!

Srebra i soli jest panem;
Chciał córę z srebrnem wyprawić wianem,
Kinga prosiła o sól.

Król solną górę dał swojej córce,
Matce walecznych Polaków,
A Bóg rozkazał tej solnej górce,
By się przeniosła pod Kraków.

Piękne to podanie, wybornie malujące charakter świętej Kingi, dbałej nadzwyczaj o dobro i potrzeby swych poddanych, nie jest jednak zgodne z rzeczywistością, chociaż można się w niem doszukać pewnej części prawdy, jak i w tylu innych podaniach.

Rozmaite wzmianki w dziełach Długosza, Kromera i innych naszych dziejopisów, jak również stare dokumenty wskazują najwyraźniej, że jeszcze przed Bolesławem Wstydliwym i wiekiem XIII istniały w Polsce dwie żupy solne, z których jedna, większa nazywana była po łacinie „Magnum sol“ (Wielka sól) dla odróżnienia od drugiej, mniejszej. Nazwa ta, według wszelkiego prawdopodobieństwa, stosuje się właśnie do Wieliczki.

Wojny jednak i zarazy morowe, tak pospolite w owych czasach, mogły być zniszczyć zarówno dawne osady ludzkie, jak i zaczątki kopalni, tak, że zostały one zupełnie zaniedbane i opuszczone.

Prawdopodobnie dopiero Bolesław Wstydlivy odnowił je, rozszerzył i ulepszył przy pomocy wytrawnych górników, sprowadzonych z Węgier, gdzie wtedy żupy solne były w pełnym rozkwicie. Do tej właśnie jego czynności odnosić się może podanie o Świętej Kindze, która zapewne nie mało się przyczyniła do wskrzeszenia kopalni i z której pamięcią wdzięczny lud złączył je na wieki.

Zwiedzenie Salin wielickich jest rzeczą nadzwyczaj ciekawą i pouczającą. Mnóstwo też osób zjawia się tu corocznie, żeby spuścić się w ich głębie i obejrzeć kopalnię. Najwspanialej wygląda ona przy rześkim oświetleniu, kiedy ściany i słupy solne migocą tysiącem błysków, od których tem groźniej i mroczniej odbija czarna głęb dalszych nieoświetlonych komór i korytarzy. Kopalnia robi wówczas wrażenie fantastycznego, czarodziejskiego pałacu.

Dla dania pojęcia o tem, przytaczamy tu opis jednej z niedawnych wycieczek do słynnych żup wielickich:

„Szybowy dał znak maszyniście, zamknęły się drzwi windy naszej, mieszczącej, jak przepis każe, dziesięć osób i runęliśmy w dół, w bezdenną przepaść. Zjeżdżających pierwszy raz w życiu w podziemia kopalni ogarnia uczucie bardzo podobne do lęku: wydaje się, jakby oddanym się zostało nagle na pastwę jakiegoś żywiołu wrogiego, który czyha tam w głębi, wśród korytarzy i lochów, tonących w wiecznym mroku, zdala od dnia i od ludzi, od świata. Zapadamy się głębiej i głębiej, i z każdą sekundą zdają się rwać nici, łączące nas z tym, co zostało wysoko w górze nad naszymi głowami! Naraz — ład! ład podziemny! Winda zwolniła biegu, zgrzytnęła przeciągle i osadziła nas na miejscu.

Wysiadamy — i odtąd rozpoczyna się długa wędrówka po labiryncie solnym, po krętych i stromych schodkach, nad tajemniczymi przepaściami, wśród olbrzymich ścian skalnych, wciąż niżej, aż ku ostatniemu piętru, dostępnemu dla turystów“.

Zaraz na wstępie wita nas jeden z cudów wielickich, okazała kaplica Św. Antoniego, mająca 7½ metra długości, 6 szerokości i 5 wysokości. Została ona wykuta z jednolitej bryły

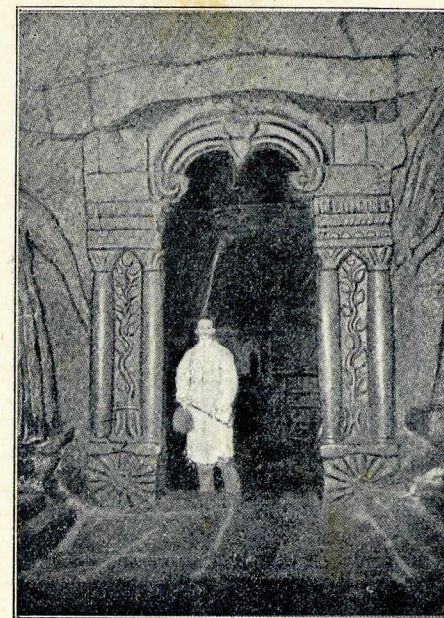
solu, w początku wieku XVIII przez niewiadomego nazwiska artystę — górnik. Ale nie tylko ściany, lecz wszystkie części i ozdoby tej kaplicy — ołtarz, kolumny, posągi świętych i ambona — wszystko to jest wykute z soli.

Wrażenie, jakie sprawia widok tej kaplicy, nie da się z niczem porównać: w głębi mamy przed sobą ołtarz z soli z Męką Pańską, ozdobiony kolumnami solnemi i postaciami świętych Klemensa i Stanisława, wykutemi również z jednego ciosu; z soli też są duże figury zakonników, klęczące na stopniach ołtarza. Po obu stronach od wejścia mieszczą się boczne ołtarze z wizerunkami Świętych Kazimierza i Franciszka, zaś naprzeciw głównego ołtarza ambona bardzo kunsztownie wykuta z soli i ozdobiona postaciami świętych Piotra i Pawła.

Ruszamy dalej długim sznurem, poprzedzeni przez „świecznych“, niosących latarnie. I oto po krótkiej wędrówce nowy fenomen. Przy dźwiękach dziarskiego mazura, granego przez towarzyszącą nam orkiestrę salinarną, schodzimy po stopniach do obszernej sali balowej, oświetlonej rześkim sześciu wspaniałymi kryształowymi kandelabrami i mnóstwem lampionów.

Sala balowa w tych podziemiach! Któżby się mógł tego spodziewać?

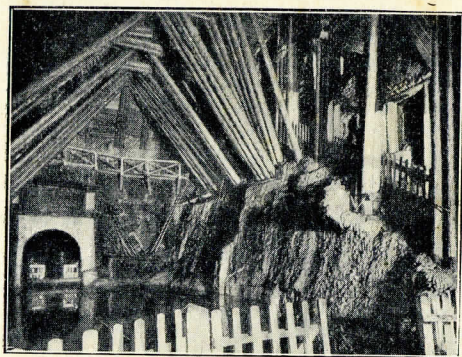
Tak, najprawdziwsza, ale zarazem najoryginalniejsza sala balowa: o ścianach skalnych, wyłożonych w części drzewem, w części zaś murem sztucznym z soli, z ławkami, biegnącymi



Portal kaplicy Świętego Antoniego.

wzdłuż ścian dla wypoczynku strudzonych, i wysoko uwieszoną galeryą dla muzyki. Niema w niej wprawdzie szklistej froterowanej posadzki, lecz zwykła podłoga z desek, ale mimo to sala ta bywała widownią niejednego balu, nie mniej ożywionego, jak bale na powierzchni, ale za to stokroć oryginalniejszego.

Przewijamy się przez całą długość sali, aby od drugiego jej końca zapuścić się dalej, i oto wkrótce w łunie ognia sztucznego otwiera się przed nami wnętrze drugiej kaplicy, nieporównanie obszerniejszej od tamtej, a urządzonej ostatnimi już czasy (w r. 1897) w jednej z pustych komór, ku czci świętej Kingi, patronki górników wielickich. Olbrzymia ta kaplica ma



Grota Arcyks Rudolfa.

50 metrów długości, przeszło 14 szerokości i 10 wysokości.

Ale już luna gaśnie, pod stropem kaplicy mrok gęstnieje na nowo — tłum turystów, poprzedzany latarniami, oddala się. Po kilkunastu minutach dalszego pochodu krętymi drogami, od szybu Rudolfa schodzić zaczynamy na drugie piętro kopalni.

Spuściwszy się po 160 stopniach na drugi poziom „Cesarza Franciszka“, na głębokość 110 metrów, znajdujemy się w jednej z najpiękniejszych komór, noszącej nazwę „Michałowickiej“, od rotmistrza wojsk polskich, Michała Dana z Michałowic.

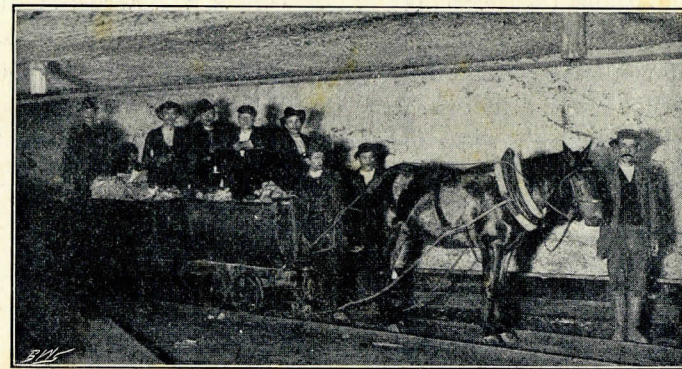
Nie tak długa, jak kaplica świętej Kingi, jest zato „Michałowicka“ bez porównania wyższa, ma bowiem 36 metrów wysokości. Długość jej wynosi 28, szerokość zaś 18 metrów, wogóle zatem jest ona przeszło dwa razy obszerniejsza od komory świętej Kingi.

Znów krążymy dalej w prawo i w lewo, jakimiś chodnikami, których kierunek wikła się i gubi; jakimiś drogami błęd-

nemi, kutemi w skale, mostami, zawieszonymi w powietrzu; schodami, które pną się w górę i zbiegają w dół bez końca.

Po upływie pół godziny zamajaczyło się przed nami w dali jakieś słabe światło, które rośło powoli, aż wreszcie oblało nas pełnym blaskiem, i ujrzelśmy ze zdumieniem budynek przylutony do ściany skalnej, typowy dworzec kolei, a przed jego frontem w dwie strony mknący tor kolejowy.

To „dworzec hr. Gołuchowskiego“, zbudowany dla podziemnej kolejki, liczącej obecnie 45 kilometrów długości. Tu



Kolejka konna.

odpoczywamy i posilamy się w obszernej restauracji, mogącej pomieścić około 400 osób.

Po odpoczynku znów ruszamy naprzód i po krótkiej chwili oczom naszym ukazuje się nowy cud: ciemna, szklista szyba podziemnego jeziora. To słony staw „Przykos“, którego spokojna, gładka tafla odbija tysiączne błyski ognia, rozświetlających ciemną głąb komory.

Zwiedzanie skończone. Wsiadamy do windy i za chwilę jesteśmy znów na powierzchni, ale długi czas nie możemy przyjść do siebie, oszołomieni wspaniałością i grozą widoków, oglądanych w kopalni.

„A przecież widzieliśmy zaledwie część tych gmachów podziemnych, które sięgają wgłąb jeszcze na cztery piętra, aż na 400 przeszło metrów pod powierzchnią ziemi. Tam, najniżej,

schodzi już tylko górnik wielicki. I o rozległości kopalni nie mogliśmy nabrać dostatecznego wyobrażenia w tej pełnej czarów podróży. Wszak osiem szybów prowadzi do tego kolosalnego warsztatu pracy, który się od wschodu ku zachodowi na 4000, a od północy na południe na 1000 rozciąga metrów, gdzie samych tylko większych komór znajduje się z górą 80, a 16 stawów zagradza drogę pracującemu robotnikowi, gdzie tysiące ludzi wreszcie—owych „żelęźniaków“, „kruszaków“, „strzelców“ i „piecowych“, rozproszonych w oddzielnych szybach, dobywa sól polską od niepamiętnych czasów. Przeszły zamierzchłe wieki Piastowskie i świetna era Jagiellonów, i szwedzkie najazdy, i burza napoleońska, wiążąc się nierozdzielnie z historią kopalni wielickich, i dwugłowy orzeł Habsburgów zawisł nad perłą polskiego górnictwa, a stare szyby królewskie: Lois, Boża Wola, Regis, Daniłowicz, Górsko i tyle innych wyrzucają z łona swego skarby ziemi naszej i praca w niej wre, jak przed wiekami.

KOPALNIE NAFTY W WIETRZNIE.

(Bronisława Znatowicza).

Od niepamiętnych już czasów było rzeczą wiadomą, że w głębi lasów karpackich znajdują się tu i owdzie źródła jakieś „zaczarowane“, których woda, choć zimna, kłębi się i pieni, jak woda Bełkotki, dokoła których czuć w powietrzu woń silną i nieznaną, a ziemia w ich sąsiedztwie wskroś przesiąkła jakąś smołą czarną, lepłą i cuchnącą. Wiedział też lud góralski, że wykopany w tej okolicy dołek prędko napęlnia się wodą, na której pływa „tłustość ziemna“, przydatna do wyprawy skór, do smarowania osi i pomocna w przeróżnych cierpieniach człowiekowi i zwierzęciu. Coby to jednak być mogło, nikt nie wiedział, i jeszcze w r. 1850 Zejszner, chociaż geolog i uczony przyrodnik, chociaż tłustość ziemną nieraz widział w wycieczkach swoich po Karpatach i dopytywał o nią okolicznych mieszkańców, nie posunął jej znajomości ani o krok dalej. Chwała prawdziwego odkrywcy nafty galicyjskiej przypada w udziale

Ignacemu Łukasiewiczowi. W jego skromnej pracowni przy aptece w Gorlicach, zajaśniała pierwsza na świecie lampa naftowa. Rok 1854 stanowi prawdziwą erę przemysłu galicyjskiego; w tym bowiem roku została zawiązana spółka pomiędzy Łukasiewiczem, Tytusem Trzeciejskim i Karolem Klobassą, właścicielami Polanki i Bóbrki, i rozpoczęto systematyczne poszukiwanie oleju skalnego, uwieńczone od razu powodzeniem.

Początkowe próby wydobywania oleju skalnego miały charakter niezmiernie pierwotny. Kopano studnię niezbyt głęboką i oczekiwano, aż się napęlni wodą, na której powierzchni zbiera się surowy olej, tak zwana ropa. Dopiero z biegiem czasu pozyskano doświadczenie, że właściwe zbiorniska nafty znajdują się w daleko znaczniejszych głębokościach, na 150 do 200 metrów i głębiej pod powierzchnią ziemi. Wypadało tedy kopać głębokie szyby, a że warstwy ziemne, wśród których znajduje się nafta, częstokroć posiadają twardość bardzo znaczną, praca ta pochłaniała niezmiernie dużo czasu i pieniędzy. Nie wiele pomogło wprowadzanie systemu wiercenia ręcznego — i tak otwór świdrowy mógł być zakładany dopiero na dnie dość głębokiego szybu kopanego, a wybitcie studni nieraz ciągnęło się lat kilka. Dopiero tak zwany świder kanadyjski, wprowadzony w Galicyi przez Mac-Garweya i Bergheima, skrócił do ostatecznych granic czas wiercenia i zmniejszył kosztą poszukiwania.

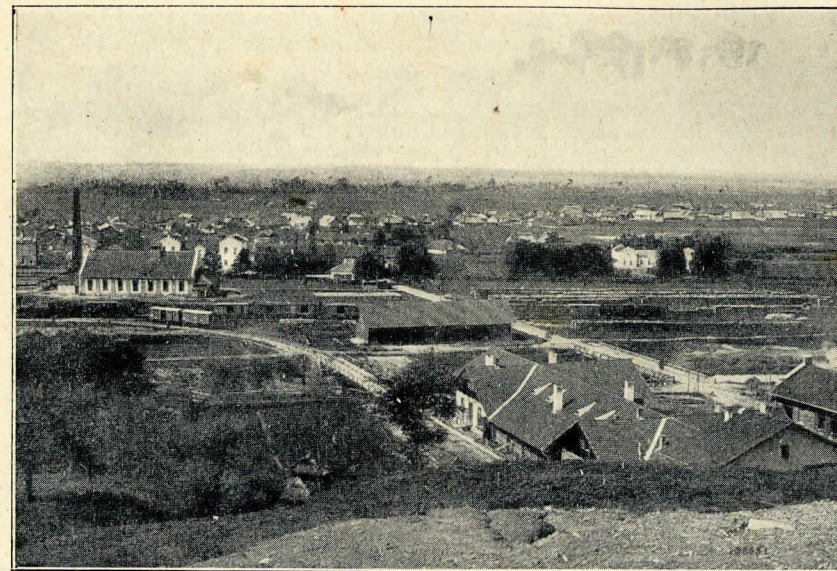
Otoczenie nowo powstającej studni składa się z lekkiego rusztowania, wysokiego na jakie 16 metrów i okrytego cienkimi deskami. Wszystko razem stanowi rodzaj smukłej wieżyczki, do której przytyka również lekko zbudowane pomieszczenie dla maszyny parowej. Ta za pomocą transmisji i prostego urządzenia pomocniczego, podnosi i opuszcza ogromne i ciężkie dłuto stalowe, którego ostrze ma może stopę szerokości. Dłuto jest przyśrubowane do końca żerdzi drewnianej, długiej na 11 metrów, której górny koniec łączy się z oprawą, nadającą ruch w górę i na dół za pomocą liny. Kiedy żerdź zagłębi się cała w otworze, do jej górnego końca śrubują drugą takieżę samej długości.

W miarę pogłębiania otworu wsuwa się węń jedną za drugą rury żelazne, stanowiące cembrowinę — rury te spaja się jedną z drugą. Czasem dłuto ustępuje miejsca łyżce, to jest

pustemu cylindrowi żelaznemu otwartemu z góry, a z dołu zaopatrzonemu w dno ruchome. Miał skalny, powstający skutkiem uderzenia dłuta, pomieszany z wodą, która sama napływa do otworu z warstw przebitych, albo w razie potrzeby jest przelewana, tworzy szlam rzadki, nawpół płynny. Kiedy łyżka upada ku dołowi, szlam dostaje się najej dno, do wnętrza; przeciwnie, przy wyciąganiu łyżki ciśnienie szlamu zamyka dno, i łyżkę wydostaje się pełną. Zawartość jej przeglądają starannie i zapisują rodzaje skał, znalezione w szlamie, ażeby w każdej chwili wiedzieć, do jakich warstw świder się dostał, a stąd w przybliżeniu przewidzieć chwilę natrafienia na ropę.

Niema wspanialszego i groźniejszego zarazem widoku, jak pierwsze wydobycie się ropy w chwili, kiedy świder dosięgnął jej żyły. Z hukiem i szumem niewypowiedzianym czarna ciecz wydobywa się z ziemi. W okamgnieniu budynek nad otworem zostaje zniesiony. Słup ropy podnosi się do wysokości, którą nieraz cenią na 120 metrów i, rzecz prosta, zapala się od paleńska maszyny parowej. Jeżeli silnego wiatru niema, jest on pionowy i dopiero u szczytu rozszerza się na wzór olbrzymiego parasola. Jeżeli zdarzenie takie następuje w nocy, pracownicy i okoliczni mieszkańcy mają widowisko, dające się porównać chyba tylko z wybuchem wulkanu.

Dawniej wytryski takie były powodem strat wielkich i należały do zjawisk bardzo niebezpiecznych dla fabryk i ludzi. Teraz jednak, kiedy budynki ponad wierconym otworem stawiają jak najlżejsze, groza ich pożaru i zburzenia zmniejszyła się znacznie, a oprócz tego dziś łatwiej umieją opanować bijące źródłisko. Zresztą pierwotna gwałtowność fontanny szybko się zmniejsza. Zwykle po kilku godzinach już uspokaja się ona o tyle, że można otwór zabić odpowiednim szpuntem i założyć kran, który pozwala dobywać ropę w miarę potrzeby i kierować jej strumieniem.



Katusz, widok ogólny salin.

2. WSCHODNIA CZĘŚĆ PODKARPACIA I POKUCIE.

Od Przemyśla *Kraina Podkarpacka* skręca ku południowschodowi i ciągnie się stosunkowo wązkim pasem między Beskidem wysokim a Dniestrem, do którego też wlewają się wszystkie, spływające z niej wody.

Górzysta część tej krainy odcina się tu mniej wyraźniej, niż na Zachodzie, i nie ma tak łagodnych przejść do nizin, jak tam. Spadek jej jest krótszy i naglejszy; wody, które spływają z gór, rwą tu z większą siłą, porznęły też całą krainę w liczne głębokie, a wąskie doliny, tworzące krajobraz nadzwyczaj malowniczy, ale dziki i nieprzystępny, zupełnie tak jak i w samym Beskidzie.

Kraina podgórska zbliża się tu tak dalece do Dniestru, że między nią a rzeką pozostaje jedynie wązka nizin, naogół żyzna i urodzajna w bardzo zaś wielu miejscach zabagniona, właśnie z powodu swej wąkości i utrudnionego odpływu wód. Szczególnie bagnista jest ona na początku, gdzie między mias-

tem Samborem a ujściem Tyśmienicy do Dniestru, znajduje się tak zwane „Wielkie Bagno“, zajmujące koło 200 tysięcy hektarów obszaru.

Wschodnia część Krainy Podkarpackiej posiada te same *bogactwa mineralne*, co i zachodnia, a więc sól i naftę, ale w jeszcze większej obfitości.

Pokłady *solí* znajdują się tu wszędzie wzdłuż całej rozciągłości Beskidu, a tryska z nich sto kilkadziesiąt źródeł słonych, tak, że Galicya zachodnia nie może nawet równać się pod względem ich ilości ze wschodnią. Przy źródłach tych istnieją warzelnie, w których wygotowują sól z wody słonej. Najgłośniejsze z nich znajdują się w *Starej soli* pod Samborem, *Borysławiu*, *Stebniku* i indziej.

Kopalnia soli kamiennej jest tylko jedna — w *Kaluszu* nad Łomnicą, ale zato nadzwyczaj ciekawa i godna uwagi z tego powodu, iż obok soli kamiennej wydobywają stamtąd inne bardzo cenne minerały (kainit), używane do użyźniania pól.

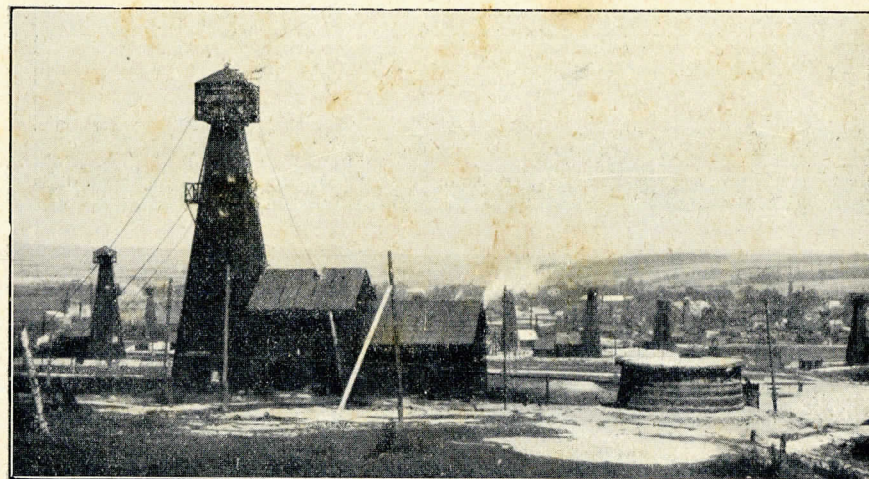
Drugie bogactwo mineralne Podkarpacia — *nafta* znajduje się również w całej jego rozciągłości, a tak obficie, że Galicya pod tym względem zajmuje trzecie miejsce na kuli ziemskiej: bogactwem nafty przewyższają ją jedynie Stany Zjednoczone Ameryki północnej oraz Kaukaz.

Ogniskiem i środkowym punktem przemysłu naftowego jest *Borysław*, niegdyś mała wioska, dziś miasto z kilkunastu tysiącami mieszkańców i kilkunastu tysiącami studni, z których wydobywa się cenną ropę naftową. Przemysł naftowy rozwinął się tu później, niż w okolicach Krosna i Gorlic, ale z powodu większej obfitości źródeł przewyższył tamte okolice i wybił się na przodujące miejsce w Galicyi. Obok samego Borysławia wysyłają stąd w świat naftę okoliczne miasta: *Drohobycz*, *Tustanowice*, *Schodnica* i wiele innych.

Oprócz nafty strony te dostarczają jeszcze *wosku ziemnego*, będącego również cennym minerałem.

Na nieszczęście jednak — przemysł naftowy znajduje się głównie w rękach obcych. Choć ojcem jego w Galicyi był Ignacy Łukasiewicz, który pierwszy (koło r. 1850) zaczął umiejętnie wydobywać i zużytkowywać naftę, nie Polacy jednak zajęli się dalszym jego rozwojem. Kapitały swe włożyli tutaj głównie cudzoziemcy (Anglicy, Niemcy, Amerykanie i t. d.),

oraz Żydzi, oni też ciągną stąd największe zyski, nieraz prowadząc przytem gospodarke rabunkową i rujnując częstokroć olbrzymie skarby. Z powodu zbyt gorączkowej eksploatacji i zbytniego gonienia za jak największym zyskiem, ginie tu wciąż mnóstwo nafty, czy to wskutek gwałtownych wytrysków, wywołujących pożary szybów, czy też wskutek marnowania się nadmiaru nafty, spływającej do rzeczek lub wsiąkającej bezużytecznie w ziemię.

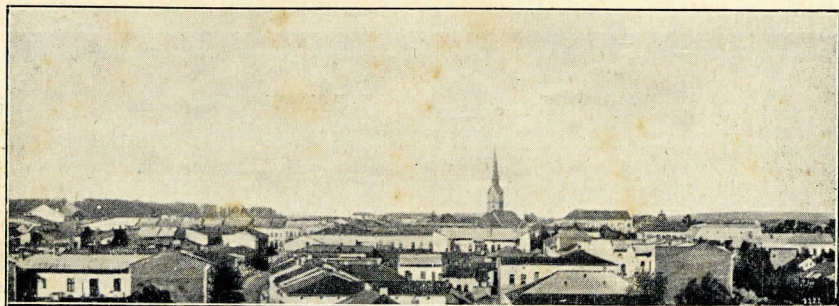


Ogólny widok Tustanowic z wieżami wiertniczymi studzien naftowych.
(z fotografii Z. Sosnowskiego).

Ludność miejscowa jest przeważnie ruska, a pracuje głównie na roli. Miasta zresztą zamieszkane są głównie przez Polaków i Żydów. Dużo Polaków ściągnął tu przemysł naftowy, do którego Rusini garną się mniej chętnie.

Przemysł ów podniósł i ożywił tę krainę; ruchliwą atoli była ona już i w dawnych czasach: tędy od wieków prowadził szlak handlowy z południa doliną Dniestru i dalej wzdłuż Sanu ku Wiśle. Szlakiem tym wędrowały orszaki kupieckie, szlakiem tym wpadali najeźdźcy z południa. Widywał kraj tutejszy niejednokrotnie łupieskie hordy Tatarów, widywał walki z Wołochami; pamiętne są po dziś dzień krwawymi rozprawami *Żurawno* i *Obertyn*.

Ze względu na położenie, kraina ta posiada długą historię: tu leży *Halicz*, podupadła i licha miejscina dzisiaj, a niegdyś dawna stolica Rusi Halickiej i siedziba jej książąt, jeden z najstarszych grodów tej ziemi, tak stary, że czas jego założenia gubi się w pomroce dziejów.



Ogólny widok Stryja.

Z innych miast na uwagę zasługują Stryj i Stanisławów. *Stryj* rozwój zawdzięcza położeniu nad rzeką tegoż nazwiska, doliną jej bowiem, a później doliną jej dopływu — Oporu, prowadzi droga przez Karpaty do Węgier. *Stanisławów* przy zlanu się dwu Bystrzyc jest miastem stosunkowo młodem, powstał bowiem dopiero w wieku XVII ze wsi, przemienionej na miasto. Dziś jest to jedno z większych miast galicyjskich, ruchliwe i handlowe, dzięki idącej tędy naddniestrzańskiej odnodze kolejowej.

Na południowowschodnim krańcu kraina Podkarpacka przytyka do *Pokucia*, płaskiej wyżyny o charakterze stepowym, położonej między Beskidem a wyżyną Podolską, od której oddziela ją jedynie jar Dniestru.

Prut zaszumiał przez Poprucie,
W ziemi Ormian; — a Pokucie
Od Podola Dniestr oddzielił,
Co popłynął jarem kręto.

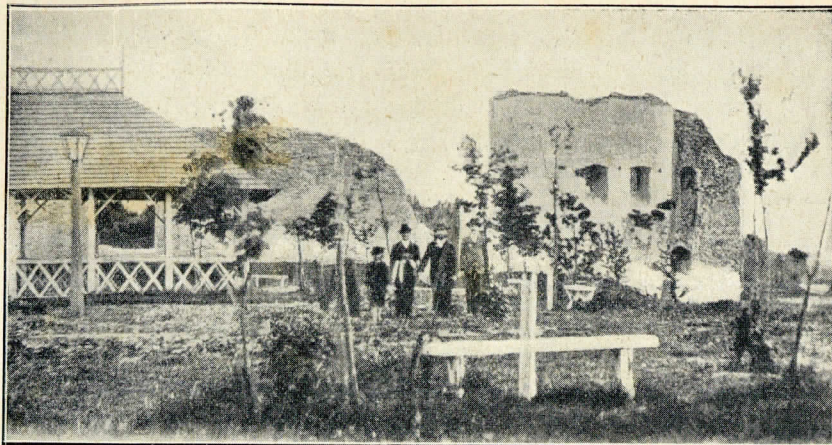
(W. Pol).

Stepowa to, prawie pozbawiona lasów kraina, zamieszкана przez Rusinów, a w części przez Rumunów, którzy dalej na Wschodzie (w Bukowinie, dawnej Mołdawii) są już ludnością panującą. Oprócz tego mieszkają tu także Ormianie, Cyganie,



Typy z okolic Kołomyi.

a w mniejszej liczbie Żydzi i Polacy. Ludność zajmuje się głównie rolnictwem i hodowlą bydła. Oprócz tego rozwinięty tu jest przemysł garncarski, dzięki obfitości gliny; ogniskiem jego jest główne miasto Pokucia — *Kołomyja* nad Prutem. Są tu również źródła nafty, w okolicy *Słobody Rungurskiej*, mniej jednak obfite, niż w Borysławiu.



Halicz. Stare ruiny.

Z WYCIECZKI NA PODKARPACIE.

(Antoniego Sujkowskiego).

1. H A L I C Z.

Kolej wiezie nas przez rodzajną nizinę Stanisławowską wzdłuż Bystrzycy, później tor kolei odchyła się od niziny rzecznej. W Jezupolu wysiadamy, aby, idąc kilkanaście kilometrów pieszo, lepiej przyjrzeć się krajowi. Bystrzycę wraz z równą powierzchnią doliny tracimy z oczu, wchodzimy w falistą krainę glinki nawiewnej (lössu), tej samej, która warunkuje krajobraz łagodnie falisty z dość urwistymi jarami rzeczek w Proszowskiem, Sandomierskiem, Lubelskiem i dalej na wschód aż nad progami Dniepru.

Tu wyżyna podolska i przedgórze Karpat wszędzie są przykryte tą gliną, winowajczynią bajecznej rodzajności gleby. Wśród tych wzgórz falistych żywiołem równinowym są doliny rzek. Posuwamy się na północozachód, przecinając falisty pas, ciągnący się od przedgórze Karpat aż do Dniestru między rzekami Łukwią od zachodu i Bystrzycą od wschodu. Piękna zwarta pszenica oczekuje żniwa, owdzie zielony owies wysokości pszenicy, zrzadka gdzie niegdzie inne ziemiopłody,

a wszystko bujnie oddycha pełnią życia, a wszystko tak zwarte, że—zda się—nie zostawia miejsca dla zielska nieużytecznego. To też dzika roślinność tylko przy drogach daje się widzieć, a więc kurzyślak, pyleniec, oset, wyka ptasia, a dopiero na stokach nad strumieniem przed wioską Koziną i na nieużytkach nad Dniestrem i inną obfitszą spotykamy roślinność dziką.

Minąwszy Kozinę, dochodzimy koło wsi Pitrycza do Dniestru, tu widać na rzece poważne roboty regulacyjne (oj! Dniestr—to nie Wisła), a krajobraz posiada już więcej urozmaicenia.



Halicz.

Stoimy na krawędzi wzgórz gliniastych, pod nami równa dolina Dniestru o przewadze łąk nad rolą, a za Dniestrem widać łagodnie zarysowującą się krawędź wyżyny Podolskiej.

Odpoczywamy na stoczystości naddniestrzańskiej wśród zarośli; pełno tu świdwy, kaliny, głogu, brak naszego bzu dzikiego, natomiast jego miejsce obficie zajął blizki mu hebd, wonniejszy od swego krewniaka. Posuwamy się dalej wzdłuż Dniestru, rzadko się odeń oddalając i wreszcie zstąpiwszy na taras rzeczny (widać ich tu parę wyraźnie), podchodzimy do Halicza, o 3—4 kilometry odległego od Pitrycza.

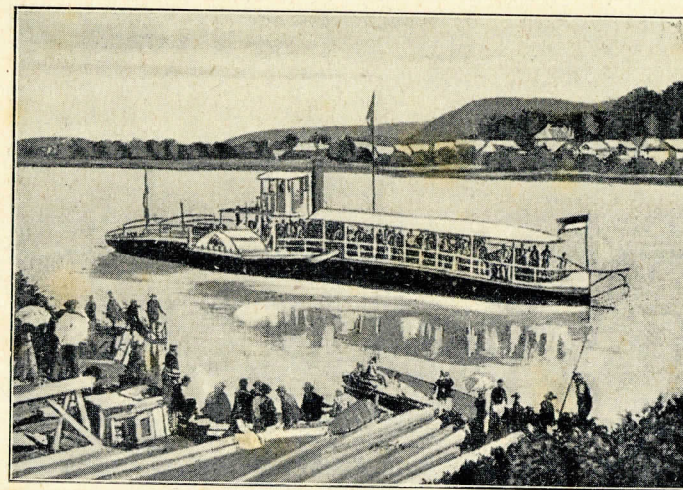
Przedewszystkiem wchodzimy na górę panującą nad mias-

tem, do zwalisk zamku. Myliłby się, ktoby sądził, że to zamczysko Rurykowiczów—pochodzą one z zamku pobudowanego w r. 1632. Aczkolwiek Halicz jest małą miściną nawet nie powiatową, jednak na stokach góry naokół zamku mamy doś ładny park z ławkami, ścieżkami schodowemi, z ogrodzeniem miejsc urwistych—jednak samorząd coś znaczy! Przypomina mi się u nas miasteczko Siewierz, gdzie przed laty sławetni obywatele rozebrali, zamiast naprawić, nie zwaliska, lecz stylowy ratusz, albo powiatowe miasto Rypin, gdzie przed trzydziestu laty w arcy wandalski sposób rozebrano mury i bramy miejskie.

Z góry widać topografię miejsca wyraźnie: przed nami dolina Dniestru, na jednym z tarasów dzisiejszy Halicz, od zachodu mamy dolinę rzeki Łukwi, której niziny nadrzeczne stanowią dalszy ciąg nizin naddniestrzańskich. Czy dzisiejszy Halicz leży na miejscu dawnego, a jeżeli nie, to gdzie był dawny Halicz—te pytania przed dwudziestu laty wywołały zażarte spory wśród historyków i archeologów. Dzisiaj można twierdzić, że narożnik pomiędzy Łukwią a Dniestrem był w czasach przedziejowych już zaludniony. Pitrycz, dzisiejszy Halicz i odległy odeń o 4 kilometry Kryłos z potężnymi okopami, oraz przy nim za Łukwią leżąca wioska Pidhorodje (Podgradzie), nawet wieś Załukiew i dalej ku Dniestrowi leżące miejscowości swemi wykopaliskami wskazują, że już w czasach przedziejowych było tam silne zagęszczenie ludności. Dzisiaj przyjęto, że dziejowo głośny Halicz zajmował obszar dzisiejszego Kryłosa.

Nie wszystkie miejsca zdadne do obrony stawały się grodziskami, nie wszędzie w urodzajnych okolicach zagęszczała się ludność, że tu jednak to się stało, nawet że rozwój społeczny doprowadził do państwa samodzielnego—gotów to jestem przypisać zogniskowaniu kilku czynników. Stoki wzgórz wytwarzały miejsca obronne, grunty lössowe na wzgórzach nigdy nie były porośnię lasem zwartym, raczej parkowym, mnóstwo zaś polan w takich lasach pozwalało wyżywić się z pasterstwa, a później z rolnictwa. Równiny Samborska i Stanisławowska, żyzne a nielesiste, jeszcze bardziej były do tego przydatne, w tem zaś miejscu te dwie niziny łączyły się z sobą i drogą wodną (Dniestrem i dolną Bystrzycą) i pasem łęgów towarzyszących tym rzekom. Dodać jeszcze należy, że już przed 2000 lat od osad greckich nad morzem Czarnem szedł szlak handlowy wzdłuż

Dniestru, Sanu, górnej Wisły, aby przez Kalisz i Żnin skierować się ku ujściu Wisły po bursztyn. Ten szlak handlu greckiego był czynnikiem wysoce cywilizującym, a łączność tych przyczyn wytworzyła zogniskowanie ludności czerwonoruskiej w Haliczu. I świecił Halicz kopułami świątyń aż do końca XIII-go stulecia, ciosy spotykane w walce z Węgrami i Rurykowiczami nie szkodziły mu, zachwiały nim dopiero najazdy Ta-

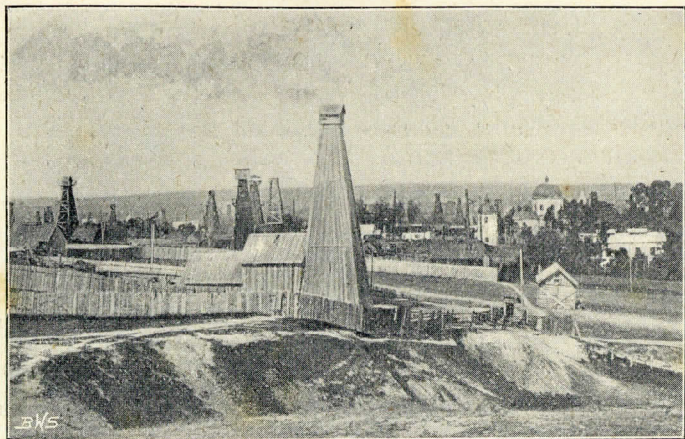


Parowiec na Dniestrze.

tarów. Aż w końcu XIII-go wieku Lew i Danił, książęta na Haliczu, na głos Burundaj-chana musieli przenieść ludność swej stolicy nad Dniestr. Z nią przeszła i nazwa, a na miejscu wielowiekowej sławy pozostała tylko cerkiew z duchowieństwem (kler, z ruska kliros, a stąd przerobione na Kryłos).

Dzisiejsze miasteczko Halicz—to jakby duża wieś z kilkunastu zamożniejszymi domostwami; rynek tylko przypomina stonki miejskie: przy nim stoi też i cerkiew unicka nie pozbawiona wartości architektonicznej.—Cisza i sen tu dzisiaj panują.

Za Dniestrem stacja kolei. Ruszamy z powrotem do Lwowa, po raz drugi przyglądając się krajobrazowi.



Borysław.—Widok szybów na Potoku.

2. BORYSŁAW.

Tym razem celem moim jest Borysław, popularnie zwany piekłem galicyjskim. Po kilku stacyach za Lwowem kolej koło Pustomytów nieznacznie przechodzi w dolinę rzeczną, mając po lewej stronie dość zamaskowaną krawędź wyżyny Podolskiej. Za Dniestrem znajduję się na równinie, jednostajnością Kujawy przypominającej, a dopiero od stacji Stryja droga zwraca się na zachód, przecina dział wodny Stryja i Tyśmienicy, pozostawiając po lewej stronie Stebnik z pokładami soli podobno bogatszymi od Wielickowskich. W dolinie rzeki Tyśmienicy zatrzymuję się w Drohobyczu, skąd kolej (specjalna odnoga) zwraca się wprost na południe. Samo miasteczko bardzo starożytne; kościół katolicki—fundacja Jagiełły — pomimo pożarów i przebudowań nie jest pozbawiony cech XV-stulecia. Miasteczko ciche, nieco nieporządne, jak na Europę, bardzo czyste w porównaniu z naszymi, nie bardzo pozwala wnioskować o bliskości Kalifornii naftianej. Ale na przedmieściach widok się zmienia, widać hen ku Truskawcowi zakłady przemysłowe—to dystylarnie ropy ziemnej, skąd cysternami wychodzi nafta.

Dojeżdżam do stacji Borysław, naokoło zbiorniki mogące zmieścić podobno więcej, niż półroczną wytwórczość ropy. Na widnokręgu o 6—8 kilometrów widać ostatnie, już nie wysokie odnogi Karpat, miejscowość płaska, dolina rzeki Tyśmienicy nieco wsuwa się między góry. Cały obszar aż do gór pokryty lasem drewnianych wież wiertniczych. Wśród labiryntu tych wież można odróżnić ulice z parterowymi domkami, rzadziej piętrowymi. Domy te czasem stłoczone w ciasne miejskie zaułki, częściej jednak rozrzucone, najczęściej budowane z drewna, sprawiają wrażenie, że powstały z dnia na dzień; sklepików, prawie wyłącznie żydowskich, mnóstwo, ale większych sklepów—wzbudzających zaufanie znośnym towarem—nie widać.

Chodniki ułożone z desek przypominają Wilno, tylko że tu nierzadko w nich są dziury. A nadewszystko błoto, brud i jakieś zapamiętałe niechlujstwo stanowią wybitną cechę tego zbiorowiska ludzkiego, które dzisiaj kilka wiosek podgórskich zlało w jedną odrażającą całość.

Wchodzę w dziedziniec kopalniany i oprowadzany przez jednego z uprzejmych kierowników widzę, że kopalnie ropy to rzecz technicznie prosta — cała trudność polega na wykonaniu otworu świdrowego na 1100 — 1200 metrów głębokości; jeżeli dochodzi się do pokładu roponośnego, to ropa sama wydobywa się na wierzch pod postacią ciemnoszarej (o słabym zielonym odcieniu), gęstej cieczy; rury ustawiają tak, aby ta ciecz mogła spływać do miejscowych zbiorników, skąd ciśnienie pary wypycha ją ku olbrzymim zbiornikom przy stacji, a stąd i dalej do dystylarni, czy to koło Borysławia (11 kilometrów) leżących, czy też dalej poza granice Galicyi. W razie, gdy ropa płynąć przestaje, próbują usunąć zatkanie, opuszczając w otwór przyrząd wiertniczy.

Na kopalni dowiedziałem się, co i bez słów rzuca się w oczy, że Borysław po 30 przeszło latach górnictwa naftowego wciąż jest cyniczną Kalifornią, gdzie o jakie takie wygody zewnętrzne niema komu dbać, o higienę lub bezpieczeństwo robót, cóż dopiero mówić o potrzebach kulturalnych. Ludność robotnicza—to przybysze z Galicyi Zachodniej, miejscowych Rusinów mało; Rusini zbyt jeszcze mało są oderwani od gleby, nie lubią roboty nie związanej z rolą.

Urzędników dostarczają wszystkie zakątki, gdzie tylko mowa polska się rozlega, a właścicielami są Żydzi, Anglicy, Amerykanie, Niemcy... słowem najcięższa walka o kawałek chleba od dołu i o miliony od góry jest cechą tej gospodarki nie myślącej o jutrze. Jest to zresztą międzynarodowa cecha górnictwa, tu jednak wobec słabości inspekcyi fabrycznej w Austrii orgia robienia milionów mniej się krępuje, niż gdzieindziej.

III.

Pas Wyżyn Południowych.

POGLĄD OGÓLNY.

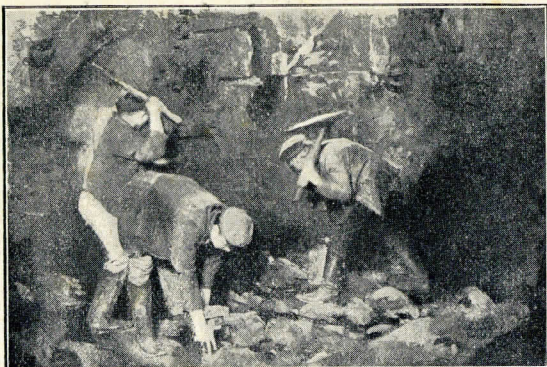
Na północ od krainy Podkarpackiej rozciąga się pas *wyżyn południowych*, sięgający na Zachodzie do niziny Nadodrzańskiej, jako wyżyna Śląska, a na wschodzie kończący się, aż hen nad Dnieprem stopniowem obniżeniem ku nizinie Czarnomorskiej, ku tak zwanym niegdyś „Dzikim Polom“.

Ten pas wyżyn nie łączy się na południu bezpośrednio z wyżyną Podkarpacką; oddziela go od niego szereg rzek i dolin rzecznych: na zachodzie Odra, a potem Wisła; w środku nizina Krakowsko-Sandomierska między Wisłą a Sanem; na wschodzie—Dniestr i nizina Naddniestrzańska. Ku tym rzekom i ich nizinom wyżyna ta spada mniej lub więcej stromo. Łagodnie natomiast zniża się na północy ku krainie wielkich Dolin: niżowi Wielkopolskiemu, Kujawom, Mazowszu, Podlasiu i Polesiu.

Pas wyżyn południowych nie posiada charakteru jednolitego: jest to kraina przeważnie falista, pagórkowata, miejscami nawet płaska i równa, zwłaszcza na wschodzie; bardziej wyniosłe łańcuchy o charakterze gór właściwych znajdują się jedynie w niektórych miejscach (góry Świętokrzyskie) nie osiągają jednak nigdzie znacznej wysokości, nie przekraczają 600 metrów.

Wyłom Wisły rozcina ten pas wyżyn na dwie nierówne

zresztą części. Dział na lewo nosi nazwę *wyżyny Małopolskiej*; jest to najbardziej górzysta i najwynioślejsza część tego obszaru; na zachodzie przytyka do niej *wyżyna Śląska*, spuszczająca się ku Odrze. Na prawo od Sanu i Wisły znajduje się olbrzymia *plyta Czarnomorska*.



Rozłamywanie węgla oskardami.

I. WYŻYNA ŚLĄSKA.

ZAGŁĘBIE WĘGLOWE.

Hej, górnik! my z Dąbrowy
Ciepła, światła straż!
Czarny na nas pył węglowy,
Lecz to węgiel nasz.

Dalej, razem, brzęk! w oskardy,
Węgiel twardy, kilof twardy,
Z głębi szybu płomyk błyska,
Kilof bije, węgiel pryska!

A nasz sztygar, ten na przedzie
Do roboty zuch!
Jak na windzie w studnię jedzie
Zaraz inszy ruch!

Dalej, razem, brzęk! w oskardy,
Węgiel twardy, kilof twardy,
Gdzieś nad nami słońce błyska
Kilof bije, węgiel pryska!

A na wierzchu świat ten jeden
A świat drugi tam!
Kuszelewo, Paryż, Reden *)
Wszędzie dom swój mam!

Dalej, razem, brzęk! w oskardy,
Węgiel twardy, kilof twardy,
Pot na czole perłą błyska,
Kilof bije, węgiel pryska!

Jedno grzeje pierś zakrzepłą
Jedno daje moc,
Że wam jasno, że wam ciepło,
Gdy nam chłód i noc.

Dalej, razem, brzęk! w oskardy,
Węgiel twardy, kilof twardy,
Na wspólne nam ogniska,
Kilof bije, węgiel pryska!

(M. Konopnicka).

Wyżyna Śląska, ograniczająca nizinę górnej Odry z prawej strony, stanowi najbardziej wysunięty na zachód kraniec pasa wyżyn południowych.

Jest to kraina mało urozmaicona i nie malownicza o nieznacznym wzniesieniu, wynoszącym średnio zaledwie 300 metrów.

*) Nazwy kopalni węgla.

Glebę ma przeważnie piaszczystą, niezbyt urodzajną; jedynie w niżej położonych częściach znajdujemy grunt żyzniejszy, bardziej sprzyjający rozwojowi rolnictwa.

Mimo to jednak wyżyna Śląska nie jest wcale tak nędzna i uboga jakby to można sądzić z jej jałowości. Przeciwnie, należy ona do krain najbogatszych i najludniejszych w Europie, ale bogactwo swoje zawdzięcza nie płodom rolnym, rodzi ich bowiem mało, lecz skarbowi mineralnemu, ukrytym w łonie ziemi.

Obfituje w nie szczególnie południowa część, mająca charakter kotliny i z tego powodu zwana zagłębiem. *Zagłębie* to nosi nazwę *Śląsko-Polskiego*, ponieważ leży pomiędzy Śląskiem a Małopolską. Zajmuje ono przestrzeń 100 mil kwadratowych, a spoczywa na ogromnych pokładach *węgla kamiennego*, należących do największych w Europie.

Pokłady te ogólnej grubości 115 metrów, składają się z szeregu warstw węgla, przegradzanych warstwami piaskowca i różnych łupków. Niektóre z pokładów węgla mają grubość do 20 metrów, co ogromnie ułatwia jego wydobywanie, górnik bowiem, dokopawszy się do węgla, ma go od razu pod ręką duży zapas.

Zestawmy teraz ogromną rozciągłość tych pokładów z ich grubością i pomyślmy tylko, jakie to ilości tego cennego minerału spoczywają tam pod ziemią i na jak długie lata starczy tych zapasów, pomimo iż co rok wydobywają stamtąd sporo węgla.

Już przed laty kilkunastu (w r. 1895) roczna produkcja całego Zagłębia Śląsko-Polskiego wynosiła 30 milionów tonn czyli około 2000 milionów pudów. Ilość tę trudno sobie nawet wyobrazić. Stanie się ona jednak zrozumialszą, jeśli rozłożymy ją sobie na ładunki wagonowe.

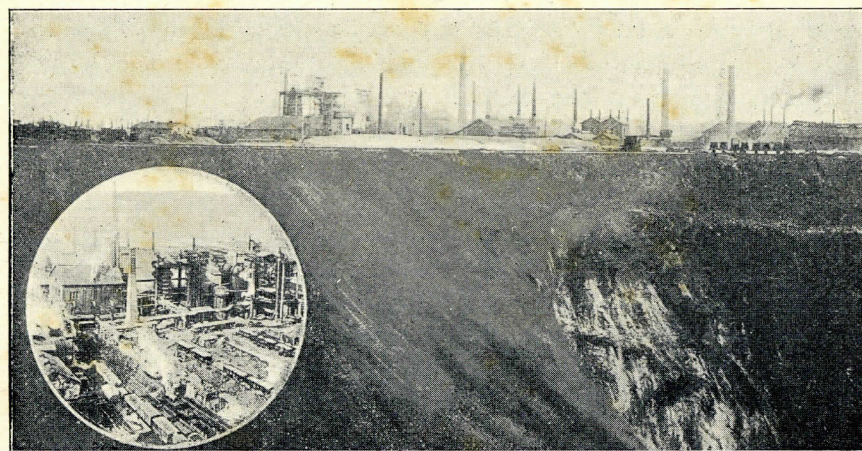
Wagon bierze mniej więcej 10 tonn czyli koło 600 pudów węgla; na zabranie więc całej rocznej produkcji Zagłębia potrzeba 3 miliony wagonów czyli koło 75000 pociągów 40-wagonowych!..

Pod względem politycznym wyżyna Śląska należy przeważną częścią do Prus, wchodzi w skład tak zwanego Śląska Pruskiego; do Królestwa Polskiego należy stosunkowo nieznaczna część wschodnia; mały kawałek południowy zalicza się do

Śląska austriackiego. Zagłębie dzieli się również między trzy państwa i również największą częścią należy do Prus.

Odpowiednio do tego najwięcej też węgla dostarcza Śląsk pruski, bo prawie dwie trzecie, do 20 milionów tonn; Śląsk austriacki koło 6 milionów, a część w Królestwie Polskiem, zwana Zagłębiem Dąbrowskiem, tylko 4 miliony.

Teraz potrzebne są olbrzymie ilości wagonów, żeby wywieźć w świat węgiel, wydobywany co rok w Zagłębiu, ale ile to wieków leżał on nieużytecznie pod ziemią, ile wieków ludzie



Dąbrowa górnicza.

chodzili po tych bogactwach zupełnie obojętnie, ani domyślając się nawet, jakie skarby mają pod nogami.

Dużo czasu upłynęło, zanim nauczono się korzystać z węgla kamiennego i używać go, jako paliwa. W Anglii, posiadającej najbogatsze pokłady węgla z całej Europy, znano ten minerał już w wieku jedenastym, na większą skalę jednak wydobywać go zaczęto dopiero w początkach XIX.

W Dąbrowie górniczej pierwszą kopalnię węgla otworzono w r. 1796 za rządów pruskich. Otrzymała ona nazwę Reden od nazwiska ówczesnego jej dyrektora. W następstwie powstawało coraz więcej kopalni. Wielkie zasługi w ich otwieraniu i rozwoju w początkach wieku XIX położył Staszic, niestrudzony

opiekun górnictwa polskiego, który nadzwyczaj gorliwie zajmował się bogactwami mineralnymi naszego kraju.

Ale z początku rozwój kopalni szedł bardzo powoli i jeszcze przed 50 laty Zagłębie Dąbrowskie było pokryte przeważnie sosnowymi lasami, a nieliczna jego ludność zajmowała się głównie spławem drzewa.

Dziś mamy tu setki kopalni; obok nich powstały całe miasta, wzrastające z iście amerykańską szybkością tak, że obecnie kraina ta należy do najbogatszych i najludniejszych na ziemi.

Rozwój jej idzie tem szybciej, że węgiel nie jest jedynym jej bogactwem: obok niego znajdują się tu ogromne pokłady *rud żelaza*, a także *ołowiu* i *cynku*. Niekiedy jedno z tych użytecznych pokładów leży tuż nad drugim, tak że ta sama kopalnia dostarcza odrazu kilku minerałów.

Obok kopalni więc powstały tu wielkie piece czyli huty, wytapiające i przerabiające żelazo, cynk, ołów; a także inne zakłady przemysłowe, jak np. przędzalno-tkackie, których rozwój umożliwiła obfitość węgla na miejscu.

Potrzeba z jednej strony wywożenia stąd wydobytych minerałów, a z drugiej dowożenia towarów do fabryk — wywołała przeprowadzenie całej sieci linii kolejowych, wzbogaciła i ożywiła jeszcze bardziej całą tę dzielnicę.

Wre tu więc i kipi życie, ludzie pracują gorączkowo i bogacą się prędko, ale niestety ciężar pracy spada głównie na miejscową, polską ludność, a zyski dostają się przeważnie cudzoziemcom. Przy otwieraniu kopalni i zakładaniu fabryk Polacy mało brali udziału, czynni tu byli przedewszystkiem kapitaliści niemieccy, francuscy, belgijscy i inni; oni wkładali tu pieniądze, oni powoływali do życia kopalnie i zakłady przemysłowe, oni też są dziś ich panami, do ich rąk płyną olbrzymie zyski, jakie daje ta kraina obfitująca w skarby mineralne.

Ale choć tak bogate, pełne ludzi, ruchu i życia, Zagłębie Śląskie, a zwłaszcza jego część najbardziej przemysłowa, nie robi wesołego wrażenia, przeciwnie jest ono ponure, przygnębiające i ciężkie.

Jak daleko okiem sięgnąć, nic nie widać, tylko wysokie kominy fabryk, zięjące bez ustanku czarny dym, który zasłania sobą błękit nieba i wisi ciemną chmurą nad dachami gęsto rozsianych budynków. Czarny pył węglowy pokrywa sobą wszyst-

ko: nasypy kolejowe, ulice, ziemię, dachy, ubrania i twarze ludzkie.

Łanów zbożowych, zielonych lasów nie widać tu prawie nigdzie; a i ta roślinność, jaką dostrzegamy tu i owdzie, wygląda nadzwyczaj nędźnie i marnie, jest również szara lub czarna od powlekającego ją pyłu węglowego. Wszędzie ten pył, wszędzie kominy, słupy, druty...

Zamiast śpiewu ptaków, ryku bydła, głosu fujarek pastuszych rozlegają się przeraźliwe gwizdy maszyn parowych, huczące sygnały fabryk, dźwięki dzwonków elektrycznych, sapanie pociągów, warczenie kół. Zda się, że wszystkie te kominy, te wielkie budynki fabryk żyją, tak wszystko w nich drga, pracuje gorączkowo, z pośpiechem, bez wytchnienia...

Istotnie pracuje gorączkowo i bez wytchnienia, bo choć praca odbywa się tu na dwie zmiany, ale przeważnie nie ulega przerwie nawet w nocy.

Tylko w nocy zmienia się wygląd całej okolicy: czarne dymy wydają się jeszcze czarniejsze i jeszcze groźniejsze, bo z głębin kominów wytryskują całe snopy iskier, bo miliony świateł fabrycznych zlewają się w jakieś łuny na niebie, które wyglądają niby odbłaski dalekich pożarów.

Czarny i ponury obraz! Zwłaszcza dla ludzi przybywających tu po raz pierwszy. Na nich fabryczno-kopalniane okolice wywierają nadzwyczaj przygnębiające wrażenie wskutek braku zieloności, braku łąk, pól, lasów, których widok stanowi tak miły i zdrowy odpoczynek dla oka i umysłu.

Fabryki, osady, wzrastające jak grzyby po deszczu przy kopalniach i zakładach przemysłowych, zniszczyły, zjadły te pola i lasy, które tu były jeszcze nie tak dawno, zmieniły wygląd kraju do podstaw.

I ludność tutejsza uległa również zmianie: z przeważnie rolniczej, jaką była, stała się górniczo-fabryczną.

Istniały tu wprawdzie kopalnie i za dawnych polskich czasów: stary, górniczy Bytom miał kopalnie ołowiu i cynku już w wieku XIII; ale wogóle silniejszy i szybszy rozwój górnictwa zaczął się dopiero w wieku XIX, od czasu kiedy wzięto się gruntownie do wydobywania węgla kamiennego. Ten też wiek, a zwłaszcza druga jego połowa przyniosły gruntowną zmianę w całym Zagłębiu.

Ludność, zmieniawszy się pod względem zajęcia, stała się zarazem bardziej urozmaiconą i różno języczną. Tło jej zawsze wprawdzie stanowią Polacy, ale szybki rozwój górnictwa i przemysłu w ostatnich czasach ściągnął tu mnóstwo cudzoziemców, wśród których rej wodzą Niemcy. Do niedawna niemczyzna panowała tu wszechwładnie nie tylko w pruskiej części Zagłębia, ale i w Królestwie. Zaledwie w ostatnich czasach żywioł polski zaczyna zyskiwać na znaczeniu i wpływie wskutek zwiększenia się liczby Polaków w administracji tutejszych przedsiębiorstw i wogóle wśród inteligencji miejskiej.

Wskutek gorączkowego zakładania w ubiegłym wieku coraz to nowych kopalni, otwierania coraz to nowych zakładów przemysłowych, powstało tu mnóstwo fabrycznych miast, które w krótkim czasie rozrostem swym i rozwojem prześcignęły dawne tutejsze górnicze miasta, mające za sobą kilkowiekową przeszłość i sławę.

Stary *Bytom* na Śląsku Pruskim nie dorównywa już młodej *Hucie Królewskiej*, znajdującej się w jego sąsiedztwie i będącej punktem środkowym węglowego obszaru tej części Śląska. Powstała ona z połączenia się kilku wsi, a dziś stanowi rozległe miasto z kopalniami, w których pracuje kilka tysięcy robotników.

W taki sam sposób powstały i powstają tu wciąż nadal wszystkie miasta górnicze. Osady i wsi przy nowych kopalniach powiększają się, rozrastają, aż wreszcie zetkną się i zleją ze sobą, tworząc ogromne zbiorowisko ludzi o charakterze mieszanym wsi i miasta: powstają one zbyt szybko, aby przybrać cechy porządnie urządzonych, wielkich miast, ale jednocześnie są zbyt ruchliwe i ludne, aby mogły zachować charakter wsi. Znajdujemy też tam tramwaje, telegrafy, telefony, okazałe wysokie kamienice w najbliższym sąsiedztwie błotnistych dróg, nędznych chałup, walących się płotów, marnych ogródków i zagonów, — bogactwo, mogące rozrzucić pieniądze tysiącami obok ostatniej nędzy.

Ten charakter pół miast, pół wsi, brzydki przeważnie i nieporządny, mają przedewszystkiem miasta obszaru górniczego w Królestwie Polskim. One to właśnie uległy w ostatnich latach tak szybkiemu rozrostowi, że nie zdążyły przeistoczyć się w miasta ze względu na swe urządzenia, choć przestały już

być wsiami z powodu zbytnej rozległości i rodzaju zajęcia mieszkańców.

Głównymi ogniskami tego obszaru są *Dąbrowa Górnicza* i *Sosnowiec*. Oba te miasta łączą się ze sobą sznurem fabryk (hut żelaznych, cynkowych, szklanych, przędzalni i t. d.) oraz osad kopalnianych, a jednocześnie rozchodzą się z nich także same szeregi fabryk i kopalni, łącząc je w jedną całość z okolicz-



„Kąt trzech Cesarzów“.

nemi miasteczkami, osadami i wsiami: *Będzinem*, *Czeladzią*, *Sielcami*, *Milowicami*, *Niwką* i t. d.

Powstaje z tego jakby jedno olbrzymie miasto, o ludności kilkuset tysięcy, pełne fabryk, kominów, dymu, ognia, huków, łoskotu, nieustannego krążenia mieszkańców z jednej osady do drugiej. Odnogami swymi i rozgałęzieniami przekracza ono nawet granicę polityczną, jakby chciało wchłonąć w siebie położone już w Prusach *Katowice*, *Szopienice* i inne miasteczka lub osady z tamtej strony granicy pruskiej i austriackiej.

Bo tu właśnie w pobliżu Sosnowca przy ujściu rzeczki

Brynicy do Czarnej Przemszy, lewego dopływu Wisły, schodzą się granice trzech krain i trzech państw: Śląska pruskiego, Królestwa i Galicyi. Kąt ten zowią z tego powodu „kątem trzech cesarzów“ (Drei-Kaiser-Ecke).

W KOPALNI WĘGLA.

Pokłady minerałów pożytecznych rzadko znajdują się na powierzchni ziemi lub tuż pod nią; wtedy można je wydobywać

„na odkrywkę“. Przeważnie jednak rozciągają się one na pewnej, nieraz bardzo nawet znacznej głębokości pod powierzchnią i wówczas trzeba zakładać kopalnię, żeby się do nich dostać.

Dotyczy to między innymi i węgla kamiennego: w niektórych miejscowościach Zagłębia Śląskiego występuje on na powierzchni, w innych przykryty jest grubszymi lub cieńszymi warstwami różnych skał, które trzeba przebić, żeby się dostać do niego.

W tym celu kopie się przedewszystkiem mniej

lub więcej głęboką jakby studnię, aż dopóki nie zetknie się ona z pokładem węgla kamiennego. Studnia taka zowie się *szybem*. Następnie w bok od niej zaczyna się wybierać węgiel, wskutek czego powstają poziome lub pochyle korytarze, zwane *chodnikami*. W miarę wybierania coraz to nowych ilości węgla, chod-



Górnika.

niki te wydłużają się coraz bardziej a zarazem zwiększa się ich liczba.

Po wybranym węglu pozostają puste przestrzenie. Żeby zapobiedz zawaleniu się warstw wyżej położonych, górnicy wzmacniają boki i strop chodnika obmurowaniem albo też belkami drewnianymi, podstemplowują go, jak się to mówi. Gdy zaś wybiorą już zupełnie węgiel z jakiegoś miejsca, tak że ta część kopalni przestaje być czynne, zasypują ją wówczas „hałdą“, to jest nieużytecznymi kamieniami i ziemią, które zazwyczaj wyrzuca się na powierzchnię.

Chodniki ciągną się *piętarami* jeden nad drugim, a im grubsze są pokłady węgla oraz im większa ich liczba, tem więcej piątr posiada kopalnia. Nieraz sięga ona wgłąb ziemi na kilkaset metrów.

Do wyłamywania węgla górnicy używają żelaznych dragów oraz specjalnych młotów, zwanych kilofami i oskardami. Dawniej do wyrąbywania chodników posługiwano się wyłącznie narzędziami ręcznymi, dziś rozsadzają skały przeważnie prochem lub dynamitem.

Wyłamany węgiel robotnicy ładują do małych wagoników, ciągnionych przez konie po szynach. Dowożą go one chodnikami do szybu, a tam winda parowa lub elektryczna wyciąga go na powierzchnię.

Górnicy spuszcza się do kopalni i wychodzą z niej z powrotem również za pomocą windy. Istnieją oprócz tego nieraz jeszcze i schody, prowadzące wgłąb jednym z pochyłych szybów, ale że są one znacznie mniej wygodne, w zwykłych więc warunkach mało się z nich korzysta.

Praca górnika jest bardzo ciężka i wyczerpująca, wymaga nadzwyczajnych wysiłków, a oprócz tego zmusza do nieustannego przebywania całymi godzinami w ciągłym mroku, rozświetlonym jedynie drgającymi światełkami lampek górniczych, bez widoku słońca i całej ożywionej, wesołej przyrody, którą górnik zostawia na powierzchni ziemi, spuszcza się w jej ponure i mroczne głębie.

Wstrząsające wrażenie wywiera spuszczenie się do kopalni, zwłaszcza dla kogoś, kto znajduje się tam poraz pierwszy.

Stajemy w podziemiach. Z lampami dokoła
Jak gnomy szarzeją górnicy.
Chodnikiem sznur wózków przelata, grzmią koła,
Tłum sunie znędzniały, oblewa znój czoła,
Duch mroczno przygasa w żrenicy.

(A. Niemojewski).

A cóż dopiero czuje ten, kto staje w chodniku nie dla przyjemności zwiedzenia kopalni, lecz dla ciężkiej pracy w jej głębi. Wrażenie jest tak silne, że robotnicy, zwłaszcza przybyli z dalszych okolic kraju i nie mający nawet pojęcia o tem, co to jest taka kopalnia, ogarnięci przerażeniem, rzucają nieraz wszystko i uciekają do domów, nie mogąc zżyć się z myślą, że mają całe miesiące i lata pracować tak w wiecznym mroku pod ziemią.

Dla wielu praca w takich warunkach wydaje się jakąś karą za ciężkie zbrodnie i nie jeden na widok mroków kopalnianych woła: „ja nikogo nie zabiłem ani nie okradłem, żebym za życia pokutował w tych podziemiach!”

Najlepiej tu pracują i najlepiej się czują w tych ciężkich warunkach miejscowi Ślązacy, górnicy z dziada pradziada, których przodkowie już od wieków żyli się z grozą i trudnościami pracy podziemnej.

I gdybyż przynajmniej cała jej trudność polegała tylko na ciężkich wysiłkach fizycznych i na ponurem wrażeniu nieustannych ciemności. Nie, ten strach nie jest bynajmniej nieuzasadnionym lękiem przed jakimiś widmami lub tworam wyobraźni: nie, tu na każdym kroku grozi istotnie niebezpieczeństwo, na każdym kroku wrogie siły czyhają na życie górnika. Schodząc rano do kopalni zdrów i cały, nie wie on nigdy, czy nie wróci z niej wieczorem kaleką i czy wróci wogóle. W takim samym niepokoju oczekują nań najbliżsi, których pozostawił tam na powierzchni ziemi!

Kopalnie, kopalnie—to nasze pałace,
Niejedna panienka rzewliwie zapłaczę,
Rzewliwie zapłaczę i tęskno zaśpiewa,
Bo się w każdej chwili nieszczęścia spodziewa.

Przedewszystkiem grozi mu zawsze *zawalenie się chodników*, wskutek zbytnej słabości albo spróchnienia podpór. Taki zapadający się chodnik grzebie pod gruzami wszystkich, co się w nim znajdowali w danej chwili. Teraz zapadania się chodników są rzeczą stosunkowo rzadką, ponieważ gospodarkę w kopalni prowadzi się uważnie, chodniki podpira się starannie a pustki zasypuje jak najdokładniej. Ale za dawniejszych czasów, za tak zwanej gospodarki rabunkowej, gdy węgiel wybierano bez oglądania się na to, co nastąpi później, zapadania się szybów i chodników zdarzały się znacznie częściej.

Można również stać się kaleką a nawet zginąć przy *wybuchu miny*, założonej w pokład. Chociaż bowiem górnicy robią to z całą ostrożnością i odchodzą na należyłą odległość, nieraz jednak mina wybuchnie tak gwałtownie i z taką siłą, że odłamki skał i gazy wywiązujące się przy wybuchu, dosięgają ich i zabijają, niby kule na wojnie.

A poza temi niebezpieczeństwami, grożą jeszcze górnikom w każdej chwili dwa zaczajone w podziemiach żywioły: ogień i woda.

Ogień w kopalni może wybuchnąć z wielu przyczyn: przede wszystkim z pokładów węgla wydziela się łatwo zapalny gaz, który wybucha za łada zetknięciem z ogniem. Dlatego to górnicy noszą specjalne lampki, osłonięte siatką i wogóle z ogniem obchodzą się w kopalni bardzo ostrożnie, ale mimo to zdarza się od czasu do czasu pożar wskutek jakiejś mimowolnej nieuwagi.

Zresztą może on wybuchnąć nawet przy zachowaniu największych ostrożności, mianowicie z powodu nagromadzenia się w kopalniach pyłu węglowego, który w pewnych warunkach zapala się prawie sam przez się przy zetknięciu z powietrzem.

Jeżeli zaś pożar straszny jest na powierzchni ziemi, gdzie i uciekać łatwiej i łatwiej z nim walczyć, można sobie wyobrazić grozę, jaką wywołuje on pod ziemią. A przytem nie dość jest tam myśleć o ucieczce i ratowaniu samego siebie, trzeba jeszcze zająć się gaszeniem ognia, który mając do czynienia z tak palnym materiałem, jak węgiel, może trwać całe miesiące, a nawet lata, dopóki nie strawi kopalni i nie zniszczy zupełnie zawartych w niej bogactw mineralnych.

Gaszenie zaś ognia w kopalni nie jest rzeczą łatwą. Przy

mniejszym pożarze górnicy starają się zalać go wodą, przy większym muszą myśleć o położeniu mu tamy, o zagroźeniu dalszej drogi murem z cegły: poświęcają wówczas na pastwę pożaru część kopalni, a ratują przynajmniej resztę. Nie trudno jednak sobie wyobrazić, jak ciężką pracą jest takie wznoszenie muru w chodniku, w którym szaleje ogień. Pochłania też ona często nie jedno życie ludzkie.

Gdy mur jest już wzniesiony i ogień zamknięty, wszyscy wracają do zwykłej pracy, ale nieraz myślą z przerażeniem o tym ogniu, który tam szaleje za murem i drżą na myśl, o tem, co by to było, gdyby pożar przerwał zaporę i znów przedostał się do nich.

Tam z czarnej pieczary
Duszący żar bije od ściany.
Za ścianą się palą wieczyste pożary,
Tam leżą poległe, spalone ofiary,
Co biegły tu gasić wulkany!

Pomnicie, górnicy, tę walkę z żywiołem,
Gdy w koło szalały wybuchy?
Trzy mury wstawały pod żarem, popiołem,
Trzy ściany wstawały i rosły tam kołem
Tamując płomieni podmuchy!

Gdy padły szeregi zduszone przy murze,
W lot nowe szeregi nadbiegły!
Walczyły w płomieni duszącej purpurze
I piersią swą szczyrby słońiły na murze,
Aż ścianą żywioły obległy!

(A. Niemojewski).

Woda jest nie mniej od ognia groźnym żywiołem dla górnika, chociaż działalność jej niszczycielska objawia się w odmienny sposób.

Wody pod ziemią nie brak: sączy się tam mnóstwo źródeł, które przesiakają przez pokłady i spływają powoli po ścianach chodników. Czasami bywa ich tyle, że aż utrudniają pracę. Czasami znowuż drobniejsze strugi i żyły wodne, zlawszy się

razem, tworzą istną rzekę podziemną, która pędzi ze straszną siłą i wlewa się do kopalni, niszcząc i burząc wszystko po drodze.

Biada górnikom, których taka podziemna rzeka zaskoczy przy pracy w kopalni! Nie zawsze uda im się usłyszeć zawczasu ostrzegawczy szum przelewającej się gdzieś za ścianą chodnika fali i uciec prędko do windy.

To też w kopalni czynne są nieustannie pompy, które pompują zbierającą się w podziemiach wodę, wylewają ją na zewnątrz i zabezpieczają w ten sposób kopalnię od zalewu. Czasami jednak następuje tak gwałtowny przybór, że i pompy okazują się bezsilne i na kopalnię spada straszna klęska — spieniona rycząca fala, która grzebie w sobie dziesiątki albo setki istnień ludzkich i na długi nieraz czas przerywa działalność kopalni.

Czy słyszysz tam wdali huk rzeki podziemnej?
Patrz, ona w pieczarach ujęta,
Jak lwica przebiega podziemia świat ciemny,
Łeb wznosi i poryk wydaje tajemny,
Chcąc przegryźć kamienne swe pęta.

Stalowe pijawki u wodnej gardzieli
Ssą żywioł, pulsują wentyle,
Ssą wody nieznanej, ukrytej topieli,
A wody wciąż rosą wśród skalnej gardzieli,
Ach, skąd ich tam bierze się tyle!

Pulsują wentyle i słyszeć syk pary,
Wre ciągły bój z wodnym żywiołem.
Przy blasku latarki patrz w głębię pieczary,
Czy widzisz, jak gryzie skaliste filary,
Jak krąży, jak czai się kołem?

Jak lwica pierś wzdyma: ryknęła, szaleje,
Wre, bryzga pianami białymi,
Za chwilę, swobodna, chodniki zaleje,
Stuletnie kruźganki, bogactwa, nadzieje
I szybem wybuchnie z podziemi.

(A. Niemojewski).

Słowem tysiące niebezpieczeństw grozi na każdym kroku górnikowi, tysiące czyha na jego życie.

Ale górnik śmiało zagląda w oczy śmierci, śmiało spuszcza się codzień w mroczne głębie kopalni, rozbija pokłady kilofem, rozsadza je dynamitem, ładuje węgiel na wózki i wysyła go windą do góry.

W kamiennym chodniku pięć lampek się pali

I pięciu górników widnieje.

Śród ciszy przewierca opokę zęb stali

I głucho tam obuch o twardy głaz wali,

Co chwila stal pryska, dłoń mdleje.

Wtem cisza — i światła pogasły. W chodniku

Dym zawiał, zatrzęsły się ściany,

Zatrzęsły opoki i głazy od ryku,

Od ryku wybuchów w kamiennym chodniku;

Pierś dławią duszące tumany.

Po chwili śród dymu znów lampki drżą w dali,

Znów cienie tam widać człowiecze,

I znowu cierpliwie świdruje zęb stali,

I głucho znów obuch o twardy głaz wali,

Stal pryska, dłoń mdleje, znój ciecze...

W chodnikach grzmiały miny, rwie oskard, wre praca

I sypią się czarne dyamenty.

Sznur wózków odbiega, sznur wózków powraca,

Już pamięć ich liczby potworne zatracą,

Wre głucho bój zysku zacięty.

Po szynach pochylni grzmiały wózki bez końca,

Z czeluści wzlatują zaświata,

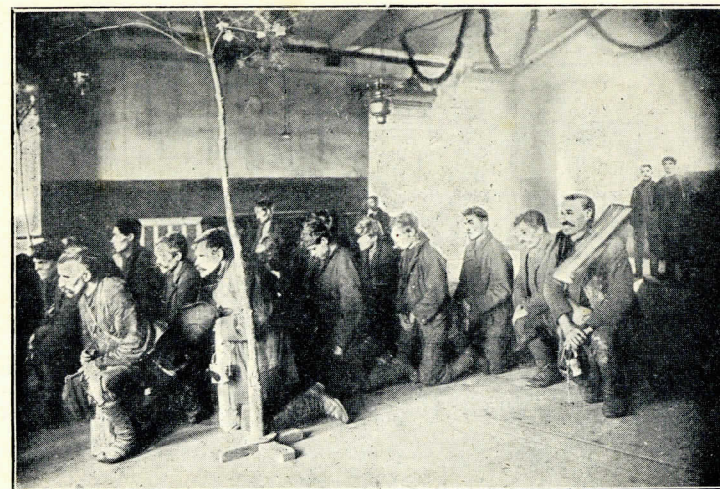
Unoszą te czarne dyamenty w kraj słońca!

Tam suną wagony, pociągi bez końca,

Tam armia wagonów ulata!

(A. Niemojewski).

Dzięki tej ciężkiej, wyczerpującej pracy górnika, ludzie zaopatrzeni są w węgiel kamienny, mają czym palić w mieszkaniach, gotować przy czym jedzenie, fabryki mogą być czynne, pociągi rozwozić ludzi i towary... Górnika ma prawo czuć się dumnym, że choć nie wytwarza produktów, niezbędnie koniecznych do życia, jak np. rolnik, bez jego pracy jednak życie innych ludzi byłoby jeśli nie niemożliwe, to w każdym razie bardzo ciężkie.



Górnicy modlący się przy wyjściu z kopalni.

Praca w kopalni trwa przez cały rok. Świąt górnicy nie znają dużo; zato z wielką uroczystością obchodzą zawsze dzień świętej Barbary, swojej patronki (4 grudnia).

W dniu tym z każdej kopalni wyrusza do kościoła okazały pochód ze sztandarem i muzyką. Po nabożeństwie obchodzi on dyrektorów kopalni, a potem następuje uczta i zabawa. Wspaniale wygląda taki pochód, zwłaszcza gdy się zdarzy słoneczny, suchy dzień zimowy i gdy go oglądać z jakiegoś wzniesionego miejsca.

Przez ulicę przesuwają wówczas tysiące górników w odświętnych strojach przy dźwiękach orkiestry, a nad głowami ich rozwiewają się z łoskotem barwne chorągwie.

Tylko że pracownicy mrocznych głębin i dzień swojej patronki święcą w miesiącu najbardziej mroźnym, kiedy słońce najniżej stoi a przytem zazwyczaj bywa zakryte chmurami. Nie często też przyświeca ono ich uroczystości, jak wogóle nie często oni je widują.

A jednak lubią oni to słońce i tęsknią do niego: praca w kopalni wyrobiła w nich hart ducha, prawdziwie męską pogardę śmierci, nie boją się jej, ale kiedy już przyjdzie do nich, chcieliby umierać przynajmniej nie tam w tych mrocznych podziemiach, lecz na ziemi, wśród swoich.

W modlitwie do świętej Barbary, górnik prosi swej patronki:

O święta Barbaro, zlituj się nademną,
Żebyś tu nie został pod tą ziemią ciemną,
Żonaby płakała, dzieci by płakały,
Że swojego ojca śmierci nie widziały.

II. WYŻYNA MAŁOPOLSKA.

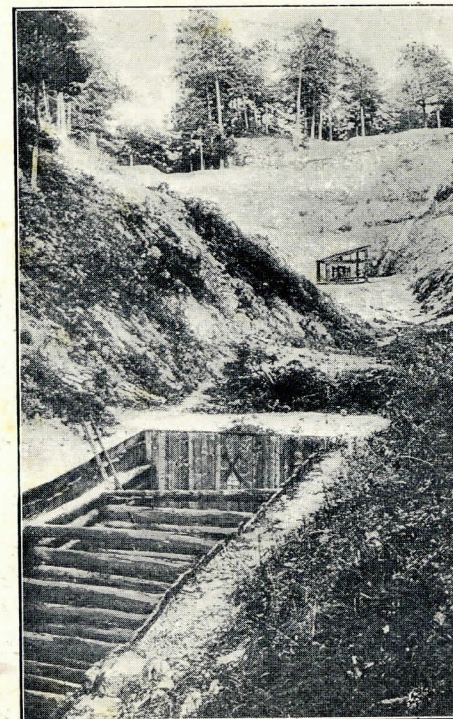
POGLĄD OGÓLNY.

Wyżyna Małopolska ma kształt czworoboku, zawartego między Wisłą, Pilicą a Wartą. Południową częścią dochodzi ona do Wisły; zachodnią jej granicę stanowi tak zwane pasmo Krakowsko-Wieluńskie, nie zbyt wysokie, mocno pokrajane grzbiet górski, ciągnący się mniej więcej od Krakowa ku Wieluniowi; drugie takie pasmo ale nieco wyższe, Kielecko-Sandomierskie, zajmuje bok północnowschodni wyżyny; północna krawędź jest mniej wyraźna i, zniżając się coraz bardziej, przechodzi stopniowo i nieznacznie w krainę Wielkich Dolin.

Wskutek takiej budowy cały ten wyż ma kształt niekowaty. Środek jego zajmuje dość wyniosła równina, zwana wyżyną Nidy, od głównej swej rzeki; spada ona stromo ku Wiśle na południe, a łagodnie i nieznacznie ku północy. Po bokach zaś piętrzą się dwa wyżej wspomniane pasma górskie, malow-

niczo porżnięte wodami, spływającymi stąd do Wisły i Pilicy, a częściowo (z północno-zachodniego krańca) i do Warty.

W ten sposób cały wyż Małopolski można podzielić na 3 części: środkową *wyżynę Nidy* i dwa skrajne pasma górskie: *Krakowsko-Wieluńskie* i *Kielecko-Sandomierskie*. Oprócz tego na zachodzie do pasma Krakowsko-Wieluńskiego przytyka *wyżyna Olkuska*, stanowiąca łącznik między Małopolską a Śląską.



Sztolnia Ponikowska pod Olkuszem.

1. WYŻYNA OLKUSKA.

Wyżyna Olkuska zajmuje zachodni kraniec Małopolskiej przy przejściu jej w Śląską. Sąsiaduje ona z jednej strony z Zagłębiem węglowem, z drugiej z pasmem Krakowsko-Wieluńskim.

Jest to kraina dość wzniesiona (średnio koło 300 metrów nad poziom morza), dość płaska i równa o wyglądzie jednostajnym i brzydkim. Pokrywają ją przeważnie piaski nędzne i jałowe, z powodu których okolice Olkusza zyskały nawet nazwę „polskiej Sahary”. Niewysokie wzgórza i rzadkie laski mało urozmaicają krajobraz.

Jałowość i ubóstwo powierzchni wyżyny Olkuskiej zostaje w jaskrawym przeciwieństwie z bogactwem jej podziemi. Tam w głębi spoczywają cenne kruszce: żelaza, cynku, ołowiu i srebra. *Olkusz, Bolesław, Sławków, Bzów, Łośnica* — oto nazwiska miejscowości, w których znajdują się lub znajdowały się kopalnie. Na szczególną zwłaszcza uwagę zasługuje *Olkusz*, dziś marna i nic nie znacząca miejscina, niegdyś jedno z najstarszych i najważniejszych miast górniczych w Polsce.

Początek tych kopalni gubi się w mgle wieków, ale pierwsza wyraźniejsza wzmianka o wydobywaniu w Olkuszcu ołowiu sięga czasów Bolesława Wstydliwego (wiek XII). Jednakże dopiero Kazimierz Wielki i następnie siostra jego Elżbieta przyczynili się wyraźniej do rozwoju i podniesienia kopalni przez wydanie praw górniczych i przyznanie rozmaitych ulg dla górników i gwarków czyli przedsiębiorców górniczych. Zwłaszcza od czasu, gdy przekonano się, że kruszec ołowiany olkuski zawiera znaczną domieszkę srebra, rozwój kopalni zaczął iść jeszcze szybszym krokiem.

Najświetniejsze czasy przypadają na wiek XV i XVI, kiedy kopalnie olkuskie posiadały 400 szybów i 20 hut, przetapiających kruszec, a wartość wytapianego srebra i ołowiu przekraczała nieraz rocznie milion złotych. Ze srebra bito na miejscu monety; resztę zaś metalu spławiano Wisłą do Gdańska. O liczbie górników najlepiej można sądzić z tego, że w r. 1588 górnicy olkusczy napadli pod Rabsztynem na cofającego się z pod Krakowa arcyksięcia Maksymiliana, kandydata na tron polski i rozproszyli jego dwutysięczny oddział. Musiało więc ich tam być sporo, jeśli mogli dać radę regularnemu wojsku.

W wieku XVII zaczyna się upadek kopalni olkuskich, wywołany ciężkimi przejściami w czasie wojen szwedzkich. Zmalała wówczas liczba gwarków i górników, a i wydajność kopalni zmniejszyła się ogromnie. Wespazjan Kochowski, poeta XVII w. pisze o tych czasach:

Już niech nie tęskni upragniona dusza
Do ziemnych gwarków pełnego Olkusza.

Byłyby się jednakże może jeszcze kopalnie podźwignęły, gdyby nie straszny zalew, jaki nastąpił w początku wieku XVIII za Augusta II Sasa.

Niebezpieczeństwo to groziło kopalniom oddawna i oddawna starano mu się zapobiedz: niskie w stosunku do okolicy położenie Olkusza i łatwa przepuszczalność piaszczystego gruntu sprawiały, iż woda z okolicznych strumieni i rzeczek dostawała się niejednokrotnie do kopalni i groziła im zalaniem. Starano się zapobiedz niebezpieczeństwu w ten sposób, że kopano umyślnie pochyłe kanały podziemne czyli tak zwane sztolnie. Urządzone one były tak, że prowadziły do jakiejś najbliższej rzeczki, której poziom był niższy od poziomu kopalni. Dzięki takiemu kierunkowi woda w kopalni odpływała do rzeczki. W wieku XVI ogólna długość wszystkich sztolni wynosiła przeszło 30 kilometrów.

Ale w czasie upadku, po wojnach szwedzkich, zaniedbano sztolnie; a gdy w r. 1712 przyszedł straszny wylew nieznaczonej w zwykłych warunkach rzeczki Baby, główne sztolnie pozapały się, a same kopalnie zostały zalane.

Przestały też odtąd być czynne, wszelkie bowiem próby osuszenia ich spełzały na niczem. Dopiero w końcu zeszłego wieku udało się osiągnąć lepsze wyniki, ale i teraz jeszcze nie można przewidzieć, jaka będzie przyszłość Olkusza i jego kopalni.

Ślady dawnej świetności można oglądać jeszcze i teraz w starożytnym kościele olkuskim pochodzącym z XV wieku: jest tam między innymi krzyż z miejscowego srebra, ważący do 40 funtów, siedem srebrnych kielichów — wszystko dary bogatych górników, i również pamiątka górnictwa tutejszego — chrzcielnica z jednej bryły ołowiu. Obok kościoła wznosi się mała kapliczka z domkiem świętego Jana Kantego, który był tu proboszczem na początku wieku XV.

Świetne to były czasy Olkusza, czasy bogactwa i... towarzyszących mu zbytków, za które święty Jan Kanty aż gromił górników i mieszczan. A dziś nędzna miejscina na jałowych piaskach, marny szczątek minionej świetności!

Na miejscu upadłego Olkusza rozwinęły się inne kopalnie w okolicy, chociaż nie tak kwitnące, jak on niegdyś. Nie dostarczają one wprawdzie srebra, ale zato obfitują w cynk i ołów, nieco dalej i w żelazo. „Polska Sahara“, rodząc nędzne zboża, ciągnie środki do życia ze swych skarbów mineralnych.

Dalej na północ od kopalni olkuskich, na północnych stokach wyżyny znajdują się w bardzo bliskim od siebie sąsiedztwie źródła trzech rzek, rozchodzących się stąd w trzy różne strony: *Czarnej Przemszy*, spływającej na południe ku Wiśle; *Pilicy*, dążącej na wschód, aby spotkać się z Wisłą, aż gdzieś hen pod Czerskiem, w krainie wielkich Dolin i *Warty*, płynącej na północ ku Wielkopolsce i ku Odrze.

Źródła te tak blisko od siebie położone, że może mają tam nawet gdzieś pod ziemią zetknięcie, na powierzchni rozdziela dość wyniosły grzbiet. W różne strony płyną potem same rzeki, różne dzielnice Polski zraszają swymi wodami, ostatecznie jednak schodzą się znów wszystkie razem w Bałtyku, do którego dążyły tak rozmaitemi drogami.

JAŁOWOŚĆ GLEBY

I BOGACTWA MINERALNE WYŻYNY OLKUSKIEJ.

(Al. Jankowskiego).

Z jednej odkopanej kości potrafi uczony przyrodnik odtworzyć całą postać dawno zaginionego zwierzęcia — odtworzyć nie tylko jego wygląd zewnętrzny, ale i cechy wewnętrzne. Z suchej notatki wydatków umie uczony historyk barwnie skreślić typ człowieka, jego charakter i upodobania, jak to uczynił Pawiński, wywołując przed oczy ciekawą sylwetkę Zygmunta Starego w jego młodych latach. Stacja kolejowa, stanowiąca dla danej okolicy ognisko wymiany płodów naturalnych, może służyć za wskaźnik do orientowania się w stanie ekonomicznym danej części kraju, i tak mało interesującej rzeczy, jak wykazy frachtowe, można otworzyć sobie nie tylko rzyrodzone warunki okolicy, ale też, co za tem idzie, zajęcia, tryb życia i charakter mieszkańców.

Najbliżej źródeł Warty i Pilicy leży stacja Zawiercie, spróbuję więc z wykazów frachtowych tej stacji wyciągnąć niejaki wniosek o samej tej okolicy. Najpierw zwraca uwagę znaczny dowóz zboża, którego przybywa tu z górą 400,000 pudów rocznie, okolica więc musi bardzo być nieurodzajna, skoro nie tylko nie wywozi zboża, ale nawet nie może wyprodukować go dosyć na własne wyżywienie. Do Zawiercia przychodzi także dużo drzewa, co przekonywa, że okolica musi być bezleśna.

Przychodzi też 7,000,000 pudów węgla kamiennego, niezbyt to dowód rozwiniętego przemysłu fabrycznego. Wykazy wywozu objaśniają, jakiego to rodzaju przemysł. Na pierwszym miejscu postawić można 400,000 pudów cementu ładowanego w Zawierciu. Znowu tutaj jasny otrzymujemy dowód, że okolica musi mieć znaczne zasoby kamienia wapiennego i glin potrzebnych do produkcji cementu. Ładuje Zawiercie paręset tysięcy pudów surowca, musi więc być w pobliżu huta żelazna, a te lokują się tam, gdzie mają pokłady rudy żelaznej. Jest także w Zawierciu i huta szklana, co też nasuwa przypuszczenie, że w pobliżu muszą być pokłady miążkiego, czystego kwarcu, oraz szpatu, niezbędnie potrzebne do fabrykacji szkła. Poza tym naturalnym przemysłem wykazy frachtowe zaznaczają tu papiernię, duże fabryki przędzalnicze i tkackie, przetworów chemicznych i parę innych drobniejszych, co znowu jest dowodem, że okolica jest uboga, a robotnik tani, nigdy bowiem przemysł, prócz cukrowniczego i młynarskiego, nie rozwija się w okolicach urodzajnych.

Jeszcze na jeden szczegół zwrócić należało uwagę. W 1902 r. w Zawierciu naładowano dwadzieścia pudów wyrobów sukiennych włościańskich, co wskazuje, że trzymają tu owce, a te włościanin trzymać może przy nieużytkach, przy dobrej bowiem ziemi zasiewa on ją całą, a wtedy owiec trzymać nie może.

Sumując to wszystko, można skreślić sobie obraz tej okolicy: jest to kraj nieurodzajny, bezleśny, pełen nieużytków, bogaty jednak w skarby mineralne, dzięki czemu ludność ma możliwość zarobkowania w kopalniach i fabrykach.

Nieurodzajność tej wyżyny weszła nawet w przysłowie i do piosenki ludowej, która opiewa:

„Nie masz to, nie masz, jak Olkuskie kraje:
Korzec zasiał, kopę zbierał, kopa—korzec daje“.

Rzeczywiście nie są to owe zielone niwy Kujawskich buraków, ni złotą pszenicą szumiące łąny Sandomierskie: skały, kamienie i piaski nie dały tu rozwinąć się rolnictwu, a cena ziemi niepomrotnie tu jest niższa. Gdy obecnie przeciętnie włókę ziemi przy parcelacyi płacą po 5000—6000 rubli, tutaj wieś Morsko zamierzono rozparcelować, żądając tylko po 1200 rubli za włókę, a parcelanci dawali tylko 700. Jednego razu wędrując tędy z towarzyszami, przez cały dzień nie mogliśmy nic dostać do jedzenia. Dopiero o 6-ej wieczorem sprzedano nam w chacie chleba, ale tak wstrętnego, że pomimo głodu mogliśmy tylko ogryźć skórę, ośrodek zaś pozostawiliśmy nietknięty. Zaiste okolica cała, biorąca nazwę od Olkusza, powinna raczej brać ją od pobliskiej osady Mrzygłoda i miast Olkuskie winno to być Mrzygłodzkie.

2. PASMO KRAKOWSKO-WIELUŃSKIE.

POGLĄD OGÓLNY.

Na wschód od wyżyny Olkuskiej wznosi się górujące nad nią pasmo *Krakowsko-Wieluńskie*. Ciągnie się ono pasem długim, ale niezbyt szerokim w kierunku północnym od Wisły i Krakowa aż pod Wieluń, gdzie przechodzi w krainę Wielkich Dolin; stanowi zaś jakby graniczny wał dla wyżyny Małopolskiej od zachodu.

Jest to kraina o wzniesieniu dość znacznym, dochodzącym miejscami do 490 metrów nad poziom morza. Na południu przekracza ona Wisłę w okolicach Krakowa i łączy się z przedgórzami Podkarpacia; na północy spłaszcza się, rozszerza i obniża, przechodząc stopniowo i nieznacznie w niziny; na zachodzie spada dość stromo ku wyżynie Olkuskiej; na wschodzie — łagodnie ku środkowym częściom Małopolskiej.

Całe to pasmo ma charakter niewysokich, ale bardzo malowniczych wzgórz. Wszędzie tu pod ziemią rodzajną rozpościerają się pokłady wapienia, podatne nadzwyczajnie na działanie wody; to też liczne rzeki i rzeczki pożyły tę krainę w mnóstwo dolin i wąwozów, wzgórz i pagórków, nadających

jej bardzo malowniczy wygląd. Tu i owdzie wody spłókały zwierchnią warstwę ziemi, odsłaniając z pod niej białe pokłady wapienia. Szczególnie wyraźny jest on w licznych skałach oraz na brzegach rzek, przerzynających się przez tę wyżynę. Pod względem piękności widoków dzielnica ta należy do najbardziej uroczych na ziemi naszej: białe wapienne skały prześlicznie odbijają od okrytych zielenią wzgórz, od falujących niw, od soczystych łąk i nęcących cieniem lasów.

Ale woda żłobiła wapien nie tylko na powierzchni: podziemne strumienie wypłykiwały również pustki i w głębszych warstwach, wywołując w ten sposób powstanie licznych jaskiń, w które obfitują szczególnie okolice Krakowa.

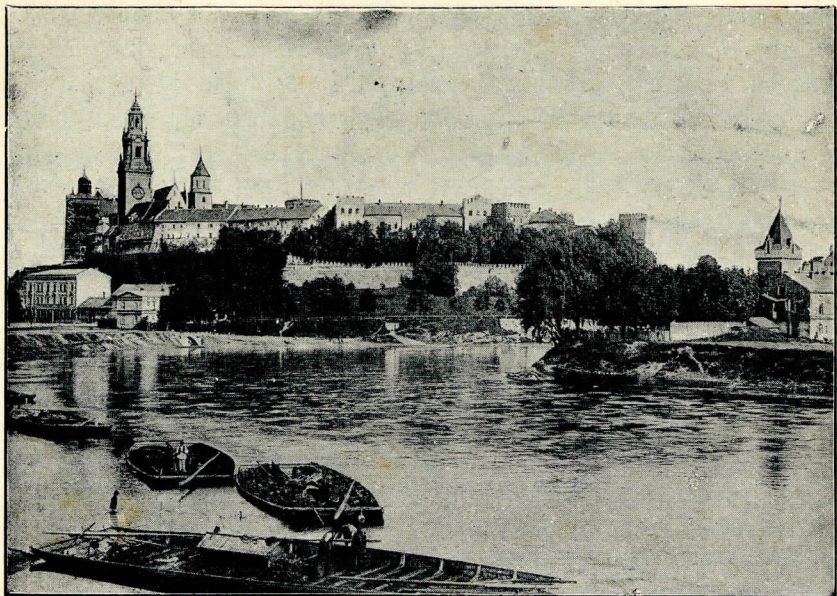
Ziemia tu przeważnie rodzajna i żyzna. A żyzność jej w związku z dogodnym położeniem stały się przyczyną, iż ta dzielnica należy do najdawniej zaludnionych w Polsce.

Sąsiedztwo niedalekie Bramy Morawskiej, Jabłonkowskiego przejścia na Węgry, doliny Odry, dogodny szlak wyłomem Wisły — wszystko to sprawiło, iż tutaj, podobnie, jak nad Gopłem, zawiązały się początki państwa polskiego. Dzielnica na północ od Wisły tak samo, jak i na południe od niej położona kraina Podkarpacka były świadkami pierwszych zamierzonych dziejów Polski: tu leży Kraków, ojciec grodów naszych i skarbnica pamiątek przeszłości, stąd przez wieki rozkazy się rozchodziły do wszystkich ziem polskich.

Bliskie sąsiedztwo innych państw i ludów, potrzeba skupiania się i obrony wywołały tu powstanie mnóstwa zamków i twierdz, które wznosić można było tem łatwiej, że kraina ta obfituje w niedostępne skały i wzgórza, jakby stworzone pod zamki i grody.

A z tymi zamkami ileż to się wspomnień związało: tych, co je budowali, tych, co ich bronili, tych, co ginęli w ich obronie. Ile tu zaszło ważnych faktów dziejowych, ile było chwil jasnych i radosnych, a ile mrocznych i smutnych!

To też gdy człowiek stanie po raz pierwszy na tej ziemi krakowskiej, sam nie wie, czy dać się unieść podziwowi nad pięknnością jej widoków, czy puścić wodze wyobraźni i wywołać z przeszłości cienie wielkich mężów i wielkich chwil!



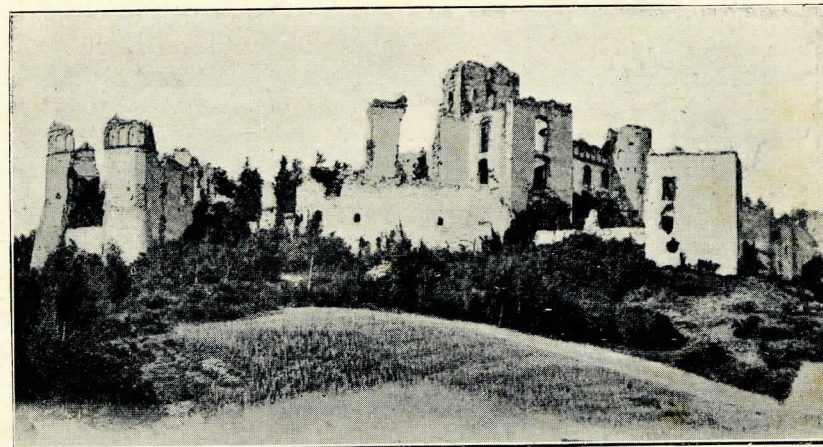
Wawel.

KRAKÓW I JEGO OKOLICE.

Płynie Wisła, płynie, w rozkosznej dolinie,
 Zobaczyła Kraków, pewno go nie minie.
 Zobaczyła Kraków, przy nim trzy mogiły
 Co drogie Polakom popioły pokryły.
 Zobaczyła Kraków i wnet pokochała,
 A w dowód miłości wstęgą opasała.
 Na skalistym brzegu stoi zamek stary,
 A Wisła mu wiernie dochowuje wiary.
 Stoi zamek stary, o przeszłości gwarzy,
 A Wisła go słucha, czuwając na straży.
 A chociaż wpłynęła w niepołomskie lasy,
 Choć w morzu zginęła, płynie jak przed czasy.
 Bo ta polska ziemia ten ma urok w sobie,
 Że kto ją pokocha, nie zapomni w grobie. M. Bałucki.

Na południowym krańcu wyżyny Małopolskiej znajduje się wyłom Wisły pod Krakowem, jeden z najbardziej malowniczych zakątków kraju naszego.

Wisła nie popłynęła tu pomiędzy Przedgórzem Karpackiem a wyżyną wapienną, lecz utorowała sobie drogę przez tę wyżynę, odcinając od niej pod samym Krakowem południowy jej kraniec, zwany Krzemionkami (od wielkiej zawartości krzemieni). Brzegi wyłomu miejscami zniżają się łagodnie ku rzece, miejscami zaś spadają stromo białą pionową ścianą.

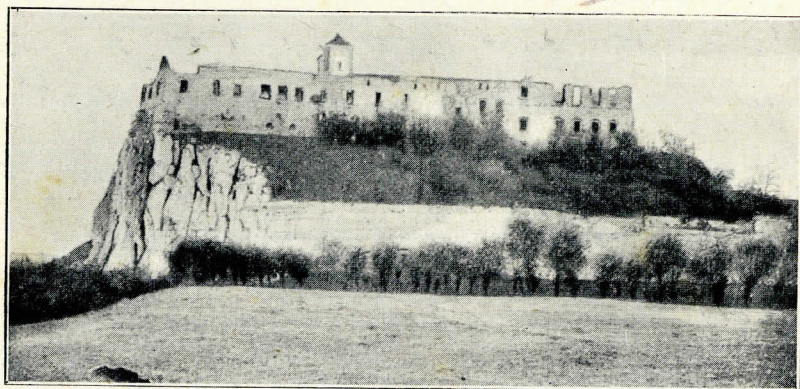


Ruiny zamku Tenczyńskiego.

Malowniczy to i wesoły kraj! Tłusta, urodzajna gleba pokryta jest bujną roślinnością: lasy, gaje, pola, łąki przeplatają się i zmieniają kolejno z wsiami i miastami. Kędy rzucić okiem, życie rozwija się bujnie, rozkwita w całej pełni. A nad tą pełną życia krainą, nad drgającą srebrną smugą Wisły wznoszą się tu i owdzie białe wapienne skały, na nich zaś dumnie sterczą klasztory i zamki, obronne niegdyś, dziś już przeważnie w ruinie.

Oto mamy *Tenczyn* ze wspaniałymi zwaliskami zamku na górze 400 metrów wysokiej, ongi siedzibę wygasłego już rodu Tenczyńskich. W sąsiedztwie znajduje się malownicza *Czerna* i *Krzeszowice*. Tam znów *Lipowiec* na nieco niższej górze (360 metrów), gniazdo dawnych Gryfitów, z dziś jeszcze zachowanym

potrójnym wałem fortecznym, ruinami dwupiętrowego budynku i trzypiętrową basztą, wysoką na 26 metrów. *Tyniec* nad samą Wisłą ze szczątkami jednego z najstarszych opactw, założonego jeszcze przez Bolesława Chrobrego. A tuż pod Krakowem na górze porosłej pięknym lasem słynne *Bielany* i dziś jeszcze mieszczące w swych murach cichy klasztor ojców Kamedułów, którego wieżycę zdaleka widać wszędzie w okolicy.



Tyniec.

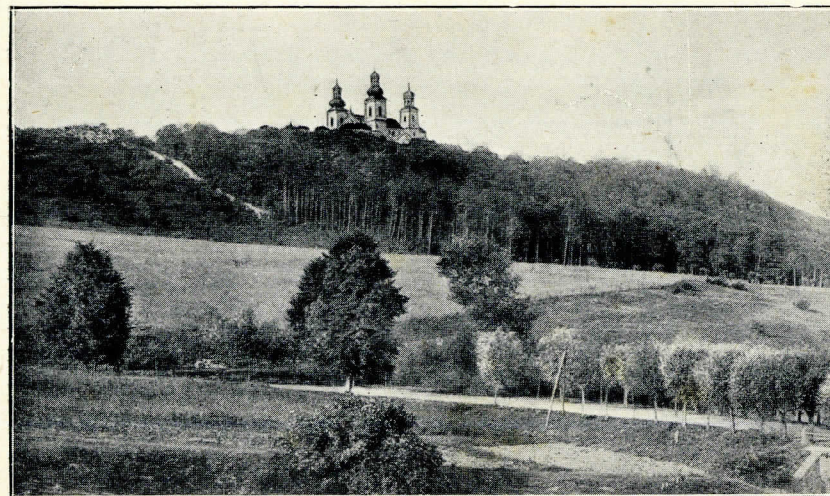
Piękne to i urocze miejsce pełne przedziwnej ciszy i spokoju, jakby stworzone dla milczących mnichów, którym obcy już jest zupełnie gwar i zgiełk świata tego.

Zdała Tatry widne tam,
 Bliżej stary Kraków sam,
 A w dolinie Wisły prąd;
 Tam na górach Boży tron,
 Tam za dzieje mówi dzwon,
 A tu cichy Boży kąt.

Pięknie tutaj z dawnych lat,
 Żywy tutaj ducha świat
 Śród tych lasów, śród tych skał:
 Grunt poświęcił już sam Pan
 Dla sług swoich, dla swych ścian;
 By go wszelki człowiek znał...

Bo tajemny jakiś wiew
 Tchnie w pustyni od tych drzew,
 Jakby modłów cichy szmer:
 Bo kto przeszedł próg tych bram,
 Już dla niego ginie tam
 Spraw światowych mętny wir. (W. Pol).

A oto wreszcie stary *Wawel* Krakusowy wznosi się majestatycznie nad Wisłą, całującą jego stopy, odbija w jej falach



Bielany.

mury swego Zamku, co tyle przeszedł kolei, co był niegdyś siedzibą królów, później służył za koszary cudzym wojskom, a dziś odrestaurowywany i odnawiany wrócić chce do dawnej świetności.

Na skalistym brzegu stary zamek siedzi,
 Siwą głowę schylił, z myślami się biedzi,
 A wież jego siedem, jak siedem boleści
 Za dziećmi, co w świecie przepadły bez wieści!
 A mur, co mu biodra wkoło opasywał,
 Jak suknię z rozpaczy, z bólu porozrywał,

I żałośnie jęczy ze smoczej gardzieli:
Dzieci, moje dzieci, gdzieście poleciełi?
Gdzieście poleciełi — czy szukać ojczyma? —
I bez końca jęczy, a ich niema... niema!..

(Edmund Wasilewski).

Milczący i zadumany na codzień, od wielkiego święta tylko przemawia do nas gród Wawelski głosem „Zygmunta“, największego dzwonu swej katedry, a głos jego, nadzwyczaj podniosły i uroczysty, sprawia niezwykle silne wrażenie.

O Zygmuncie! słyszałem ciebie
i natychmiast poznam, gdy usłyszę.
Niech ino się twój głos zakolebie
i przenikliwy wżre się w ciszę.
Niech ino wpadną pierwsze tony,
już wiem, żeś ty jest w ruch puszczony,
Że wołasz, wołasz: pójdźcie ze mną,
i wołasz wiek już nadaremno...

(Stan. Wyspiański).

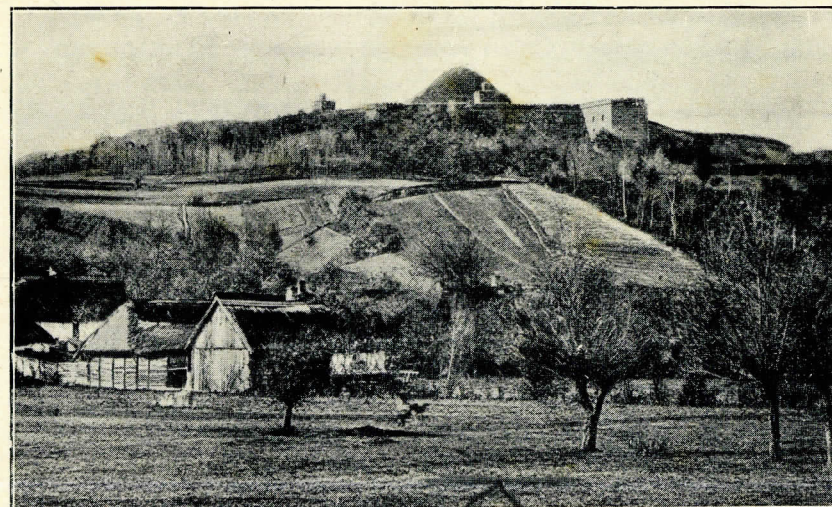
A niżej, w podziemiach katedry spoczywają zwłoki naszych królów i wielkich mężów, co choć bez korony, szeroko roznieśli sławę ojczyzny: leży tam wielki król chłopków i ukochany „naczelnik“ w siermiędze; leży największy z naszych poetów, twórca „Pana Tadeusza“, a wkrótce, zapewne, spocznie autor „Kordyana“, „Balladyny“ i Lilli Wenedy“.

Z boku wzgórza widać legendową Smoczą jamę, w której miał przebywać ów groźny smok bajeczny, co siał trwogę wśród mieszkańców okolicznych, aż dopóki sam nie został pokonany przez Krakusa.

Poniżej Wawelu rozsiadł się nad Wisłą stary *Kraków*, nasza odwieczna prastara stolica, do której z całej Polski zjeżdżają się ludzie, aby odetchnąć tutaj wspomnieniami sławnej przeszłości i nabrać wiary w lepszą przyszłość.

Ślicznie wygląda stary Kraków z górującym nad nim Wawelem, z mnóstwem kościołów swoich, wybiegających wieżycami ponad dachy kamienic, ponad drzewa ogrodów. Ale i naokoło nie mniej ładnie.

Od zachodu tuż za miastem rozpościerają się płaskie i równe, zielone „*Błonia*“, miejsce ćwiczeń krakowskiej załogi wojskowej i świątecznych przechadzek całego Krakowa; teren, na którym staczają bezkrwawe, ale mimo to zjadłe walki zwolennicy piłki nożnej, formalne i nieformalne kluby, w mundurach szkolnych, strojach sportowych lub zwykłych ubraniach. Zaledwie minie zima i Błonia podeschną jako tako, zjawiają się tu natychmiast bojowe ich drużyny, zaczynają ze wszech stron latać



Kopiec Kościuszki.

ciężkie piłki nożne, a całe gromady chłopków, rozpalonych grą, uganiają się za nimi bez pamięci. Śmiech, nawoływania, głośny gwar rozbawionej młodzieży — napełniają Błonia od początku wiosny do późnej jesieni.

Tuż obok na prawo od Błoni widnieje młody jeszcze park, również miejsce zabaw młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, trwały pomnik zacnego jej przyjaciela, niedawno zmarłego doktora Jordana.

A z lewej, ciągnie się nad Wisłą przedmieście Krakowa, zwane *Zwierzyniec*, z klasztorem Panien Norbertanek wzniesionym tuż nad samą rzeką na fundamentach z kamieni wapiennych, wskutek czego zlewają się one ze stromym wapien-

nym brzegiem Wisły i klasztor zdaje się jakby wyrastać wprost z rzeki.

Za Zwierzyńcem widnieje grzbiet *Sikornika* z górą *świętej Bronisławy* i *Kopcem* naczelnika *Kościuszki*, dzielnego obrońcy Polski i polskiego ludu.

Za Sikornikiem wznoszą się malownicze wapienne *Skąły*

Panińskie, ukryte wśród gęstego lasu, a jeszcze dalej widać *Klasztor Bielański*.

Wielkim półkolem, poczynając od Sikornika nad Wisłą na zachodzie do tejże Wisły przy ujściu Prądnika na wschodzie otoczyły Kraków mniejsze i większe wioski, rozrzucone malowniczo wśród wzgórz i wzgórków: *Wola Justowska*, *Łobzów*, *Bronowice Małe i Wielkie*, *Tonie*, *Prądnik Biały i Czerwony*, *Olsza*, *Czyżyny* i inne.

Z kopca *Kościuszki* widać je wszystkie, jak na dłoni wraz z rozsiadłym poważnie po środku Krakowem, niby pa-

tryarchą starym w gronie wnuków i prawnuków. Ale ze szczytu kopca wzrok zabiega jeszcze dalej, ogarniając na północy okolice *Ojcowa*, a na południu *Przedgórze Karpackie* z siniejącymi na widnokręgu *Tatrami*.

Z drugiej, wschodniej strony Krakowa wznosi się inny kopiec, ale znacznie dalej, bo o milę drogi od miasta. To wzgó-

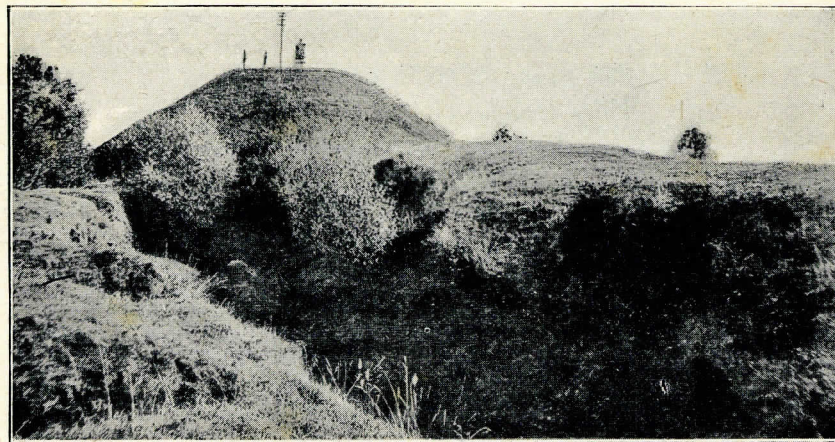


Typy z okolic Krakowa.
Państwo młodzi.

rze z *mogilą* bohaterskiej *Wandy*, co „nie chciała Niemca“. U stóp wzgórza znajduje się stary Klasztor *Cystersów*, założony w wieku XIII, oraz wieś, nosząca również nazwę *Mogiły*.

Na południu Kraków opiera się o Wisłę, a tuż za nią leży *Podgórze*, jedno z najmłodszych miast galicyjskich: przed ostatnim rozbiorem Polski była to osada, licząca zaledwie kilkanaście chat, dziś rozrosła się w spore i ruchliwe miasto.

Za Podgórzem widnieją białe strome ściany *Krzemionek*, niewysokich wzgórz (275 metrów), z wznoszącym się na ich



Mogiła Wandy.

szczyt trzecim *Kopcem* *Krakowskim*—legendarnego pogromcy bajecznego smoka, *Krakusa*. Kopiec ten podobnie, jak i *Kościuszki*, został ufortyfikowany i obsadzony załogą wojskową.

U stóp Kopca *Krakusa* znajduje się kościółek świętego *Benedykta*, jedna z najstarszych świątyń Krakowa. Dziś nabożeństwo w niej odprawia się tylko kilka razy do roku, między innymi w trzeci dzień Świąt Wielkanocnych. W tym samym dniu popołudniu odbywa się tu ludowy obchód, zwany „*Rękawką*“, a będący pozostałością dawnej pogańskiej uroczystości na cześć budzącej się wiosny.

Do *Krzemionek* są zresztą przywiązane podania i z późniejszych czasów: tu miał żyć i wykonywać sztuki czarodziejskie

głośny polski mistrz Twardowski; jedna z grot tutejszych do
dzisiaj dnia nosi jego nazwisko.

Widok z Krzemionek jest bardzo ładny, nie tak jednak
rozległy, jak z Kopca Kościuszki.

PIEŚŃ O KRAKUSOWYM GRODZIE.

(Wincentego Pola).

Jak zasięgną tylko oczy,
Niby rajem świat się toczy
 Poprzed duszą tu:
Ćmią się sady, dymią góry,
Srebrzą rzeki, grożą mury
 Wieżycami stu!

Srebrną wstęgą Wisła płynie,
Przy niej wiankiem na równinie
 Stary Kraków nasz!
A olbrzymie trzy mogiły
Gród dokoła obstały
 Niby wieków straż!..

Zdała Tatry świat zaległy
I ku Wiśle góry zbiegły
 Potokami stu!
A jak góry z równinami
Tak górale z Polanami
 Zetknęli się tu!

Śnieg na Tatrach, maj na dole,
Las na górach, w równiach role
 I zażywny człek:
A wzdłuż Wisły bije zdala
Niby łabędź spław górala
 Pod Krakowski brzeg.

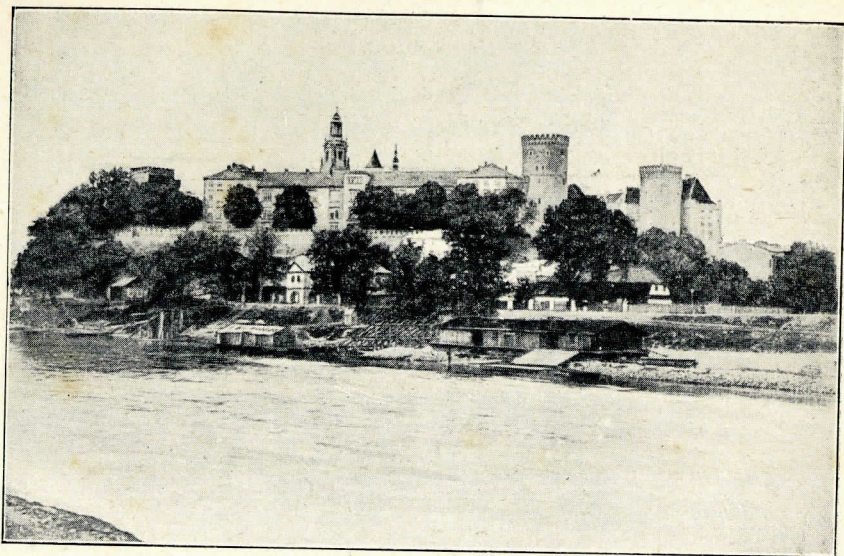
Tam to cudnie Wisła bieży,
A nad Wisłą Wawel leży,
 Na Wawelu gród:
Odkąd Wisła z gór tych płynie
Stary Wawel na świat słynie
 I ten chrobry ród!..

A choć w zamku tylko groby,
Choć to dzisiaj dom żałoby,
 Panem on się zna;
Hardo stoją stare mury,
Wiekom dumnie mówiąc z góry:
 „Oj, dostoję ja“!

„Zbił ten smoka, kto mię wznosił;
Kto mię święcił, wiarę głosił
 I zbawienia wieść;
Kto tu władał, czcił swobodę,
A bił w sławę, a mścił szkodę:
 Kto tu był—z tym cześć“!

Straż zamkową szczerbiec trzyma
A u grobów kość olbrzyma
 Strzeże progów tych;
Gościem orzeł w ranną chwilę
Siada dumać na mogile
 O pradziadach swych!..

Dziewięć wieków polskiej sprawy,
Nieszczęść naszych, czci i sławy
 Gra tu dziejów pieśń;
Ate dzwony na Wawelu,
Świadki wielkich czynów wielu,
 Oddzwaniają pieśń!



Wawel.

HISTORYCZNE ZNACZENIE I PAMIĄTKI KRAKOWA.

(Z D-ra F. Konecznego „Geografii historycznej Polski“).

Każdy Polak pragnie być choć raz w życiu w Krakowie. Tu dawna stolica państwa, miejsce koronacyjne naszych królów i tutaj ich groby. Pielgrzymuje się do Krakowa, jako do gniazda tradycji narodowej, z którą nie obcuje się nigdzie tak bezpośrednio, jak u stóp Wawelu. Pobyt wśród starych murów Krakowa jest dla serc polskich pokrzepieniem. Losy żadnego z naszych miast nie związały się tak ściśle z przebiegiem dziejów narodowych, jak dola i niedola Krakowa, to też nigdzie nie znajdziemy nagromadzonych na jednym miejscu tylu pomników dziejowych. Krakowianie dumni z tego, że są „stróżami grobów“, chronią je pieczołowicie od ruiny i nie szczędzą na to nakładów, przywracają kolejno do pierwotnego blasku. Wpatrzony w sławną przeszłość, nie zapomina jednak Kraków, że trzeba „z żywymi naprzód iść“, i tak się sprawuje, że niemniej słusznie, jak stróżem grobów, możnaby nazwać go „kuźnią

przyszłości“. Tu przy wielkich instytucjach publicznych skupia się liczniejszy, niż gdziekolwiek, zastęp łwiatu polskiej inteligencji, stąd też, jak ze źródła, wypłynęła niejedna ożywcza myśl i rozeszło się nieraz hasło na całą Polskę.

Jak Kraków przerasta swem historycznem znaczeniem wszystkie inne miasta Polski, tak ponad całem tem miastem góruje znaczeniem Wawel. A góruje w dosłownem znaczeniu, gdyż jest wzgórzem położonem w środku miasta. Widok wspaniały: z którejkolwiek spojrzeć strony, wszędzie piętrzą się gmachy, wznoszą wieże i baszty; ta góra stanowi osobną dla siebie dzielnicę. Oto zamek naszych królów i sławna katedra krakowska! Skromne dzisiaj te mury, pozbawione ozdób, dawno odrapanych i poniszczonych, a jednak nawet w tym stanie sprawiają imponujące wrażenie.

Stary jest ten zamek Wawelu, a więc przechodził rozmaite koleje. Jak wyglądał pierwotnie, kiedy był drewnianym, niewiadomo. Poczęto koło niego murować dopiero za Władysława Hermana. Za Kazimierza Wielkiego był już cały murowany i to w stylu gotyckim.

Wcześniej zmurowała się katedra, w której najdawniejsze ślady romańszczyzny sięgają końca XI wieku. Kazimierz Wielki zastał już świątynię obszerną, otoczoną kilku kaplicami. Poczęto w bocznych nawach stawiać grobowce królom: Łokietkowi, Kazimierzowi Wielkiemu, Władysławowi Jagielle. Założyciel drugiej dynastii narodowej ma jeszcze inny, a szczególnie pomnik. Przedstawiony jest na starym obrazie, na którym malarz dał jego twarz jednemu z Trzech Królów, składających pokłon Dzieciątku Jezus. Czwarta żona Władysława Jagiełły, królowa Sońka, Rusinka (Zofia), fundowała wspaniałą kaplicę św. Krzyża z bizantyńskimi malowidłami. Stanął w niej następnie sarkofag jej syna, Kazimierza Jagiellończyka, dłuta największego mistrza średniowiecznej rzeźby, Wita-Stwosza, Krakowianina. Pamięć kardynała Fryderyka Jagiellończyka uczczono niezrównanej piękności płytą spiżową.

W wieku renesansu zmienił się wygląd całego Krakowa, a najpierw królewskiego zamku, który Zygmunt Stary przebudował, jak wtenczas mawiano „włoskim kształtem“. Katedra otrzymała wówczas najpiękniejszy pomnik renesansowego budownictwa na północy Alp, zwany kaplicą Zygmunowską.

Umieszczono w niej srebrny ołtarz polowy Zygmunta Starego i trzy nagrobki: fundatora, jego syna Zygmunta Augusta i córki Anny Jagiellonki. Potem przybyła druga renesansowa kaplica: Batoro. I były już obok siebie trzy style w tej świątyni.

Dla zamku nastały gorsze czasy, odkąd Zygmunt III przeniósł stolicę do Warszawy. Za Jana Kazimierza zubożał wielce skarb Rzeczypospolitej, do tego stopnia, że królów naszych nie stać było utrzymywać w należyтым stanie drugą rezydencję. Sobieski, zajęchawszy do Krakowa, nie mógł już na Wawelu zamieszkać, gdyż komnaty jego nazbyt uległy zniszczeniu. Po rozbiorach nie było komu starać się choćby o całe dachy nad gmachami. Zapobieżono przynajmniej temu, żeby Wawel nie stał się ruiną; jakoż ruiną nie był nigdy, ani w najgorszych nawet czasach.

Mniej dawały się te przejścia we znaki katedrze. Za Wazów nie przybywało już zamkowi nic, tylko ciągle ubywało, ale w katedrze przybyła nowa kaplica Wazów, a wśród biskupów krakowskich nie brakło też mecenasów. Świadczą o tem mnogie pomniki „baroka“, a potem i czasy stylu „rokoko“ składały tutaj, co miały według swego mniemania lepszego, do skarbnicy pamiątek narodowych.

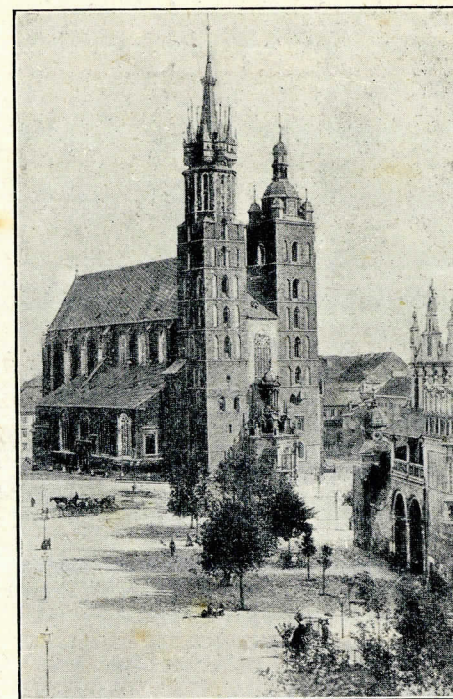
Dawało każde pokolenie co miało, i trzebaby katedrę powiększyć pięć razy, chcąc na wszystko znaleźć pomieszczenie stosowne, nie ulegające zastrzeżeniom ze stanowiska historyi sztuki. Ale samo stanowisko katedry na Wawelu jest wyjątkowe. Ona nigdy nie jest skończona, bo każde pokolenie chce mieć udział w jej budowie, chce się tu zapisać, jakby z hołdem idei polskiej, składanym tu w rzeźbach, ołtarzach i pomnikach. Nie brak ich ani z porozbiorowych czasów, a nasze pokolenie zdobi Wawelską katedrę znowu według własnych pomysłów artystycznych. Tak więc od romańskiego podziemia aż do dzisiejszego stylu znajdujemy tu wszystko: stare się przechowuje i umacnia, żeby nie uległo pochodowi czasów, a nowe się przydaje. Marnem byłoby zaiste pokolenie, któreby tu nie pozostawiło po sobie śladu swoich myśli i uczuć. W katedrze zawsze pracowano, zawsze tu był czynny budowniczy, rzeźbiarz, snycerz, malarz i dlatego mniej ucierpiała wśród powszechnej niedoli niż zamek.

Nie tylko sam Wawel, lecz cała przestrzeń u jego stóp

jest jakby jednym wielkim zbiorem pomników dziejowych. Starodawny i starosławny gród tyle już przechodził kolei! Kopiać, natrafia się w Krakowie na ślady nie jednego, lecz kilku nawet warstw starych bruków; na szczątki dawnych wodociągów, a nader często wydobywa się ludzkie kości, bo niełatwo o jakąś połec grunt, na której niegdyś nie byłoby cmentarza.

Samo położenie miasta zmieniało się wielokrotnie. Najstarszy Kraków leżał po prawym brzegu pierwotnego koryta Wisły, na gruntach pomiędzy Wawelem a wzgórzami zwanymi Krzemionkami, na których grzbiecie pozostał jeszcze prastary kościółek św. Benedykta. Był zwyczaj stawiania kościołów poza miastem i od północnej strony wystawiono na innym, chociaż mniejszym wzgórzu, kościółek na cześć św. Wojciecha. Tamten jest i teraz za miastem, ale ten (św. Wojciecha) już od 650 lat stoi w samym środku głównego rynku. Kiedy pobudowano Kraków bardziej ku północy, rynkiem jego i głównym ogniskiem był zrazu dzisiejszy plac Dominikański, gdzie też biskup Iwo Odrowąż († 1229) zaczął stawiać „farę“.

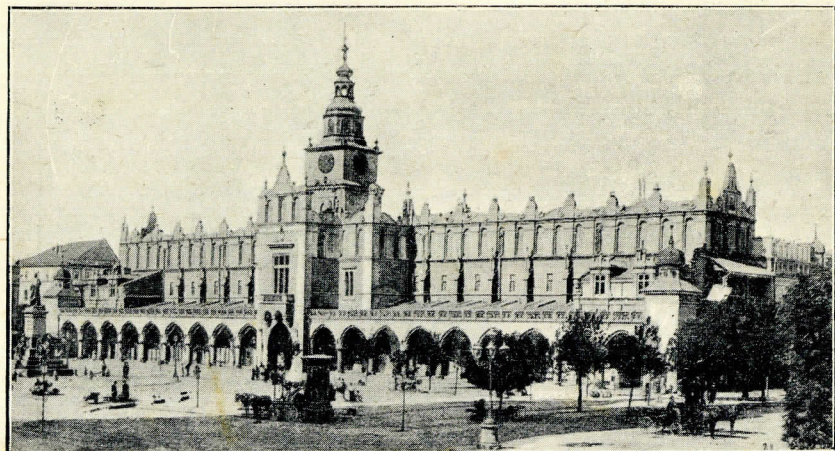
Po drugim najeździe mongolskim cały kraj był tak wyludniony, że trzeba było sprowadzić do Krakowa niemieckich osadników. Buduje się wtenczas Kraków po raz trzeci, z rynkiem już około kościółka św. Wojciecha, tak wielkim, że obok placu



Kościół Maryacki.

św. Marka w Wenecji jest największym placem w Europie. Biskup Iwo oddał rozpoczętą farę Dominikanom, a zaczął stawiać nową, ów sławny na całą Polskę kościół Maryacki, który stawiano aż do czasów Władysława Jagiełły, a i tak drugiej wieży nie wykończono. Zapełnił się Kraków wspaniałymi świątyniami gotyckimi, poczynając wcześniej być „małym Rzymem“.

Najwspanialszą pod względem architektonicznym świątynią wzniesioną za Kazimierza Wielkiego w nowo założonym przez



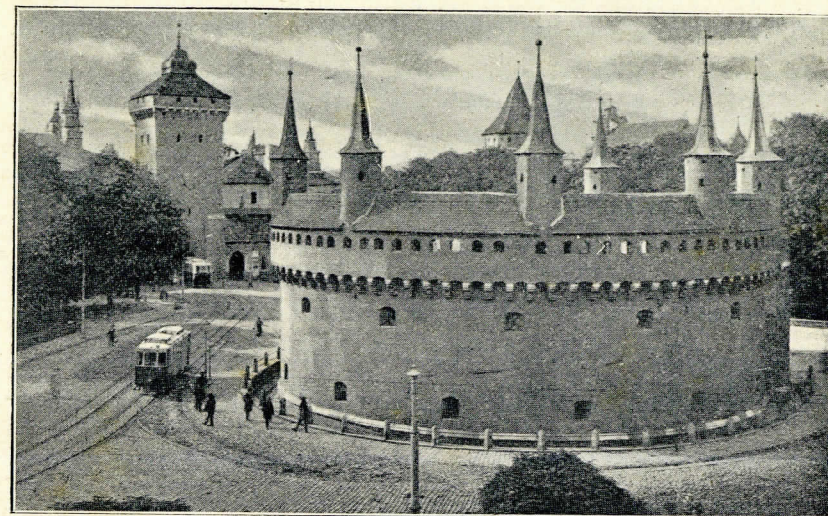
Sukiennice.

niego miście (a dziś przedmieściu Krakowa) Kazimierzu, jest kościół św. Katarzyny, nad którym unoszą się zawodowi znawcy. Wszystkie te kościoły są z cegły. Podobnie Sukiennice, główne ognisko krakowskiego handlu, a również główne ognisko nauk, stary gmach uniwersytecki (dziś Biblioteka Jagiellońska), któremu dzisiejszy kształt nadano kosztem kardynała Fryderyka Jagiellończyka już w r. 1504, są także z cegły. Najlepszy to dowód, że aż do początków XVI w. trudno było u nas o kamień budowlany.

Bo też dopiero włoscy kamieniarze, sprowadzeni do renesansowych budowli, poodkrywali w różnych miejscach Polski, stosowne łomy; później dopiero poczęliśmy rozporządzać marmurami w Chęcinach i w Czerny, tudzież kamieniem pińczow-

skim i szydlowieckim. Z cegły trzeba było stawiać inaczej, niż z kamienia i powstała przez to polska odmiana gotyku, zwana też powszechnie nadwiślańską, bo jest nad całym biegiem Wisły.

Od Łokietka czasów począł się Kraków polszczyć, a jeszcze szybciej za Kazimierza W., gdy król ten założył pod samymi jego murami dwa nowe, a polskie miasta: Kazimierz i Kleparz. Za Jagiellonów zniknęły też w kościołach właściwego Krakowa niemieckie kazania, tylko w „farze“ N. Maryi Panny po-



Rondel i Brama Floryańska.

zostały po dawnym zwyczaju aż do początków panowania Zygmunta Starego, chociaż było już przysłowie o tym, „co siedzi, jak na niemieckim kazaniu“. Była jednak wieczysta fundacja tej ambony, więc jej nie rugowano, tylko przeniesiono do sąsiedniego kościoła św. Barbary, wystarczającego aż nadto dla tej garstki słuchaczy; tam też i za naszych czasów jest co drugą niedzielę niemieckie kazanie.

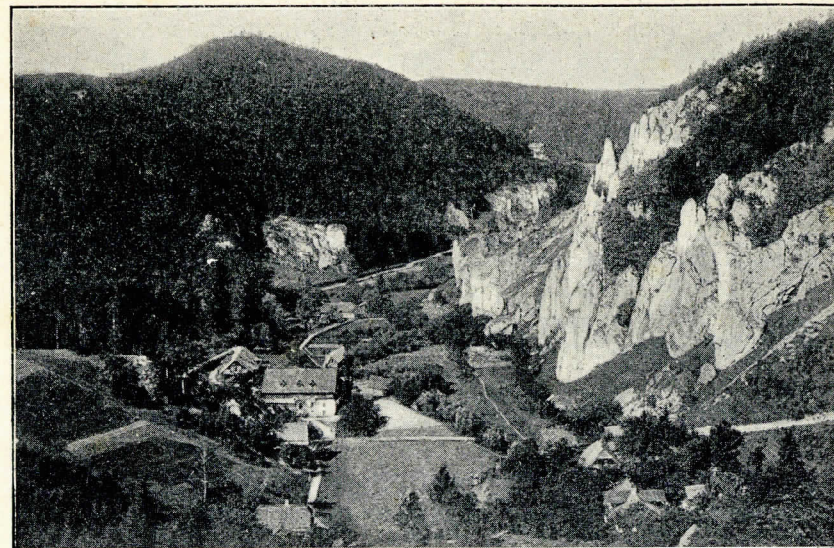
Z dawnych murów miejskich, okalających dzisiejsze śródmieście, a najeżonych licznymi basztami i wieżycami, została tylko jedna część, około bramy Floryańskiej. Tuż obok jest ciekawa budowa fortyfikacyjna, t. zw. barbakan, który dla okrąg-

łości z włoska „rondlem“ przewano. Rondel łączył się z bramą osobnymi murami, a był też most zwodzony i głęboki rów okólny, w który w każdej chwili można było wpuścić wodę z Rudawy. Tak obwarowane było całe miasto.

Każdej bramy bronił inny cech, za co mieszczaństwo wolnem było od służby wojskowej w polu. Podobne urządzenia były we wszystkich większych miastach Polski. Ratusz dawny krakowski już nie istnieje; dochowała się z niego tylko wspinała wieża, stojąca na środku Głównego Rynku.

Za Zyguntów liczył Kraków do ośmdziesięciu tysięcy mieszkańców, co na owe czasy było bardzo dużą liczbą ludności; potem szczupłał i kurczył się, tak, że z początkiem XIX w. miał zaledwie ośmnaście tysięcy mieszkańców. Jak żeby nigdy nie przestawał być symbolem życia całego narodu, krzepił się wśród klęsk porozbiorowych i rozrastał na nowo. Dziś liczy przeszło dziewięćdziesiąt tysięcy (*) ludności w granicach urzędowych swej „gminy“, faktycznie jednak wraz z dalszemi przedmieściami, które łączą się z nim bezpośrednio, sto trzydzieści tysięcy.

(*) obecnie — przeszło sto tysięcy.



Dolina Prądnika z górą Chelmową.

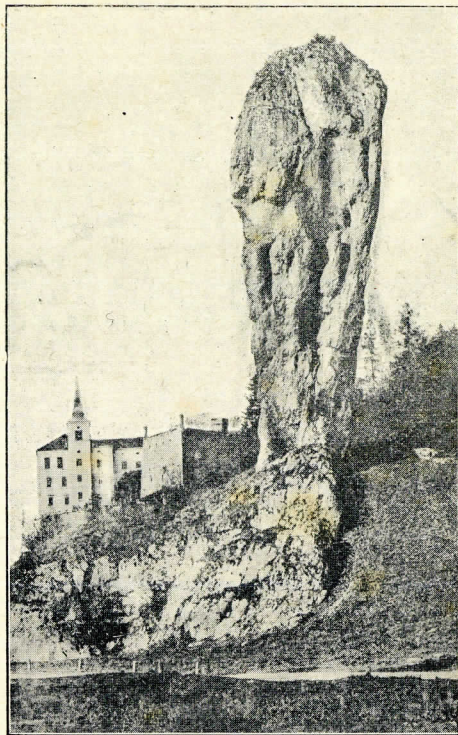
O J C Ó W.

Nie sztuka... wszystko za to przyroda wam dała...
I ta zieleń i kwieciami umajona skała,
I te wyniosłe góry lasami zwieńczone,
I zwierciadło Prądnika i smugi zielone,
I jaskinie drażone wśród twardej opoki,
Wzgórza okryte krzewiem, i parów głęboki,
I wszystkie, które cię tu otaczają wdzięki,
Takiemi są jak wyszły z Stwórcy swego ręki.

Na północ od Wisły i Krakowa w niezbyt znacznej, bo zaledwie dwumilowej odległości, znajduje się jedna z najpiękniejszych miejscowości w Polsce — *Ojców*: nadzwyczaj oryginalny, wązki wąwóz, tak fantastycznie pokrajany i pożłobiony przez wodę, że robi wrażenie jakiejś górskiej krainy na małą skałę, chociaż właściwie jest tylko głęboką szczeliną pośród równiny, porosłej w części lasem, w części pokrytej polami. To też prze-

dewszystkiem trzeba się spuścić najpierw w głąb ojcowskiej doliny, aby w niej dopiero chodzić po wzgórzach.

Środkiem doliny płynie wązki, ale bystry i szumiący potok — *Prądnik*, a nad nim tu sterczą pionowo nagie wapienne skaliste ściany barwy białej, tam wznoszą się nieco pochyłe



Pieskowa Skala i Skala Sokola.

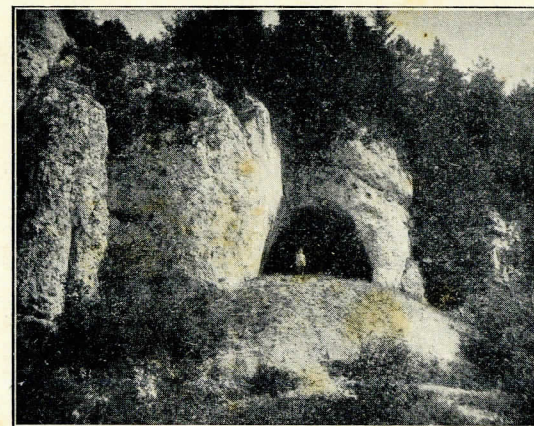
zbocza, porośłe nadzwyczaj bujną zielenością. Tu i owdzie uderzają wzrok nadzwyczaj oryginalne samotne skały, w kształcie jakby olbrzymich baszt lub kolumn: są to resztki większych pokładów skalnych, nie wypłukane jeszcze i niezniszczone przez wodę. Do najsłynniejszych z nich należy głośna *Maczuga Krakusa* albo *Skala Sokola*, zwana także mniej właściwie *Pałką Herkulesa*. Znajduje się ona pod *Pieskową Skalą*, w najbliższym sąsiedztwie Ojcowa.

Skały wapienne Ojcowa obfitują w jaskinie, wypłukane przed wiekami działaniem wody. Jaskinie te służyły niegdyś za schronienie dawnym mieszkańcom tej krainy. To też do dziś dnia uczeni znajdują w nich drobne sprzęty oraz narzędzia, pozostałe po tych ludziach jaskiniowych, a także kości dawnych zwierząt, które również kryły się tam nieraz.

Zresztą i później ludzie szukali niejednokrotnie kryjówek w tych jaskiniach w razie nagłego niebezpieczeństwa: iluż to zbiegów chroniły one podczas strasznych najazdów tatarskich!

Najgłośniejszą sławę zyskała jedna z tych jaskiń za to, że w niej miał się ukrywać przed nieprzyjaciółmi Władysław Łokietek, co to był tylekroć wypędzany, a ostatecznie wrócił jednakże na tron polski. Na pamiątkę jego pobytu jaskinia ta nosi nazwę królewskiej:

Zwyciężony, wygnany, jak zwierz dziki ścigany
Od łupieżcy obcego i swego,
Król Łokietek z Krakowa tu w pieczarach się chowa
Wierni kmiecie od wrogów go strzegą.



Koziarnia.

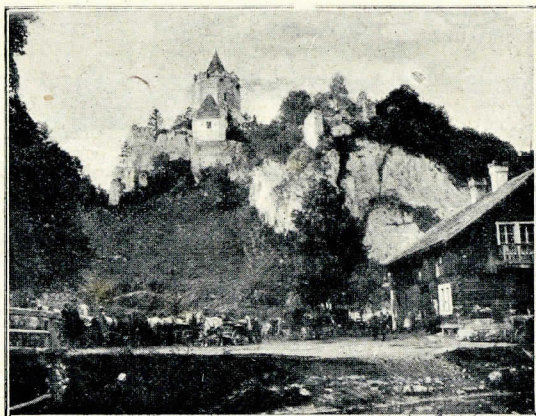
Ale z Bożych wyroków, król z podziemnych tych mroków
Jako sokół na świat się wydiera
I rozwija swe знамя; zdrajców karze i łamie
I wydartą koronę odbiera!

(Or-Ot).

Bezimienny poeta poświęcił następujący wiersz pamięci Łokietka, a zarazem głośnemu Ojcowskiemu Prądnikowi, który tak pięknie ożywia całą tę dolinę.

Prądnik to dumny szlachcic herbowy,
 (W herbie ma pstrąg w polu złocistem).
 Koronowane widywał głowy,
 I poił królów zdrojem przejrzystym.
 Nieraz król Łoktek biedny, znękany
 Nocą z jaskini doń się przedzierał,
 W hełm swój stalowy wody nabierał
 I skargi szeptał na losu zmiany.

Dolina Ojcowska jest tak piękna i malownicza, że zupełnie słusznie otrzymała nazwę „Polskiej Szwajcaryi“. Urok zaś



Zamek Łokietka.

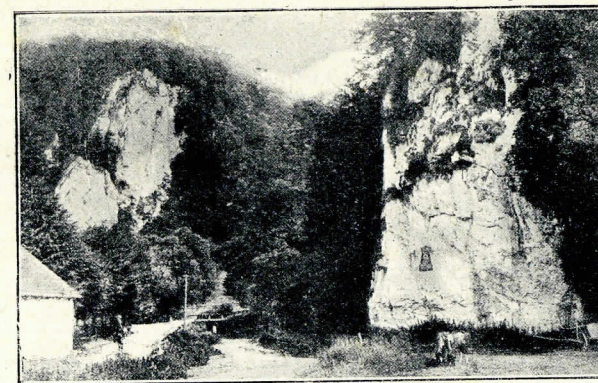
jej podnosi jeszcze bezpośrednie sąsiedztwo „Polskiej Sahary“ — brzydkiej, jednostajnej i jałowej piaszczystej okolicy Olkusza.

Nic też dziwnego, że Ojców budzi powszechny zachwyt i że nie jeden poeta opiewał jego piękność. Wspomnimy tu tylko znany wiersz Franciszka Dmochowskiego:

Komu obce kraje znane,
 Wstydem lica twe zarumień,
 Jeśliś widział Tybr, Sekwanę,
 A Prądnika minął strumień.

Poco szukać obcych krajów,
 Alp odwiedzać grzbiet wysoki?
 Wśród Ojcowa skał i gajów
 Równie szczytne masz widoki.

Na tle malowniczego wąwozu ojcowskiego, na jednej ze skał wznoszą się zwaliska zamku. Dziś marne już tylko szczątki, niegdyś jednak była to silna twierdza. Obronny zameczek stał tu już w początkach wieku XII, istniał jednak niedłu-



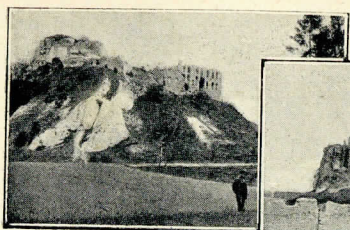
Skała Dygańskiego.

go, bo już za czasów Łokietka przedstawiał kupę gruzów. Ale na tem samem wzgórzu Kazimierz Wielki wznosił nowy zamek na pamiątkę, iż ojciec jego znalazł schronienie i przytułek w tych skałach.

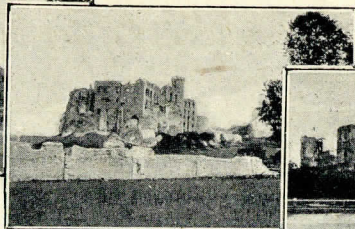
A gdy spoczął już w grobie, król Kazimierz w żałobie,
 Wznosi zamek od jaskiń tych blisko, —
 I stanęła strażnica, a król na cześć rodzica,
 Dał zamkowi Ojcowa nazwisko. (Or-Ot).

Z tego właśnie Kazimierzowego zamku dochowała się baszta, która i dziś sterczy dumnie nad doliną Ojcowa.

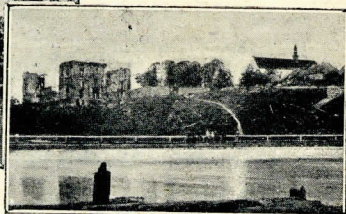
Bardzo niedawne czasy odświeża w pamięci jedna ze skał, przezwana Skałą Dygańskiego na cześć Adolfa Dygańskiego, zmarłego przed kilku laty znanego pisarza przyrodnika, który tu spędził niejedną chwilę swego życia.



Rabsztyn.



Ogrodzieniec.



Bodzentyn *).

ZAMKI W PASMIE KRAKOWSKO-WIELUŃSKIEM.

Na północ za Ojcowem ciągnie się dalej pasmo wzgórz skalistych, uwieńczonych tu i owdzie ruinami dawnych zamków. Wzdłuż tego grzbietu szła niegdyś obronna linia graniczna między Małopolską a Śląskiem, wzmacniano więc ją twierdzami.

Dziś zamki te już oddawna przeważnie w ruinie, ale przez szereg wieków groźnie spoglądały ze szczytów wzgórz i sumienie pełniły swą powinność. Przywiązane też są prawie do wszystkich mniej lub więcej głośnie wspomnienia dziejów.

Pieskowa skała „możnego rodu orle gniazdo“ (Szafranców), *Rabsztyn*, *Smoleń*, *Ogrodzieniec*, *Bobolice*, *Mirów*, *Olsztyn* wślawiony męstwem i zaparciem się Karlińskiego — wznoszą się jeden na drugim: niegdyś twierdze obronne, dziś już tylko zwałiska, drogie sercu i pamiątkowe ale bez dawnego znaczenia.

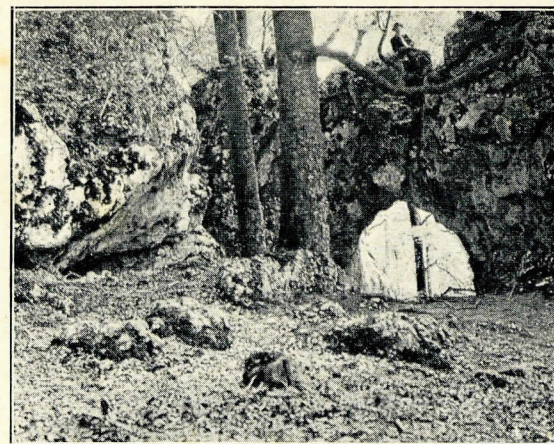
Przy obecnych sposobach prowadzenia wojen, takie zamki na skałach straciły zupełnie znaczenie, jako warownie i dla tego upadły, przeszły w ruinę. Miejsce ich zajęło co innego: zamiast zamków obronnych, człowiek wznosi dziś tutaj wysokie piece, w których wypala wapno z tak obfitych w tej stronie wapieni.

Dalej na północ w miarę zbliżania się ku Częstochowie i Wieluniowi wyżyna się spłaszcza i rozszerza, zyskuje na przestrzeni, ale zarazem traci na malowniczości.

*) Rabsztyn i Ogrodzieniec znajdują się w pasmie Krakowsko-Wieluńskim, Bodzentyn w górach Św. Krzyskich.

Okolice Częstochowy są jeszcze wprawdzie miejscami pagórkowate, niema tu już jednak tych ładnych wzgórz i skał, które nadają tyle uroku południowej części pasma. Gleba zawiera jeszcze wapno, ale naogół przeważa już w gruncie piasek, i role są po większej części nędzne. Zato kwitnie tu więcej przemysł: widać piece wapienne, fabryki żelazne i inne.

Pas zamków zamyka tu godnie sama *Częstochowa* z klasztorem na Jasnej Górze, który w przeszłości odegrał niejedno-



Złoty Potok, Skała Twardowskiego, okolice Częstochowy.

krotnie rolę niezdobytej warowni, odparł nie jeden najazd, pozwolił przetrwać nie jedną ciężką chwilę w naszych dziejach, że wspomnimy tu tylko najazd szwedzki i dzielnego przeora Kordeckiego.

Zaś w nawałnicy czasie szwedzkiej,
Gdy huczał harmat grom w pobliżu
Dzielił tu chleby sam Kordecki
Z braćmi po mieczu i po krzyżu!

Krzepiła innych wiary siła,
Gdy myśl do świętych zwracał rzeczy —
I Boża łaska z nimi była
Od kul mocniejsza i od mieczy!

(Or-ot).

Ale więcej jeszcze, niż sławą czynów wojennych, słynie Częstochowa cudownym obrazem Matki Boskiej, który ściąga tu setki tysięcy pobożnych pielgrzymów z całej Polski, szukających u stóp Najświętszej Panny pociechy w troskach, ulgi w cierpieniach, uzdrowienia w chorobie.

Gdy najbardziej huczy morze,
Wśród skał skrytych i wśród zgliszczy,
Biała wieża na klasztorze,
Jak latarnia morska błyszczy.
Ilu to już pokoleniom
Jesteś lekiem, rosą manną?
Ilu smutkom, ilu cieniom
Gwiazdą stajesz się zaranną!

Przez posępny ciąg stuleci
Twój, jak słońce, obraz świeci.
Obciążonaś srebrem, złotem,
Sukienkami perłowemi,
Lecz najdroższym Twym klejnotem
Miłość całej naszej ziemi,
Co jak wielka i jak długa
Jest poddanka Twa i sługa.

(W. Gomułicki).



Jasna Góra.

Z JASNEJ GÓRY.

(Poświęcenie odbudowanej wieży, przez Z. B.).

„Witaj śliczna lilijo, Witaj Częstochowska Panienko
„Najjaśniejsza Jutrzenko. Witaj święta, w niebo wzięta, Maryo!”

Z taką pieśnią, z takim okrzykiem miłości i radości szły tego roku *), w święto Wniebowzięcia, tłumy pielgrzymów na Jasną Górę, żeby oddać cześć Królowej Korony Polskiej, żeby u Jej świętych stóp złożyć troski i bóle, a sercu najlepszej Matki powierzyć nadzieje dwudziestu milionów dzieci, po wszyst-

*) 1906 r.

kich krańcach świata rozrzuconych i z wszystkich też krańców świata biegnących do Częstochowy na wielkie święto narodowe, na wielką radość ujrzenia Jasnogórskiej świątyni odbudowanej i upiększonej.

Sześć lat mija właśnie, odkąd w samą uroczystość Wniebowzięcia, stanęła w płomieniach wieża Jasnogórskiego kościoła, a chociaż dzięki pełnemu poświęcenia ratunkowi straży ochotniczej i wiernych, pożar nie ogarnął zabudowań kościelnych, zrządził jednak wielką, zdawało się na razie, że nienagrodzoną stratę. Wiemy wszyscy, jaką radością był nam widok wieży Jasnogórskiej, kiedy zdała jeszcze od Częstochowy ukazywała się naszym oczom, zarysowując na widnokręgu święty znak krzyża, a porywając za sobą dusze ku niebieskim stropom. I ta to, dobrze znana wszystkim sercom polskim wieża, płonęła przed sześciu laty, jak wielka pochodnia, świecąc łuną pożaru ludowi, który przywykł już zdawna do widoku drogich zgliszcz i popiołów, ale wierzył jednak, że choć wydarto mu tysiąc kościołów, obrócono w perzynę tysiąc pamiątek narodowych, to przybytku Królowej Korony Polskiej niczyja nie zniszczy ręką.

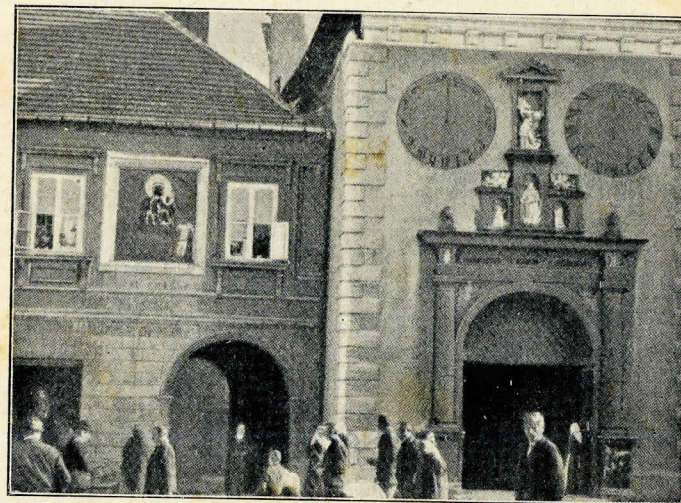
Jakoż nie uległa zniszczeniu Częstochowska świątynia. Staraniem przewielebnego Ojca Reymana, przeora księży Paulinów, pod których pieczę pozostaje Jasna Góra, groszem całego narodu, według planu i rysunku słynnego architekta, Stefana Szylera, wzniesiona została nowa wieża, trwalsza, piękniejsza, bardziej strzelista od dawnej i ozdobiona zegarem, który wyzdzwania pobożne hejnały ku czci Najświętszej Panny i ukrzepieniu dusz szukających pociechy na Jasnej Górze.

Zanim jednak przejdę do opisu tegorocznych uroczystości odpustu Wniebowzięcia i poświęcenia nowej wieży, chcę przebiec myślą dzieje Częstochowy i wyjaśnić pokrótce, dlaczego miejsce to stało się z biegiem wieków najdroższą skarbnicą uczuć naszego narodu.

W XIV wieku Władysław ks. Opolski, potomek Piastów Śląskich, przywiózł z Zamku Bełzkiego na Rusi cudami słynący obraz Najświętszej Panny, którego twórcą ma być św! Łukasz Ewangelista, i wzniosłszy na Jasnej Górze klasztor dla Ojców Paulinów, pod straż tych zakonników oddał święty wizerunek, wierząc, że Matka wszystkich ludów w szczególnej

opiece mieć będzie lud Piasta, lud polski i da mu moc przetrwania zwycięsko nieszczęść.

Odtąd Częstochowa, którą z biegiem czasu zamieniono na fortecę, była jakoby arką najdroższych narodowych i religijnych tradycji. Sława cudów doznanych za przyczyną Najświętszej Panny rozeszła się szybko po całym kraju, czego dowodem, że pobożni Jagiellonowie umieli cenić wysoko dar księcia Opolskiego. Już Władysław Jagiełło obdarzył klasztor Paulinów nowymi nadaniami, a pracowite ręce królowej Jadwigi szyły koś-



Wejście do kościoła.

cielne szaty dla Częstochowy, gdzie przechował się dotąd ornat przez tę świętą Panią haftowany. Odwiedził potem Jasną Górę Kazimierz Jagiellończyk 1448 r. Towarzyszyła mu wtedy matka Zofia, która po stwierdzonej śmierci syna Warneńczyka, składała bólem zranione serce u stóp Pocieszycielki strapionych. Kazimierz odbył i drugą pielgrzymkę do Częstochowy razem z żoną, mądrą królową Elżbietą i z sześciu synami. Odwiedzali oni potem kolejno święte dla całego narodu miejsce a najmłodszy z nich Zygmunt, monarchą już będąc, dwukrotnie tu przebywał. Odtąd żaden król polski nie pominął Częstochowy, odwiedzał

ją ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August, nawet lekkomyślny Henryk Walezy. Stefan Batory zwycięski miecz swój zostawił Jasnej Górze na pamiątkę, a po nim długim korowodem przeciągały tu postacie wszystkich naszych monarchów, aż do Sa-



Brama króla Stanisława Poniatowskiego w Częstochowie.

sów włącznie, że wymienię tylko bytność króla Jana III, który, idąc pod Wiedeń, u stóp cudownego obrazu życie swe za ocalenie Chrześcijaństwa składał w ofierze.

A iluż modliło się w Częstochowie wielkich cnotą obywateli, ilu hetmanów, ilu dzielnych obrońców ojczyzny oddawało tu hołd Pani narodu, o czym świadczą liczne wota i pamiątki Częstochowskiego skarbu, że wspomnę tylko nad wszystkie drogi, choć skromny dar Tadeusza Kościuszki.

Kiedy Szwed zalał potopem kraj od Bałtyku po Tatry, zbawienie szło nam z Częstochowy. Kapłan bohater, wiekopomnej pamięci przeor, Augustyn Kordecki nie tylko wytrzymał w r. 1655 srogie oblężenie klasztoru przez Szwedów, ale przykładem wiary i twardej służby dla ojczyzny obudził w całym narodzie polskim skruchę za małoduszne poddanie kraju obcemu najeźdźcy i sprawił, że Szwed z Polski sromotnie uciekać musiał.

Oto dlaczego Częstochowa była, jest i będzie po wiek wieków drogim przybytkiem religijnej i narodowej tradycji, dlaczego dążą do niej pielgrzymi ze wszystkich krańców ziem naszych, dlaczego wierzą, że skąd raz przyszło zlitowanie, tam nowego doznać można cudu.

I teraz zgodnie dążyły do Częstochowy gromady pobożnych ujrzyć odbudowaną wieżę. Już 14-go, w wigilię uroczystości cała Jasna Góra zakwitła różnobarwnym tłumem pielgrzymów, a liczbę ich zwiększały raz po raz przybywające kompanie. Oto brzmia orkiestry, brzmi pieśń powitalna, oto nowy szereg pątników ciągnie od miasta. Idą kapłani, idzie tłum zbożny, idą dziewczęta w bieli, idą dzielni chorążowie, niosąc religijne i narodowe sztandary. A nie pytajcie, skąd idą, bo są tu wszyscy bracia niby dalecy a bliscy; są Ślązacy, Wielkopolanie, są pobożni z Litwy i z Galicyi, są i ci nawet, którym niewolno było tu szukać pociechy, idą unicy z Podlasia! W borach kryli swoje ołtarze, a dziś ze szczęśliwą zmianą losu mogą nareszcie paść do stóp Matki Królowej.

Idą wciąż, wieża jaśnieje tysiącem świateł, zegar wydzwania hejnały, a na to radosne zawołanie przybywają nowe tysiące, lud płynie gościńcami, śpieszy koleją, dąży choć noc zapadła, choć ranek już świta, liczą go na sta tysiące, inni mówią, że pół miliona dzieci tuli się już do stóp Matki, któż taki widok opisać jest w stanie? Barwny widok! Oto jak maki na pszennym łanie pstrzą się stroje Łowiczan, oto Krakusi z pod Skalbmierza brząkają kółkami u pasów, oto chłopska drużyna Namysłowskiego wygrywa pobożne pieśni, a sztandar z orłem białym wysunęła na czoło pochodu, oto dzielni Sokoli idą zwartym szeregiem, a porządek w pochodzie panuje wzorowy, bo czuwa nad nim straż ogniowa i młodzież narodowa. Tacy potrafią sprawić szyki, potrafią utrzymać karność w szeregach.

Pogodę dał Bóg przepiękną. Równy z uderzeniem 9 go-

dziny, rano 15-go sierpnia ruszył uroczysty pochód na poświęcenie Jasnogórskiej wieży. Prowadził go Metropolita Warszawski, Arcybiskup Popiel, a towarzyszyli mu Przeor Reyman, biskup sufragan Ruskiewicz i biskup kujawsko-kaliski ks. Stanisław Zdzitowiecki, w którego diecezyi leży Częstochowa. Procesja z kościoła wyszła na wały przy śpiewie hymnu „Święty Boże“. Tak niegdyś wiekopomnej pamięci Kordecki pod kulami szwedzkimi wodził po wałach procesję wiernych obrońców Jasnej Góry z tą samą pieśnią na ustach. Piękną, niezapomnianą była chwila, kiedy po dokonaniu poświęcenia wieży, zebrany krociowym tłumom trzech biskupi udzielili jednocześnie błogosławieństwa, za co w podzięcie ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk: „niech żyją księżta kościoła“, a potem z tych samych piersi strzeliła w niebiosy pieśń—modlitwa.

Z uczuciem niewysłowionej błogości i szczęścia zegnali tego roku pielgrzymi Jasną Górę, a z ust, jak z serca wyrwał się pątnikom ten sam okrzyk:

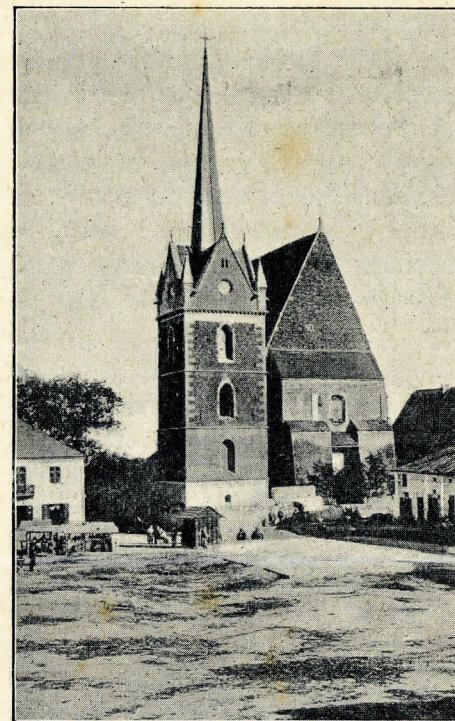
Witaj Częstochowska Panienko!
Witaj Święta, w niebo wzięta, Maryo!

3. WYŻYNA NIDY.

POGLĄD OGÓLNY.

Środkowa część wyżyny Małopolskiej, zwana *wyżyną Nidy* od głównej rzeki, ma kształt zagłębionego, nieckowatego czworoboku, o wzniesieniu 250 metrów nad poziom morza. Rozciąga się ona w kierunku z północnego zachodu na południowy wschód między dwu wyżej wzniesionymi pasmami górskimi: Krakowsko-Wieluńskim i Kielecko-Sandomierskim. Na północnym zachodzie jest otwarta i pochyla się łagodnie ku krainie wielkich Dolin, na południowym wschodzie obniża się również, ale nie w takim stopniu, ostatecznie zaś spada stromo ku Wiśle krawędzią wysoką mniej więcej na 60 metrów, nie dochodzącą jednak zupełnie do rzeki.

Wyżyna ta nie przedstawia jednolitej płaskiej równiny, lecz wesoły i malowniczy kraj, pełen pagórków i wąwozów. Liczne rzeki i rzeczki położyły miękkie, zwierchnie warstwy jej pokładów, tworząc mnóstwo wzgórz i parowów nadzwyczaj wąskich a przytem nieraz bardzo głębokich: nad niektórymi z nich



Kościół w Wiślicy.

wznoszą się pionowe ściany, wysokie na 60 metrów. Nadzwyczaj fantastycznie, ale i pięknie zarazem wyglądają okolice, w których zbiega się większa ilość takich wąwozów.

Ale zato drogi tamtejsze są niezmiernie uciążliwe z powodu pokrywającego je gliniastego mułu: w czasie deszczów robi się tam niemożliwe błoto, w posuchę zaś unosi się dokuczliwy pył; oprócz tego ściany wąwozów grożą wiecznie obsunięciem się,

zwłaszcza po większych zlewach. To też jazda po nich wymaga wielkich wysiłków ze strony koni i nieustannej uwagi wóznicy, tem bardziej, że droga wąwozem także przeważnie nie jest pozioma, lecz kolejno wspina się lub spuszcza. Nawet przysłowie uwieczniło już te drogi i nadzwyczajną ich uciążliwość: „W każdej roku porze w wąwozach skalbmierskich pilnuj się nieboże”—powiada ono, opisując trudny dojazd do Skalbmierza, jednego z głównych miast tej wyżyny.

Wody, spłukujące z powierzchni ten gliniasty muł, same stają się od niego żółtawe i mętne. Taką też barwę mają rzeki tej wyżyny. Dla powstrzymania niszczącego działania wód, szczególnie dorywczych, tworzących się na wiosnę lub po wielkich ulewach, mieszkańcy wpoprzek wąwozów czyli tak zwanych „korytek” grodzą umyślne płoty i sadzą wierzby, które rozrastając się z czasem, tworzą laski, ukryte w głębi wąwozów.

Główną rzeką tej wyżyny jest *Nida*, lewy dopływ Wisły. Bierze ona początek na obu sąsiednich górskich pasmach, a mianowicie wypływa jako Nida Czarna z za gór Świętokrzyskich (część pasma Kielecko-Sandomierskiego), jako zaś Nida Biała z północnej części gór Krakowsko-Wieluńskich. Obie te Nidy, zlawszy się razem, płyną środkiem wyżyny, połowiąc ją prawie zupełnie dokładnie.

Nida werznąła się tu głęboko, tworząc dolinę podmokłą i bagnistą, pokrytą mokremi łąkami lub błotami, pełną oparów i wilgoci. Miasta i wsi znajdują się tu zazwyczaj nie nad samą rzeką, lecz w odległości 2 do 3 wiorst od niej, przeważnie na wzgórzach lub wynioślejszych pasmach, sterczących nieraz na kilkadziesiąt metrów nad podmokłą niziną. Miasto Pinczów, położone w dolinie Nidy, połączone jest z rzeką taką blisko półmilową groblą, która się ciągnie wśród podmokłych obszarów, zarośniętych trzciną i sitowiem.

Ta obfitująca w wodę dolina, odznacza się bujną roślinnością, a łąki jej błyszczą różnobarwnem kwieciem. To też ma słuszość poetka (Deotyma), gdy w opisie rzek, wpadających do Wisły, stroi Nidę w kwiaty:

Młodziuchna Nida, podobna kwiaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Szczególnie bagniste i podmokłe jest samo ujście Nidy do Wisły, zaciszny zakątek o wybitnie wodnym charakterze, gdzie, jak powiada Adolf Dygasiński, doskonały znawca tamtych stron, „powietrze jest przepełnione wodnym pyłem, a rosa prawie nie schnie”, a „cała okolica sprawia takie wrażenie, jak gdyby na nią dopiero co spadły obfite deszcze. Drzew tutaj mało, zato pełno wszędy rogoży, tataraku, trzciny i skrzypów. Stworzenia również znajdują się tam przeważnie takie, którym woda smakuje: żaby, bociany, ptactwo wodne i błotne“...

Druga rzeka *Pilica*, biorąca początek z pasma Krakowsko-Wieluńskiego w sąsiedztwie Warty i Czarnej Przemszy zrasza północną część wyżyny. Dolina jej jest mniej piękna i mniej urodzajna, pozbawiona tak bujnej roślinności.

Poza tem zaś cała ta wyżyna odznacza się wielką żyznością: powierzchnię jej pokrywa gliniasto-wapnista gleba, zwana „rędziną”, a należąca do najżyźniejszych gruntów. Lasów jest tu wprawdzie mało, ale zato zboże rodzi wyśmienicie, pszenica tutejsza ma szeroką sławę, a gleba zalicza się do najurodzajniejszych w Polsce.

Głośno słyń te pszenice,
I za morzem ziemie maskie!
Sandomierskie i Kujawskie!
I Proszowskie okolice!

(W. Pol).

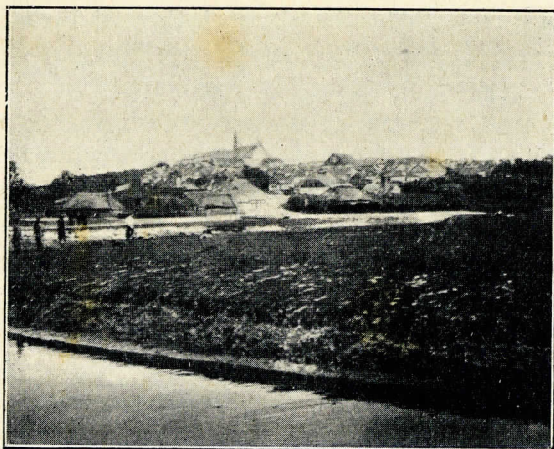
Obok rolnictwa rozwinęła się tu, jak wszędzie na żyznych glebach, hodowla buraków i cukrownictwo. Szczególnie znane są z urodzajności okolice Proszowic, Działoszyc, Miechowa i Skalbmierza.

Kraina ta obfituje nie tylko w płody rolne; posiada ona i skarby mineralne, chociaż nie w takim stopniu, jak sąsiednie wyżyny na zachodzie.

Pod powierzchnią w wielu miejscach znajdują się gliny tak zwane „zasolone”, to jest zawierające sól. Niema jej tu wprawdzie w takiej obfitości, aby ją można było kopać, wydostaje się ona jednak na powierzchnię w postaci źródeł słonawych. Są tu także źródła *nafty*, w małej zresztą ilości, mianowicie w *Wójczy*, w powiecie Stopnickim, w południowej części wyżyny.

Jedyne to miejsce w całym Królestwie, gdzie się znajdują takie źródła.

W wielu miejscach są tu obfite pokłady *gipsu*. Na gipsie między innymi zbudowane jest stare miasto Wiślica, słynna ze statutu Kazimierza Wielkiego. Gips spławia się stąd Wisłą do Warszawy na roboty sztukateryjne, na miejscu zaś miele się na mączkę i używa do użyźniania roli. Wisła więc stąd wywozi w świat gips z nad Nidy, tak samo jak sól z Wieliczki, jak pszenicę Proszowską lub Sandomierską.



Proszowice.

Wiśło! ty niesiesz na twoim przestworze
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
I cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
Wapno i jaja, i świeże nabiały.

(A. Czajkowski).

Gips należy do minerałów rozpuszczalnych w wodzie; to też podziemne źródła wypływają go z pokładów, wskutek czego tworzą się groty albo chodniki w głębi ziemi oraz lejkowate zapadnięcia gruntu na powierzchni ponad wypływającymi pokładami gipsu. Takie lejkowate zapadnięcia charakterystyczne są dla wszystkich miejscowości, obfitujących w gips.

Pokładom gipsu towarzyszy zwykle *siarka*, ponieważ należy ona do minerałów, powstających z jego rozkładania się. Znajduje się ona tutaj w Czarkowych nad Nidą i koło Proszowic nad Szreniawą również dopływem Wisły, ale bardziej zachodnim. Oprócz tego występuje w źródłach siarczano-słonnych. Źródła takie mają zastosowania lecznicze, a słyną z nich od dawna *Busk* i *Solec*.

Pod każdym więc względem kraj to żyzny i bogaty. Wcześniej też został zaludniony i wcześniej wziął udział w dzie-



Kościół w Miechowie.

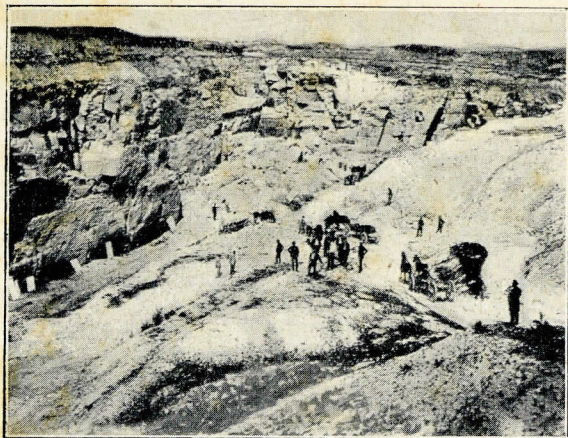
jach naszej ziemi. Dużo tu historycznych miejscowości z pamiątkami zamierzchłych wieków, a poodkrywane różnymi czasy odwieczne groby ze starożytnymi urnami i narzędziami krzemieniami świadczą niezbicie, iż kraina ta była już zaludniona nawet w odległej przedhistorycznej dobie. Z czasów zaś historycznych pełno mamy wskazówek, iż żyła ona ciągle jednym życiem z całą ziemią Krakowską, z którą też zawsze stanowiła jedną całość, aż dopóki rozbiory Polski nie oderwały jej od macierzystego grodu z pod Wawelu. Dość zresztą słynne niegdyś jej miasta upadły i stały się nędznymi osadami a nawet wioskami.

Do ważniejszych punktów tej wyżyny należy starożytny *Miechów*, powiatowe miasto, na trasie z Kielc do Krakowa pamiatające jeszcze wiek XII.

Na tym samym trakcie, a dziś na linii kolejowej, bardziej

na północny wschód i bliżej Nidy, leży *Jędrzejów* z ruinami opactwa Cystersów, z tego samego XII w. Między Jędrzejowem a Miechowem znajduje się jedyny tunel kolejowy w Królestwie, długi prawie na dwie trzecie kilometra (380 sążni). W pobliżu wieś *Nagłowice*, miejsce rodzinne Mikołaja Reya.

Jeszcze dalej na wschód nad samą Nidą—*Pińczów*, posiadłość niegdyś Oleśnickich, ognisko ruchu reformatorskiego



Łomy piaskowca.

w wieku XVI, kwitnące wówczas miasto z wspaniałym zamkiem; dziś senna podupadła miejscina z łomami piaskowca. Starożytna *Wiślica*, na wzgórzu gipsowym nad Nidą w bardzo malowniczym położeniu; pierwsze miasto, które otworzyło bramy Łokietkowi, powracającemu z tułaczki, i w którym później za Kazimierza Wielkiego spisano i zatwierdzono prawo polskie, znane pod nazwą „statutu Wiślickiego“.



Dożynki w Krakowskiem.

PROSZOWIACY I SKALBMIERZACY.

Lud tutejszy też zasługuje na uwagę, zwłaszcza ten, co zamieszkuje południową część wyżyny, najżyźniejsze okolice Proszowic i Skalbmierza. One to właśnie do dziś dnia noszą nazwę Krakowskiego, a Proszowiacy i Skalbmierzacy mało co się różnią wyglądem, charakterem i strojem od mieszkańców najbliższych okolic Krakowa.

Urodzony na żyznej i malowniczej ziemi w pobliżu starej stolicy Polski, lud tutejszy posiada i cechy odpowiednie: pracowity i dziarski, przywiązany do ojczyzny, wiary i pamiątek przeszłości, a zarazem wesoły i hulaszczy, — umie pracować wytrwale, bić się dziarsko i bawić bez pamięci.

To też ludzie tam najszczerzi!
Tam to polski świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.

Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka tylko, śpiewki!
Stare baby wygadane,
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewczki.

(W. Pol).

Zgrabnej budowy, ładnych rysów, lubi się stroić i stroi się też tak pięknie i malowniczo, jak piękna i malownicza jest cała ta kraina; nigdzie w Polsce nie spotykamy tylu świetnych barw i ozdób, co w Krakowskim. A najpiękniejszym i najbarwniejszym jest właśnie ubiór nie z pod samego Krakowa, lecz nieco dalej na północ, od Proszowic, Słomnik, Miechowa i Skalbierz.

Te czerwone rogate czapeczki z pawiem piórem; suto wyszywane brązowe „karazy” z „suką” to jest olbrzymim wzorzystym kołnierzem spuszczone niby pelerynka na plecy; ten pas rzemienny, nabijany ćwiekami i ozdobiony pęczkiem wiszących kółek mosiężnych, wśród których widać kozik, krzesiwo, krzemień i fajkę — wszystko to są składowe części odświętnego stroju Proszowiaka lub Skalbierzaka. Wszystko to, o czym wspomina znana powszechnie ludowa piosenka krakowska „Alboż my to jacy tacy!” — wszystko to właśnie doskonale stosuje się do nich.

Ubiór ten ma już za sobą kilkuwiekową tradycję: „Płonąca karmazynem czapka krakowskiego chłopca, powiada Zygmunt Gloger, doskonały znawca naszych rzeczy ludowych, — już na stulecia przeszłość swoją liczy, skoro w Długoszu jest niewątpliwe o niej świadectwo. Dziejopis bowiem ten, mówiąc pod rokiem 1205 o śnie Romana księcia Halickiego, wspomina o Sandomierzanach, których głowy czerwieniły się od czapek, skąd poszło, że przyrównywano wtedy rycerstwo krakowskie do szczygłów, gdy walczący z nimi Rusini barwami stroju przypominali wróblów“.

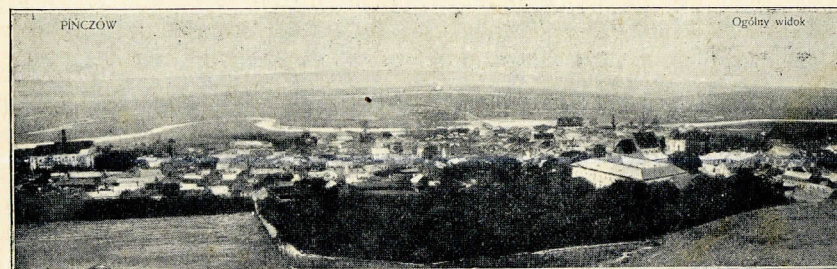
Pięknie, a dziarsko i ochoczo wygląda chłop krakowiak, gdy w świątecznym stroju stanie do tańca: mina taka jak gdyby cały świat do niego należał; widać od razu, że byle komu z drogi nie ustąpi i w kaszę sobie napluć nie da. Niedarmo śpiewa o sobie, przytupując krakowiaka:

Krakowiaczek ci ja, krakowskiej natury:
Kto mi w drogę włązi, ja na niego z góry!
Krakowiaczek ci ja, któż nie przyzna tego,
Siedemdziesiąt kółek u pasika mego!

Poczem ci to poznać chłopca Krakowiana,
Chociaż wiatr w kieszeni, mina jak u pana!
Z chłopca Krakowiaka kawałek szlachcica:
Nie tańczy po ziemi, ino po tarcicach.

A jak ja ci urnę krakowiaka z nogi,
Pójdą wiechcie z butów, a trzaski z podłogi,
Uderzmy w podkówki, niech przyzna świat cały,
Że krakowski taniec wart jest wiecznej chwały.

Krakowiak słynie szeroko po całej Polsce, jako jeden z najładniejszych i najbardziej dziarskich naszych tańców narodowych.



Pińczów.

WYCIECZKA W KRAKOWSKIE *)

(Klementyny z Tańskich Hofmanowej).

Otóż dziś dopiero poznałam, co to jest Krakowskie; tak pięknych okolic jeszcze nie widziałam. Słusznie też dopiero za Nidą **) lud tutejszy prawdziwe Krakowskie naznacza. To zu-

*) odbyta w r. 1827.

**) Licząc od strony Kielc.

pełnie kraj inny: już ani czytać, ani pisać nie mogłam, ani na złe nie zważałam drogi, tylko patrzyłam ciągle, to w prawo, to w lewo, a wszędzie nadobne i coraz nowe przedstawiały się widoki.

Tu ciągnęły się i sterczały góry różnego kształtu, rozmaitej wysokości, jedne bliżej, drugie dalej, trzecie u samych obłoków; te piaszczyste lub wapienne, tamte gęstą trawą odziane; inne znowu zagonami zbóż rozmaitych jakby kobiercami ozdobne, albo też uwieńczone drzewem. Tu rozłożona była obszerna dolina, nie jednym krętym strumieniem przecięta, ożywiona nie jedną wioską, nie jednym gajem zielona. Tam znowu las gęsty i ciemny zdawał się od wieku dla dzikiego tylko dostępny zwierza; tu okazywała się zdaleka wążka nad brzegiem przepaści, albo ciasna wśród wąwozu drożyna. Już tam niepodobnaby przejechać! mówiliśmy, a wnet wjeżdżaliśmy na nią, i zajęte pięknnością widoków, na myśl nam nie przyszła jakabądź trwoga. Bo do tych wszystkich powabów łączył się jeszcze czas najmiłszy; powietrze wieczorne chłodne i ciche, słońce jak zwykle nad zachodem jasne rzucające światła, a nie gorące; harmonia wiosenna i wiejska, gdyż słowiki, skowronki, makołagwy, sikorki i inne ptaki, mieszały śpiewy swoje z odgłosem fujarek. Widziałam nie jednego pastuszka, jak bydło pilnując, siedział na krawędzi wysokiego wąwozu, w czerwonej krakowskiej czapeczce, i dał w świeżo ustrugane muzyczne narzędzie. Może przed godziną, myślałam sobie, ta gałązka liściem okryta, zieleniała w milczeniu na macierzystym konarze, a teraz ścięta i wydrążona, głośnie tony wydaje... Podobnie sława z ludźmi czyni: nie jeden dopiero głośny po niedoli i zgonie.

Ale przez dzisiejsze poobiedzie nie tylko nas zajmowały piękności przyrodzenia (które ile są zachwycające w istocie, tyle czcze i nieodpowiednie w opisie), zatrzymywałyśmy się w Pińczowie i Młodzewie, badając tam jak wszędzie i gmachy i ludzi. Pińczów, miasto prywatne, leży nad Nidą; jest to śliczna choć niezbyt długa w swoim biegu rzeka, bo wychodzi z łona ziemi w Mokrzku, a już pod Korczynem łączy się z Wisłą, byt i imię tracąc. Pińczów, nie bardzo to osobliwe miasto, zwłaszcza że w niem żydów drugie tyle co chrześcijan; ale zawsze zdoła je piękne położenie, a pamięć przeszłości ceny dodaje. To miejsce bowiem sławne niegdyś było; założyli Pińczów Oleśnicy, i do

nich przez czas długi należał. Sławny za Władysława Jagiełły, Zbigniew biskup krakowski i kardynał, wystawił tu kościół i klasztor OO. Paulinów.

Wspomnę ci jeszcze o Skalbmierzu i o reszcie drogi naszej. Wstałyśmy ze wschodem słońca, a nim się ludzie nasi wybrali, obeszliśmy całe miasto. Już wszystko było w ruchu, bo miasteczka w Krakowskiem zdają się być raczej zamożnemi wsiami; Żydów w nich niema, przeto nierównie miłsze jak w innych stronach, miłsze także od wiosek tutejszych, bo bez tych nieszczęśliwych dymnic.

Dziwno mi było widzieć wiejskie kobiety nad straganami; lud tam (równie jak prawie wszędzie Nidę przejechawszy) piękny, dorodny, rozmowny; mowa choć trochę przeciągnięta, czysta i wyraźna; ubiór daleko porządniejszy niżli w okolicach Kielc: znać po wszystkim, że już blisko stolica. Kolor kawowy najwięcej używany przez mężczyzn, a krój ich sukman, z tym kołnierzem w zęby, doprawdy, że ładny; możnaby go do naszych sukien przyswoić. Kobiety starannie ubrane, najczęściej w bieli; spotkałyśmy kilka dziewczek ze skopkami mleka bardzo przystojnych, a te co w oknach stojąc przed małym jak dłoń zwierciadłem, plotły sobie warkocze lub chustki wiązały, mogłyby za wzór czerstwości i zdrowia malarzowi służyć. Jedna szczególnie tak była piękna, i z takim też staraniem ubiór swój kończyła, żeśmy umyślnie pod jej dom parę razy podchodziły.

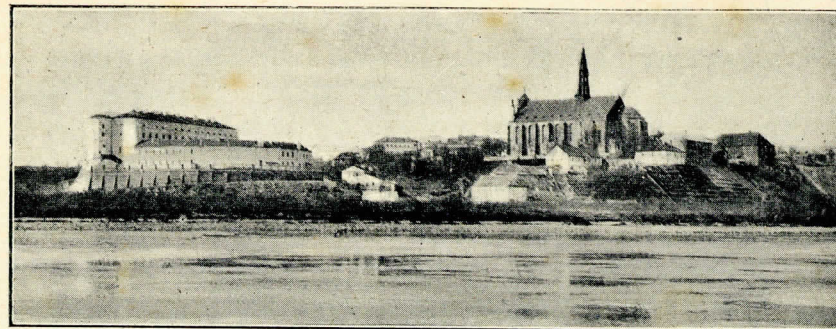
Cały Skalbmierz bardzo porządnym i wesołym, nic się nie dziwię, że w nim Zygmunt August przemieszkiwać lubił; rzeka Nidzica, która tam płynie, przecinając go kilkakrotnie, życia mu dodaje.

Ze Skalbmierza do Iwanowic, widoki ciągle piękne, góry coraz wyższe, drogi coraz gorsze; ale chociaż powóz zdawał się już nieraz gotowy do wywrotu, zawsze go wstrzymała zręczność wprawnej woźnicy, a nawet i chód nawykłych już do gór koni. Zważałam, że zwłaszcza zstępując, zupełnie inaczej stąpają jak mazowieckie: z najspadzistszej góry tak umieją wstrzymać powóz, iż nawet nie znają tu zwyczaju zakładania hamulca, tak używanego w Lubelskiem, gdzie góry nierównie mniejsze.

Iwanowice, włość o dwie już tylko mile od Krakowa, w ładnej równinie leżąca, bardzo mi się podobała. Krótko bawiłyśmy w Iwanowicach, bo nam się spieszyło do Koszkwii, droga do niej śliczna: i lasy i góry.

Gdyśmy na jedną z najwyższych wjechali, woźnica stanął, a wskazując na lewo, zawołał: „Oto Kraków!” Pielgrzymowi, który ślubował odwiedzić grób Zbawiciela, nie może się wydać milszym krzyk przewodnika: „Oto miasto święte!” Powstałyśmy w mgnieniu oka z okrzykiem radości; ja wspierałam się jak tylko mogłam najwyżej, i ani potrafię wypowiedzieć com uczuła, obaczwszy nareszcie to łube miasto, gdzie już tyle razy myśl moja była, które tyle razy w mojej wyobraźni widziałam. Zdało mi się mniejsze, niż w tych snach na jawie, ale niemal równie piękne. Prawie wraz z zamkiem postrzegłam mogiłę Kościuszki; woźnica pokazał nam na przeciwnej stronie mogiłę Krakusa, i tak razem kolebkę, majestat, grobowiec ujrzałam: zdało mi się, że widzę rozwiniętą przed sobą kartkę dziejów naszych ..

W tem miejscu pokazał nam także woźnica wysokie Tatry, które jakby za ramy temu obrazowi służą i zupełnie z obłokami się łączą; dzień mieliśmy jasny, widać było zatem wybornie i Babią górę ze swoim śniegiem, i białe chmury, które bliżej nas od gór były, a przechodząc zwolna, zdawały się jak wielkie cienie zgasłych bohaterów, których Kraków w swoich murach widział. Z trudnością nam przyszło oderwać się od tego miejsca; a gdy już powóz ruszył, gdy znikł widok cały, z uśmiechem i z westchnieniem każda wyrzekła: „widziałyśmy Kraków“.



Sandomierz.

4. PASMO KIELECKO-SANDOMIERSKIE.

POGLĄD OGÓLNY.

Po drugiej stronie wyżyny Nidy ciągnie się *pasmo Kielecko-Sandomierskie*, stanowiące północnowschodnią jej krawędź. Pasma to przedstawia najwyższą wyniosłość w Królestwie Polskiem, dochodzi bowiem prawie 700 metrów wysokości, ciągnie się zaś od rzeki Pilicy w okolicach Przedborza do Sandomierza nad Wisłą. Nie wydaje się jednak zbyt wysokiem, a to dlatego, że nie wznosi się nigdzie wprost nad niziną, lecz przechodzi w nią stopniowo: od północy i północnego wschodu zniża się łagodnie, ale stale i za pomocą falistej pagórkowatej okolicy łączy się z nizinami mazowieckimi; na południowym wschodzie, zniżywszy się nieco, rozpląszcza się, ciągnie się, jako płaska, przeszło 300-metrowa wyżyna aż ku Sandomierzowi i tam dopiero spada stromą krawędzią do Wisły. Jedynie od południowego zachodu ma odrazu nagły spadek, ale że graniczy tutaj z wyżyną Nidy, więc i stąd wzniesienie jego nie wydaje się tak bardzo wysokie.

Pasma Kielecko-Sandomierskie składa się z kilku równoległych łańcuchów, z których najwyższe i najokazalsze znajdują się od strony północnej, w tak zwanych *górach Świętokrzyskich*. Góry te utworzone są z dwu głównych łańcuchów: wyższego *Łysogórskiego* (przeszło 600 metrów) i niższego *Opatowskiego*

(450 metrów), przedzielonych podłużną *doliną Nowej Słupi*, której wzniesienie wynosi przeszło 250 metrów. Mniej okazała jest południowa część pasma, góry *Chęcińskie*, których wysokość nie przekracza 350 metrów. Między górami Świętokrzyskimi a Chęcińskimi znajduje się podłużne zagłębienie, szeroka, nieckowata *dolina Kielecko-Łagowska*. Obok wymienionych głównych łańcuchów ciągną się podrzędne, mniejsze i niższe, a z tego powodu mniej zasługujące na uwagę: góry *Klonowskie*, *Dymińskie*, *Bodzentyńskie* i inne.

Najciekawsze i najgodniejsze uwagi w całym tem pasmie są góry *Świętokrzyskie*, a zwłaszcza część ich, zwana Łysogórami. One jedne właściwie zasługują na miano prawdziwych gór.

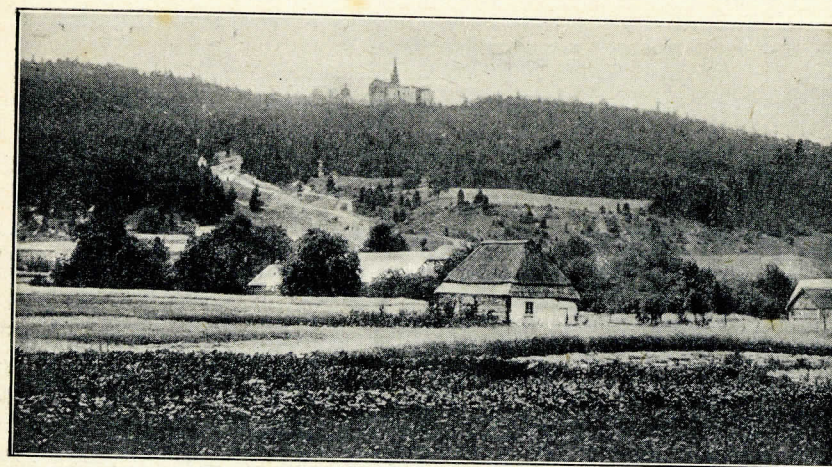
Grzbiet *Łysogórski* nie jest wcale długi, ciągnie się bowiem zaledwie na przestrzeni 2 mil. Najwyższe wzniesienia posiada na swych krańcach: na jednym, zachodnim, w stronie Bodzentyna, wznosi się wysoka na 650 metrów *Łysica*, nosząca drugą nazwę góry *Świętej Katarzyny*, od położonego pod jej szczytem klasztoru pod wezwaniem tej patronki; na drugim, wschodnim, w stronie Nowej Słupi, wystrzela nieco niższa (600 metrów) *Łysa Góra*, zwana także *Świętokrzyską* od klasztoru tej nazwy, widniejącego na jej szczycie.

Góry te odznaczają się malowniczością, ale zarazem i dzikością. Wbrew nazwie Łysogór stoki ich porośnięte są lasem: przed laty znajdowały się tam nawet trudne do przebycia puszcze, ale i dzisiejsze lasy są jeszcze bardzo okazałe, a obok pospolitych wszędzie sosen, grabów, dębów, jesionów, klonów i t. p., rosną w nich i rzadkie drzewa, nie znajdowane zupełnie w sąsiednich okolicach — jodły, modrzewie i buki. U stóp drzew krzewią się bujnie rozmaite krzaki i zioła. Poniżej lasów zieleńią się wesoło pola i łąki.

Od tych pełnych życia zielonych stoków odcina się ostro i wyraźnie sam grzbiet górski, sterczący ponad lasami. Jest on zupełnie nagi, łysy, usypany rumowiskami skał i kamieni kwarcytowych, które się ciągną niby jakiś olbrzymi wał od Łysej do Łysicy. Od tych to łysych szczytów całe pasmo otrzymało nazwę. Tylko niektóre z nich osłonięte są do samego wierzchołka lasem, przeważnie zaś widać na nich takie „gołoborza“, to jest przestrzenie огоłocone z drzew.

Wysokość i lesistość gór Świętokrzyskich sprawiły, iż są

one głównym zbiornikiem wód na całą okolicę. Spływa stąd na wszystkie strony mnóstwo rzeczek i strumyków, które dają początek licznym dopływom Wisły na całym obszarze od Nidy do Pilicy. Strumienie te mają silny spadek, wartki, górski bieg i dzięki temu dają się doskonale zużytkować, jako motory dla różnych zakładów przemysłowych.



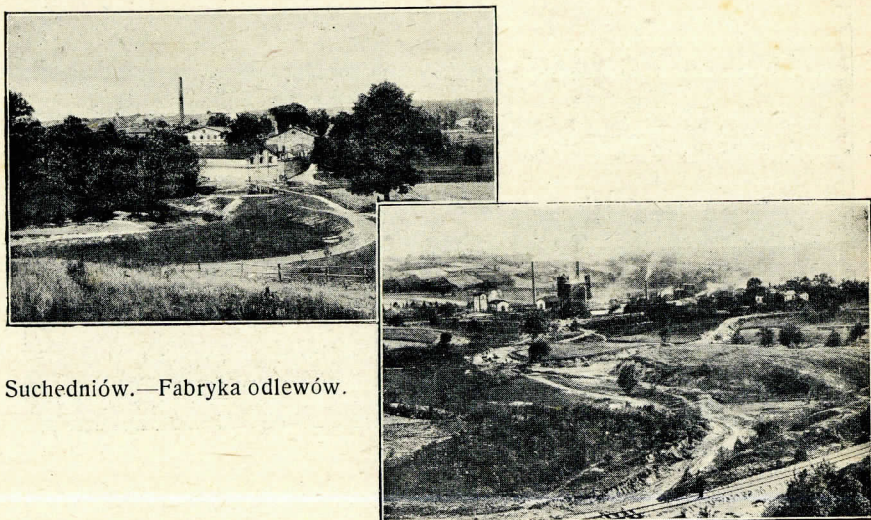
Ogólny widok Ś-go Krzyża.

Ta sama dzikość i lesistość były przyczyną, iż góry Świętokrzyskie stały pustką bardzo długo: sąsiednie okolice od dawna rojły się już od wiosek i ludzi, kiedy w tutejszych puszczach szumiały jedynie drzewa i słychać było tylko głosy dzikich zwierząt. Przez długi czas później były one przytułkiem dla wszelakich opryszków i rozbójników, a zbój świętokrzyski stał się niejako historyczną osobą, wspominaną niejednokrotnie w przysłowia i podaniach jeszcze i dzisiaj, chociaż zbójców niema już tam oddawna.

Na szczytach Łysogór, w trudno dostępnych i tajemniczych zakątkach dawni poganie wznosili swoje świątynie, a jedna z najznakomitszych miała się znajdować właśnie na Łysej Górze. Z zaprowadzeniem chrześcijaństwa miejsce jej zajął klasztor i kościół z relikwiami Krzyża Świętego, wzniesiony przez Bolesława

Chrobrego, który tu sprowadził z Francji Benedyktynów. Kościół istnieje i dzisiaj, chociaż nie w pierwotnej postaci: po licznych pożarach odbudowano go ostatecznie na nowo w początkach ubiegłego wieku (w r. 1806).

Grunta w Świętokrzyskiem są przeważnie nieurodzajne; miejscami znajdują się tam nawet wprost jałowe piaski, powstałe ze sproszkowanych odłamów skał kwarcytowych, które po roz-



Suchedniów.—Fabryka odlewów.

Starachowice.

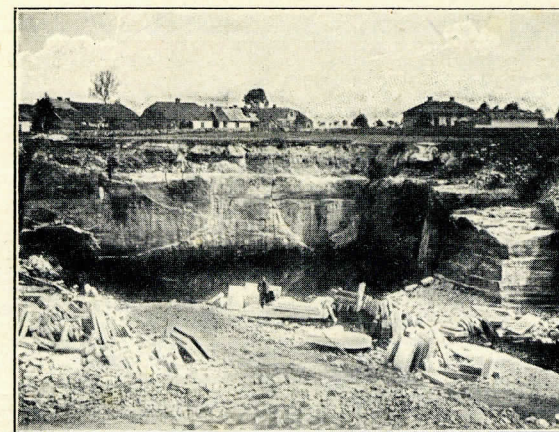
kruszeniu się dają właśnie piasek. To też rolnictwo nie znajduje się tutaj w stanie kwitnym.

Niektóre kawałki gruntu są tak pochyłe, że zupełnie nie nadają się do uprawy. Poobracano więc je na pastwiska, a ta ich niedostępność i górzystość wytworzyły tutaj osobną rasę bydła i koni o typie górskim, drobną, ale silną i nadzwyczaj wytrzymałą, a wskutek tego doskonale nadającą się do roboty.

Będąc nieurodzajne na plony zbożowe, góry Świętokrzyskie odznaczają się zato i odznaczały się zawsze wielką obfitością lasów. Odbija się to wyraźnie na charakterze tutejszych wsi i miasteczek oraz na zajęciach mieszkańców. Drzewo jest tu jedynym materiałem budowlanym, a na domach, kościołach, na-

wet krzyżach przydrożnych widać już pewne cechy tego zdobnictwa, które tak pięknie rozwinęło się, jako styl Zakopiański na Podhalu i którego nie znajdujemy wcale w okolicach, ubogich w drzewo. Przemysł drzewny stanowi też ważne zajęcie i ważne źródło zarobku ludności tutejszej. Wyrabiają oni mianowicie gonty, laski, kobiałki, treпки z drewnianymi podszewami i t. p.

Ale jeszcze więcej zarobków daje wydobywanie i przetwarzanie bogactw mineralnych. Ubóstwo gleby góry Świętokrzy-

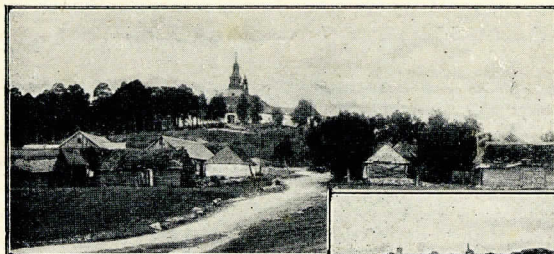


Szydłowiec. — Łomy kamieni.

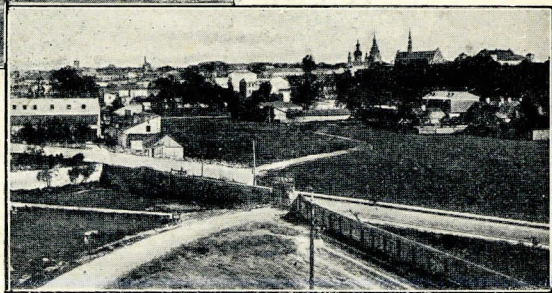
skie wynagradzają obfitością kruszców, zawartych w ich łonie. Mianowicie wzdłuż północnowschodnich ich zboczy, poczynając od Opoczna nad Pilicą do Bodzechowa nad Kamienną, również dopływem Wisły — ciągnie się pas, zawierający cenną *rudę żelazną*. Wzdłuż pasa tego powstało mnóstwo hut, wytapiających żelazo, i fabryk, przerabiających je na narzędzia oraz inne wyroby. Wydobywają tam żelazo w 15 miejscowościach, a przerabiają je w 56 fabrykach. *Bzin, Suchedniów, Starachowice, Klimkiewiczów, Bodzechów, Ostrowiec*—oto główne ogniska tutejszego przemysłu żelaznego. Wzdłuż całego tego pasa biegnie odnoga kolei dąbrowskiej, łącząca go ze światem, dowożąca węgiel na potrzeby fabryk, a wzamian zabierająca ich wytwory.

Drugi pas rud żelaznych leży na południe od gór Świętokrzyskich między Daleszycami a Łagowem.

Ale żelazo nie jest jedynym bogactwem mineralnym tych gór. Na północ i wschód od nich takim samym pasem ciągną się pokłady *piaskowca*, którego łomy znajdują się między innymi koło *Szydłowca* i *Kunowa*. Łomy *wapienia* posiada *Sulejów* nad Pilicą. Góry Chęcińskie obfitują w *marmur*, zwłaszcza w okolicach *Kielc*, stanowiących środkowy punkt całej tej gór-



Karczówka pod Kielcami.



Kielce. — Ogólny widok.

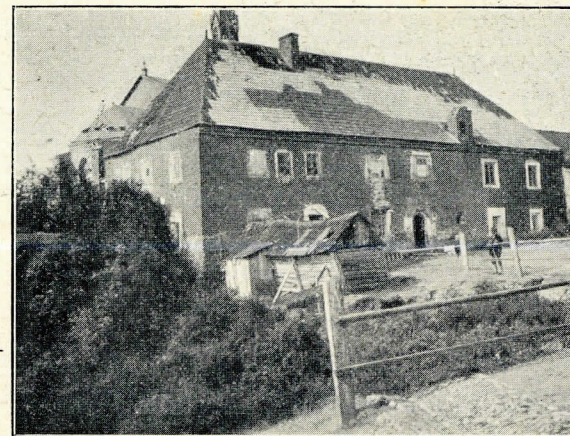
niczej krainy oraz koło położonych niedaleko od nich *Chęcin*. Pod temiż Kielcami znajduje się *miedź* i *olów*. Okolice *Ćmielowa* nad Kamienną posiadają bardzo dobrą *glinę* i miasteczko to słynie oddawna z wyrobów garncarskich, które niegdyś wywożono podobno zagranicę.

Całe to szczęście, że ta kraina obfituje w bogactwa mineralne, bo i stoki jej, zwłaszcza ku północy są przeważnie nieurodzajne. Szczególnie smutną sławą cieszą się okolice *Końskich* i *Opoczna*, cały kraj ku Pilicy, o którym zupełnie tak samo, jak i o Olkuskiem, powiada przysłowie: „Korzec wsiejesz, kopę zbierzesz, kopa korzec daje“.

Wręcz przeciwny charakter mają okolice na wschód i po-

łudnie od łańcuchów górskich, czyli tak zwane *Sandomierskie*. Kraina ta przedstawia płaską wyżynę, spadającą stromo ku Wiśle: krawędź jej wznosi się na 30 do 75 metrów nad poziom rzeki, a przeszło na 200 nad poziom morza. Zbliża zaś się tak dalece do Wisły, że miejscami między nią a krawędzią zostaje zaledwie wąziuchny pasek ziemi, po którym przejście staje się zupełnie niemożliwe przy nieco wyższym, niż zwykle, stanie wody w rzece. Taki właśnie wąziuchny pasek spotykamy koło Sandomierza u stóp *gór Pieprzowych*, którą to nazwą mieszkańcy oznaczają tę spadającą stromo ku rzece krawędź wyżyny.

Powierzchnia Sandomierskiego i części wyżyny na wschód od gór Świętokrzyskich pokryta jest tak zwaną „popielatką“, to jest nadzwyczaj żyzną, miłąką glebą, jeszcze urodzajniejszą, niż w Proszowskiem. Na niej to właśnie najlepiej się udaje słynna

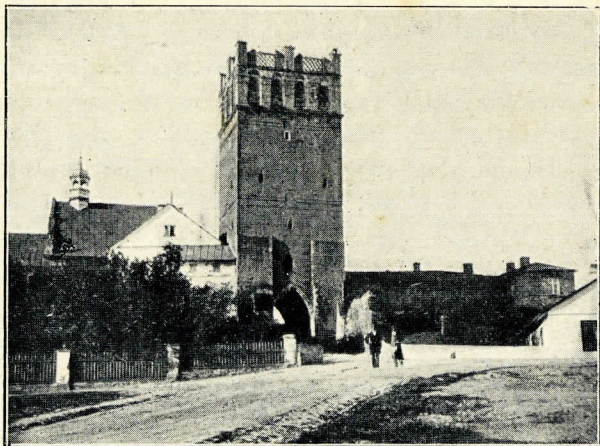


Sandomierz. — Dom Długosza.

pszenica „sandomierka“. Gleba ta jest przytem bardzo łatwa do uprawy; dlatego rolnictwo kwitnie tu w całej pełni: bujne pszeniczne łany wynagradzają sownicę zupełny prawie brak lasów w tych okolicach.

Ładny to kraj przytem, chociaż bezleśny: pokłady miękkiej gliny, pokrywające jego powierzchnię, uległy silnemu pożłobie-

niu przez wodę; to też znajduje się tu mnóstwo malowniczych parowów i wąwozów, jeszcze fantastyczniejszych, jeszcze węższych, niż w Proszowskim. Miejscami droga idzie tak wązkim parowem, że rozminięcie się na niej nawet dwu niewielkim wozem staje się rzeczą najzupełniej niemożliwą. A mieszkańcy tak samo muszą wzmacniać te swoje „korytka“ gaikami z wierzb, jak w Krakowskim.



Brama Opatowska w Sandomierzu.

Bogactw mineralnych Sandomierskie nie posiada wcale. To też ludność zajmuje się jedynie rolnictwem, a żyzność gleby wynagradza im sownicę pracę koło ziemi.

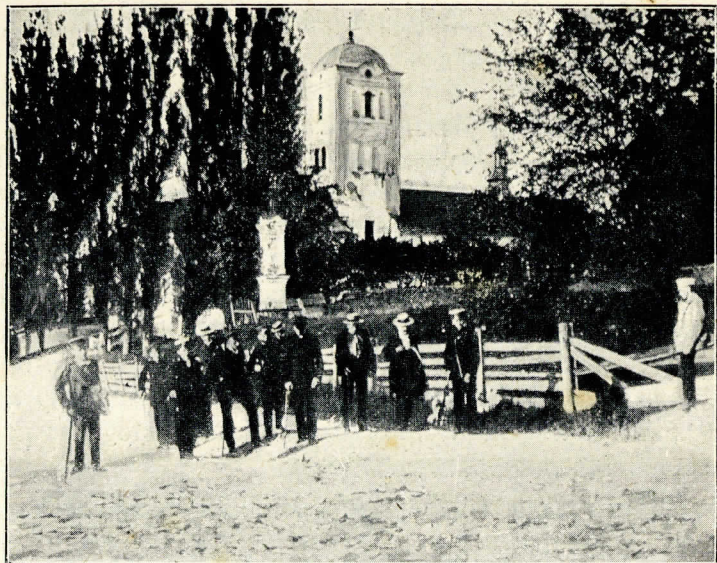
Oprócz tego dzielnica ta posiada doskonałe położenie geograficzne nad Wisłą w miejscu, gdzie wlewa się do niej San. Tędy od wieków prowadził handlowy trakt wodny z południa na północ. Dzięki żyzności gleby i takiemu położeniu kraina ta wcześniej została zaludniona, a główne jej miasto *Sandomierz*, malowniczo wzniesione nad Wisłą, 30 metrów nad jej poziomem, należy do najstarszych miast polskich. Już w wieku XI nosiło ono nazwę „stolicy“ i zaliczało się do najważniejszych miast, wspominanych na równi z Krakowem i Wrocławiem.

Rozwijało się też i grało ważną rolę w dziejach naszych.

Ale przechodziło też wiele chwil ciężkich. Szczególnie straszne były napady Tatarów, którym Sandomierz ulegał niejednokrotnie i po których wpadał nieraz w straszną ruinę. Dzięki jednak bogactwu krainy i położeniu swojemu podnosił się zawsze z upadku i wracał do dawnej świetności.

W późniejszych wiekach znosił też sporo klęsk: trapił go to Szwedzi, to Sasi; grasowało tu niejednokrotnie powietrze morowe i pożary. Ale ostateczny cios zadały mu walki z Austryakami w początku ubiegłego wieku (w r. 1809): zasłynął wówczas Sandomierz bohaterskim szturmem generała Sokolnickiego, który odebrał Austryakom to miasto wraz z jego twierdzą. A choć w miesiąc później musiał im go oddać napowrót, będąc otoczony przemagającą siłą, bronił się jednak walecznie do końca, a odstąpił z honorem, wyprowadziwszy całą załogę w pełnym rynsztunku i szyku bojowym.

Od czasu tych ostatnich dwu szturmów Sandomierz przestał już grać jakąkolwiek wybitniejszą rolę: ładnie położony i pełen pamiątek jest już dziś jednakże tylko cichą i spokojną miasteczką powiatową, pomimo, iż posiada naturalne warunki do rozwoju.



KLASZTOR NA ŁYSICY.

(Z powieści Stef. Żeromskiego „Popioły“).

W dniu 4-tym lipca *), kiedy wszystkie siły polskie wyruszyły z Radomia na południe w ślad za ustępującym nieprzyjacielem, Olbromski na czele kilkudziesięciu ułanów ze swego szwadronu szedł na szpicy przedniej straży kawaleryjskiej w Świętokrzyskie góry od strony Kunowa.

Mżył letni deszczyk—kapuśniaczek. Chłodne łąki w smugach i gozdach**) leśnych jeszcze nie były pokoszone całkowicie. Dopiero gdzieś tam pachniało siano przewiedłe. Jeszcze się słały po łąkach najczarowniejsze leśne smółki, kosańce i koniczyny. Śniade dymy rzadkich, dżdżystych obłoków wałęsały się nisko po lasach, po łańcuchu gór, po puszczy zbójeckiej. Łysica rozwinęła przed jadącym oddziałkiem żołnierzy swoją granatową delię, utkaną jasnymi kępami buków. Tam i sam wzbijały się ku górze powłóczyście smugi chmur, jakoby dech żywy,

*) Rzec dzieje się w czasie wojny z Austryakami w r. 1809.

**) Gozd = gaj.

idący w niebo ze świętych buków. Ciągnęły się blisko mokre tumany między koronami przedawnych jodeł, ukazując zdumionym oczom ich tytaniczne kolumny i rozpostarty ponad nimi czarny strop z koron wielkolasu.

Im bardziej się zbliżali do góry, tembardziej pachniała knieja. Stanęła przed oczyma jej głębia wewnętrzna, jej gleba dziwna, pełna wypłokanych kamyków, porośłych rdzą, rudzizną i zielonkowatą pleśnią, jej pochyła, górska ziemia, którą we władzę wzięły olbrzymie korzenie. Naokoło stanęły odziemki jodłowe, pokryte barwą przyćmionego srebra. Z północnej strony zwisły na każdym kożuchy mchów twardych i suchych, o barwie jaspisu, kosmate i potargane brody a klaki. W wilgotnym wietrze zachodnim zagrały szerokie igły sławów, rozkołysały się chwianiem rytmicznym, poczęły przeginać ogromne piętra gałęzi, a szyszki wzniesione do góry wylały tajemnicę swej woni. Zięby po gęstwinach poświstywały.

Oddziałek konny wyminął leśnictwo na Wzorkach, wioskę teje nazwy leśną, zbudowaną w głębi puszczy, siedlisko ludzi krzepkich jak jodły i twardych jak buki. Grunt był ku górze coraz twardszy, złożony z krwawego, łamliwego kamyka. Ukazał się w ciemnicy jodłowej wyniosły, czworograniasty słup wieży klasztoru i białe jego mury. Tuż za kuźnią i za gospodą klasztorną był wysoki parkan ogrodu.

Olbromski zaczął za murowanicą oberży i kuźni, stojącymi naprzeciwko siebie, część swego oddziału i podzielił go na dwie partye. Jednej kazał iść dalej drogą aż przed kościółek, a sam na czele drugiej postanowił zbadać niepostrzeżenie dziedzińce klasztorne, czy w nich niema Austryaków. Zsiadł z konia i to samo kazał uczynić dziesiątkowi jeźdźców. Jedenasty został przy koniach, ukryty za oberżą. Na dany znak przez trębacza miał z końmi w las uciekać na lewo, aż do wskazanej polanki. Rafał na czele swoich przeskoczył przez wysoki z daszkiem parkan tuż za oberżą i znalazł się w ogrodzie.

Gdy tam wszedł, opuściła go chęć patrolowania, badania, poszukiwań... Stanął w cichej altanie z dzikich drzew na końcu ogrodu i na chwilę dał wolność duszy. Ujrzał jak gdyby dzieciństwo swoje, śnił o sobie widomy na jawie sen. Był tu w tym ogrodzie małym dzieckiem, a wszystko, wszystko doskonale zapamiętał... Strumień świętego Franciszka, który jest głównym

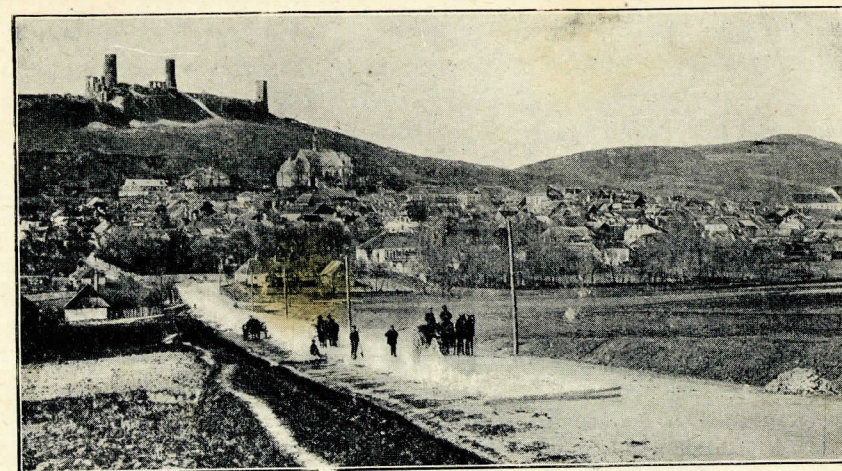
rodzicem Czarnej Nidy, biegnie przez ogród z gwałtem swych małych wód, z siłą i gniewem małych pian. Tam oto spada srebrzystym snopem z drewnianej rynny, wprawionej w ogrodowy mur, tak dudni, jak gdyby wpadał w głębinę pustej stągwi; tam z szelestem i szemraniem biegnie przez ogród pod białymi mostkami, pomiędzy korzenie śliw i grusz, które słodkie jego wody wypijają. Dopadł drugiego muru i znowu, ujęty w rynnę, wyciosaną w półpniu świerkowym, puszczonej został na wolność.

Z pomiędzy drzew, w wylotach żwirowych alejek widniały białe mury. To, co niegdyś tak uderzyło wyobraźnię dziecięcą niezwykłością swoją, uderzało i dziś z tą samą siłą...

Klasztor! Z podziwem, zdumieniem i dawnym lękiem patrzył na owo ziszczone wspomnienie dzieciństwa. Te same szare szkarpy rozkraczone, wyrażające niesłychany wysiłek, moc, chłopskie podsadzanie się ze wszejdziej potęgi. Te same kamienie, co od zwiertzenia już to stały się czarne i okryte rdzą, jak żelazo, już zlasowane, powlekły się białą, niezniszczalną polewą i stały podobne do kafła wiecznotrwałego. Nad szkarpami ściany zimne, wysokie, z małymi oknami.

Błaszane rynny przy dachu, przyrząd tak niezwykle w tych stronach. Albowiem w tych stronach nieznane jest jeszcze nic, coby było wymysłem ku udogodnieniu życia. Wszystko tu jest jeszcze, jak za Chrobrego króla, jak za króla Krzywoustą, albo Mnicha. Pierwszy tu obraz domu murowanego z kamienia przyniosły mniszki za Bodzanty, kościelnego księcia i łowcy, miłośnika tych puszczy dzikich. Drogę, która w te miejsca prowadzi, mniskom należy zawdzięczyć i cudny sad w dzikim boru, na kamienistym, zimnym gruncie. Im należy zawdzięczyć okrzestanie wioskowego ludu po siołach, tępienie przez szeregi wieków świętokrzyskiego zbrojactwa, im założenie pierwszych sadów przy leśnych izbach, uprawę warzyw po lechach *), naukę tkania szmat z wełny i haftowania lnianych chust.

*) Lecha — zagon.



Ogólny widok Chęciny.

Z HISTORII KOPALNI CHĘCIŃSKICH.

(Z Ał. Janowskiego „Wycieczki po kraju“).

Już w końcu XIV wieku mamy wzmianki o kopalniach Chęcińskich, występują bowiem żupnicy tutejsi; w XVI wieku złotodajną tę godność dzierżyła w swem ręku można rodzina krakowskich Bonarów, a szczęśliwą do pracy mieli rękę możni ci panowie, sama bowiem produkcyja ołowiu z kopalni Chęcińskich za rok 1531 wyniosła 4750 centnarów, co na owe czasy dało pokaźną sumę 76,000 złotych ówczesnych, czyli przeszło 300,000 dzisiejszych.

Wśród zamieszek krajowych i ciągłych wojen przemysł tutejszy zanikał, choć nie ulega wątpliwości, że owe dziewięć gór, wśród których tułają się ubogie dzisiejsze Chęciny, kryją nieprzebrane skarby mineralne.

Niektórzy uczeni powątpiewają o istnieniu tu malachitu i lazuru, a jednak okazy malachitów tutejszych są ozdobą wielu gabinetów mineralogicznych; Stanisław August tu szlifowanymi płytami malachitu ozdobił ściany swych sal, a według Rzączyńskiego starosta tutejszy Bidziński ofiarował papieżowi, Innocentemu XI stolik z lazuru, wydobytego z tutejszych kopalni.

Obecnie z tylu skarbów jedynie tylko marmurołomy są czynne. Wątpić należy, czy były one znane w odległej starożytności, gdyż brak nam o tem wzmianek, ale za Wazów dużo tu kopano marmuru ku ozdobie licznych kościołów i gmachów, wznoszonych przez nich. Schody, futryny okien i drzwi, ołtarze i inne części budowli, o ile z tych czasów się zachowały, są prawie zawsze tutejszych marmurów robione.

Za Sasów, z upadkiem całej gospodarki krajowej, i marmurołomy tutejsze zaniedbano. Dopiero Stanisław August, zwie-



Wydobywanie marmuru.

dziwszy to miasto i kopalnie, polecił zająć się ich rozwojem. Sprowadzono tedy Włochów: Dominika Schianta, majstra do dobywania, Leonarda Galli do wyrabiania i Edwarda Gigli do polerowania marmurów. Król kazał wyłożyć płytami jedną z sal zamkowych i stąd otrzymała ona nazwę marmurowej.

Wśród burzy, kończącej wiek XVIII i poczynającej wiek XIX, wszystko znów poszło w zapomnienie; dopiero minister Tadeusz hr. Mostowski, otworzył w r. 1817 kopalnie i fabrykę marmurów, projektując przy tem założenie szkoły rysunkowej i snycerskiej. Jednak kopalnie wielkich wymagały nakładów, a przynosiły małe zyski, połączono je przeto z więzieniem Chęcińskim i oddano w dzierżawę na lat 12 nadzorcy tegoż więzienia Wincentemu Sokołowskiemu, stawiając mu w kontrakcie warunki: aby zakład powiększał i kształcił krajowców, pragnących obznajmić się z obróbką marmurów. Wyrobiono wtedy w owej

fabryce różnych przedmiotów z marmuru za sumę 30,000 zł.

Sokołowski jednak warunków nie dotrzymywał, fabryka upadła i dlatego w r. 1833 zamknięto ją zupełnie.

Starostwo Chęcińskie było jedno z najbogatszych w kraju, stąd też była to wieczna kość niezgody między możnymi rodami korony; raz tylko w nagrodę prawdziwych i nieocenionych zasług było ono nadane temu co to:

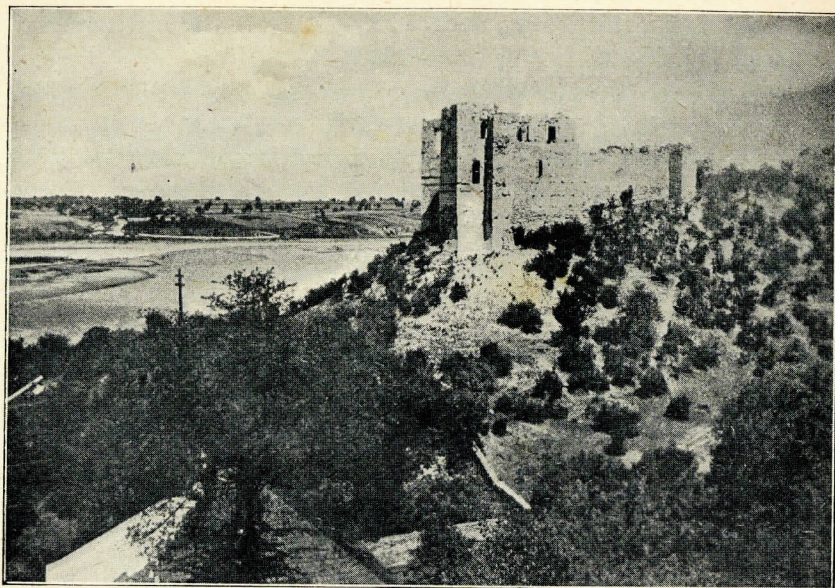
„Nie z soli, ani z roli,

Tylko z tego, co boli,

wyniósł się do szczytu sławy w Rzeczypospolitej: Stefanowi Czarnieckiemu. Ostatnim starostą był Bogumił Załuski i ten otrzymywał ze starostwa czystej intraty 17,764 złp.

III. WYŻYNA CZARNOMORSKA.

Na wschód od Wisły i Sanu mamy olbrzymią, chociaż nie nazbyt wysoką *Wyżynę Czarnomorską*. Dzieli się ona, podobnie jak i Małopolska, na kilka części: bezpośrednio do Wisły przytyka pagórkowata *Wyżyna Lubelska*, a za nią dalej na wschód, przedzielona od niej Bugiem, leży *Wyżyna Wołyńska*, z którą na południu zrasta się *Podolska*, znacznie od niej wyższa, posiadająca nawet miejscami łańcuchy górskie, niższe jednak od gór Świętokrzyskich; na wschodzie obie te wyżyny Wołyńska i Podolska przechodzą w płaski i równy *wyż Ukrainski*, stanowiący wschodni kraniec całego tego pasa.



Zamek w Kazimierzu.

1. WYŻYNA LUBELSKA.

POGLĄD OGÓLNY.

Po drugiej stronie Wisły od ujścia Sanu prawie do ujścia Wieprza wznosi się *wyżyna Lubelska*, stanowiąca zachodni kraniec wielkiej płyty Czarnomorskiej, która ciągnie się długim pasem aż hen do Dniepru i Czarnego morza.

Wyżyna Lubelska ma kształt wydłużonego czworoboku między Wisłą a górnym Bugiem. Jest to malownicza, pagórkowata kraina o wzniesieniu, nie o wiele co przekraczającym 200 metrów. Największej wysokości (przeszło 300 metrów) dosięga ona w południowej części, w okolicach Tomaszowa Lubelskiego. Tam też przechodzi w wąski pas wyżynny, oddzielający dorzecze Bugu od dorzecza Sanu i Dniestru, a zwany Roztoczem albo grzbietem Tomaszowsko-Lwowskim. Roztocze łączy wyżynę Lubelską z Podolską.

Ku północy wzniesienie wyżyny Lubelskiej maleje, i obniża się ona coraz bardziej tak, iż ostatecznie przechodzi nieznacznie w nizinę Podlaską. W tym też północnym kierunku środkiem wyżyny płynie *Wieprz*, główna jej rzeka, dolnym biegiem (poniżej ujścia Bystrzycy) należąca już do Podlasia.

Na bokach wyżyna Lubelska spuszcza się bardziej stromo ku ograniczającym ją rzekom: Wiśle na zachodzie i Bugowi na wschodzie. Szczególnie malowniczo i stromo opada krawędź jej ku Wiśle. Wznosi się tu ona ponad rzeką na kilkadziesiąt metrów, w jednych miejscach zbliżając się zupełnie do niej w innych w dość znacznej odległości tak, iż między rzeką a krawędzią pozostaje szeroki pas ziemi, nadzwyczaj urodzajny, bo użyźniany namulą rzeczonym w czasie wylewów. Pas ten przyniósł oddawna ludzi, którym żyzność ziemi wynagradza sowiec nieustanną groźbę powodzi. Tutaj na stokach wyżyny, zwróconych na zachód i wskutek tego zabezpieczonych od zimnych wschodnich wiatrów, rozwinęło się sadownictwo, zwłaszcza uprawa śliwek, z których szczególnie słyną okolice Kazimierza. Śliwki tutejsze spławiają galarami do Warszawy.

Brzegi Bugu są mniej malownicze, a i sama ta rzeka nie może się równać okazałością z Wisłą. Poza Bugiem ciągnie się wyżyna Wołyńska, stanowiąca bezpośrednie przedłużenie Lubelskiej na wschód.



Typ z Ziemi Lubelskiej.

Podkład wyżyny Lubelskiej stanowią skały wapienne i piaszczyste, pokryte żyzną gliną marglową, a we wschodniej części (w Hrubieszowskim) czarnoziemem. Warstwa gliny dochodzi miejscami do kilkunastu metrów grubości, jak o tem można

się przekonać w głębokich parowach i studniach. Glinka ta ulega łatwemu wypłókanui, to też rzeki, płynące po wyżynie, pożłobiły sobie na niej łożyska o łagodnie zaokrąglonych zboczach, robiąc z niej nadzwyczaj malowniczą, pagórkowato falistą krainę, jedną z najpiękniejszych u nas.

Uroku tej dzielnicy dodają lasy tak obfite, rozległe, wysokie a piękne, jak rzadko już gdzie. Rosną tu obficie zarówno drzewa iglaste, zwłaszcza wyniosłe sosny, jak i liściaste: potężne dęby, poważne lipy i buki znajdują się tu nie tylko w pomieszanui z innymi drzewami, ale i same tworzą wspaniałe dąbrowy lub okazałe lasy lipowe albo bukowe.

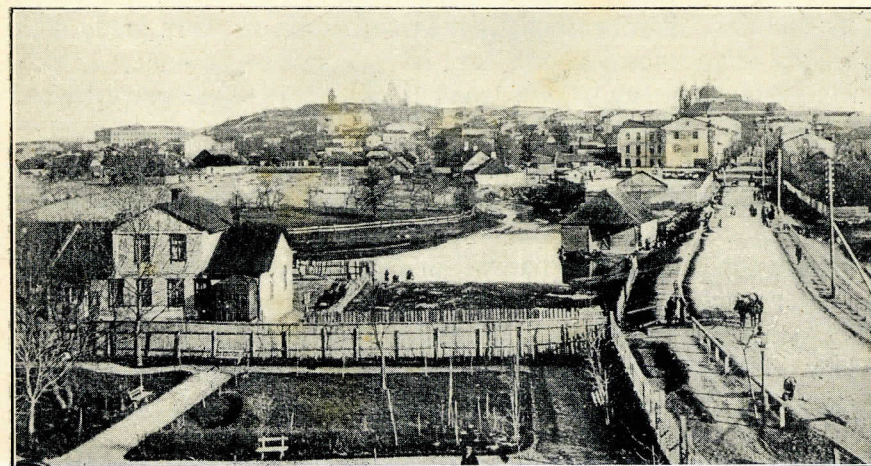
Lasy te nieprzetrzebione i niezniszczone jeszcze, jak w innych stronach, tworzą prawdziwe bogactwo i dobrodziejstwo krainy: zapewniają większą obfitość wody w rzekach, a zarazem umożliwiły tu rozwinięcie się przemysłu drzewnego. To też w wielu miejscowościach znajdujemy tutaj to tartaki, to fabryki posadzek, mebli giętych, bryczek, zapalek, to wyrób sit, przetaków, bednarstwo i t. p.

Bezleśny zupełnie jest jedynie wschodni kraniec wyżyny,



Typy z Pietrkowa (Lubelskie).

okolice Hrubieszowa, przytykające do Bugu. Ale ten brak lasów wynagradza stokrotnie żyzny tamtejszy czarnoziem: *Hrubieszowskie* przedstawia najbardziej na zachód wysuniętą placówkę wielkiej warstwy czarnoziemiu, pokrywającego przeważną część płyty czarnomorskiej i będącego przyczyną słynnej urodzajności Podola i Ukrainy. To też jest ono najżyzniejszą częścią wyżyny Lubelskiej, zbliżając się wielce pod względem ogólnego charakteru do Ukrainy.



Ogólny widok Chełma (Lubelskie).

Tak samo żyzna i bezleśna, posiada ona i niektóre inne cechy stepowe: zobaczyć tu można susły, wybitnie stepowe zwierzątka, starannie unikające okolic lesistych; nieraz zjawiają się tu dropie; częściej, niż nad Wisłą, nalatywała dawniej szarańcza.

Zresztą cała wyżyna Lubelska nie ma co tak bardzo zażywać urodzajności Hrubieszowskiemu: jej marglowata glinka należy również do żyznych gleb i z tego powodu cała ta dzielnica zalicza się do urodzajniejszych i bogatszych w Polsce. Obok pięknych łąnów pszenicy znajdujemy tu w wielu miejscowościach uprawę buraków cukrowych, które, jak wiadomo, udają się jedynie na lepszej glebie.

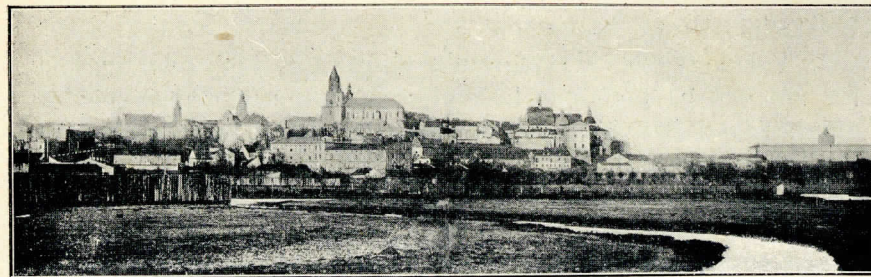
W bardziej podmokłych dolinach rzecznych rozwinęły się

bujne łąki, na których pasą się liczne stada bydła i koni. Słynie też Lubelskie z hodowli tych zwierząt i z jarmarków na nie, a środkowym punktem tych jarmarków jest miasteczko *Łęczna*, nad Wieprzem, na północny wschód od Lublina.

Kruszców i innych bogactw mineralnych wyżyna Lubelska nie kryje w swym łonie tak, jak Małopolska, nie jest jednak zupełnie pozbawiona minerałów pożytecznych: liczne łomy piaskowca dostarczają materiału na żarna i koła młyńskie, a także do wykładania szos; z gliny wyrabia się cegłę; z wapieni wypala się wapno; w niektórych miejscowościach używa się ich jako budulca. W okolicach Chełma występują pokłady kredy piśzącej: samo miasto *Chełm* leży na wzgórzu kredowym.

Zupełnem ubóstwem kamieni odznacza się stepowe Hrubieszowskie: z powodu ich braku niema tu nietylko szos, ale nawet i ulice w samym Hrubieszowie są niebrukowane, co tem bardziej daje się we znaki, iż czarnoziem po deszczu zamienia się w nadzwyczaj grzęzkie, ciężkie błoto, a w czasie dłuższej posuchy daje mnóstwo bardzo miękkiego pyłu, który napędza sobą powietrze i czyni je nadzwyczaj dusznem.

Ludność tej żyznej i bogatej krainy stanowią w części Polacy, w części zaś Rusini: pierwsi zamieszkują jej zachodnią stronę, drudzy zaś wschodnią; w środku znajdujemy ludność mieszaną. Słowem, przejściowa to dzielnica od ziem czysto polskich do ruskich.



Ogólny widok Lublina.

Z DZIEJÓW ZIEMI LUBELSKIEJ.

Wyżyna Lubelska zajęta została przez ludzi i zamieszкана znacznie później, niż ziemie z tej strony Wisły i z tamtej Bugu. Później też zaczęły się jej dzieje. Widać to w większej obfitości lasów, których nieopatrna gospodarka nie zdążyła jeszcze wytrzebić; widać i z bezpośrednich dowodów historycznych.

Jeszcze w wieku XII stanowiła ona prawie jednolitą puszcę leśną z niezbyt licznymi osadami Polaków nad Wisłą i jeszcze rzadszemi Rusinów za Bugiem. Środkowa część, tak dziś ludna i ożywiona dolina Wieprza, była wtedy zupełną pustką. Istniał już wprawdzie wówczas Lublin, ale otoczony był wokoło nieprzebytymi lasami. Dopiero w wieku XIII Lubelskie zaczęło się zaludniać prędkiej i gęściej.

Oddawna już jednak stanowiło ono szlak, którym następowała wymiana stosunków między Wisłą a Dnieprem, Polską i Rusią, Krakowem i Kijowem. Droga przez wyżynę Lubelską i Wołyń dogodniejsza była od szlaku przez Podole, nie przedstawiała bowiem tylu i tak głębokich jarów poprzecznych, jak tamta. Tędy też biegł starożytny szlak handlowy, tędy szły wyprawy wojenne: już Bolesław Chrobry, dążąc na Kijów, pod Zawichostem przeprowadzał swe hufce przez Wisłę, a potem przez Bug dostawał się do ziem ruskich.

I szlak ten po wsze czasy zachował swoje znaczenie, nie tracąc go nawet i wtedy, gdy ożywiły się stosunki przez Podole. A jako skutek ożywionego ruchu zaczynały powstawać i rozwijać się na tym szlaku osady ludzkie, wśród których na pierwsze

miejsce wysunął się *Lublin*, jedno z ważniejszych miast polskich.

Położony na skrzyżowaniu dróg z zachodu na wschód i z północy na południe, Lublin stał się pośrednikiem między Gdańskiem i Bałtykiem a Dnieprem i morzem Czarnym z jednej



Brama trynitaraska w Lublinie.

strony, między Litwą a Lwowem i Węgrami z drugiej i dzięki temu wybił się na przodujące miejsce w tej dzielnicy, zrobił się środkowym punktem nie tylko dla swojej ziemi, ale i dla okolicznych: Wołynia i Rusi Czerwonej, urósł w bogactwa i znaczenie.

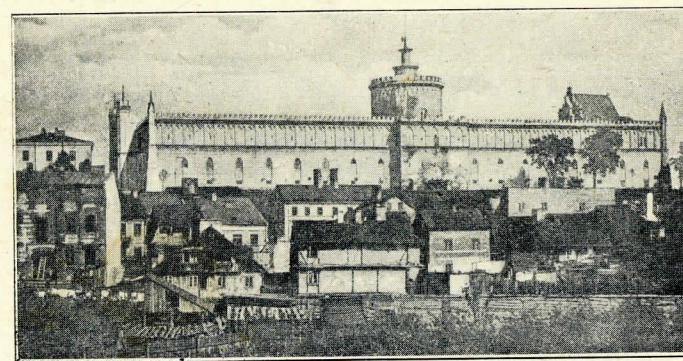
Miało to i swoje czarne strony: zamożność i położenie na szlaku ściągało nań niejednokrotnie wrogów i najeźdźców; napadali nań i starali się nim zawładnąć Rusini, palili go i łupieżyli w różnych czasach Tatarzy, Litwa i Jadźwingowie, nie omijali go później Szwedzi.

Ale po każdym najściu Lublin podnosił się i zakwitał na nowo, zyskiwał nawet na znaczeniu i rozroście.

Podanie głosi, że miasto to istniało już w X wieku i dzisiejszy kościół świętego Mikołaja pochodzić ma z czasów Mieszka I, tylko że kilkakrotne restauracje zatarły w nim wszelkie ślady starożytności. Zamek obronny miał również istnieć od niepamiętnych czasów. Ale prawdziwy rozwój miasta zaczął się

dopiero od Kazimierza Wielkiego, który je odbudował po najeździe Tatarów, a zarazem odnowił i wzmocnił jego Zamek.

Pamięta Lublin świetne i uroczyste chwile: tu Spytek z Mielsztyna witał Jagiełłę, dążącego do Polski; tu zatrzymywali się Jadwiga i Jagiełło w czasie podróży na Litwę; tu za Zygmunta Augusta (w r. 1569) podpisano i zaprzysiężono doniosły akt Unii między Polską i Litwą; tu od Stefana Batorego odbywały się najwyższe sądy czyli trybunał koronny dla ziem, należących do Małopolski. Pamiątki dawnej przeszłości w postaci



Zamek w Lublinie.

pięknych kościołów, kilku starożytnych bram i zamku, obróconego na więzienie, przechowały się do dziś dnia.

I w innych miejscowościach tej krainy pozostały liczne ślady i pamiątki szlaku jej charakteru i położenia pomiędzy dwu, a właściwie trzema narodami, bo i Litewska ziemia nie zbyt odległa była od tej dzielnicy.

Graniczna rzeka od ziem ruskich, Bug omywa dwie głośnie, chociaż nieznaczne miejscowości: *Horodło*, pamiętne bratnim zjazdem za Jagiełły, i *Dubienkę*, wslawioną mężną obroną Kościuszki, który ze swym oddziałem osłaniał tyły wojsk polskich, cofających się przed rosyjską armią ku Wiśle (w r. 1792).

Toż samo szlakowe położenie, sprzyjające rozwojowi handlu, w związku z przyrodzonym bogactwem i żyznością tej krainy przyczyniło się do świetnego jej rozwoju. Takim wspom-

nieniem ożywionego handlu jest *Kazimierz* nad Wisłą w miejscu, gdzie dochodzi do niej szlak z Rusi.

W bogatych i ruchliwych, a ożywionych dzielnicach, takich, jak wyżyna Lubelska obok dobrobytu rozwija się też życie towarzyskie i oświata. Kwitły też tu one oddawna, a życie towarzyskie przybierało nieraz oryginalne formy.

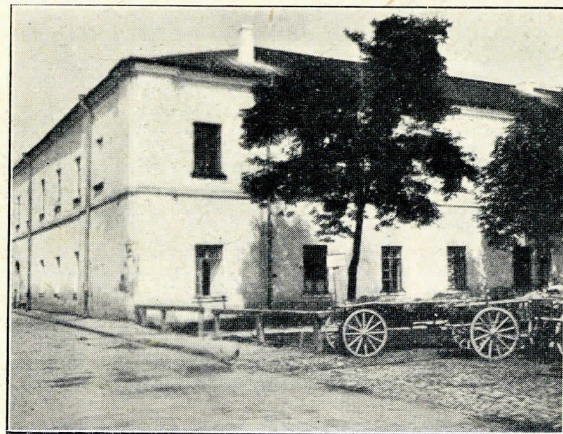
Tu we wsi *Babinie* o parę mil od Lublina powstała w wieku XVI słynna „rzeczpospolita Babińska“, wesołe stowarzyszenie, założone przez dwu sędziów lubelskich: Stanisława Pszonkę, właściciela Babina, i Piotra Kaszowskiego, jego sąsiada. Miało ono podkład satyryczno-obyczajowy, karciało bowiem rozmaite wady w ten sposób, że członkom swoim nadawało tytuły i godności wręcz przeciwne do ich uzdolnień: jakąś zostawał mówcą, tchórz—hetmanem, celujący w kłamstwach myśliwskich—łowczym i t. p. Rzeczpospolita babińska istniała dwieście lat, wsławiła się wesołością i dowcipem, nie dochowała jednak do końca swojego obyczajowego charakteru, stawszy się z czasem stowarzyszeniem ludzi, uganiających się jedynie za wesołym spędzeniem czasu na ucztach i pijatyce, nie dbających natomiast wcale o poprawę obyczajów i umoralnienie społeczeństwa.

Na większe podkreślenie, niż rzeczpospolita Babińska, zasługują czysto oświatowe instytucje ziemi Lubelskiej, których również nie brakło w tej bogatej dzielnicy: tu przy końcu wieku XVI głośny kanclerz Jan Zamojski założył Akademię w *Zamościu*, która nie zyskała wprawdzie takiej sławy, jak Krakowska, przetrwała jednak do czasów rozbiorowych i liczyła w gronie swych profesorów kilku głośniejszych ludzi, między innymi poetów Szymonowicza i Kłonowicza. Jan Zamojski tak dalece interesował się Akademią, że osobiście czytał i poprawiał zeszyty uczniów, a nie mając czasu zrobić tego w domu, zabierał je nieraz ze sobą na wyprawy wojenne i przeglądał tam w wolnych chwilach. W bibliotece Ordynacji zamojskiej znajduje się między innymi papierami plika takich zeszytów studenckich poprawianych przez kanclerza w czasie wojny.

Samo miasto Zamość nie przetrwało o wiele Akademii i upadło również. Przyczyniły się do tego zwłaszcza wojny, które tem silniej odbijały się na Zamościu, iż był on twierdzą. Wskutek tego bardziej był wystawiony na zniszczenie i ciężary wojny. Przechodził więc niejednokrotnie oblężenia i różnych

widował wrogów. W zeszłym wieku zasłynął z mężnej obrony w czasie walki o niepodległość w r. 1831: był to punkt, na którym najdłużej utrzymały się wojska polskie. W gronie ówczesnych obrońców Zamościa znajdował się poeta Maurycy Gosławski, jeden z piewców tej walki mężnej obrony twierdzy Zamojskiej.

W ostatnich czasach (w końcu XVIII i początku XIX wieku) głośną sławę ogniska cywilizacyjnego zyskały *Puławy*, położone nad Wisłą o 2 mile od Kazimierza, a będące wów-



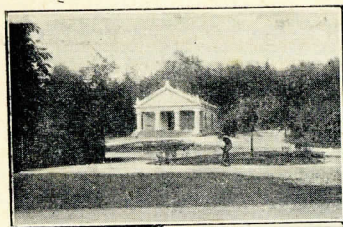
Gmach akademii Zamojskiej.

czas rezydencją magnackiej rodziny Czartoryskich, która wywodziła ród swój od Jagiellonów a w dziejach naszych znana była pod nazwą „Familii“.

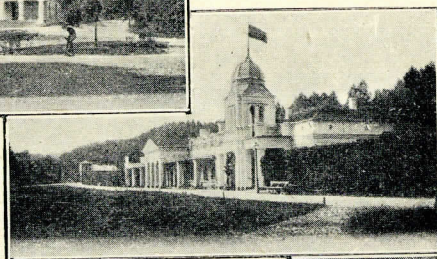
Właściwie rezydencją swoją zrobił Puławy dopiero książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich w końcu wieku XVIII. Założył on tu iście królewski dwór, na którym gromadził artystów, poetów i uczonych, współzawodnicząc godnie z Warszawą w ruchu cywilizacyjnym.

Ale kwitnące czasy Puław nie trwały długo: rok 1831 położył kres ich świetności. Najpierw zbombardował rezydencję książąt rodzony ich wnuk książę Wirtemberski, dowódca wojsk rosyjskich; następnie dobra zostały rozsprzedane, zbiory wywie-

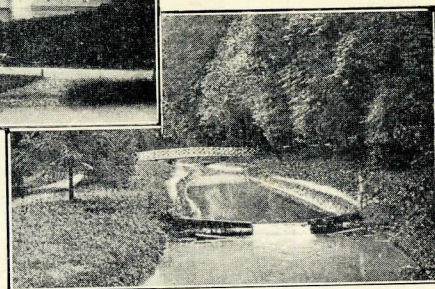
zione zagranicę, a park i pałac podupadły. W budynkach pałacowych mieści się obecnie Instytut agronomiczny, a w parku oglądać można jeszcze i dzisiaj niektóre szczątki dawnej świetności: świątynię Sybilli, wiekowe drzewa i kilka innych pamiątek, smutne resztki tej piękności i prześlicznego urządzenia Puław, które natchnęły Niemcewicza do napisania o nich:



Domek grecki.



Łazienki.



Wodospad w Parku.

NAŁĘCZÓW.

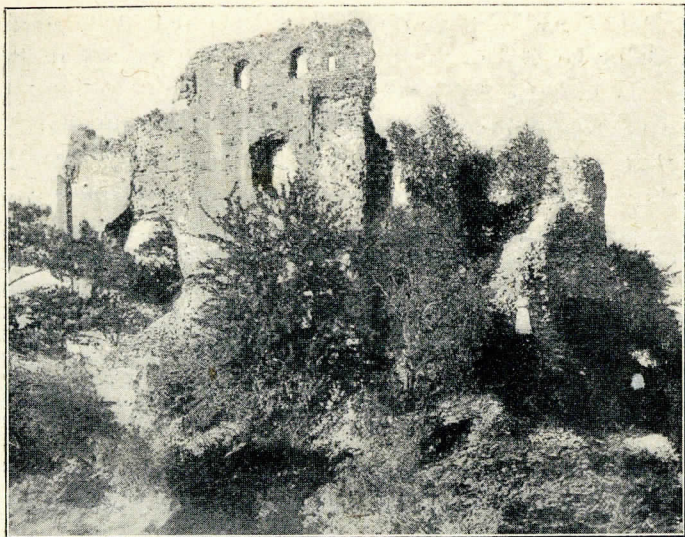
Trzebaby piórko z skrzydełek motyli
W bławatach tęczy umoczyć,
By, gdzie się sztuka z przyrodzeniem sili,
To wiernie skreślić i w niczem nie zboczyć.

W ostatnich latach w okolicy Puław rozwinęło się nowe ognisko cywilizacyjne o nieco odmiennym charakterze, tem nie mniej jednak doniosłego znaczenia i tem trwalszego zapewne, że założone zostało nie przez jedną magnacką rodzinę, ale wspólnymi siłami ludzi dobrej woli i gorącej chęci służenia ojczyźnie.

Mamy tu na myśli kąpielową miejscowość *Nałęczów*. Miejscowość ta znana już była przed stu laty, tu między innymi le-

czył się wówczas Adam książę Czartoryski. Właściwy jednak rozwój Nałęczowa nastąpił dopiero w ostatnich dwudziestu latach ubiegłego wieku. W tych to czasach zaczęli tu liczniej zjeżdżać na kurację lub letnie wywczasy różni wybitni ludzie naszego społeczeństwa. Stałym gościem bywał tu Jan Karłowicz; stale odwiedzają Nałęczów: Bolesław Prus, Daniłowski, Żeromski, dorywco Siemkiewicz, Paderewski i wielu innych.

Takie zjeżdżanie tu corok głośniejszych, wybitniejszych naszych ludzi wysunęło Nałęczów na pierwszy plan wśród naszych zdrojowisk, a zarazem wpłynęło nadzwyczaj dodatnio nie tylko na rozwój samego zakładu kąpielowego, ale i na podniesienie oświaty w jego okolicy. W ostatnich latach w Nałęczowie powstał cały szereg różnych instytucji kulturalnych, mających na celu oświatę i dobrobyt ludu: szkoła początkowa, ochronka, dom ludowy, muzeum etnograficzne, towarzystwo drobnego kredytu, kąpiele ludowe imienia Prusa, szkoła koszykarska, a w najbliższej przyszłości i niższa rolnicza—są to wszystko dorobki, którymi Nałęczów zupełnie zasłużenie może się szczycić i dla których można by mu nadać miano nowych „Puław” ludowych.



Zamek Esterki w Bochothnicy (pod Kazimierzem).

KAZIMIERZ

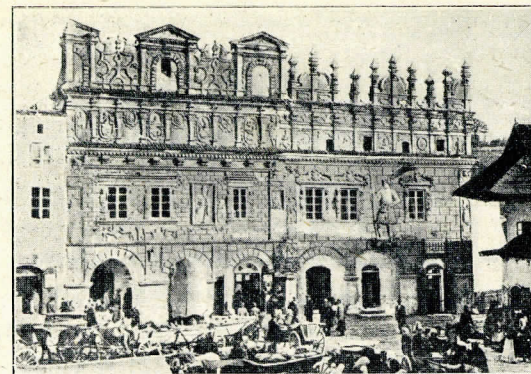
(z Al. Janowskiego „Wycieczki po kraju”).

Zawiązką tego dziś zubożałego miasteczka miała być osada, zwana Wietrzna Góra, należąca do wsi Skowieszyn. Już w 1008 r. nadał ją Chrobry Benedyktynom z Łysej Góry, później zaś drogą zamiany przeszła ona do Norbertanek na Zwierzyńcu. Kazimierz Wielki, upatrując w wiosce tej wyborny punkt na port handlowy, odkupił od zakonnic wioskę, zamienił ją na miasto i od swego imienia nazwał Kazimierzem; dodano mu potem przydomek „dolny“. Wielki król chłopków, jak pisze Bielski, który „i sam był dobry budownik i rad widział, gdy kto co zbudował“, wzniósł nad miastem na szczycie wzgórza zamczysko obronne, a dalej pojedynczą strażnicę wysoką, która i za latarnię dla płynących po Wiśle statków pono służyć miała.

Mądre były plany króla budownika. Chciał on do jednego punktu ściągnąć płody swej żyznej ziemi, by stąd naturalnym jej gościńcem—Wisłą, spławić je aż na siwe fale Bałtyku.

Szła więc do nowego portu złota pszenica sandomierska, szły zboża całej Małopolski, a i od Rusi bogatej ciągnęły tabory, wschodnim towarem ładowne.

Umiął wielki budownik artystycznie połączyć piękność położenia z ważnością handlową, a ukochane jego dzieło rozwijało się pomyślnie. Miasto rosło w dostatki, rozłożyło się bogato na parowiorstowej przestrzeni i jak dwie ręce wyciągnęło nad Wisłą dwa długie przedmieścia: Krakowskie w górę, a Gdańskie w dół rzeki. Na przedmieściach pobudowano owe do dziś zdumiewające wielkością i smakiem słynne śpichlerze, gdzie skrzęt-



Ratusz w Kazimierzu.

na czeladź zsypywała złote strumienie pełnego ziarna, a po rynku i najwspanialszych ulicach—Zamkowej i Senatorskiej przechadzali się bogaci mieszczenie, radząc o sprawach handlowych.

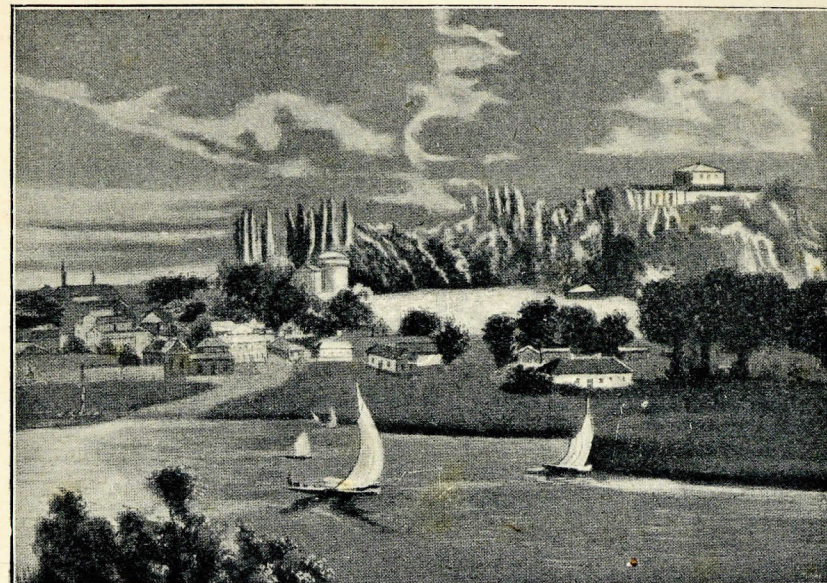
Różne języki brzmiały między murami tego „małego Gdańska“: Holendrzy, Niemcy, Anglicy, mają tu swoje faktorie, wre życie całą pełnią, a gdy jakie niesnaski między mieszkańcami zajądą, nie starosta, ani kasztelan, lecz sam król sprawiedliwość wymierza.

Wziąwszy po Piastach koronę, prowadzili Jagiellonowie dalej niektóre plany ostatniego potomka odwiecznej dynastii. Sam Jagiełło, jego synowie, wnuki i prawnuki ponawiają przywileje mieszczan Kazimierskich, a miasto rozwija się i dochodzi do najpełniejszego rozkwitu za dwóch pierwszych Wazów.

Zabójcze wojny szwedzkie i upadek materyalny kraju podkopały pomyślność miasta. Zniszczone po dwakroć przez nieprzyjaciela, dotknięte morową zarazą, upada ono coraz bardziej. Przywilej Sobieskiego, pozwalający się tu osiedlać Grekom, Ormianom i Żydom, wprowadził trochę zamożniejszych żywołów, lecz odtąd ludność żydowska wypycha stale chrześcijańską i stają się oni zupełnymi panami miasta. Wszystko sprzysięgło się na zgubę Kazimierzowej myśli: nawet Wisła oddała się od miasta, szeroką ławą piaszczystą oddziela się odeń, a statek nie pod pływa już po ładunek ku opuszczonym śpichrzom.

Sejm czteroletni wstawia do budżetu sumę na reparację portu. Po uciszeniu się zawieruchy krajowej, jeszcze parę promieni jasných błysnęło nad miastem; jeszcze napełniły się śpichrze, jeszcze ładunek zepchnięto na grzbiet kapryśnej rzeki, lecz były to blade błyski zachodzącej zorzy. Nowe nastały warunki ekonomiczne. W roku 1876 zbudowano niedaleko drogę żelazną i ta zabrała staremu grodowi resztę jego klienteli.

Sowy zajęły śpichrze, od portu odbijają tylko galary z owocami, zamek już w ruinie zupełnej, stare domy patrycyatu miejskiego dążą do niej, rody mieszczańskie wyginęły, a miasteczkiem zawładnął biedny, nędzny proletaryat żydowski, który wlecząc z dnia na dzień swą marną wegetację, oczekując biernie lepszej doli, lecz obawia się nawet palcem kiwnąć, aby ją przywołać. Będzie, co Bóg da — oto wschodnio-filozoficzne hasło ludności Kazimierskiej.



Puławy.

P U Ł A W Y

(z Al. Janowskiego „Wycieczek po kraju”).

Książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, z małżonką swą, tyle głośną w kraju księżną Izabellą Elżbietą z Flemmingów, wybrali Puławy na główną swą rezydencję i tu założyli ognisko, współzawodniczące z Warszawą w ruchu artystycznym, naukowym i dyplomatycznym.

Dwór ks. generała ziem podolskich w Puławach urządzony był na zupełnie monarchiczną stopę. Ks. Zofja z Czartoryskich Zamoyska, najmłodsza córka księcia generała, w pamiętniku swym pisze o Puławach: „Dom nasz był przepełniony przyjaciółmi, rezydentami, oficyalistami, dworzanami i wszelkiego rodzaju metrami. Było mnóstwo młodzieży szlacheckiej, którą rodzice powierzali memu ojcu dla dokończenia edukacji w jego domu i aby na jego dworze szukali losu; mnóstwo panien do towarzystwa, wielka orkiestra, trzech czy czterech lekarzy, tłum

slug, oraz tłum różnych nieszczęśliwych, chorych, zrujnowanych, dla których dom mego ojca służył za schronienie. Codziennie zastawiano pięć do sześciu stołów, każdy na 40 do 50 nakryć“.

Wspaniały pałac, powiększony znacznie z dawnego zamku Sieniawskich, przepyszny park, rozrzucony na wzgórzu nad Wisłą, mnogie oficyny dla ciągle tu przybywających gości, oranżerye, figarnie, liczne budynki gospodarskie, kuchnie, stajnie, wozownie, obszerna w pałacu biblioteka, liczne zbiory dzieł sztuki, zabytków historycznych, zamorskich osobliwości, wszystko to stanowiło ponętę życia w Puławach. Ks. Izabella, obdarzona prawdziwie artystycznym smakiem, po zniszczeniu przez wojnę ulubionej rezydencji pod Warszawą — Powązek, gromadziła w Puławach, co tylko udało się jej dostać ciekawego. Osobisty skład dworu był liczny i dobrany. Nawet może przewyższał pod niektórymi względami dwór warszawski. Do dworu ks. generała należą poeci: Kniaźnin, Karpiński, Woronicz, komedyopisarz Zabłocki, filolog Grodeck, zasłużony członek Komisji edukacyjnej Piramowicz; biblioteką zarządza Łukasz Gołębiowski, później Karol Sienkiewicz; Niemcewicz tu pisze Pamiętniki, Śpiewy historyczne, kreśli plan Jana z Tęczyna.

Według przykładu starych rodów z XVI-go stulecia oboje księstwo garną do siebie młodzież, która uczy się razem z dziećmi państwa; są tam w owej szkole i Radziwiłł, i Sapieha, i Sieheń i liczna gromada szlacheckich synów. Księżna utrzymuje pensjonat dla panien. Zakładem kieruje pani Bernatowiczowa, matka autora Pojaty. W pensyonacie pobiera nauki Klementyna Tańska.

Ks. Izabella w r. 1800 wzniosła w parku Puławskim świątynię pamięci, gdzie skrzętnie gromadziła mnogie pamiątki historyczne. Była to owa głośna Świątynia Sybilli.

Plan na ten budynek, według wzoru świątyni w Tivoli, podał nadworny budowniczy Piotr Aigner. W świątyni Sybilli pomieściła księżna generałowa wszystkie pamiątki, jakie zdołała zebrać w kraju, a czego tam nie było! Krótki, lecz dużo mówiący napis: „Przeszłość—przyszłości“ widniał nade drzwiami.

Skrzętnie zebrane tu pamiątki stanowiły rzeczywiście pierwszy zbiór archeologiczny polski *). Na górnem piętrze w okrąg-

*) Z czasem, przeniesione do Krakowa, stały się zaczątkiem słynnego i bogatego Muzeum ks. Czartoryskich.

łej sali, oświeconej z góry jedną taflą wypukłą (dar cesarza Aleksandra I), przechowywały się miecze i tarcze, pastorały i laski marszałkowskie, buławy, buzdygany, buńczuki i sztandary, pamiątki po księciu Witoldzie, Jagielle, po Koperniku, Kochanowskim, po Żółkiewskim, Wiśniowieckim, Kordeckim.

Świątynia była podzielona na dwa piętra. Na dole stał pomnik ku pamięci ks. Józefa Poniatowskiego.

Licznie napływające pamiątki już nie mogły pomieścić się w świątyni. Nieopodal więc wzniesiono tak zwany „Domek gotycki“.

Całe ścianki domku pokryto odłamkami ze starych budowli i pomników. Były tu kamienie z zamku w Łobzowie, i tablica bronzowa z grobu królewicza Karola Ferdynanda, i słupki z grobowca Kazimierza Wielkiego, i głowice kolumn z sal Wawelu, i futryny okiennic z domu Wierzyńska, i cegły z komnat Barbary Radziwiłłówny i wiele, wiele innych pamiątek. Tylną ścianę zajmowały pamiątki obce. W salach gotyckiego domku mieściła się bogata galerya obrazów i portretów. Herby wybitnych rodzin polskich zdobiły ściany i pułapy. Zbrojownia mieściła w sobie ciekawe okazy, sięgające epoki krucyat.

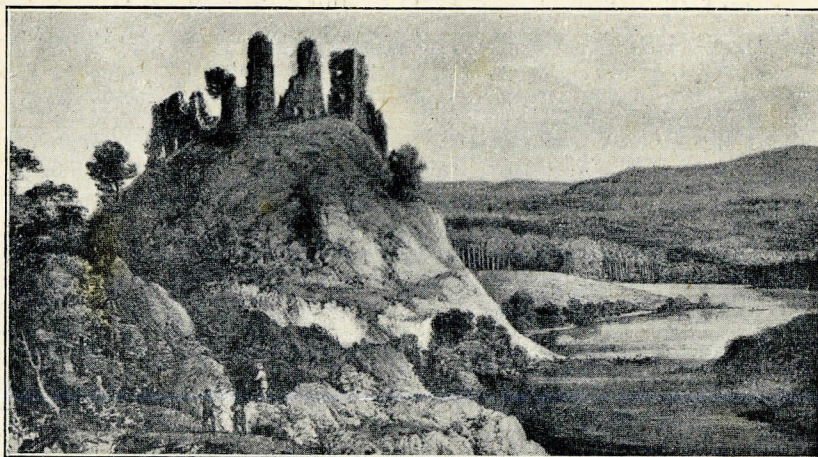
Pamiątki te tak były wielostronne, że zdumiewają wprost i co prawda, wzbudzają powątpiewanie o swej autentyczności; ale słusznie powiedział historyk Puław: „Wartość naukowa artystycznych zbiorów mierzy się zwykle praktycznymi ich rezultatami, o ile oddziaływały na stopień cywilizacyjny społeczeństwa“. A oddziaływanie to było bardzo znaczne, nawiązywało bowiem z każdej pamiątki nić z osobą pamiętną, a każda z nich to cegiełka w gmachu ogólnie ludzkiej kultury.

Wpływ ten Puławy wywierały i przez ruch literacki. Wspomniani już pisarze i poeci pracami swymi budzili uśpiony duch szlachty XVIII stulecia; teatr dworski dawał Matkę Spartanę lub tendencyjne komedye samego księcia generała, a i księżna sama brała za pióro, owocem zaś tej pracy był tyle popularny u nas „Pielgrzym z Dobromila“. Mój Boże! z jakim to zapałem pochłanialiśmy to pierwsze dzieło popularnej historii kraju!

W ślady matki szła i jej córka, ks. Marya Wirtemberska, która przez swą powieść p. t. „Malwina“, torowała drogę powieści polskiej.

Czartoryscy należeli do tej grupy magnatów, która żywo

interesowała się dolą ludu w swych dobrach. Książdz Jezierski pisał raz: „gdybym się chłopem polskim miał urodzić, chciałbym być chłopem ks. generała ziem podolskich“. Troszczy się bowiem książę o dobrobyt swych włościan. Na wielkim sejmie żąda dla nich bytu i światła, sam pisze ustawy kas pożyczkowych dla włościan, dostarcza im łatwego kredytu. Księżna zakłada szkoły, nic też dziwnego, że ludność dóbr Puławskich była zamożniejszą i bardziej oświeconą od swych współbraci z innych okolic kraju.



Hubków. — Ruiny zamku nad rzeką Słuczą na ostatnich kresach zagonów tatarskich.

2. WYŻYNA WOŁYŃSKA.

POGLĄD OGÓLNY.

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie, czarne drogi,
Tam przed tobą Wołyń legnie,
I zapomnisz kraj ubogi *).

*) Pol opisuje tu przybycie na Wołyń od strony Polesia i dla tego mówi o kraju ubogim.

Tam już dostać wody zdrowej,
Tam krynice i dąbrowy,
I brzozowe, czyste gaje,
I pług czarną ziemię kraje.

Zwolna wznoszą się kopanie *),
Rzeki śmielsze nurty wiodą,
I tam kędy łąn nadstanie
Ciągną stawy srebrną wodą.
Czajki wrzeszczą nad błotami,
Bocian stoi nad żabieńcem,
A rybitwy krążą wieńcem
Ponad groblą i wodami...

(W. Pol).

Na wschód od Lubelskiej rozpościera się *wyżyna Wołyńska*, przedzielona od niej doliną Bugu. Stanowi ona drugą część obszernego płaskowyżu czarnomorskiego i ciągnie się z zachodu na wschód między wyniosłem Podolem na południu a zapadłem, nizinem i podmokłym Polesiem na północy. Na południowym wschodzie przechodzi w otwartą stepową Ukrainę. Pod względem politycznym obejmuje mniej więcej dzisiejszą gubernię Wołyńską oraz północnowschodni kąt Galicji nad górnym Bugiem.

Przejście do Polesia jest stopniowe i nieznaczne: wzniesienie wyżyny maleje powoli, ale stale w miarę posuwania się ku północy i północnemu wschodowi, i ostatecznie Wołyń przechodzi tak niepostrzeżenie w zapadłe Polesie, że istnieje cały płat ziemi między obu temi dzielnicami, noszący nazwę *Polesia Wołyńskiego*, ponieważ łączy w sobie cechy ich obu. Przejście do Ukrainy polega nie tyle na zmianie wzniesienia, różnica wysokości jest tu bowiem mniej znaczna, ile na znikaniu lasów. I to przejście następuje również stopniowo.

Najwyraźniej odcina się Wołyń od Podola. Średnie wzniesienie jego wynosi koło 220 metrów, gdy wyżyna Podolska wznosi się tu średnio na 430 metrów, miejscami zaś dosięga

*) Kopań — wierzchołek wzgórza.

nawet 475; góruje zatem nad Wołyniem na 200 metrów przeszło, a że krawędź jego spada tu prawie stromą ścianą, granica więc jest bardzo wyraźna, i Wołyń leży jakby u stóp gór, tylko że właściwie nie są to góry, lecz wzniesiona płaska wyżyna.

Zresztą nie na całej rozciągłości północna krawędź Podola spada tak samo stromo i odcina się tak ostro od Wołynia. Najwyraźniejsza jest granica tych dzielnic na zachodzie, mniej więcej od Lwowa do rzeki Ikwy (dopływ Styru). Wyniosła krawędź wyżyny Podolskiej nosi tu nazwę *Gołogór* (między Lwowem a Żłoczowem), a później *Woroniaków* (za Żłoczowem). Dalej (za rzeką Ikwą) wyżyna tworzy zakręt ku południowi, ale krawędź jej przedłuża się w tym miejscu w kierunku północno-wschodnim w stronę Krzemieńca w tak zwany *grzbiet Krzemieniecki*, sterczący jako prawdziwy, chociaż nie długi łańcuch górski, nad niżej położonymi dolinami: Ikwy na północy i Horynia na południu.

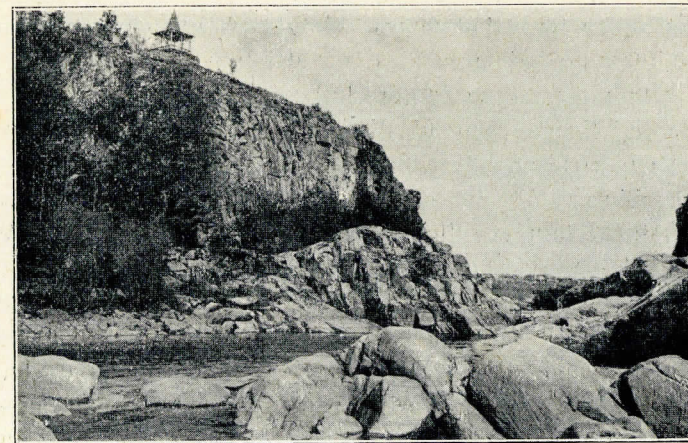
Dalej na wschód za grzbietem Krzemienieckim krawędź północna nie odcina się już tak wyraźnie, jak Gołogóry i Woroniaki. Zostaje to w związku z układem wód, rzeki bowiem, wypływające stąd nie dążą wprost na północ, jak rzeki, biorące początek na zachodniej krawędzi, lecz płyną na wschód, żłobiąc podłużnie wyżynę i niszcząc w ten sposób jednolity charakter jej krawędzi, który tak wyraźnie występuje w zachodniej części. Wskutek tego i granica między Podolem a Wołyniem zaciera się tutaj i przestaje być tak wyraźna: obie dzielnice przechodzą tu bardziej nieznacznie jedna w drugą.

Ten wschodni kierunek rzek dotyczy zresztą przeważnie tylko górnego ich biegu. Ostatecznie bowiem wszystkie prawie rzeki Wołynia dążą ku północy, ponieważ cała wyżyna pochyla się właśnie w tym kierunku.

To dążenie rzek ku północy sprawia, iż cały Wołyń z wyjątkiem zachodniego krańca należy do dorzecza Prypeci, a przez nią do Dniepru. Jeden tylko Bug, zbierający wody z zachodniego krańca wyżyny, płynie do Wisły i Bałtyku.

Pod względem ogólnego charakteru Wołyń przedstawia niezbyt wyniosłą, dość płaską wyżynę, porzniętą w poprzek rzeczniemi dolinami: *Bugu* (na granicy zachodniej), *Styru z Ikwą*, *Horynia ze Słuczą*, *Teterowa* (na wschodnim krańcu). Wszystkie te doliny są głębokie, ale i szerokie zarazem, tak że krawę-

dzie wyżyny oddalone są od rzek, a dno dolin przeważnie mniej lub więcej silnie zabagnione. Między temi głównemi dolinami ciągną się płaskie, wyżej wzniesione obszary, niby długie grzędy, porznięte również, ale już mniej szeroko i mniej głęboko dopływami tych głównych rzek. Wskutek tego grzędy te przybierają miejscami charakter falisty, a nawet pagórkowaty, jak



Brzegi Teterowa. — Skała Czackiego.

np. na tak zwanem *Opolu Wołyńskim*, stanowiącem przejście od części Wołynia do Polesia.

Gór właściwie nie spotykamy tu nigdzie, z wyjątkiem wyżej wspomnianego *grzbietu Krzemienieckiego*. Dochodzi on do 450 metrów wysokości w najwyższym swym szczycie, *górze królowej Bony*, wznoszącej się nad Krzemieńcem; rozgranicza zaś niską, zapadłą, moczarową nizinę Ikwy od nieco wyższej doliny Horynia. Ciągnie się jednak niezbyt długo i na północny wschód poza Krzemieńcem kończy się, rozplaszczając się w szerokie *płaskowzgórze Równieńskie*, dochodzące 300 metrów wzniesienia i zajmujące cały obszar między Ikwą a Horyniem, aż do miejsca, gdzie wkraczają one w obręb Polesia.

Grzbiet Krzemieniecki góruje szczególnie wyraźnie nad niziną Ikwiańską, ku której spada stromo i od tej też strony (pół-

nocnej) najlepiej rzuca się w oczy. Jadąc koleją żelazną z Galicyi od Brodów ku Dubnu i Równemu widać doskonale po prawej stronie cały grzbiet: najpierw wyniosłe, o rozpłaszczonym wierzchołku wzgórze Poczajowskie ze słynnym klasztorem, a później szereg innych wyniosłości.

Klimat wyżyny Wołyńskiej posiada cechy przejściowe między umiarkowanie wilgotnym klimatem ziem w dorzeczu Wisły, a suchym dzielnic stepowych. Wołyń obfituje wprawdzie w rzeki i rzeczki, a nawet błota w podmokłych nizinach, ilość deszczów jednak posiada mniejszą, niż dzielnice na zachodzie. Woda więc tam jest rzeczą cenną i ludzie, chcąc sobie zabezpieczyć większą jej ilość, pourządzali tutaj liczne stawy na rzekach i rzeczках, rozszerzając sztucznie ich łóżyska i zatrzymując bieg wody groblami. Stawy są rzeczą szczególnie charakterystyczną dla Ukrainy i tam znajdują się jeszcze obficie; ale i na Wołyniu jest ich sporo, zwłaszcza we wschodniej jego części.

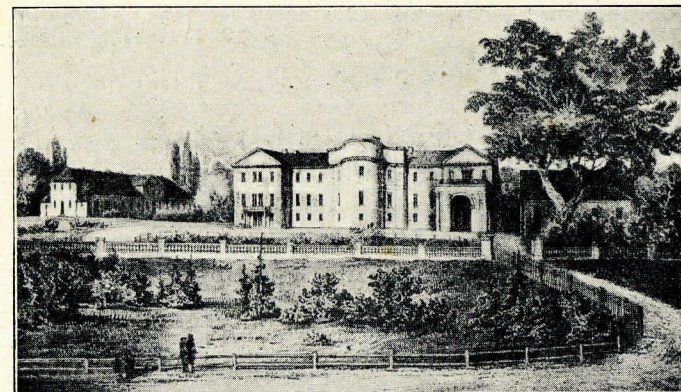
Założone jeszcze przed wiekami przez ludzi, stawy te porosły po brzegach trziną oraz innemi roślinami szuwarowemi i przybrały niejako charakter naturalnych zbiorników wody, służących nietylko dla potrzeb ludzi oraz ich zwierząt domowych, ale także i dla różnych stworzeń dzikich, które znajdują tu nie raz doskonałe warunki do życia.

Dotyczy to przedewszystkiem ptactwa błotnego i trzciniego, które w wędrówkach swoich zapada na te stawy lub gnieździ się na ich brzegach zupełnie tak samo, jak nad jeziorami i naturalnemi błotami. Ale i człowiek znów korzysta z tego; stawy Wołyńskie to wymarzony kraj dla myśliwych, jak o tem powiada Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi naszej“:

Jeśliś, bracie, jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy:
Boś nie słyszał takiej wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.
Podsuń czołnem pod szuwary,
Bo pocieszne ptasze rody:
Tam to sejmy, tam to gwary,
I zaloty i biesiady!
Słyszac krzyki i gwar dziki,
Patrzac na te ptasze zwady,

Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptaszej wrzawie,
Iż przypomni człek o świecie...
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne to bestyje!

Gleba Wołynia odznacza się żyznością, prawie wszędzie bowiem należy do czarnoziemnych i rodzi bardzo dobrze nawet



Sławuta. — Starożytna rezydencja ks. Sanguszków.

pszenicę i buraki. Nieurodzajne są jedynie części północne, sąsiadujące z Polesiem.

Niema tu atoli nigdzie ogromnych jednolitych polnych łąnów, jak w położonej dalej na wschód Ukrainie. Wołyń zato posiada jeszcze dość lasów, jest więc podobnie, jak dorzecze Wisły, krainą napoły leśną, a napoły polną.

Lasy wołyńskie tak samo, jak i nadwiślańskie, składają się w części z drzew iglastych, w części zaś z liściastych. Wśród iglastych panuje tu prawie wyłącznie sosna, świerki zdarzają się jedynie dorywczo i w bardzo małej liczbie. Bory sosnowe przeważają na nizinach, w połączeniu z brzoźami lub olchami; na wzgórzach rosną zazwyczaj lasy liściaste, złożone głównie z dębów i grabów z domieszką wiązów, lip, jaworów i innych drzew.

Przez Wołyń przechodzi południowa granica sosny, która na południe stąd nie może utrzymać się z powodu zbytnej suchości klimatu: rzadkie lasy ukraińskie składają się już wyłącznie z drzew liściastych. Tutaj jednak sosny udają się jeszcze bardzo pięknie, a w niektórych miejscowościach, jak np. w *Sławucie*, powstały nawet uzdrowiska dla chorych na płuca wśród aromatycznych borów sosnowych.

Lasy Wołyńskie nie zajmują nigdzie jednym ciągiem wielkich obszarów, lecz są zawsze poprzerywane bujnemi łąkami, które przedstawiają doskonałe pastwiska dla bydła. Hodowla też jego rozwinięta jest tutaj wszędzie.

Słowem, kraj to bogaty: stawy, pola, lasy, łąki, zwierzyna, bydło... Można zawołać z poetą:

Pełny oddech ma tam życie
I wszystkiego wbród obficie:
Ryb i zboża i świniny,
Bydła, koni i zwierzyny,
I konopi, pszczoł i miodu,
I nie mało też narodu!

(W. Pol).

DROGA Z POLESIA NA WOŁYŃ.

(Z „Pamiętników” Ewy Felińskiej).

Jadąc suchą i szeroką drogą *), ale piaszczystą stanęliśmy w Derażnem. Tu po raz ostatni spojrzeliśmy w oblicze Horynia, posyłając mu pożegnanie. Powiedziano mi bowiem, że mamy rozstać się z tą rzeką, a zbliżyć się ku Styrowi.

Mając w wyobrażeniu, że jedziemy na Wołyń, co chwila obiecywałam sobie ujrzeć sławione niwy wołyńskie, z pięknymi lasami dębowymi, ale na przekorę dotąd nawijały się oczom same sosny, a nogi końskie grzęzły w piasku. O czarnoziemiu

*) Autorka podróż tę odbyła w początku ubiegłego stulecia.

ani słysząc; owszem, zdawało się, że z Derażnego zagłębiamy się coraz w dzikszym Polesiu: gęsty las sosnowy, błota, piasek — oto żywioły towarzyszące nam w podróży. Z wielką zatem przyjemnością po dwugodzinnej drodze, wyjeżdżając z lasu oko niespodzianie spoczęło na pięknym Cumaniu.

W istocie miejsce to wydało mi się wcale piękne, a co więcej przemówiło do mojej wyobraźni. Ujrzałam przed sobą piękny staw, przez który rzucony most prowadził do jakichś murowanych budowli w stylu niezwykłym. Te mury miały minę starożytnego zamczyska, obwarowanego wodą. Z drugiej strony wody widno było na wzgórku kościół murowany, który uzupełniał całość obrazu.

Powiedziano mi, że to majątność Radziwiłłowska, należąca do ordynacyi Ołyckiej.

Tu wyobraźnia poleciała naprzód, śledząc zamierzchłe dzieje miejsca o licu tak niepowszedniem, wywołując z przeszłości dzieje bohaterów, którzy tu stawili opór zapewne sile najeźdźczej, sięgającej po własność i wolność. Byłam bardzo rozczarowana, dowiedziawszy, że to tylko browar czy gorzelnia z przynależnościami rozsiadła się w miejscu tak malowniczym, aby durzyć ludzi dobroduszych, maskując swoją prozę kształtami godnymi wyższego przeznaczenia.

Wyminałszy Cumań, cechy Polesia wyraźnie niknąć zaczęły, ustępując miejsca znamionom innej natury. Grunt zrobił się czarniejszy i twardszy; tu i owdzie dębina, zmieszawszy się z sośniną, okryła lasy właściwą sobie zielonością; wreszcie socha poleska została przez pług zastąpioną, coraz więcej pola, coraz widoki obszerniejsze. Nie jest to jeszcze, jak mi powiedziano, Wołyń prawdziwy, ale ziemia zmieszanej natury, gdzie cechy Wołynia i Polesia mieszały się razem.

Tem Półpolesiem zbliżaliśmy się ku Łuckowi, aż nakoniec ujrzeliśmy i Styr i wieże licznych kościołów, zdobiących wówczas ten dawny gród Wołynia. W owej epoce było jeszcze w Łucku ośm kościołów katolickich, nie licząc cerkwi; te kościoły ze strzelającymi w górę wieżami, ze starym zamkiem nadawały temu miastu widok okazały. Z ciekawością zbliżałam się ku niemu, spodziewając się ujrzeć miasto rozległe i porządne; tymczasem, zaledwieśmy pominęli klasztor Bernardynów, gdzie wówczas była rezydencya Ks. biskupa Cieciszewskiego,

w takie wjechaliśmy błoto, z taką trudnością musieliśmy brnąć przez nie, że Łuck stracił dla mnie cały urok. Zamiast pięknego i okazałego miasta, wzrok mój uderzało samo błoto tak głębokie, tak rozrobione, jakiego nie miałam wyobrażenia. Więcej godziny musieliśmy brnąć tą trudną przeprawą, nim dostaliśmy się w środek miasta i zajęchali na kwaterę.

Wszystkie znaczniejsze miasta brukują kamieniem, ale okolica Łucka, nie posiadając kamienia na kilkanaście mil naokoło, musiała się obchodzić bez bruku, choć położenie niskie między dwiema rzekami Styrem i Głuszem, przerzynającym miasto, potrzebowało koniecznie sztucznej pomocy dla zabezpieczenia się przeciw błotu.

To błoto utrudzające wszystkie przeprawy przez znaczną część roku, dało zapewne powód do wierszyków, które gmin chętnie powtarzał:

W Łucku
Wse ne po ludzku
Naokoło woda,
A w seredyni bida.

To błoto tak uciążliwe dla przyjezdnych i mieszkańców trwało aż do gubernatorstwa p. Andrzejkowicza, który kazał drewnianym pomostem powykladać główne ulice. Zrazu ten rozkaz wydał się przykrym dla mieszkańców, którzy musieli ten pomost robić własnym kosztem, ale po zrobieniu i mieszkańcy i przybywający byli radzi ulepszeniu.

Łuck w owej epoce był bardzo ludny. Ks. biskup Cieciszewski, jak wyżej powiedziałam, miał swoją rezydencję u Bernardynów.

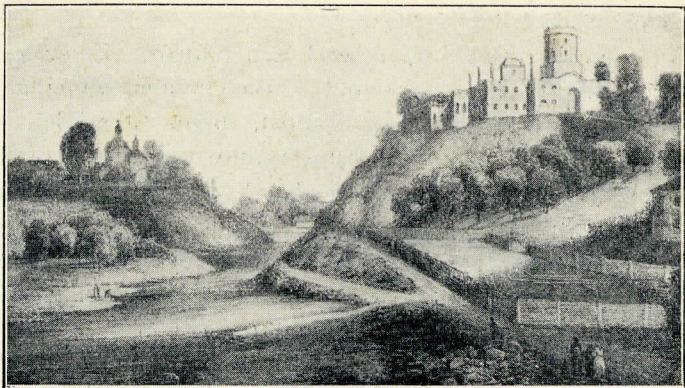
Oprócz przyjezdnych i świeckich mieszkańców rozmaitego stanu, Łuck był naówczas napełniony duchowieństwem. Tyle klasztorów rozmaitej reguły liczyło księży poddostatek. Prócz tego było seminaryum, a każdy klasztor miał swój nowicyat, gdzie się przygotowywało dużo młodzieży na przyszłych kapłanów. Dziś, po przeniesieniu stolicy biskupiej i seminaryum do Żytomierza, po skasowaniu wszystkich prawie klasztorów, po zamknięciu nowicyatów, ta część ludności całkiem odpadła od

Łucka i odciągnęła wszystkich interesantów, którzy mogli mieć z nią stosunki.

Po popasie puściliśmy się w dalszą podróż. Zaraz za miastem, wyminawszy nieco klasztor ks. Bazylianów, wypadało nam Styr przebywać. Piękny szeroki most, przez Styr i łęgi rzucony, opierając się końcami o grunt wzniosły, nie tylko ułatwiał przeprawę, ale dla całego miasta służył za miejsce przechadzki, gdyż w mieście błoto użyć jej nie pozwalało.

Przebywszy Styr znaleźliśmy się doprawdy na Wołyniu.

Wszystkie cechy Polesia znikły, i nie mogłam wątpić, że jesteśmy w kraju innej zupełnie natury. Ziemia tłusta czarna, jakiej dotąd nie widziałam po drodze, zajęła miejsce półpiaszczystej, rozciągniętej po lewym brzegu Styru. Obszerne łąny, zasiane pszenicą, uderzyły oko. Grunt piętrzy się we wzgórza, wioski częste, widoki odkryte, narzędzia rolnicze innego kształtu, dwory gęste. Widoki te lekko tylko uderzały moją wyobraźnię, gdyż ona całkiem była już w Wojutynie, któregośmy byli blisko; jakoż po trzygodzinnej podróży stanęliśmy na miejscu.



Korzec.

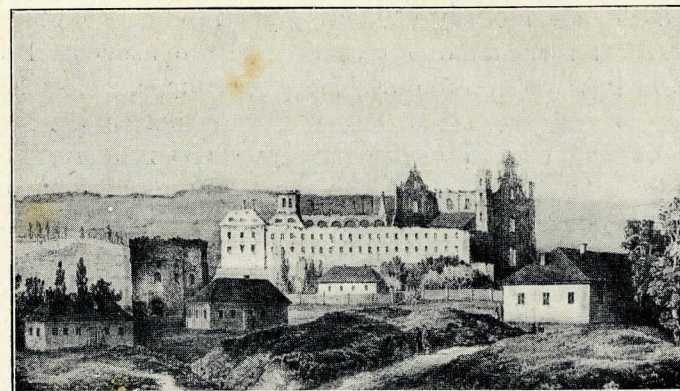
Z DZIEJÓW I WSPOMNIEŃ WOŁYNIA.

Wołyń podobnie, jak i wyżyna Lubelska, leży na odwiecznym szlaku od Dniepra i morza Czarnego do Wisły i Bałtyku, ale stanowi już ruską część tego szlaku, należy do ziem, które ciążyły ku Dnieprowi, a nie ku Wiśle. Ze względu jednak na szlakowe położenie, wczesnie wszedł w stosunki z Polską, mianowicie jeszcze za Bolesławów—Wielkiego i Śmiałego, kiedy to wojska polskie przeciągały tędy kilkakrotnie ku Kijowowi, aby wziąć czynny udział we wzajemnych walkach książąt ruskich. Wówczas atoli stosunki te były jeszcze bardzo dorywcze.

Bliższymi stały się one dopiero od Kazimierza Wielkiego, który, przyłączywszy do swego państwa część Wołynia, rozpoczął ożywioną kolonizację tych słabo jeszcze wówczas zaludnionych obszarów. Od tego czasu kolonizacja odbywała się tu ciągle i stale, ale powoli. Utrudniały ją niezmiernie nieustanne najazdy tatarskie, które wciąż pustoszyły i wyludniały cały ten kraj. Mnóstwo też tu było pustek i niezajętych obszarów. Taką zupełną pustką jeszcze w połowie XV wieku były między innymi okolice późniejszego Berdyczowa.

Te puste obszary żyznej ziemi nęciły osadników z Polski i zachęcały do osiedlania się, ale ciągle najazdy i pożogi, niszczące w krótkim czasie owoce długoletniej pracy ludzkiej, tamowały i opóźniały niezmiernie kolonizację.

To też żeby ją poprzeć i rozwinąć skuteczniej, królowie polscy obdarzali najrozmaitszymi przywilejami tych, którzy się podejmowali tej kolonizacji. Nie był to zresztą obowiązek łatwy, należało bowiem wyszukać odpowiednich ludzi, osiedlić ich tam, pokierować ich zabudowaniem się i zagospodarowaniem na zgliszczach lub zupełnych pustkach, zorganizować obronę i środki ratunkowe w czasie napadu, — słowem objąć naczelne kierownictwo i naczelną władzę nad pewnym obszarem. Ale zato zostawało się jego panem, dziedzicem olbrzymich włości, często-



Ostróg.—Ruiny kościoła i klasztoru Jezuitów, założonego przez Annę Alojzę Chodkiewiczową, urodzoną z Ks. Ostrogskich. Tu spoczywają zwłoki jej męża Jana Chodkiewicza, sprowadzone z pod Chocimia r. 1624.

króć jeśli nie królewskich, to przynajmniej książęcych. W ten właśnie sposób z biegiem czasu powstały tu na Wołyniu, jak również na Podolu i Ukrainie olbrzymie, magnackie fortuny wielkich panów, takie, jakich w ziemiach rdzennie polskich nie było nigdzie.

Oto co powiada o tych wielkopańskich fortunach Dr. F. Koneczny w „Geografii historycznej Polski“ (Polska. Obrazy i Opisy):

„Nowy ruch osadniczy szedł od północnego zachodu na południowy wschód, a monarchowie chętnie udzielali jak najrozleglejszych nadań, żeby tylko tę ziemię zaludnić. To też tu jest

kraj możnowładców, tych przyszłych „królewiat“ i ich olbrzymich fortun. Jazłowieccy, jedni z uboższych, mieli na Podolu ośmnaście mil kwadratowych, a Zbarascy tylko trzynaście mil kwadr. Powiada się „tylko“, bo Sieniawscy mieli trzydzieści mil kwadr., Sanguszkowie 38 mil kwadr. na Polesiu, a Czartoryscy 40 mil kwadratowych! Ci wyzbyli się swego gniazda, Czartoryska, i nastali po nich Wiśniowieccy, a po nich Radziwiłłowie. Tyszkiewiczze założyli w swych dobrach około r. 1545 miasto Berdyczów, które przeszło potem także w ręce Radziwiłłów. Południowa część Braclawskiego województwa, zwana Pobereżem, była po większej części własnością Potockich i Konięcpolskich, ale nad wszystkimi górowali tu aż do r. 1619 Ostrogscy, tak rozmiarami olbrzymiej swej ordynacyi na Dubnie i Ostrogu, jako też jej intratnością, bo dobra te, położone znacznie dalej na zachód, zagospodarowywały się już od XIV wieku. To też ordynacya ta wystawiała na wojnę 600 żołnierzy“.

Wogóle właściciele tych olbrzymich włości musieli trzymać całe pułki żołnierzy, gotowych do boju, żeby móżdż w każdej chwili bronić się przed napastnikami. Im dalej na zachód, tem było bezpieczniej i spokojniej. To też Wołyń mniej był wystawiony na najazdy, niż Podole i Ukraina, i on jednakże ulegał im często.

Zato też ziemie te wydały wielu dzielnych wojowników.

Stąd był rodem słynny pogromca Tatarów w wieku XVI Konstanty książę Ostrogski, o którym powiada Niemcewicz w „Śpiewach historycznych“:

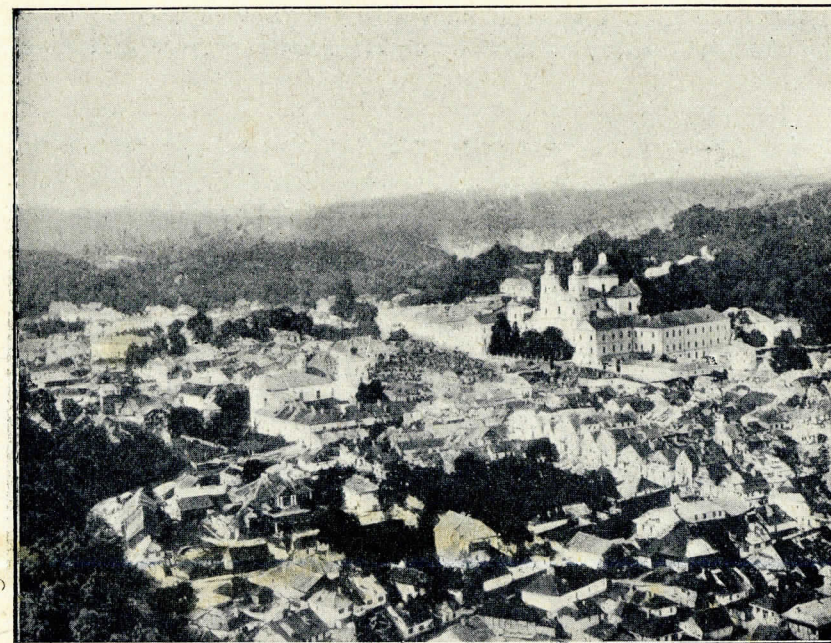
Był mąż za czasów Zygmunta pierwszego,
Ten nigdy nie znał, co bojaźń i twoga,
Niezmiernej siły, choć wzrostu małego,
A imię nosił Konstanty z Ostroga.

Stąd również pochodził Karol Chodkiewicz, głośny hetman, zwycięzca z pod Kircholmu i Chocimia, spokrewniony przez żonę z rodem Ostrogskich. Stąd — pogromca kozaków, mężny, ale okrutny Jeremi Wiśniowiecki, ojciec króla Michała.

Wszystkie te rody położyły wielkie zasługi zarówno przy obronie kresów państwa polskiego, jak i przy kolonizacyi tych ziem. Ale pomników cywilizacyjnej ich działalności pozostało

nie wiele, nie wiele budowli z tych czasów dochoowało się do naszych dni: uległy one przeważnie zniszczeniu wśród ciągłych wojen i najazdów, a zresztą i budowano się tam mniej trwale ze względu właśnie na tę nieustanną obawę zniszczenia.

„Próżno szukać w tych województwach, powiada dr. Ko-



Krzemieniec.

neczny, średniowiecznych zabytków dziejowych. Wszak jeszcze w XVI w. Włodzimierz, Łuck, Krzemieniec były drewniane.

Choć niewiele zabytków monumentalnych, wspomnień dziejowych jest tu jednak obfitość, ale, niestety, najwięcej wspomnień krwawych. Na Wołyniu jest Zbaraż, sławiony bohater-kiem wytrzymaniem oblężenia przez księcia Jeremiego Wiśniowieckiego za Jana Kazimierza; tu też Beresteczko, pamiętne zwycięstwem nad Chmielnickim. Stare Dubno, obwarowane od natury, bo oblانة z trzech stron Ikwą, a z czwartej osłonięte moczarami, nie dało się zdobyć Chmielnickiemu, a zamek swój

dochoowało do naszych czasów. Niedaleko na zachód w Boremlu było gniazdo rodziny Czackich. Pałac ich stał do r. 1831, zburzony w owym roku podczas utarczki generała Dwernickiego z Rosyanami. Ród ten szczyli się Tadeuszem Czackim, z którego może być dumniejszy, niż gdyby wydał kilkunastu wojewodów i hetmanów, bo wielki ten uczony stał się po rozbiorach drugim Konarskim, założywszy w r. 1803 sławne liceum krzemienieckie, od którego miasto to otrzymało nazwę „Wołyńskich Aten“. Liceum dawało wykształcenie wyższe naukowe,



Dawny Krzemieniec Wołyński, miejsce urodzenia Juliusza Słowackiego.

a takie miało zbiory i gabinety, że kiedy je przeniesiono w roku 1833 do Kijowa, można było bez trudności zamienić je na uniwersytet.

Berdyczów stał się miastem dopiero w połowie XVI wieku. Uległ zniszczeniu w r. 1648 i wnet potem w r. 1653, a okolica jego zamieniła się w istną pustynię, tak, że z końcem XVII wieku pod samem miastem polowano na niedźwiedzie i łosie. Zaludnił się na nowo i bardziej rozwinął dopiero dzięki cudownemu obrazowi Najświętszej Maryi Panny, ściągającemu całe tłumy. Podczas koronacji tego obrazu w r. 1756 miał kazanie młody naówczas Ignacy Krasicki. W r. 1768 bronił się w tem mieście przez trzy tygodnie Kazimierz Pułaski, poczem kapitu-

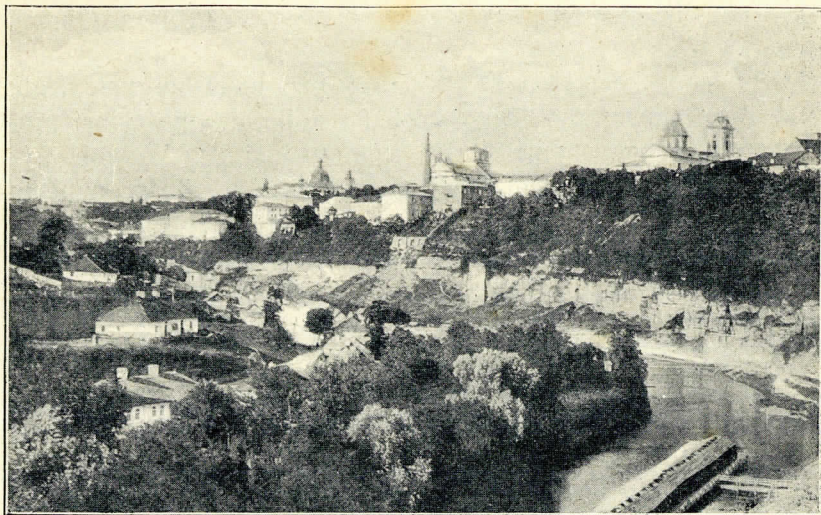
lował z honorami wojskowymi. Stąd pochodził sławny O. Marek, Karmelita, kapelan konfederacji barskiej“. (Polska. Obrazy i Opisy).

W tej nici wspomnień wiją się jednak nie same wojny, nie same dzieje krwawe, widać w nich i wysiłki cywilizacyjnej pracy i starania nad podniesieniem oświaty kraju: z Wołynia wyszedł ród Czartoryskich, który później założył głośnie ognisko oświatowe w Puławach nad Wisłą; Wołyń był kolebką Tadeusza Czackiego, którego Liceum Krzemienieckie słynęło na całą Polskę.

Do Krzemieńca przywiązane jest wspomnienie jeszcze głośniejszego męża, choć już nie z rodu magnackiego: tam 23 sierpnia 1809 r. urodził się Juliusz Słowacki, jeden z największych poetów naszych. Spędził on tam wprawdzie tylko najpierwsze lata swojego dzieciństwa, do końca życia jednak zachował w sercu pamięć rodzinnej miejscowości i tęsknił do niej z obczyzny.

...Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwalie, woniące lewady *)
Biegną na skały pod chaty i sady,
Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona,
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi, jak Archanioł złoty,
A czasem miasto, jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci...

*) Lewada — mała łączka, okolona drzewami.



Jar Smotrycza pod Kamieńcem.

3. WYŻYNA PODOLSKA.

POGLĄD OGÓLNY.

W lewo spłyną czarne role,
Ukrainy bujne leże;
Nawprost, aż po Dniestr, Podole,
A wzdłuż Dniestru, Pobereże *).

Wyżyna Podolska, najbardziej wzniesiona część płaskowyżu Czarnomorskiego, zajmuje obszar między wyżyną Wołyńską i Bohem z jednej strony a Dniestrem z drugiej. Na zachodzie granicę jej stanowi rzeka Wereszczycza, lewy dopływ Dniestru; na południowym wschodzie sięga ona do rzek: Jahorlika (dopływ Dniestru) i Kodymy (dopływ Bohu), przechodząc stopniowo i łagodnie w stepy czarnomorskie.

*) Pobereżem nazywano południowowschodni kraniec wyżyny Podolskiej między Bohem i Dniestrem poza rzeką Murachwą.

Najostrzejszą i najbardziej wyraźną granicę posiada wyżyna Podolska od północy dzięki wzniesionej krawędzi, która opada tutaj prawie stromo w stronę Wołynia.

W północnozachodnim kącie swoim koło Lwowa łączy się Podole z *Roztoczem*, pasmem wyżynnym, poczynającym się tutaj jako tak zwana Kortumówka, góra wzniesiona nad miastem i mająca 380 metrów wysokości nad poziom morza. Stąd ciągnie się Roztocze w kierunku północnozachodnim ku wyżynie Lubelskiej, w którą przechodzi w okolicach Tomaszowa i Cieszanowa na granicy Królestwa i Galicyi. Od dwu końcowych punktów nosi ono także nazwę grzbietu *Lwowsko - Tomaszowskiego*.

Jest to dość wązki i stosunkowo dość wysoki wał o wzniesieniu, przekraczającym nieco 400 metrów, stanowi więc wraz z Gołogórami i Woroniakami najwyższą część całego płaskowyżu Czarnomorskiego. Całe Roztocze uległo dość silnemu działaniu wód biejących; to też grzbiet jego składa się z szeregu wzgórz i pagórków, a zbocza porżnięte są w głębokie i malownicze parowy.

Co do samej wyżyny Podolskiej, to przedstawia ona płaską, monotonną, wyniosłą równinę, wzniesioną najwyżej w północnej krawędzi i łagodnie pochylającą się ku południowi.

Bardziej górzysty charakter posiada tylko północna krawędź to jest *Gołogóry* i *Woroniaki*, mające średnie wzniesienie 430 metrów, a miejscami przekraczające nawet 470 metrów. Nie wydają się one jednak tak wysokimi od Podola, jak od niżej położonego Wołynia. Oprócz tego wpoprzek prawie przez sam środek wyżyny Podolskiej ciągnie się szereg wapiennych, często skalistych wzgórz *Miodoborskich*, poczynający się u północnego jej brzegu w okolicy Podkamienia w tych stronach, skąd odchodzi grzbiet Krzemieniecki, a kończący się niedaleko Dniestru.

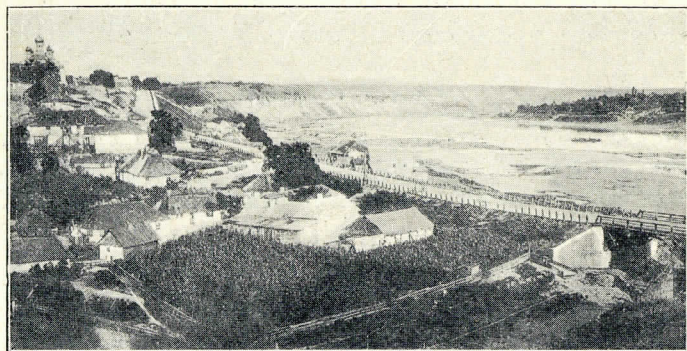
O nich to powiada W. Pol:

Tam ku górom Miodoborskim
Coraz wyżej kraj się wznosi.

Poza tem zresztą całe prawie Podole przedstawia jedną wielką i jednostajną płaszczyznę, mało urozmaiconą wzgórzami, których przytem więcej znajduje się we wschodniej części, niż

w zachodniej. Jednostajność tę przerywają liczne jary, wyżyna bowiem Podolska porżnięta jest mnóstwem poprzecznych dolin, które położyły sobie dopływy Dniestru, płynące wszystkie równoległe w kierunku południowym.

Doliny te są nadzwyczaj głębokie i mają wysokie strome krawędzie, dochodzące miejscami 100, a nawet 150 metrów wysokości ponad poziom doliny, a porośłe przeważnie lasem. Wskutek tego wyglądają nadzwyczaj malowniczo, sprawiają naj-



Jar Dniestru pod Żwańcem.

zupełniej wrażenie jakichś górskich wąwozów ze sterczącymi skałami, ze spadającymi z szumem potokami, z piękną zielonością na stokach.

Jary podolskie należą do najpiękniejszych miejscowości na obszarze ziem dawnej Polski, a piękność ich podnosi jeszcze ta okoliczność, iż stanowią one rodzaj niespodzianki dla podróżnika, posuwającego się płaską, równą okolicą.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska — istne mury;
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,

Na łotokach *) szumi woda,
A staw czysty jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nadstanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równno, cicho znów na łanie...

Te głębokie jary pozwalają poznać doskonale budowę wyżyny Podolskiej, na wysokich ich brzegach bowiem odsłonięte są wszystkie kolejne pokłady, tworzące wyżynę. Z odsłonięć tych można się przekonać, że wszystkie warstwy leżą tu prawie poziomo i prawie zupełnie tak samo płasko i równo, jak i powierzchnia wyżyny.

Powierzchnię pokrywa tu glina, pomieszana z próchnicą i tworząca ciemny, nadzwyczaj żyzny czarnoziem. Pod czarnoziemem rozpościerają się pokłady piaskowca, który tu i owdzie obnażony i odsłonięty przez wody bieżące występuje na jaw, jako mniej lub więcej fantastyczne skały. Głębiej pod piaskowcami leży tak zwana opoka, utworzona z margli wapnistych.

W zachodnich częściach wyżyny opoka stanowi najgłębszą warstwę nie tylko w odsłoniętych brzegach jarów, ale i w takich miejscach, w których dokopano się do znacznej głębokości za pomocą wierceń studziennych, jak np. we Lwowie do głębokości 500 metrów. Na wschodzie jednak występują na jaw głębsze i starsze pokłady — płyta granitowa, tworząca łożyska i brzegi rzek na środkowym biegu Bohu i na Dniestrze poniżej Murachwy, lewego jego dopływu na Podolu Rosyjskim.

Pod względem ogólnego charakteru powierzchni wyżyny Podolską można podzielić również na dwie części: zachodnią, obejmującą *Podole Galicyjskie* do Zbrucza i granicy rosyjskiej i wschodnią (*Podole Rosyjskie*) od Zbrucza do Kodymy i Jahorlika.

Powierzchnie obu tych części różnią się między sobą wybitnie pod tym względem, iż w zachodniej najwyższe wzniesienie przypada na północną krawędź, tamteży też biegnie dział wodny między dorzeciami: Dniestru z jednej strony, a Bugu

*) Łotok — koryto drewniane, którem woda pędzi na koło młyńskie.

i Prypeci z drugiej. Z tego powodu wszystkie bez wyjątku rzeki płyną tu z północy na południe i wszystkie uchodzą do Dniestru.

We wschodniej dział wodny biegnie środkiem i jest przytem niższy, przeważnie nie przekracza 350 metrów. Wskutek takiego położenia działu wodnego rzeki płyną tu w dwie strony: na północ i wschód ku Bohowi, oraz na południe do Dniestru.

Zachodnia część przedstawia typową płaską wyżynę, pokrajaną głębokimi jarami i pochylającą się łagodnie ku południowi, a ostatecznie spadającą dość stromo ku nizinie naddniestrzańskiej. Przejście do krainy stepowej występuje tu jeszcze wybitniej, niż na Wołyniu: znaczna obfitość stawów, mniejsza ilość lasów, brak drzew iglastych — wszystko to wskazuje wyraźnie, iż jest to dzielnica o suchym klimacie. W każdym jednak razie Podole zachodnie posiada jeszcze dość lasów. Piękne mieszane liściaste porastają zbocza Gołogór i Woroniaków, czyste dębowe widzieć można na całej prawie powierzchni wyżyny. Ta jednak właśnie przewaga dębów zaznacza już przejście do bezleśnej krainy stepowej.

Znajdują się tu zresztą i zupełnie bezdrzewne obszary o charakterze czysto stepowym, a to bardziej na wschód między Strypą a Seretem, dopływami Dniestru. Jeszcze w połowie minionego stulecia był tutaj kilkusetmorgowy pierwotny step na tak zwanej Pantalisie. Służył on wówczas jedynie na wypas dla stad siwych, długorogich stepowych wołów, które błądziły po nim samopas. Step ten widział i opisał Wincenty Pol w r. 1850. Obecnie zajęty jest on oddawna pod pola orne i rodzi doskonałe pszenicę oraz kukurydzę.

Jary tej części Podola są nadzwyczaj piękne i malownicze, brzegi ich w części skaliste, w części porośłe lasem odznaczają się wielkim urozmaicheniem i obfitością pięknych widoków. Szczególnie malownicza jest dolina Dniestru poniżej Niżniowa oraz jary Seretu i Zbrucza. Według profesora Rehmana („Ziemia dawnej Polski”), niektóre ich części przewyższają nawet pięknnością i urozmaicheniem słynne z malowniczości wąwozy w Krakowskim.

Przepiękny jar Dniestru tak opisuje Wincenty Pol w „Północnym Wschodzie Europy“:

„Brzegi Dniestrowe podnoszą się od Niżniowa nagle ska-

listemi ścianami na 250 do 300 stóp wysokości,—dolina niknie zupełnie, a wyłom, którym odtąd Dniestr płynie, jest gdzieś gdzie tak ciasny, że tylko tyle jest miejsca, ile wodna zajmuje wstęga.

Na przestrzeni tedy 70 mil odkrywa tu Dniestr malownicze widoki po obydwóch stronach; a kiedy poza wyniosłemi jego brzegowiskami górne płaszczyzny jednostajnością swoją należą do stepu, odkrywają ścianki Dniestrowe w skalistych lub obrosłych partyach całe czarodziejstwo okolic górskich. Tutaj to możnaby powiedzieć, iż równiny Północnego Wschodu Europy uśmiechnęły się po raz ostatni z całym wdziękiem pięknej natury na przestrzeni tego wyłomu; i żegluga na tej rzece jest pod tym względem więcej zajmującą, niż na którejkolwiek z rzek europejskich, bo żadna nie płynie skalistym wyłomem na tak wielkiej przestrzeni; zwłaszcza, gdy kręty bieg Dniestru w niespodzianych zawrotach coraz nowe i uderzające odsłania widoki i pięknosc ich pomnaża.

Cały ten jar możnaby od strony Podola i Pobereża uważać za jeden sad wielki, kiedy przeciwległe brzoza w nagłych leśnistych debrach upada ku wodom. Rozmaitosc tedy roślinności, tak pod względem dziko rosnącej, jak uprawnej, jest tu tak wielką, jak nigdzie; i to, co po futorach krain stepowych w małych tylko skupia się ramach, sieje się tu bogato i rozrasta rozkosznie na przestrzeni Dniestrowego jaru, nadając całej krainie niejako wyraz fizjonomii odrębnej.

Piękności te powiększają bogate źródła, bijące po ściankach Dniestrowych i uchodzące z szumem do jego łożyska; rozkoszne płaskie ostrowy w łożu jego rozsiane, uprawne lub najpiękniejszymi gajami porośłe; słoneczne skały winnicami zasadzone i mgły grające na przestrzeni wyłomu, słowem mówiąc, dziwnem jakimś czarodziejstwem zdają się tu być przeniesione widoki krain górskich w kraje stepowej natury“.

Część wschodnia wyżyny Podolskiej, Podole rosyjskie, położone za Zbruczem, nie posiada tak równej powierzchni; jest ono porzniete większą ilością parowów, wskutek czego obfituje więcej we wzgórza i pagórki i, chociaż niższe, robi w kilku miejscach wrażenie bardziej górskiej okolicy.

Ten bardziej pagórkowaty charakter w związku ze skali-

stością brzegów rzecznych sprawiają, iż widoki tutaj są bodaj jeszcze bardziej malownicze.

Ze względu na charakter powierzchni Podole wschodnie, jako bardziej faliste, ma pozór mniej stepowy od zachodniego; ale wskutek położenia więcej na wschód posiada w istocie klimat i naturę bardziej stepową.

Wyraża się to wybitnie w surowej i zawałnej zimie, w stopniowym znikaniu lasów w miarę posuwania się na wschód i południe, a ukazywaniu się coraz częstszemu futurów, to jest zagród z małymi laskami, rozrzuconych zrzadka, najczęściej po jarach. Obficie też występują tutaj stawy.

Lasów najwięcej znajduje się w zachodniej części bliżej Zbrucza i w północnej, zwłaszcza na zakręcie Bohu od Latyczowa ku Winnicy, gdzie rozpościerają się znaczne, przeważnie dębowe i brzoźowe lasy, stanowiące przedłużenie znajdujących się za Bohem lasów wołyńskich.

Im dalej na południowy wschód, tem lasy stają się mniejsze i rzadsze, a tem częstsze zato futory, a że i okolica zarazem robi się coraz bardziej płaska, cała więc kraina przybiera charakter coraz wyraźniejszego stepu, w który też wreszcie przechodzi u krańca wyżyny Podolskiej pod Jahorlikiem i Kodymą.

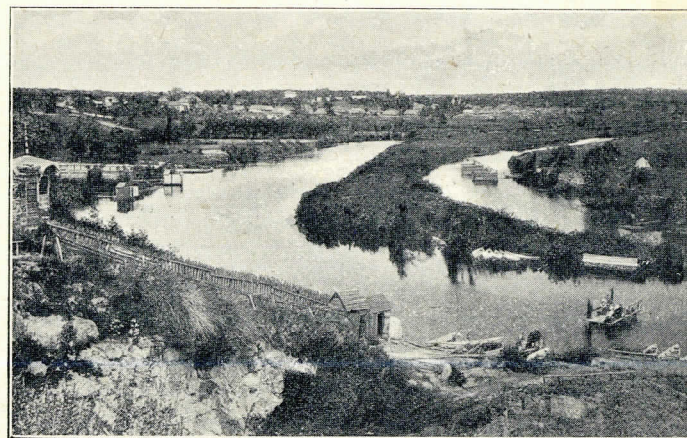
Rzeki, zarówno główne (Dniestr i Boh), jak i poboczne, torują tu już drogę w płycie granitowej, stanowiącej podłoże wyżyny Czarnomorskiej i dla tego mają z jednej strony skaliste, mniej lub więcej wyniosłe brzegi, z drugiej zaś obfitość „progów“, to jest kamieni i skał sterczących z dna, a utrudniających niezmiernie żeglugę.

Dotyczy to zwłaszcza Bohu, który posiada niebezpieczniejsze progi i w większej liczbie, niż Dniestr, jest też od niego znacznie mniej żeglowny, zarówno z powodu tych progów, jak i dla większego ubóstwa wody. Już poczynając od Winnicy wznoszą się na jego brzegach skały granitowe, dochodzące miejscami 30 do 40 metrów wysokości, a z dna sterczą mniejsze i większe głazy, uniemożliwiające żeglugę.

Różnią się zatem w szczegółach budowy obie części Podola, ale na ogół posiadają jednakowy charakter, zwłaszcza pod względem klimatu i gleby. Obu też wspólna jest nadzwyczajna żyzność ziemi: powierzchnia całej wyżyny Podolskiej pokryta jest grubszą lub cieńszą warstwą czarnoziemiu i cała ta dzielni-

ca odznacza się niezwykłą urodzajnością, wydaje obfite plony zbóż, a słynie zwłaszcza z pszenicy i kukurydzy.

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuc rolę,
Zejdź świat cały, przepłyn morze,
Niema kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie...



Boh pod Pietniczanami (koło Winnicy).

Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem —
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało trochę wprawdzie lasa,
Ale za to chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,

I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie Boga chwali!
(W. Pol).

Szczególnie szczodrze i bez wysiłków ludzkich rodziła tu ziemia dawniej, kiedy świeżo wzięto ją pod uprawę i kiedy jeszcze obficie zawierała cząstki pożywne w glebie. Dziś nie można już jak niegdyś „słomę palić“ i nawóz marnować, jednakże i teraz przy mniejszych stosunkowo wkładach, niż gdzieindziej, rolnik miewa wspaniałe zbiory. Jeszcze i dziś można zapytać z poetą:

A cóż w świecie nad miód polski?
Nad kord stary, snop podolski?

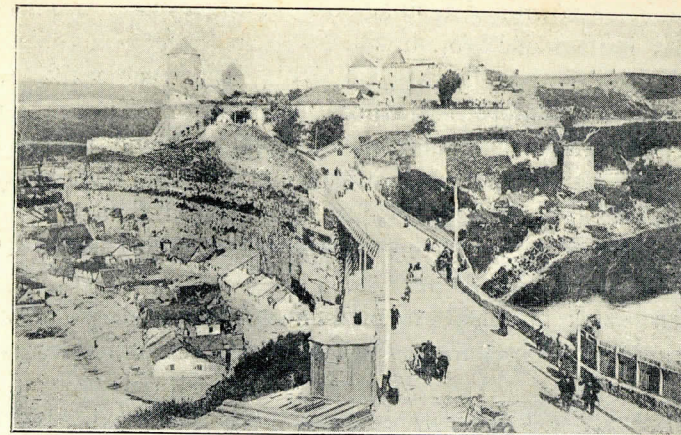
Jeszcze i dziś

Kilkoletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone na obszarze.
(W. Pol).

Obok łąnów zbożowych ujrzeć tu można i sady, ale tak samo jak laski i zarośla kryją się one najczęściej w głębi jarów, bliżej wody i większej wilgoci.

Tam to, w dolinach rzecznych poumieszczały się i osady ludzkie, rozłożone nad brzegami rzek czy to płynących swobodnie, czy też ujętych w stawy. Nie są one tak często i gęsto rozsiane, jak w dorzeczu Wisły, ale zato duże, ludne i zamożne.

Za okopem lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.
(W. Pol).



Most turecki i twierdza w Kamieńcu.

ZE WSPOMNIEŃ DZIEJOWYCH PODOLA.

Wielkich wspomnień to ognisko,
Starych bogów uroczysko,
Wiernych dziadów bojowisko,
I praszczurów pogranicze.
Tym to szlakiem ordy dzicze,
Biły w dziejach ode wschodu,
Po nim poszedł ślad hetmański,
Z Bożym kmieciem i krzyż Pański
Ku odsieczu dla narodu.

Stąd z nad cerkwi i w kościele,
Z nad buńczuka i księżyca
Świeci ziemi na wesele
Matka Boża i Dziewica;
A o Turku i Tatarze
I dziad gwarze i dąb gwarze,
Choć już zarósł szlak hetmański
A bez trwogi jest krzyż Pański.
(W. Pol).

Wyżyna Podolska leży podobnie, jak i Wołyńska, na wielkim odwiecznym szlaku między zachodem i wschodem, szlaku,

który służył zarówno dla stosunków handlowych i cywilizacyjnych, jak i dla najść wojennych.

To też i Podole bywało widownią krwawych walk, widywało niejednokrotnie straszne hordy Tatarów oraz Turków i męzną przed nimi obronę. Narażone zaś na nie było jeszcze bardziej od Wołynia, południowym bowiem krańcem swoim sięgało granic państwa Tureckiego, sąsiadowało więc z nim bezpośrednio, gdy Wołyń przegrodzony był od Turków i Tatarów Ukrainą, a w części i Podolem.

Ten szlak podolski różnił się wybitnie od wołyńskiego swoją mniejszą dostępnością, a to z powodu mnóstwa jarów, które przerzynają wpoprzek wyżynę i utrudniają niezmiernie posuwanie się w kierunku ze wschodu na zachód i odwrotnie.

„Wyżyna Podolska,—powiada A. Sujkowski w „Rysie geograficznym ziem Europy środkowej“, — posiada cechę swoistą a mianowicie głębokie i często dość urwiste doliny rzek — jary; na Podolu, ma się rozumieć, działy wodne są jedynymi miejscami odpowiedniami do dróg. Nawet i dziś, kiedy budowa dróg stoi na wysokim stopniu rozwoju technicznego, nieliczne szosy trzymają się tam działów wodnych, np. z Kamieńca do Płoskirowa; a nawet i koleje żelazne muszą tu widać trzymać się czasami niewolniczo tej postaci powierzchni: szlak od Baru do Mohylowa nad Dniestrem bieży po dział wodnym dopływów Dniestrowych Niemii i Ladawy, a szlak z Wołoczysk przez Zmierzynkę do Birzuły padł na dział wodny między Dniestrem a Bohem. Ten dział wodny był od czasów przedhistorycznych najważniejszym, posiada on kierunek z północo-zachodu na południowo-wschód i po nim od czasów zamierzchłej przeszłości szedł szlak, później w czasach napadów Tatarskich Kuczmeńskim zwany.

Że Tatarzy nie stworzyli dla siebie dróg nowych, lecz korzystali ze szlaków dawnych, to wynika z kurhanów (dawne grobowce koczowników scytyjskich), rozrzuconych mniej więcej co dwadzieścia kilka kilometrów na tym dział wód“.

Zatem działem wodnym szedł ten wielki szlak komunikacyjny: tedy wpadały na Podole hordy najeźdźców, tedy ciągnęły karawany kupców, na dział też wodnym musiały powstać miasta i wogóle większe skupienia ludności, inaczej bowiem nie

mogłyby były stać się stacyami dla kupców, punktami wymiany płodów i cywilizacyi.

Ale, że wschodnia część wyżyny narażona była bardziej na częste najazdy nieprzyjaciół, tam więc mogły powstać jedynie mniejsze miasteczka; większe zaś zbiorowiska ludzi mogły się wytworzyć dopiero w części zachodniej, zarówno z powodu większego bezpieczeństwa, jak i dla bliższego sąsiedztwa wyżej cywilizowanych ziem czysto polskich.

W takim miejscu, na zetknięciu wyżyny Podolskiej z Roztoczem, na dział wodnym, zaledwie rozgraniczającym schodzące się tutaj dorzecza Wisły i Dniestru, w okolicy, gdzie ludność polska zmieszała się z ruską—powstał *Lwów*, dzisiejsza stolica Galicji, niegdyś główne miasto województwa Ruskiego.

Rozwój swój *Lwów* zawdzięcza temu właśnie położeniu na wielkim szlaku handlowym, w miejscu zetknięcia dwu narodów i dwu cywilizacyi,—rzymskiej i bizantyńskiej. Dzięki takiemu położeniu stał się on środkowym punktem handlu wymiennego między wschodem a zachodem, urósł w dostatki, bogactwa i znaczenie. Ale w rozwoju jego przewagę osiągnął pierwiastek polski, polski też charakter nadając temu miastu dziwnie zresztą pstremu pod względem narodowościowym.

W blizkiem sąsiedztwie Lwowa na granicy Podolskiej i Roztocza z niziną Nadbużańską leży *Żółkiew*, gniazdo rodu Żółkiewskich, własność sławnego hetmana, co całe życie służył dzielnie głową i szablą Rzeczypospolitej, a zginął śmiercią walecznych w wojnie z Turkami pod Cecorą, jak o tem śpiewa Niemcewicz:

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiem błoni,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny.

Ale z *Żółkwią* związane jest wspomnienie innego jeszcze naszego hetmana: tu chował się Jan Sobieski i te właśnie strony pełne są pamiątek i wspomnień po nim. W *Podhorcach*, gdzie dziś znajduje się Muzeum pamiątek po Janie III, urodziła się jego matka; w *Olesku*, niedaleko stamtąd, przyszedł na świat sam król Jan; w *Żółkwi* się chował; w *Jaworowie*, z tamtej strony Roztocza w dorzeczu Sanu, był starostą.

Lwów również widywał często Sobieskiego,* który miał tu własną kamienicę i nieraz zjeżdżał do tego miasta. *Lwów* też,

a właściwie leżące koło niego *Zniesienie*, było świadkiem jednego z najświetniejszych czynów wojennych tego króla, który tu z sześciotysięcznym rycerstwem pobił 40,000 Tatarów. Ale nie sam Lwów może się szczycić takimi wspomnieniami: na południowy wschód od niego już bliżej Dniestru leżą *Podhajce*, wślawione również orężem Jana III, a już z tamtej strony Dniestru—*Żurawno*, także świadek tryumfu Sobieskiego.

Zwycięskie, rycerskie wspomnienia, głoszące sławę naszych wodzów i wojowników, ale zarazem świadczące, jak daleko w głąb kraju wróg zapuszczał zagony. Im zaś dalej na wschód, tem więcej takich krwawych pamiątek!

Oto na końcu grzbietu górskiego, między Seretem a wpadającą do niego od wschodu Gniezną, w nadzwyczaj malowniczym położeniu leży miasteczko *Trembowla*, a nad niem dobrze zachowane ruiny zamku Trembowelskiego, pamiętnego męstwem dzielnej Chrzanowskiej.

Za Zbruczem jednak dopiero zaczyna się właściwa kraina walk z Turkami i Tatarami, tam dopiero wchodzimy na prawdziwe kresy, gdzie walki te były chlebem powszednim, gdzie ziemia sownie zlane została krwią niewiernych ale zarazem i krwią naszych rycerzy.

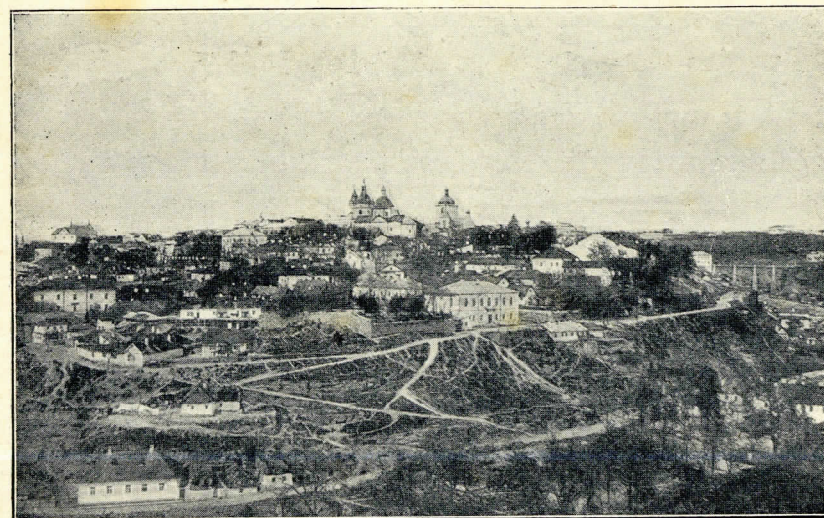
Wschodni kraniec Podola był zarazem krańcem Rzeczypospolitej: rzeczki Jahorlik i Kodyma, odgraniczające wyżynę Podolską od stepów Czarnomorskich stanowiły zarazem granicę Rzeczypospolitej od państwa Ottomańskiego. Jeszcze i teraz przy ujściu Jahorlika do Dniestru pod miasteczkiem tejże nazwy stoi słup murowany z napisem: „wodna granica z Turkami 1703 r.“.

Ponieważ jednak tę „wodną granicę“ stanowiły małe i łatwe do przebycia rzeczki, a kraj tu naogół był otwarty, nie można więc tam było wznosić twierdz: zagradać drogę wkraczającym najeźdźcom można było jedynie piersiami własnymi. Czuwały też tam zawsze kresowe chorągwie i one się pierwsze ścierały z nieprzyjacielem, ale trwalszego i bardziej stanowczego oporu nie można tam było stawiać.

Do tego potrzebna była miejscowość mniej odsłonięta, z natury samej nadająca się na warownię. Takim właśnie warunkom doskonale odpowiadały okolice nad Dniestrem poniżej ujścia Zbrucza, skaliste i trudno dostępne, jakby stworzone na fortece.

I tam zresztą granica była tuż pod bokiem, na całej bowiem tej przestrzeni prawy brzeg Dniestru należał już do Wołoszy. Gospodarowie Wołoscy do czasów Zygmunta III byli wprawdzie naszymi lennikami, niezawsze jednak wiernymi, zdradzali Polskę nieraz, potem zaś cały ten kraj dostał się zupełnie pod władzę Turków.

Przez Wołoszę też wpadały do nas nieraz wojska tureckie, na Wołoszę wychodziło nasze rycerstwo naprzeciw Turczyń.



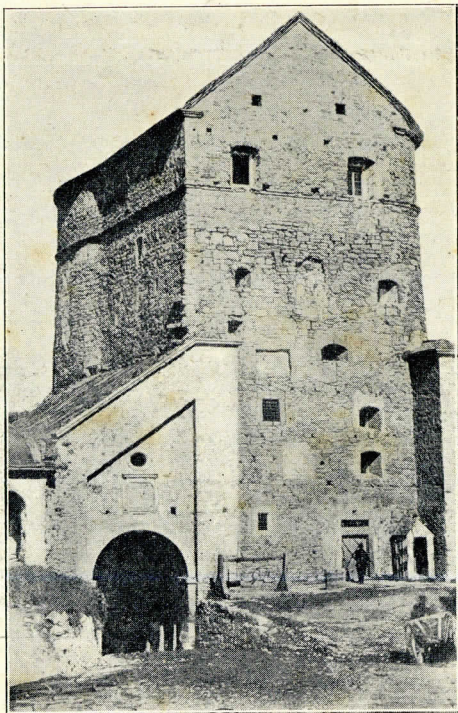
Ogólny widok Kamieńca Podolskiego.

Ważną więc rzeczą było posiadanie silnych twierdz w skalistych i trudno dostępnych jarach naddniestrzańskich tej strony Podola.

W takim właśnie miejscu nad Smotryczem leży *Kamieniec Podolski*, jedna z najsilniejszych twierdz Rzeczypospolitej, od przyrody samej tak obronny, że go przezwano „basztą ręką Boga zbudowaną“. Przez parę też wieków mężnie i skutecznie stawiał on czoło wszelkim napastnikom i cieszył się sławą niezdobytego grodu. A choć dostał się był raz w posiadanie Turków, niedługo jednak pozostawał w ich ręku.

Kamieniec nie był zresztą jedyną warownią w tej okolicy;

nad samym Dniestrem hetman Stanisław Jabłonowski wznosił niewielką forteczkę dla obserwacji wojennej Turków. Nosiła ona nazwę *Okopów Świętej Trójcy*, a pamiętna jest nie tylko w walkach z Turkami, ale i mężną obroną Kazimierza Pułaskiego w czasie konfederacji barskiej. Również niedaleko stąd leży

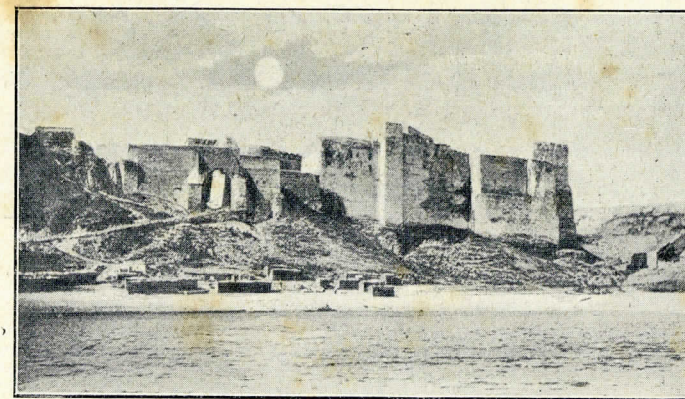


Brama Batorego w Kamieńcu.

Żwaniac, wsławiony także w walkach z Turkami, a naprzeciw niego po drugiej już stronie Dniestru wznosi się *Chocim*, niegdyś nadgraniczna warownia turecka, jedno z największych naszych pobojowisk z Turkami, na którym również sporo się krwi polskiej przelało. A jeszcze dalej smutnej pamięci *Cecora*, już w samej Wołoszy, nad Prutem.

Kraj krwawych wspomnień, kraj walk z Turkami!
Wiek XVIII położył koniec kilkowiekowej wojnie z pań-

stwem Ottomańskim, z tej strony granicy nastał spokój i Podole nie oglądało już najazdów wojsk z półksiężycem. Nie Kamieniec też odegrał w tym wieku główną rolę, ale *Bar*, mała miejscina nad rzeczką Rowem, niegdyś posiadłość Królowej Bony, która zamieniła ją w silną twierdzę i na pamiątkę swojego księstwa Bari we Włoszech przemianowała dawną jej nazwę Rów na Bar. Bar uwiecznił się słynną konfederacją Barską, założoną tu w roku 1768, a wsławioną męstwem konfederatów, którzy pod wodzą Kazimierza Pułaskiego dokazywali cudów męstwa



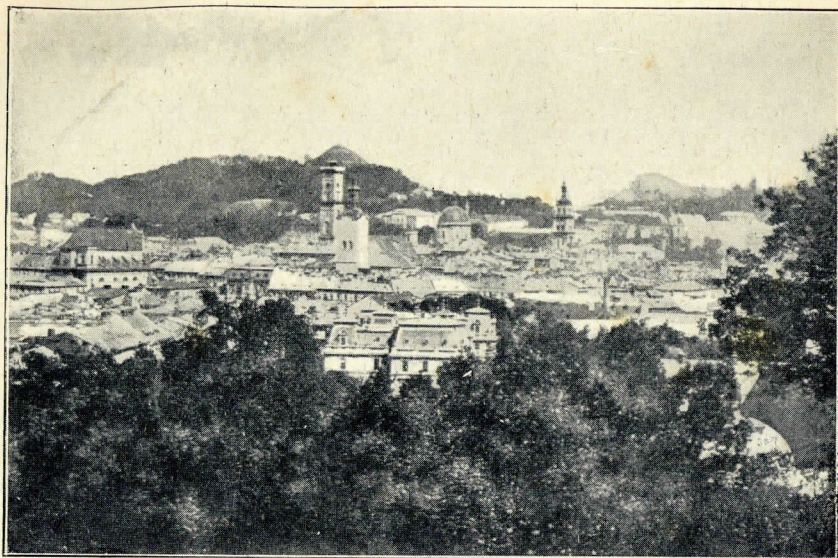
Zamek turecki nad Dniestrem w Chocimiu.

i odwagi, szli równie śmiało po zwycięstwo, jak i po śmierć, z głośnie pieśnią konfederacką na ustach:

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla Nieba wakansu.

Dla wolności ginę — wiary swej nie minę:
Ten jest mój azard.

Dziś cicho i spokojnie na Podolu: przeminęły czasy groźnych najazdów, krwawych walk i bojów; Kamieniec przestał być twierdzą, w Barze ani śladu po konfederatach, i dawne czasy żyją tylko we wspomnieniach, tylko dochowane tu i owdzie zabytki wywołują z mgły przeszłości pamięć lat minionych, ubiegłych chwil wielkości i sławy, zdobytych tryumfów i przeżytych klęsk!



Lwów: widok ogólny.

DO LWOWA

(Sebastjana Klonowicza).

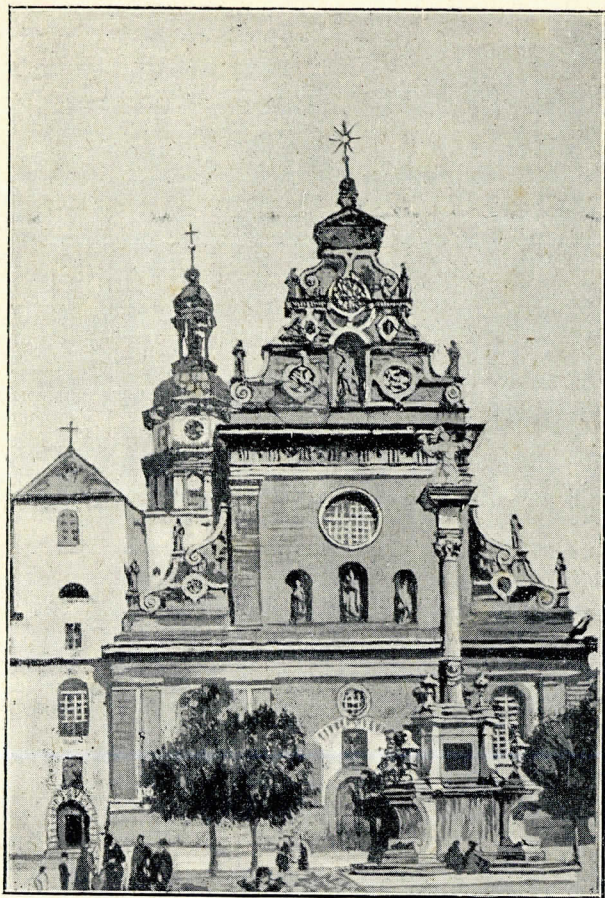
Dotąd wam lasy snułem przed oczyma,
 Teraz do miasta zabłądzić się musi.
 Tutaj Lwów święty przodkowanie trzyma,
 A wieże jego — to ojcowie Rusi.
 Witaj nam, grodzie poważny a stary!
 Miła w twych murach wypocznienia chwilka.
 Od ciebie wieje namaszczenie wiary,
 A bramy twoje zaparte od wilka.
 Lwowie kamienny! nowość cię nie mamy.
 Nie daj się zachwiać jako wątłe ziele!
 Wiekować tobie z twojemi basztami
 Z twymi kościoły i krzyżem na czele,
 I z twoją górą, co ku niebu idzie, —
 Łacno ją dojrzeć i w najdalszej stronie.
 Tuśmy gościnę dali Pierydzie *),

*) Pieryda to samo co muza.

Tu mieszka chętniej, niż na Helikonie *),
 Jak gość odwiedza świątynie i bramy,
 I woła głosem z płomienistą twarzą:
 Lwowie! my ciebie z cześcią pozdrawiamy,
 Bo losy świata w twych murach się ważą.
 Inny kraj skarby pojedyncze liczy,
 Tu wszystkie skarby gromadzą się cudnie;
 Bo tu jest ziemia, którądy graniczy
 Lodowa północ i wrzące południe.
 Co rodzi ziemia na północnej osi,
 Wiozą moskiewskie telegi i sanie;
 Co pod równikiem natura przynosi,
 Tu idzie łodem i po oceanie.

Owo włosaci handlowni Ormianie
 Przywożą towar ze Wschodu bogaty;
 U nich tureckich kobierców dostanie,
 U nich złotogłów i jedwab na szaty;
 Wonny cynamon, co lubimy tyle,
 Do ich towarów przywożnych się liczy;
 Pieprz, trzcina, imbir i słodkie daktyle,
 Kwiat muszkatowy i szafran dziewiczy.
 Tu, porzuciwszy macierzyste progi,
 Domem osiedli armeńscy mężowie,
 Wzniesli swój kościół obszerny i drogi,
 I swym obrządkiem modlą się Jehowie.
 Tu grecki Rusin i domami żywie,
 I grecką wiarę swobodnie wyznaje,
 I swoje cerkwie buduje szczęśliwie,
 I swojej cerkwie pełni obyczaje.
 Pamiętne miasto, urzędy i prawo,
 Wyniosłe wieże i wysokie bramy,
 Sarmackich królów gościnną zabawo,
 O święty Lwowie, gdzie chętni bywamy!
 Od twoich murów aż się mży powietrze,
 Twe szyby błyszczą, jak gdyby ogniska,
 Z twojemi baszty aż chmura się zetrze,
 A stopa twoja podziemie naciska.

*) Helikon—góra w Grecyi, z gajem i świątynią na cześć Apolla i muz.



Kościół Bernardynów we Lwowie.

RZUT OKA NA DZIEJE LWOWA.

Założenie Lwowa tak samo, jak i wielu innych starszych miast, gubi się w pomroce dziejowej. Istniał on niewątpliwie dawniej, niż to podają kronikarze. Pierwszą atoli historyczną wzmiankę o nim znajdujemy dopiero w wieku XIII, a dotyczy ona założenia w tym miejscu grodu warownego koło r. 1250 przez Lwa księcia halickiego. Działo się to w czasie wyniszczających i wyludniających najazdów tatarskich.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Lew był tylko odnowicielem Lwowa, przeszedł jednak do historii, jako jego założyciel. On to przeniósł do niego wkrótce potem stolicę księstwa z Halicza, jako do miejsca bezpieczniejszego.

Pod ochroną dwu zamków zaczęła się tu gromadzić ludność, ale że w kraju, wyniszczonym najazdami, nie było jej zbyt wiele, odrazu więc obok miejscowych Rusinów pojawili się tu Niemcy i osiągnęli wkrótce taką przewagę, że miasto przybrało charakter niemiecki i w dokumentach z tego czasu nosi nazwę Lemburga. Obok Rusinów i Niemców osiedliło się tam już wtedy dużo Ormian, Żydów, Tatarów, nadając miastu ten pstry charakter, z którego odtąd Lwów słynął zawsze.

Początkowo Lwów wzrastał i rozwijał się powoli; szybciej to poszło dopiero od Kazimierza Wielkiego i przyłączenia Rusi Czerwonej do Polski. Król ten może być uważany za drugiego założyciela Lwowa: i to miasto „zastał on drewnianem, a zostawił murowanem”: Wzniósł na górze nowy zamek, którego zwaliska przetrwały do dzisiaj; zbudował całą nową dzielnicę, nadał prawa, samorząd i rozmaite przywileje oraz uposażenia.

Odtąd dopiero Lwów zaczął się rozwijać szybko i naprawdę. Ściągali tu coraz liczniej Polacy, a z czasem obok nich i dawniejszych mieszkańców pojawili się tu przybysze nawet z dalekiego Zachodu, jak Włosi i Szkoci. Dzięki położeniu na wielkim handlowym szlaku Lwów stał się wkrótce ważną stacją przewozową, której żaden kupiec nie mógł ominąć; osiągnął też w połowie XV wieku światowe prawie znaczenie...

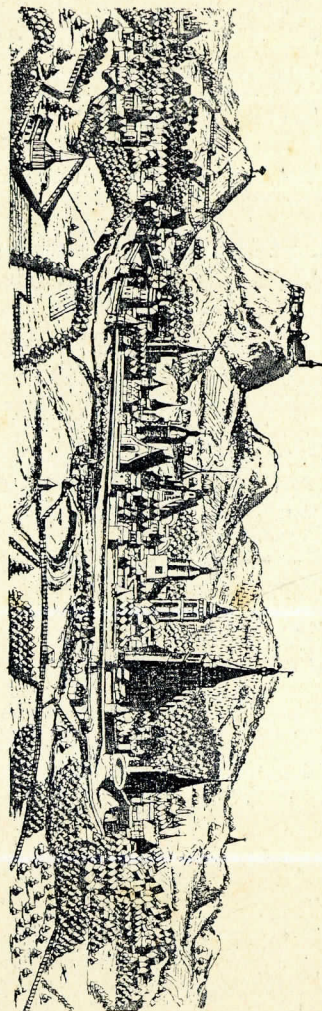
„Niemcy długi czas nabywali tu wszystkiego, czego im było potrzeba z dalekiego Wschodu. Rynek lwowski stał się targowiskiem rojnym i różnobarwnym kupców wszelkiej narodowości, pierwszym wielkim bazarem wschodnim dla Europy, na którym nie brakło niczego z produktów dalekiego Wschodu. Wina, bawełna, balsam, korzenie, kadzidło, drogocenne złoto i jedwabne tkaniny, kosztowne materye, jedwab, drogie kamienie, perły, koraliki, kość słoniowa, kobierce i t. p., słowem wszystko znajdowało się na składzie imperyum lwowskiego, nie wyłączając niewolnic i niewolników“.

(Dr Aleksander Czołowski. „Pogląd na Dzieje Lwowa“).

Wzrastał więc Lwów w bogactwa, dostatki i znaczenie, zabudowywał się i rozwijał coraz wspanialej, a jednocześnie tracił

dawny niemiecki charakter a przybierał polski: w r. 1415 dostał pierwszego kaznodzieję polskiego, w kilkanaście lat później za Kazimierza Jagiellończyka zjawia się w zarządzie miejskim pierwszy rajca polski, a od r. 1517 wszystkie akta miejskie prowa-

Lwów w XVII wieku.



dzone już są po polsku. W XVI wieku żywioł niemiecki uległ zupełnemu spolszczeniu, mieszczaństwo lwowskie stało się nawskroś polskiem, tylko z powodu pomieszania się różnorodnych narodów i ras, z których powstało, nabrało pewnych, swoistych i odrębnych cech.

Wiek XVII, czas poczynającego się rozprzężenia w kraju, czas strasznych najazdów i krwawych walk—odbił się też ciężko na losach Lwowa, choć wyszedł on z tych klęsk z honorem. Widział wówczas znów pod swymi murami dwukrotnie groźne zastępy Chmielnickiego, zniósł najdłuższe i najcięższe w swoich dziejach obleżenie, ale zniósł je dzielnie; miasto broniło się mężnie i z całym poświęceniem, by „wytrwać we wierze, którą swemu królowi oddało“; zapłaciło wprawdzie oba razy okup, ale nie poddało się i Chmielnicki musiał odstąpić od obleżenia.



Cerkiew Wołoska i kościół Dominikanów.

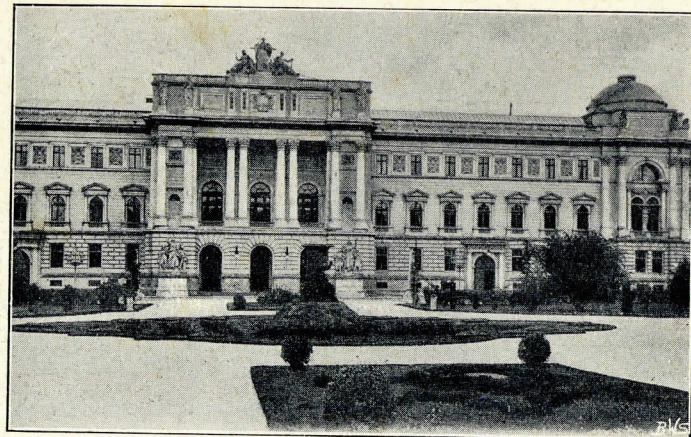
Zaledwie Lwów odetchnął po kozakach, gdy spadły nań nowe klęski: trzykrotnie w tym samym jeszcze wieku stawali pod jego murami Turcy i trzykrotnie odchodzili od niego bez skutku. W czasie jednego z tych najść obronił miasto sam król Sobieski, pobiwszy pod wsią Lesienicami (trzy ćwierci mili od Lwowa), z sześciotysięcznym rycerstwem 40,000 wojska tatarskiego. Bitwa ta jest jednym w najświetniejszych tryumfów króla Jana, a wieś Lesienice przewano następnie Zniesieniem na pamiątkę zniesienia wojsk nieprzyjacielskich.

Wyszedł więc Lwów z chwałą z tych zapasów i klęsk, ale podupadł ogromnie i zubożał bardzo z powodu okupów, jakie musiał kilkakrotnie płacić, z powodu wielkich kosztów wojen-

nych i olbrzymich strat, jakie poniósł jego handel w czasie tych ciągłych wojen, najazdów i oblężeń.

W dodatku nie był to jeszcze wcale koniec nieszczęść: Lwów nie widział już wprawdzie odtąd Turków pod swymi murami, ale zato w XVIII wieku zaglądali doń Szwedzi. Pomimo mężnej obrony, nieprzyjaciel zdobył miasto; następnie zrabował je, złupił i jeszcze obłożył ciężką kontrybucją (120000 talarów).

Stracił Lwów urok niezdobytej twierdzy, który posiadał przez kilka wieków, stracił pierwszorzędne stanowisko i nie-



Gmach sejmowy.

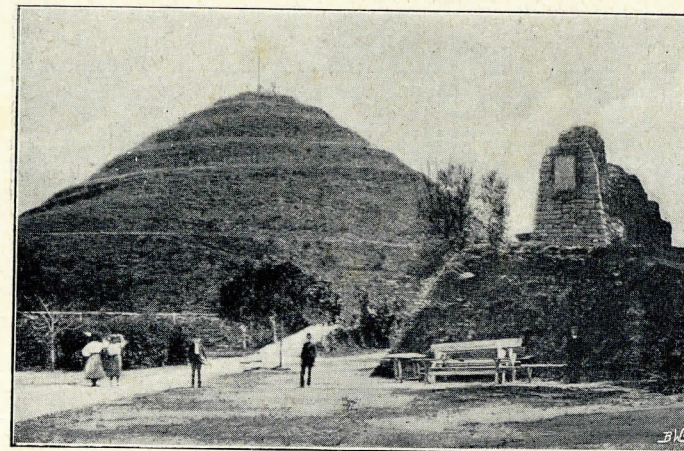
prędko się podniósł z upadku. Zajęcie go przez wojska Austriackie w r. 1772, po pierwszym rozbiórze Polski i wcieleniu Galicji do Austrii, odbyło się spokojnie, bez przeszkód i oporu.

Dopiero w wieku XIX zaczął się Lwów wznosić na nowo, przyozdobił się okazałymi budynkami, postwarzał instytucje cywilizacyjne i dobroczynne: obok Uniwersytetu i licznych szkół, posiada dziś słynny zakład narodowy imienia Ossolińskich ze wspaniałą biblioteką, Muzeum przyrodnicze imienia Dzieduszyckich i wiele innych godnych uwagi zakładów.

Z gmachów, czy to dawniejszych czy nowych, oprócz wyżej wspomnianych muzeów, zasługują jeszcze na uwagę: katedra, wykończona w wieku XV; cerkiew, zwana Wołoską od swych

fundatorów, gospodarów wołoskich (z w. XVII); cerkiew świętego Jura (skończona w w. XVIII, ale założona znacznie dawniej, w w. XIV), gmach sejmowy, teatr, Politechnika i wiele innych.

W roku 1869 w trzecieście rocznicę wiekopomnej Unii Lubelskiej usypano wyniosły kopiec na jej pamiątkę obok



Kopiec Unii.

szczątków zamku Kazimierzowskiego na górze, górującej nad miastem, a zwanej Wysokim Zamkiem.

Ma więc i Lwów swój kopiec, ma w swych murach liczne pamiątki ubiegłej przeszłości, ma świetne gmachy, jest dziś stolicą kraju, w żadnym jednak razie nie może się nawet równać z Krakowem, pod względem uczuć, jakie wzbudza w sercu każdego Polaka.



Widok Ukraiński.

4. WYŻYNA UKRAIŃSKA.

POGLĄD OGÓLNY.

Gdy wołyńskie łąny rzucisz
I na wschód swe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!

Wóz twój wbiegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza, —
I krew raźniej ruszy w żyłach,
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiat bieli stare kości...

Hej ku morzu, ku Czarnemu,
Ku limanu szerokiemu,
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! *) Sława Bogu!
Hulaj koniu, po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

(W. Pol).

Na południe od Wołynia, a na wschód od Podola, między Bohem a Dnieprem rozciąga się *Ukraina*, kraj graniczny, ukraiński, obszerna, lekko tylko falista równina o średnim wzniesieniu nie o wiele co przewyższającym 200 metrów. Pochyla się ona łagodnie ku południowi, tak samo jak Podole, i przechodzi ostatecznie w niż pobrzeżny, zwany dawniej *Dzikimi polami*, a przytykający do Dniepru, który, zakreślając wielki łuk, zamyka Ukrainę zarówno od wschodu, jak i od południa.

Wyżyna Ukraińska porznięta jest jarami, podobnie jak Podole, ale jary te nie ciągną się równolegle w jednym kierunku, jak tam, lecz rozchodzą się promienisto w różne strony, wody bowiem odpływają nie do jednej, ale do kilku rzek (Dniepru, Bohu, Siniuchy).

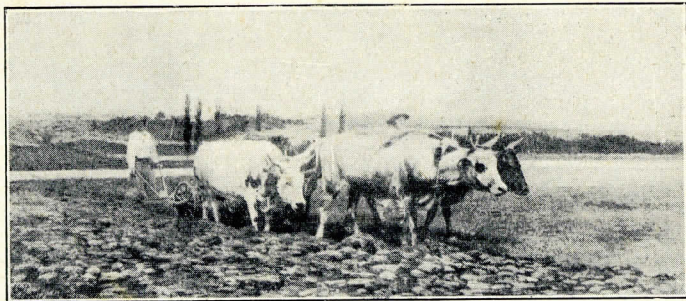
Kraina ta jest znacznie mniej urozmaicona i mniej malownicza, równa, otwarta. Tutaj, jak powiada poeta, „bez oporu oko ginie“, lekka falistość powierzchni zaledwie rzuca się w oczy, a jary, chociaż równie charakterystyczne, jak i na Podolu, są jednak znacznie płytsze i nie miewają nigdy górskiego charakteru, jak tam.

Posiadają atoli nieraz skaliste granitowe boki, a to dlatego, iż pod całą wyżyną Ukraińską ciągnie się olbrzymia płyta granitowa, której obnażenia widać już częściowo na Wołyniu i Podolu. Tutaj jest ona przykryta mniejszą liczbą innych po-

*) Słynny klasztor prawosławny w Kijowie.

kładów i dla tego granity łatwiej występują tu na jaw, zwłaszcza na dnie i bokach dolin Dniepru, Bohu oraz niektórych ich dopływów.

Na płycie granitowej spoczywają grubsze lub cieńsze warstwy rozmaitych iłów, glin, rzadziej piasku, przykryte jeszcze z wierzchu nadzwyczaj urodzajnym czarnoziemem, którego grubość dochodzi do 70 i 80 centymetrów, miejscami zaś nawet do półtora metra i więcej.



Orka na Ukrainie.

Jest to czarna, ciężka ziemia, tworząca w czasie deszczów niezwykle gęste i lepkie błoto, które łągnie w nadzwyczaj silnym stopniu do kół i do butów. Grzęzną też na drogach tutejszych wozy, a piesi z wielkim wysiłkiem wyciągają nogi z ich błota. Do uprawy ziemi trzeba używać pługów, zaprzężniętych w dwie, a nawet trzy pary koni lub wołów. Ale też zato jest to ziemia tak żyzna i urodzajna, jak mało gdzie, jedna z najżyźniejszych w Europie.

Zupełnie słuszny jest zachwyt Stanisława Trembeckiego, poety z końca w. XVIII, który poemat „Zofiówka“, napisany na cześć słynnego ogrodu w Zofiówce pod Humanem, zaczyna następującą pochwałą Ukrainy:

Miła oku, a licznym ożywiona płodem,
Witaj kraino, mlekiem płynąca i miodem.
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
Rozroślesze czabany twe błonie wypasa;

Baran, którego twoje utuczyły zioła,
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła.
Nasiona, twych wierzone bujności zagonów,
Pomnożeniem dochodzą babilońskich plonów.
Czernią się żyzne role.

Istotnie, cała prawie Ukraina odznacza się prawdziwie „babilońską“, czy „egipską“ rodzajnością. Wydajność jej atoli byłaby jeszcze większa, gdyby nie zbyt suchy klimat, nie zbyt mała ilość opadów.

Dzielnica ta, jako zajmująca południowowschodni kraniec ziem dawnej Polski, jest też najbardziej oddalona od wpływu wilgotnych, zachodnich wiatrów i dlatego posiada klimat najsuchszy na całym tym obszarze.

Stąd też woda jest tu rzeczą nadzwyczaj cenną, a gromadzenie jej i zachowanie na czas dłuższy — koniecznym warunkiem istnienia. Stąd taka obfitość stawów, które znajdują się tu przy każdej osadzie ludzkiej: niema tu wioski, ani miasta bez jednego, a nawet kilku stawów. Czasami pourządzano je tak blisko obok siebie, że stykają się prawie jeden z drugim. Dochodząc nieraz znacznej wielkości, o brzegach zarosłych trzciną i sitowiem, czyli jak tam nazywają oczeretem, sprawiają niekiedy najzupełniej wrażenie niewielkich jezior.

Stawy stanowią tu nieodzowną, charakterystyczną cechę krajobrazu. Mieszczą się zaś przeważnie w jarach, w których płyną strumienie i w których skupia się całe życie tej krainy.

Jar był szeroki i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pełen czaru —
Drzewina kwitła, dąb strzelał wyniosły,
A na dnie jaru jeszcze z nocnej rosy
Trawy nietknięte, — wdali jakieś skały,
Nad nami w krzewach leśnych ptasząt głosy,
A żywe wody pod nami zagrały...

Święty Onufry z brodą za kolana
Kłęczał w pustyńce wśród małej pieczary,
A wniście do niej brzost ocieniał stary,
A u stóp jego krynica rozlana

Żywym do jaru upływała zdrojem —
I jar oddychał uroczym pokojem,
I wonne jego owiały nas chłody.
A niżej nieco zbierały się wody
W stawku niewielkim, i turkotał młynek;
Dalej pasieka pośrodku kalinek,
A jeszcze dalej lasek czeremchowy.

(W. Pol).

Ukraina uboga jest w lasy, a to dlatego, iż drzewa, zwłaszcza młode, są niezmiernie wrażliwe na brak wilgoci, nie mogą więc wzrastać pomyślnie na tych suchych, odsłoniętych obszarach i wskutek tego lasy nie mogły się tu wytworzyć.

Nie należy jednak sądzić, żeby nie było ich tu już nigdzie: północna część Ukrainy, sąsiadująca z Wołyniem i posiadająca charakter przejściowy do tej leśnej dzielnicy, posiada jeszcze dość drzew. Ale lasy tejsze są już wyłącznie liściaste, najczęściej dębowe i przytem zwykle nieduże, poprzeplatane bujnemi łąkami, które tu noszą nazwę lewad.

W miarę posuwania się na południe lasy stają się coraz rzadsze i coraz mniejsze, aż wreszcie znikają zupełnie z odsłoniętych obszarów i znajdują się już jedynie w jarach, jako nieduże zarosty, złożone z mieszanych drzew liściastych.

W jarach też, w otoczeniu drzew mieszczą się zwykle futory, małe osady ludzkie, będące także jedną z charakterystycznych cech Ukrainy. Leżą one zwykle w pewnem nieraz dość znacznem oddaleniu od wsi i stanowią jakby oazę leśną na tle rozległego, bezdrzewnego krajobrazu.

Step ze swym suchym klimatem nie jest dziedziną drzew, lecz roślinności zielnej, trwałej lub jednorocznej, ziołom tylko bowiem może wystarczyć ten szczupły zasób wilgoci w okresie wzrastania i rozwijania się, jaki im daje step na wiosnę i w lecie.

Wogóle zresztą roślinność i zieloność stepów przemija bardzo prędko: na wiosnę, w kwietniu i maju po nastaniu ciepła i stajaniu śniegów rozwija się tu nadzwyczaj piękna i bujna roślinność zielna, która jednakże już z początkiem lata więdnie i przybiera szarżółte zabarwienie, grunt zaś cały pęka i rozpyla się od suchości. W jesieni ukazuje się na stepach nowa roślinność, ale znacznie brzydsza, złożona z gatunków suchszych,

mniej pięknie zielonych, ale zato lepiej przystosowanych do p suchy.

Gdy takie rośliny zwiędną, a siła wichrów jesiennych się wzmoże, wiatr odrywa je i toczy po stepie, splatając przytem w kuliste kłęby olbrzymiej nieraz wielkości. Są to tak zwane „rośliny biegające“, noszące także nazwę „czarownic stepowych“, albo z ruska „perekaty połe“. Te kłęby roślinne, toczone się po bezmiernej otwartej równinie, należą również do bardzo charakterystycznych zjawisk stepowych, dla flory zaś miejscowej mają takie znaczenie, iż umożliwiają rozsiewanie się nasion na szerokiej przestrzeni.

Stepy ukraińskie należą do trawiastych i na żyznej ich glebie trawy rosną bardzo dobrze i bujnie, nie stanowią jednak wyłącznej ich roślinności, chociaż odgrywają tu rolę przeważającą. Według profesora Rehmana (Ziemie dawnej Polski) trawy pod względem liczebności gatunków stanowią dziesiątą część flory stepowej (103 gatunki na ogólną liczbę 1120), przewyższają zaś znacznie inne gatunki liczebnością okazów.

Obok nich zaraz można postawić tak zwane bodiaki. Są to przeważnie różne gatunki roślin złożonych—zwłaszcza ostów, ostrożni i chabrów, a także szczeciowatych, niektórych baldaszkowatych, jak np. ładne mikołajki i wielu innych. Bodiakami zowią tam wogóle wszystkie rośliny kolczaste o kłujących łodygach i liściach. Bodiaki rozwijają się bardzo bujnie i dorastają ogromnej wysokości, tak, że w gęszczu ich może nieraz ukryć się nawet jeździec na koniu.

Bardzo obrazowo i malowniczo przedstawił Malczewski w znanym poemacie „Marya“ pochod wojska Miecznika przez dziewiczy, niezmierzony step i znikanie rycerzy w morzu bodiaków:

Tymczasem wieś minawszy, z bitej schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiej wpędzali w odłogi,
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu chciwość, ni schyla się praca:
Samotne, ciche, błogie, dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki.
Niebo je obejmuje, gdy w całym przestworze
Rozfarbionej żyzności rozciąga się morze.

Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca
Szybował swoim wojskiem, w kierunku bez końca;
Łamiał się rosie trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła.

Rozdzieliwszy wojsko na dwie części, Miecznik jedną pozostawił, a sam wyruszył z drugą.

Do zostających czapką kiwnął pożegnanie,
Z swoimi w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodiaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie,
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie,
Już kołpaki, proporce, już znikli jak w wodzie.

Wogóle dzięki żyznej glebie i ciepłemu klimatowi rośliny stepowe dochodzą przeważnie znacznych rozmiarów, a olbrzymie, rozrośnięte i wyrośnięte okazy różnych ich gatunków znane są pod miejscową nazwą burzanów, o których wspomina Mickiewicz w opisie stepu:

Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Pomimo przewagi traw i bodiaków kłujących, roślinność stepów nie jest bynajmniej jednostajna, znajduje się tu bowiem mnóstwo innych gatunków, urozmaicających w okresie wegetacji zieloność traw pstremi barwami kwiatów. Zresztą nie zawsze i nie wszędzie step wygląda jednakowo: zależnie od gleby odznacza się większym bogactwem i większą pstrociną gatunków, lśni się większą różnorodnością kwiatów i barw, albo też przybiera charakter bardziej jednolity; zależnie od pory roku zmienia się również w zupełności jego wygląd. Słowem, choć niby jednakowy, przedstawia się coraz to inaczej w każdej porze i w każdym miejscu, zawsze jednak silnie działa na wyobraźnię i sprawia potężne wrażenie tą odrębnością niezmierzonych równin, tem morzem roślinności zielnej, tym całym odmiennym charakterem, tak ostro odbijającym od widoków, do których przywykliśmy w Europie środkowej.

Można przekładać nad nie majestatyczne turnie Tatrzańskie, można się zachwycać bardziej wesołymi wzgórzami Krakowskie-

go, albo czuć więcej przywiązania do ciemnych borów Mazowieckich lub posępnych, podmokłych lasów Polesia, nie można jednak odmówić piękności i swoistego uroku stepom Ukraińskim.

Tylko że zobaczyć je teraz nie łatwo. Znikły one prawie wszędzie, ustępując miejsca polom uprawnym. Odślonięte bezleśne równiny pozostały i dzisiaj, ale miejsce obszarów trawiaszych zajęły na nich niezmierzone łany pszenicy, kukurydzy, buraków i innych roślin uprawnych, wydających obfite plony na żyznej ukraińskiej glebie.

Słusznie powiada profesor Rehman, że dziś „nie łatwo jest opisać stepy tej krainy z tej prostej przyczyny, że ich już nie ma“. Przed laty kilkudziesięciu istniały one jednak jeszcze, a o uroku ich i piękności najlepiej świadczą liczne opisy prozą i wierszem, ślady zachwyty, jaki wzbudzały one u przybyszów z innych dzielnic Polski, dowody przywiązania i gorącej miłości u tych, co się tam urodzili i wzrosli.

Słowacki, zachwycony pięknnością stepów, woła:

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wietrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko brzmi burzanów morze;
Mogły głosem wołają straszliwym.

A Zaleski, urodzony i wychowany na Ukrainie, mieszkając później stale na obczyźnie, daleko od stron rodzinnych, tęsknił do nich zawsze, głosił zawsze piękność stepów, prosił Boga:

Boże mój, Boże, łzami modłę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę w niebie!

ZE STEPŲ.

(Z Wincentego Pola „Obrazów z życia i natury“).

Kogoż nie zbiedzi i kogoż nie znudzi
Na Ukrainie ta rozkał wiosenna?
Lecz co za rozkosz, gdy się ziemia senna
Po długiej nocy znowu ze snu budzi!
Wówczas się wiosna do razu już robi,
Bo to zaledwo że się śnieg roztopił,
A tu wiatr ciepły, i deszczyk przekropił,
I już zielono — i ziemia się zdobi
W trawy i kwiaty, — zwierz opuszcza nory,
A w pole wabi nadzieja i praca,
Step się uśmiecha i kwitną futory,
I co dzień nowe ptactwo do gniazd wraca.

Piękną jest roślinność stepów na wiosnę — dziki szparag, tulipan polny wykwława się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry... Szumnie idzie burzan i łoboda, ostro idzie oset, a gdy później trawa huknie, to trawy w pas, burzan wyżej głowy, a w bodiakach uchwaja się chłop na koniu i z dzidą, i jest do czego konia uwiązać. W tej puszczy bodiaków, w tem morzu traw niezbrodzonych—przeżywia się mnóstwo niespłoszonego zwierzka i dzikiego ptactwa wszelkiego rodzaju!... Jak nad morzem, przeciągają nad stepem łańcuchy żórawi... Tabun dzikich koni przegania pustopasz... W trawach leżą woły stadami... Dropie gnieżdżą się w zbożach, a nocują na otwartych przyczółkach... Po jeziorkach i haławach*) tłucze się dzikie ptactwo... Lis przemyka komesze**)... Wilk obywa w oczeretach... Czujnie strychuje wyżeł i chwyta wiatr z wysoko! Tam burknęła kić kuropatew — tu zerwał się z pod nogi zaspany puhacz stepowy!... Na wznak przewrócone, zamrużywszy oczki, grzeją się pardwy do słońca, a na nie bije sokół z góry!... Susły i homiaki***)) ryją grunt odłogi. Czasami przemknie dzika koza lub polna łasiczka i zginie w bodiakach...

*) Haława — wielka, odsłonięta część stawu.

**) Komesze — gąszcza, krzaki.

***)) Chomiki.

Z wierzchu stoga klekoce na żer mały orlik... Po zacisznych uroczyskach staczają ptasze boje sporne bataliony... W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żórawim szyku pustkowiec... Pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stepy orzeł zaporoski!...

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny — tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I urocza jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu! W czasie upałów letnich powiewa od wschodu wiatr spiekły. Aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach rozpalone powietrze wali się wschodnimi wiatry—niesione spiekłą powodzią na Dniepr, i cała noc nie wystarcza nieraz na wychłodzenie tej spieki. Kiedy po zupełnem uciszeniu się wiatru słyhać tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą — zda się, jak gdyby z gorejącego pieca upał powionął... Zwierz szuka jamy — ptactwo sowiej—roztwiera dzioby i opuszcza skrzydła — a człowiek opada z sił i z myśli... Termometr wznosi się naówczas nieraz na 30°, a nawet 34° ciepła w cieniu.

Tenże sam wiatr wypala także na polu oziminy i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny lub w połowie lata smutnym jest ich widok.

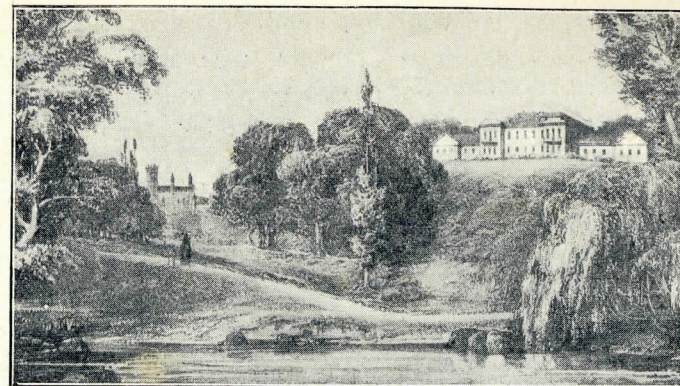
Zżółkłą, rudą mietlicą porastają trawy, lasy bodiaków wywiedle osypują puchy... Oczerety spłowiwały... Na wypasionym stepie szeroko popękała ziemia. Widnokrąg przybliżył się oku. Pomniejsze wyschły jeziora. O milę i o dwie pędzą spragnione stada do pojęcia... Niebo jak za mgłą... Czerwoną strężogą zadętą, bez jasności promiennej, stoi słońce samotnie na niebie — i step paszeje zgorzały — i odłogi leżące ziemie jałowięją... W powietrzu cicho — tylko gdzieś w dali przegania tuman kurzawą — a gdy się młyńcem zawinie, idzie słupem wysokim w niebiosy, rwąc pod się pokosy trawy i prochy ze stepu!... Naówczas to, kiedy spiekły wiatr jeszcze powieje, zda się, iż kropli wody niema w powietrzu, ani na ziemi.

Piękną jest noc na stepie!... Czasami nad wieczorem ucisza się wiatry — i tak spokojnie w powietrzu, iż nawet gwarliwie milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy... Głęboko roztwiera się niebo — i jaśniej niż

nad puszczami wyiskrza się mleczna droga... Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i strzyże czujnie uszyna, a głucho na milę tętni ziemia tabunami zbity!... Spokojnie pod mogiłą gore ogień nałożony z wyschłego burzanu... Słysząc lot dzikich kaczek, wracających stadami z żeru na jeziora... Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy!... Za łupem lecą ziemne sowy i wrzaską czasami! Przepiórki wabią się w zbożach—bąk wodny huka po trzcinach!...

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy — nisko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej — a na krótkiej świętojańskiej nocy, zaledwo zgasła na zachodzie, a już ciż świta od wschodu — i zda się, że jej jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła...

Mgły lekkie ślać się poczynają — gwiazdy blednieją — ognisko popieleje... Koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi — a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wichur stepowy od wschodu!...



Monasterzyszcze — Pałac Leona Podoskiego. W ogrodzie stoi altana na miejscu, gdzie Stefan Czarniecki w r. 1665 został raniony kulą w podniebienie, walcząc przeciwko kozakom, dowodzonym przez Drozdeńkę i Bohuna.

Z PRZESZŁOŚCI UKRAINY.

Cicho a cicho leży ziemia matka,
Choć tyle razy kopyty zorana —
Niemo a niemo stoi jak zagadka
Stara mogiła w stepach usypana...

Jakiemże różnem a różnem obliczem
Ku niebu patrzy z tego wyniesienia?
Jakimże głosem dziwnie tajemniczym
Do żyjącego mówi pokolenia?..

(W. Pol).

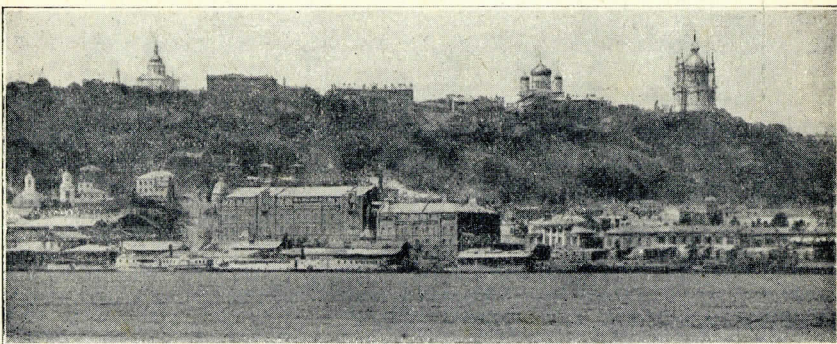
Stepy Ukraińskie nie mają gór, ale zato jednostajność ich równiny urozmaicają kurhany i mogiły, wysokie kopce, usypane na pamiątkę walk i bojów, których widownią była ta kraina od najdawniejszych wieków. Niektóre z nich sięgają bardzo odległej przeszłości.

Kraj otwarty, dostępny ze wszech stron, od przedhistorycznych jeszcze czasów widywał różnych koczowników, którzy przeciągali przezeń, obozowali tu i paśli swoje stada albo staczali krwawe walki. Krwia też od wieków przesiąkła ta ziemia,

a liczne kurhany są jedynymi świadkami i pamiątkami zamierz-
chłych i późniejszych dziejów tej krainy.

Bojów i walk nie brakło tu nigdy. Trembecki w poema-
cie pod tytułem „Zofiówka“, opisawszy żyzność ziemi ukraiń-
skiej, zaraz potem wspomina o tych krwawych dziejach.

Czernią się żyzne role; lecz bryły tej ziemi,
Krwia przemokły, stłuszczone ciała podartemi.



Kijów. Widok z za Dniepru.

Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
Ząbce słońców i perskie wykazuje szczęty;
W tych gonitwach, od obcych we środku poznany,
Szesnaście potem razy kraj odmienił pany.
W nim to najsroższe z Azyą potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopcy.
W leciech niższych otwartej choć nie było wojny,
Utrapiał Ukrainę pokój niespokojny:
To siczowe nachody, to tauryckie hordy,
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy;
Dzicz wewnętrzna, częsty rozruch i sąsiad niemiły
Majętniejszych opodał mieszkać niewoliły.

Istotnie kraj tu często zmieniał panów, coraz to inne ludy
ukazywały się na jego stepach, coraz nowe hordy przeciągały
przez nie.

Nie dotykając czasów dawniejszych, wspomnimy tu jedy-
nie o Tatarach, którzy ukazali się na stepach ukraińskich poraz
pierwszy w wieku XIII.

Zajawszy stepy na północnych brzegach morza Czarnego
i Azowskiego, urządzali oni stąd przez kilka wieków szereg strasz-
nych najść na Ruś, Polskę, Wołoszczyznę, szerząc wszędzie po-
żogę, śmierć i spustoszenie, uprowadzając ze sobą w jassyr ty-
siące jeńców.

Ukraina pierwsza zawsze widziała tych najeźdźców, osied-
lonych tuż u samej jej południowej granicy, przez nią prowa-
dziły główne ich szlaki, na północ i zachód—do Polski.

Szlak tatarski nie była to zwykła, utarta kupiecka droga,
nie była to wogóle droga, lecz jedynie kierunek drogi, prowa-
dzący tak, aby wymijać główne rzeki i jary, a więc działami
wodnymi. Szlak taki szedł wprost stepem, za drogowskazy na
nim służyły mogiły, a szerokość odpowiadała sile ciągnącego
czambułu czyli wojska tatarskiego. Zazwyczaj rozciągał się on
wszerz „na dwoje strzelanie z łuku“; czasami jednak, gdy szła
cała horda, potrzebująca więcej trawy na paszę, miewał i po pa-
rę mil szerokości.

Odpowiednio do głównych działów wodnych, było dwa
główne *szlaki*: *Czarny* między Dnieprem a Bohem i *Kuczmań-
ski* między Bohem a Dniestrem.

Był jeszcze trzeci szlak—*Wołoski*, prowadzący na południe
od Dniestru przez Wołoszczyznę wprost na Podole ku Kamień-
cowi, ale ten nie dotykał wcale Ukrainy.

Horda ciągnęła szlakiem, urządzając po drodze nieustanne
wyprawy boczne w obie strony ku bogatszym i bardziej zalud-
nionym okolicom, które łupiła i pustoszyła, aż dopóki napotka-
ne wojska koronne nie dały jej należytego odporu i nie zmu-
siły do odwrotu.

Odpór ten, o ile możności dawano na Ukrainie, ona też
bywała widownią najkrwawszych walk. Wisiało tu nad głową
nieustannie niebezpieczeństwo, groziła wieczne śmierć, ale nę-
ciła nadzwyczaj żyzna ziemia, ciągnęło wolne życie na mało za-
ludnionych obszarach.

To też, choć każdy najazd tatarski obracał w perzynę wsi
i gospodarstwa, choć tysiące ludzi uprowadzał w wieczny jas-
syr,—na miejscu ich zjawiali się wciąż nowi przybysze z całej

Polski i Rusi, odbudowywali zgliszcza, zakładali nowe gospodarstwa, i życie znów wrzało po jarach, futorach i wioskach. Trwałych budowli, któreby przetrwały wieki, nie sposób tu było wznosić. Jak powiada Malczewski:

Myśl przeszłości w tej całej krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie—chyba lot zwinawszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzałe leżą,
I kości, co niewiedzieć do kogo należą.
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozległe w świeżem jeszcze cieple;
Ale po polach błądzi nie sparszy się na nic,
Jak rozpacz—bez przytułku—bez celu—bez granic.

Powolna jednak, ale wytrwała kolonizacja robiła swoje, i kraj zaludniał się i zabudowywał coraz bardziej, choć wszystko tu miało zawsze cechę prostą, niewyszukaną, a wojenną. A tak samo, jak na Podolu i Wołyniu, ponad wsiami i futorami powstawały tu fortuny magnackie wielkich panów, którzy, zagarnawszy pod swą władzę ogromne niezaludnione obszary, kolonizowali je, bronili ich i rządzili nimi.

Możliwość wolnego, niezależnego życia ściągała na stepy różnych ludzi nie tylko z Rusi i Polski, ale także z Węgier, Wołoszy, zarówno szlachty, jak i chłopów. Ludzie ci nie zawsze zakładali tu gospodarstwa, nie zawsze trudnili się pracą, ale nieraz prowadzili niezależne życie na sposób tatarski, na pół koczowniczy, utrzymując się z myśliwstwa i rybołówstwa, a także łupiąc przejeżdżających kupców i napadając na Tatarów. Żyli oni wiecznie z bronią w ręku, tworząc mniej lub więcej luźne drużyny wojenne.

Drużyny te z czasem przybrały charakter bardziej stały, a członków ich przewano z tatarską Kozakami, która to nazwa oznacza jeźdźca lekko uzbrojonego. *Kozacy*, urósłszy w liczbę i siłę, stali się z czasem ważną placówką obronną przeciwko Tatarom, ale przez swą niesforność i łupieżczość bywali przyczyną wielu klęsk i nieszczęść dla Rzeczypospolitej.

Część ich, tak zwani Kozacy rejestrowi, weszła (w w. XVI)

w skład stałych wojsk Rzeczypospolitej; część utworzyła jakby samodzielne państwo, osiedliwszy się na niedostępnych ostrowach Niżu Dniepru poza porohami. Założyli oni tam na wyspie Chortycy obronny gród, zasiek, przewany od tego *Sicz*; sami zaś znani byli pod nazwą *Zaporożców* albo *Niżowców*.

Kozacy odznaczał się nadzwyczajnym męstwem, dochodzącym do zuchwalstwa, niezwykłą obrotnością, pogardą śmierci, znakomitą wyćwiczeniem w jeździe konnej, doskonałym orientowaniem się w bezmiernych obszarach stepowych.

Jak strzała schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny Kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step—koń—Kozak—ciemność—jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął—w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

(A. Malczewski).

Wyświadczały też nie jedną przysługę Polsce, stając mężnie wraz z wojskami Rzeczypospolitej w jej obronie, ale byli zarazem przyczyną nieustannych zamieszek u jej granic, czy to wskutek łupieżczych napadów na kupców, waśni i nieporozumień z osiadłą szlachtą, czy wskutek nadzwyczaj awanturniczych i śmiałych wypraw nie tylko do Tatarów na Krym, ale i na południowe brzegi morza Czarnego do Azji Mniejszej i Carogrodu, które to wyprawy stawały się zwykle powodem zatargów z Turcją.

Ale co jeszcze gorsza, niesforność i swawola kozaków z jednej strony, a nadużycia magnatów Ukraińskich i uciskanie przez nich włościan z drugiej wywołały opłakane w skutkach bunt i wojny kozackie oraz powstania chłopskie na Ukrainie.

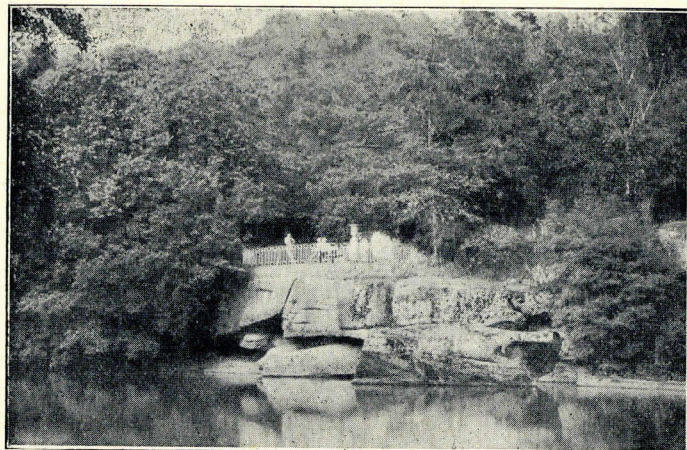
Bunt i ruchy zaczęły się w końcu wieku XVI i trapiły Polskę przez lat 200 do końca jej samodzielnego istnienia.

Szczytowym punktem tych walk z Kozakami, był głośny bunt Chmielnickiego, który przez lat kilka wstrząsał nie tylko wschodnimi kresami Rzeczypospolitej, ale oparł się aż o Lwów i stał się w ogóle przyczyną znacznego osłabienia potęgi Polski. Końcowym zaś strasznym bunt chłopów Ukraińskich tak zwanych Hajdamaków w r. 1768, kiedy w samym tylko Humanu od noża ich zginęło około 20000 ludzi. Pamiątek po tej rzezi nie zostało,

ale pamięć jej żyje do dziś dnia i z nazwą *Humania* związało się na wieki wspomnienie strasznej rzezi humańskiej.

Dziwnym zbiegiem okoliczności miasto to posiada pamiątkę o wręcz przeciwnym charakterze—prześliczny ogród, zwany *Zofiówką*, założony przez ukraińskiego magnata Szczęsnego Potockiego, jednego z Targowiczan, dla żony Zofii i na jej cześć nazwany

Nie szczędząc kosztów, w miejscu, gdzie jak powiada Trembecki, piewca Zofiówki „chudą pierwej golizną świeciły pa-



Ogród w Zofiówce.

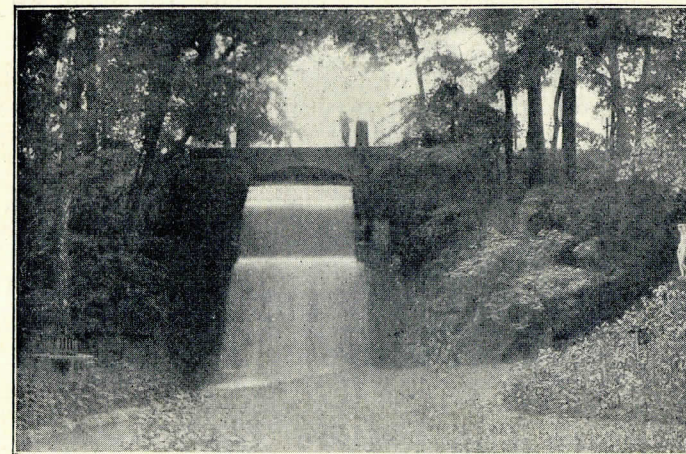
górki“, Potocki pourządził skały, groty, tunele, strumienie z kaskadami, kwietniki i laski,

Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy
Są z Libanu, z Atlasu, z Antypodów krzewy.

Słowem, stworzył rzecz nadzwyczaj piękną i malowniczą, a tem większy wzbudzającą podziw, że wszystkie te cuda są dziełem nie natury, lecz sztuki, że wszystko to zostało zrobione rękami ludzkiemi.

Trembecki wierszowany opis Zofijówki kończy następującym ustępem:

Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka leć szumem,
Gdy słuch zaprzęta brzękiem i wejrzenia bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła.
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane,
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą od siebie większą Kamionka wypada.
Kto gajów tuskulańskich *) smakował ochłody,



Widok Ogródu w Zofiówce.

Kto uwieńczył Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pazylipu **) przebywał wydroże,
Jeszcze i Zofijówce zadziwiać się może.
I przyzna, jeśli szczerłość usty jego włada,
Czem tamte w częściach słyną, ta razem posiada.

*) Tuskulum, Tybur—dawne miasta rzymskie, słynne z malowniczego położenia i pięknych willi znakomitych Rzymian.

**) Pauzylip—góra koło Neapolu, słynna z ogromnej groty, przez którą prowadzi podziemna droga z Neapolu do Puzzuoli.

Ogród Zofiowiecki istnieje i dzisiaj i tak samo wzbudza dziś zachwyt i podziw zwiedzających, ale zarazem nasuwa smutne myśli, gdy się go porówna z Puławami Czartoryskich lub Krzemieńcem Czackiego.

I tu i tam, w tym samym mniej więcej czasie powstały rzeczy pamiątkowe staraniem, wolą i pieniędzmi magnatów, ale gdy nadwiślańskie Puławy i Krzemieniec wołyński miały służyć i służyły dobru publicznemu, ukraińska Zofiówka zaspokajała jedynie osobistą zachciankę wielkiego pana, służyć miała wyłącznie dla rozrywki jego żony.

Na rozhukanych, zbroczonych krwią i niepewnych jutra kresach, wyrabiały się wprawdzie charaktery, rozwijało się męstwo i odwaga, czynni byli tacy ludzie, jak Mohort „ostatni rycerz z pod szyszaku”; ale też z drugiej strony krzewiła się tu samowola, rosła buta i pycha, prywatnie przybierała takie rozmiary, jak nigdzie.

I oto również trwały jej pomnik, choć bez pamiątek i bez pomnika: nie zbyt daleko od Humania, na brzegu Siniuchy, na granicy Dzikich Pól stoi nędzna miejscina, a jednak na dźwięk jej imienia wzdrzgnie się każdy. To—*Targowica*, miejsce związania haniebnego konfederacji targowickiej, wieczny pomnik, jak daleko posunąć się mogą zaślepiona pycha i prywatnie.

Dziś przeminęło już wszystko. Całe wolne i szerokie życie Ukrainy, z jej stepami, bojami, hartem i niesfornością—należy już do bezpowrotnej przeszłości, żyje jedynie we wspomnieniach i pieśniach.

Miejsce stepów zajęły olbrzymie, żyzne łąny zbóż, które jednak w tym swoim ogromie zachowały coś z wielkości stepów: „Nic bardziej zajmującego jak wielka warcabnica uprawnych ról i łąnów w krainach stepowych, mianowicie zaś w czasie, kiedy każdy rodzaj zboża inny przybiera koloryt, a łąny hreczki kwitnącej, wydają się zdaleka do wielkich jezior lub stawów podobne; szmaragdowa zieloność ozimych posiewów ćmi i mieni się po czarnych rolach tak bujno, że kiedy stado gawronów na zaruniony łąn spada, ginie rozbita chmura ptactwa w tym runie, jakby cudem do razu, i zaledwo pojąć można, jak i na czem się ta chmura rozbiła”.

(W. Pol. Obrazy z życia i natury).

Zamiast długich szeregów wozów czumackich, które daw-

niej woziły zboże do morza Czarnego a stamtąd przywoziły sól lub inne towary, dziś widać pociągi z długimi sznurami pędzących w świat wagonów. Wsi i miasteczka nie potrzebują dziś obawiać się najazdu tatarskiego.

Wszystko się zmieniło, wszystko dziś inaczej. I tylko otwarty charakter krainy, tylko kurhany, widne tu i owdzie, tylko postawa i typy ludowe w niektórych zwłaszcza miejscowościach budzą wspomnienia dawnych czasów i minionej przeszłości.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A młójec każdy wojec,
Raźny, harny—a od lica,
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew koszowych;
A jak krew ich w żyłach bije
Tak ich pamięć w pieśniach żyje.

(W. Pol).



U NAS INACZEJ

(J. B. Zaleskiego).

Smutnoż tu, smutno, bracia, za Dunajem,
I w oczach mokro, bo sercami tajem!
Ludzie nas nudzą i świat cały nudzi;
Cudzo, oh! pusto, wśród świata i ludzi!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!..

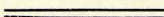
U nas inaczej! I bujnie i miło:
Hej! nie zastępuj na drodze, mogiło!
Nie ściel się cieniem!.. niech sokole oko
Kąpie w burzanach lubo a szeroko!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!..

U nas inaczej! Ponad Ukrainą,
Wskroś okolicą jarzącą się, siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmacony!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!..

U nas inaczej! Co zaśpiewam w dumie;
Co w głowie knowam, brat koń mój rozumie;
Rzy po swojemu: czy tabun pamięta?
Oh! za wolnością tęsknimy bliźnięta!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej.

U nas inaczej! Wciąż nuta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby,
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale,
O ich minionych i bojach i chwale!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!..

U nas inaczej! Miłość i tęsknota
To jak dwie prządkie naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modłę Ciebie:
Jak umrę, daj mi Ukrainę w niebie!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!..



WYKAZ DOSTRZEŻONYCH OMYŁEK.

Str.	wiersz	wydrukowano	ma być
72	11 od góry	pokornieje	i pokornieje
87	1 „ „	(opuszczono tytuł)	2. <i>Tatry</i>
89	podpis pod ryc.	Garlach	Garłuch
109	10 od góry	Przełęcz Lopową	Przełęcz Lodową
113	9 „ „	(tutaj) 3. Beskid Nizki	2. Beskid Nizki
117	1 „ „	(tutaj) 4. Beskid Wysoki	3. Beskid Wysoki
215	3 „ „	Zieleń	Zielem
216	22 „ „	Sokoła	Sokola
219	5 „ „	ojcowskiego	Ojcowskiego
220	9 „ „	dziejów	ziejowe
„	13 „ „	jeden na drugim	jeden za drugim
224	4 od dołu	Św! Łukasz	Św. Łukasz



SPIS RZECZY.

	Str.
Pozdrowienie (z „Pieśni Janusza“ W. Pola)	1
Ogólny pogląd na ziemie polskie	3
Do Wisły (A. Czajkowskiego)	11
O Wiśle i jej dopływach	14
Dopływy Wisły (Deotymy)	24

O PRZYRODZIE ZIEM POLSKICH.

Klimat	26
Gleba	28
Roślinność	32
Zwierzęta	45
Bogactwa mineralne	60

I. KARPATY.

Pogląd ogólny na Karpaty Polskie i ich podział	64
--	----

1. Beskid Zachodni.

Rzut oka ogólny	65
Źródła Wisły	66
Babia Góra	70
Pasma Niedźwiedzia i Gorców	73
Turbacz (Wł. Orkana)	75
Góry nad Dunajcem i Popradem	77
Czorsztyń i Niedzica	79
Dunajcem przez Pieniny	84

2. Tatry.

Pogląd ogólny na Tatry	87
Na halach (St. Witkiewicza)	97
Kozice (M. Nowickiego)	100

	Str.
Sabała i niedźwiedzie (St. Witkiewicza)	103
Morskie Oko (K. Tetmajera)	105
Ranek nad Morskim Okiem (St. Witkiewicza)	106
Z wycieczki na Śpiczasty (T. Radlińskiego)	108
Wiatr halny (St. Witkiewicza)	111
Pozdrowienie (K. Tetmajera)	112

3. Beskid Nizki.

Rzut oka ogólny	113
Na odpust za Beskidem (W. Pola)	114

4. Beskid Wysoki.

Pogląd ogólny	117
Pieśń góralska (J. Korzeniowskiego)	121
Wycieczka na Czarnohorę (K. Chmielewskiego)	123

II. ŚLĄSK I KRAINA PODKARPACKA.

I. Śląsk.

Pogląd ogólny	129
1. Księstwo Cieszyńskie	130
Wieża Piastów (Grimma)	134
2. Nizina Odry	135
Na Piastowym Śląsku (M. Konopnickiej)	138

II. Kraina Podkarpacka.

Pogląd ogólny	140
1. Zachodnia część Podkarpacia	142
Puszcza Niepołomska	148
Kopalnie soli w Wieliczce	151
Kopalnie nafty w Wietrznie (Br. Znatowicza)	158
2. Wschodnia część Podkarpacia i Pokucie	161
Z wycieczki na Podkarpacie (A. Sujkowskiego):	
1. Halicz	166
2. Borysław	170

III. PAS WYŻYN POŁUDNIOWYCH.

Pogląd ogólny	173
-------------------------	-----

I. Wyżyna Śląska.

Zagłębie węglowe	174
W kopalni węgla	182

II. Wyżyna Małopolska.

Pogląd ogólny	190
-------------------------	-----

	Str.
1. Wyżyna Olkuska	191
Jałowość gleby i bogactwa mineralne wyżyny olkuskiej (Al. Janowskiego)	194
2. Pasma Krakowsko-Wieluńskie.	
Pogląd ogólny	196
Kraków i jego okolice	198
Pieśń o Krakusowym grodzie (W. Pola)	206
Historyczne znaczenie i pamiątki Krakowa (D-ra F. Konecznego)	208
Ojców	215
Zamki w pasmie Krakowsko-Wieluńskim	220
Z Jasnej Góry (Z. B.)	223
3. Wyżyna Nidy.	
Pogląd ogólny	228
Proszowiaczy i Skalmierzacy	235
Wycieczka w Krakowskie (K. Hofmanowej)	237
4. Pasma Kielecko-Sandomierskie.	
Pogląd ogólny	241
Klasztor na Łysicy (St. Żeromskiego)	250
Z historii kopalni Chęcińskich (Al. Janowskiego)	253
III. Wyżyna Czarnomorska.	
Podział	255
1. Wyżyna Lubelska.	
Pogląd ogólny	256
Z dziejów ziemi Lubelskiej	261
Kazimierz (Al. Janowskiego)	268
Puławy (Al. Janowskiego)	271
2. Wyżyna Wołyńska.	
Pogląd Ogólny	274
Droga z Polesia na Wołyń (E. Felińskiej)	280
Z dziejów i wspomnień Wołynia	284
3. Wyżyna Podolska.	
Pogląd ogólny	290
Ze wspomnień dziejowych Podola	299
Do Lwowa (S. Kłonowicz)	306
Rzut oka na dzieje Lwowa	308
4. Wyżyna Ukraińska.	
Pogląd ogólny	314
Ze stepu (W. Pola)	322
Z przeszłości Ukrainy	325
U nas inaczej (J. B. Zaleskiego)	334

WYDAWNICTWA

Księgarni J. Lisowskiej

Marszałkowska 101, w Warszawie.

BOJARSKA HELENA. Serdeczne życzenia. Zbiór najnowszych powinszowań kop. 20, karton.	30
DANIŁOWSKI GUSTAW. Na Wyspie. Poemat, wyd. 3-cie kompletne, w ozdobnej okładce	75
DYGASIŃSKI ADOLF. Na odlocie. Zbiór nowel z życia ludzi i zwierząt, z portretem autora, w pięknej artystycznej okładce wykonanej przez Antoninę Duninównę	1.—
— Żywot Beldonka chłopca wiejskiego i dziada żebraka jego towarzysza, z rysunkami	15
KALINOWSKI. Zwycięzca z pod Wiednia czyli walka Polaków z Turkami	15
KARPOWICZ STANISŁAW. Cel i zadania wychowawcze. Szkice pedagogiczne	1.40
— Wiedza przyrodnicza wobec prądów ostatniej doby	20
Królowie polscy na arkuszu z herbem kolorowym Polski i Litwy	30
KRYNICKI KONSTANTY. O Wiśle i miastach nad nią leżących, wydanie 5-te z wielu rycinami i mapami, 25 k., kartonowe	35
LISOWSKI HENRYK. Zasady arytmetyki Ogólnej, wydanie 2-gie dopełnione i poprawione, oprawne	45
MORZYCKA FAUSTYNA. Wielki charakter czyli życie Benjamina Franklina, z rycinami	25
MOSZCZEŃSKA IZA. Pogadanki moralne w przykładach, zastosowane do ustroju naszego społeczeństwa kop. 90, opraw.	1.10
NAŁKOWSKA ANNA. Krótka Geografia dla dzieci wyprowadzona z najbliższej okolicy z wielu rycinami i mapami, wyd. 2-gie dopełnione, oprawne	35
— Część 2-ga Części Świata i Polska z 2-ma mapami i rycinami, oprawna	40

KSIĘGARNIA POSIADA:

duży wybór obrazków świętych, książek do nabożeństwa w różnych cenach, poczynając od 25 kop., dostarcza książki ogłaszane we wszystkich katalogach, skutecznie posyła prowincjonalne za zaliczeniem pocztowem, przyjmuje prenumeratę na pisma krajowe i zagraniczne, dostarcza materiały piśmienne, ułatwia zakładanie czyteln i bibliotek, udziela rady w wyborze książek, nut etc.

Przyjmuje przedpłatę na Dzwonek Częstochowski.

WYSYŁA CENNIKI NA ŻĄDANIE.

KSK

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



96599